



# OBIATA

ANTOLOGIA SŁOWIANSKA



# OBIATA

ANTOLOGIA SŁOWIAŃSKA





Tytuł: *Obiata*

Copyright © 2023

Silke Brandt, Aleksandra Dobies, Krzysztof Dzieniszewski, Grzegorz Gajek, Michał Jankowski, Adam Kaczmarczyk, Agnieszka Kuchmister, Małgorzata Lewandowska, Monika Maciewicz, Graham Masterton, Karolina Mogielska, Tadeusz Oszubski, Olaf Pajączkowski, Jacek Pelczar, Kalina Sucharska, Katarzyna Wierzbicka, Zeter Zelke

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redakcja i korekta: Anna Dzięgielewska

Projekt okładki: Nihil Novi Censored – sklep.nihilnovi.pl

Ilustracje: Łukasz Białek

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I

Wydawca: Planeta Czytelnik, Łódź 2023

[planeta-czytelnik.pl](http://planeta-czytelnik.pl)

[kontakt@planeta-czytelnik.pl](mailto:kontakt@planeta-czytelnik.pl)

ISBN 978-83-67735-17-9

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Monika Maciewicz - Dziad wędrowny

Michał Jankowski - Tęsknica

Krzysztof Dzienszewski - Pod powierzchnią

Silke Brandt - Czarnobóg, pan lodowego miasta

Adam Kaczmarczyk - Żmijowaci

Jacek Pelczar - Nieszczęścia chodzą trójkami

Graham Masterton, Karolina Mogielska - Pan Nikt

Małgorzata Lewandowska - 1990

Grzegorz Gajek - Wurdalak

Agnieszka Kuchmister - Tak pachnie noc

Tadeusz Oszubski - Za łzami Gopłany

Kalina Sucharska - Jak wywołać wilki z lasu

Zeter Zelke - Nic nowego pod słońcem

Aleksandra Dobies - Nim nadejdzie świt

Olaf Pajączkowski - Spotkali się zimą

Katarzyna Wierzbicka - Rezerwat

Propozycje wydawnicze

Przypisy

# **Monika Maciewicz - Dziad wędrowny**



MONIKA MACIEWICZ

# DZIAD WĘDROWNY

- I -

Szedł niespiesznie, podpierając się kosturem, by ulżyć nieco prawej nodze, która od lat już niedomagała. Ból stawał się coraz bardziej natrętny. Starzec rozejrzał się zdesperowany. Nierówna, wyboista droga pełna kałuż, które od pewnego czasu przestał omijać, prowadziła do wsi Wąpierzycze. Drzew przy ubitym dukcie było niewiele, jednak na tyle dużo, że nie dostrzegał jeszcze zabudowań osady. Potrzebował chwilę odpocząć, ale ziemia była zbyt wilgotna po ostatnich opadach, by usiąść gdzieś na poboczu. Już nie wiedział, czy ból zmęczonych nóg nie jest gorszy od cierpień spowodowanych reumatyzmem. Wreszcie tuż przy drodze zobaczył zwalony pień. Usiadł na nim i westchnął z ulgą. Dotknął dłonią chropowatej kory, jakby dotykał skóry nagiej kobiety. Jego Bogna też taką miała, wysuszoną i pomarszczoną, choć za młodu... wtedy była inna, gładka i sprężysta. Westchnął. Tęsknił, ale nie za młodością, która już dawno przeminęła. Tęsknił za starą żoną o wiecznie młodych oczach i najpiękniejszym uśmiechu.

Zdjął z pleców podróżny worek i zanurzył w nim dłoń. Wymacał buty, które wkładał tylko na specjalne okazje, futrzaną czapkę i niewielki żelazny kociołek oraz owinięte w pled গেঁśle. Poglaskał je, jakby były żywe. Wreszcie jego palce trafiły na woreczek pełen kulistych przedmiotów. Wyciągnął go. Zachrobotały orzechy laskowe. Nabrał garść i gestem siewcy rozrzucił.

- Leszy, duchu tego lasu, roztoczyłeś nade mną opiekę, uchroniłeś przed dzikim zwierzem, dałeś pod dostatkiem jagód i malin, a teraz położyłeś na mej drodze ten pień, bym mógł spocząć w podróży. Dzięki ci.

Coś zaszeleściło w koronie pobliskiego drzewa. Po chwili wzdłuż pnia przemknęło rude stworzonko. Kilkoma susami dopadło miejsca, gdzie zostały wysypane orzechy. Złapało jeden w przednie łapki, przyłożyło do pyszczka, obróciło parę razy, jakby szukając miejsca, gdzie się wgryźć. Wiewiórka rozłupała ząbkami zdobycz i wyjadła jej zawartość. Zrobiła susa i była już przy następnym orzeszku. Tym razem jednak wsadziła go do pyszczka i pognąła do dziupli.

Starzec uśmiechnął się. Ofiara została przyjęta.

Napił się wody z bukłaka. Wysupiał z worka przedostatni podpłomyk, rozdarł na pół i zaczął powoli przeżuwać. Kończyły mu się zapasy. Czas, by udać się do ludzi. Byli mu potrzebni, tak samo jak on im. Dziad wędrowny zawsze był pożądanym. Przynosił wieści ze świata, opowiadał o chwalebnych czynach junaków, o stworzeniu nieba, ziemi i człowieka, o wielkich wojnach i dalekich wyprawach, a গেঁśle sprawiały, że myśli i słowa układały się w spójne, rytmiczne pieśni.

Znał świat, który dla innych był obcy, niezbadany, groźny, ale też intrygujący. Któż więc, jeśli nie on, mógł najlepiej doradzić miejscowym? Wszak miał w zanadrzu niejedną mądrość, która wynikała z doświadczenia.

Klangor dzikich গেঁsi, odlatujących do Wyraju, przypomniał mu, że to już kolejna jesień jego dziadowania. Miał nadzieję, że jeszcze nie ostatnia. Słońce zbliżało się ku zachodowi. Nie mógł sobie pozwolić na długi odpoczynek. Noce były zbyt chłodne, żeby zostać na nocleg gdzieś pod drzewem czy na miedzy. Wypił jeszcze jeden łyk wody, zamknął bukłak, przytroczył go do paska, oparł się na kosturze i z trudem się podniósł. Zarzucił worek na plecy. Był gotowy do dalszej drogi.



Szedł, wpatrzony w ubitą, gliniastą ziemię. Tuż pod jego stopami przemknął zając. Zatrzymał się i rozejrzał zaniepokojony. Widok pierzchającego szaraka nie wróżył nic dobrego. Potem usłyszał kruki. Tu kończył się zalesiony odcinek, a zaczynały się łąki i pola. Kruki były niespokojne, często się odzywały. Starzec zaczął ich szukać wzrokiem, jednak żadnego nie dojrzał. Te złowróźbne ptaki nie lubiły się pokazywać. Pilnie strzegły swego świata gdzieś pomiędzy Wyrajem, ziemią a Nawią. Zbyt dobrze znały ludzką naturę, zatem ich nieufność była jednym z dowodów mądrości.

Starzec za to spostrzegł grupę ludzi stojących na drodze i rysujące się w oddali drewniane chaty osady. Gromada tłoczyła się przy samotnie stojącej wierzbie. Zaciekawiony przyspieszył kroku. Wkrótce ujrzał przyczynę zgromadzenia. Na wierzbowym konarze bezwładnie wisiała jakaś postać. Pochyloną głowę łączyła z gałęzią gruba lina.

– Patrzcie! Dziad wędrowny do nas idzie! – zawołał ktoś z gromady.

Uwaga zebranych przeniosła się na przybysza.

– Bogowie nam go sprowadzili – usłyszał kobiecy głos.

– Czy to nasz Borewit o pięciu obliczach cię do nas sprowadził? – padło zapytanie, choć nie dojrzał pytającego.

– Skąd wiedziałeś, że będziesz nam potrzebny?

– Pomożesz nam?

Pytań było tak dużo, że zrezygnował z prób odpowiedzi. Stał w milczeniu przed wisielcem. Westchnął z dezaprobatą. Znowu jakiś młody człowiek odebrał sobie życie. Jeszcze nie zdążył go zasmakować, a już przed nim umknął niczym zając spod miedzy. Pod młodzieńcem nie było żadnego stołeczka ani przewróconego pieńka. Musiał wspiąć się na konar, założyć pętlę i skoczyć w dół. Jego stężałe stopy i dłonie były zaczerwienione, jakby do nich spłynęła cała krew. Widać, że wisiał tak już od pewnego czasu. Nikt go nie zdjął. Ludzie bali się dotknąć wisielca, żeby jakaś niezrozumiała klątwa się im nie udzieliła.

– Jeżu – zwrócił się do niego jeden z mężczyzn.

Przyzwyczał się już do swojego nowego imienia. Wszędzie tak go nazywano. Powoli zapominał dawną tożsamość, tak jak zapominał o swoim dawnym życiu. Teraz był Jeżem, bo na szczycie jego dziadowskiego kostura widniała kolczasta skóra jeża.

Przyjrzał się człowiekowi, który zwrócił się do niego po imieniu. Rozpoznał go, choć łysina na głowie owego mężczyzny była rozleglejsza niż poprzednio, a rzadkie włosy wokół łysiego placka przypominały zburzone ptasie gniazdo. Potrzebował chwili, by przypomnieć sobie imię.

– Boromirze – oświeciło go.

Mieszkaniec Wąpierzyc rad był, że dziad go zapamiętał. Z ukontentowaniem pogładził pozbawiony włosów czubek głowy.

– Bogowie nam cię sprowadzili, Jeżu. Chłopak wisi tu od nocy. Jego matka leży w chacie bez życia. Dycha, ale nie rusza ręką ani nogą. Tylko pojękuje niczym majka. Nic nie gada, ino jęczy.

Jeż zrozumiał, że to on będzie musiał zdjąć ciało. Przyzwyczajony był do tego, że przygotowywał zmarłych do ich ostatniej drogi w zaświaty. Choć zdecydowanie bardziej

wolał, gdy go proszono na postrzyżyny lub swaćbę. Ale co poradzić? Starość zbliża go do królestwa Nyi i widocznie lepiej mu wychodzi odprowadzanie zmarłych, nawet tych, którzy stali dopiero na progu życia.

– Idźcie przygotować chatę. Złóżcie stos ciałopalny na żalniku. Mnie trzeba czary ochronne odprawić. I niech kto z jakim wózkiem przybędzie przed zmrokiem. Nie doniosę chłopaka do wsi.

Kobiety zaczęły się nawoływać i ruszyły w stronę osady. Mężczyźni jeszcze chwilę marudzili. Ciekawi byli tych czarów, a i nie chcieli wracać równo z niewiastami, żeby ich nie posądziły o jakiś przestrah.

Wśród maruderów była też dziewczyna z ciemnym warkoczem. Jeź dał jej do potrzymania kostur, sam zaś dotknął pnia wierzby. Przeszył go chłód, jakby sople lodu wbiły mu się w serce. Chciał oderwać dłoń, lecz zamiast ją cofnąć, przyłożył drugą, potem przytulił czoło. Nie chciał tego. Czuł się, jakby trzymały go jakieś niewidzialne kleszcze. Wyglądał jak człowiek zagłębiony w modlitwie, w rzeczywistości został przywiązany magiczną pętlą. Powietrze, które wdychał, było ostre, mroźne. Wypełniało go. Czuł, jak wszystko w nim lodowacieje. To, które wydychał, parowało, jakby stał na mrozie. Mgiełka, wydostająca się z jego ust, stawała się coraz bardziej przezroczysta, a oddech płytszy. Jeszcze raz spróbował się oderwać od drzewa, ale jego ciało było jak sparaliżowane. Pomyślał o swojej Boginie. Pewnie za chwilę ją spotka. Umrze tu, na oczach zgromadzonych ludzi, zabity przez jakąś niezrozumiałą siłę.

Zgromadzeni patrzyli przez chwilę na starca wtulonego w pień drzewa. Spodziewali się pieśni, magicznych znaków, a on tak po prostu stał w bezruchu. Po chwili znudzeni postanowili ruszyć za niewiastami.

Jeź nawet nie zauważył, że tłum się rozchodzi. Jego cała uwaga była skupiona na nabraniu kolejnego oddechu, a przychodziło mu to z coraz większym trudem. Jakiś mrok zsuwał się powoli ku niemu. Nie widział, go, ale odczuwał jego obecność. Chciał się przed nim uchylić, uciec, ale nie potrafił. Coś nieokreślonego pełzło po konarach wierzby. Było coraz bliżej, a on nie mógł już nabrać kolejnego oddechu, bo w piersiach wszystko stało się lodem. Mrok spływał.

Nagle przeszył go ostry ból. Nie był zimny, ale gorący. To nieoczekiwane źródło ciepła rozgrzało zmrożone piersi, Jeź zaczerpnął powietrza. Palce odzyskały czucie i oderwały się od wierzbowej kory, za nimi czoło.

Z trudem obrócił głowę. Znicierpliwiona czekaniem dziewczyna dotknęła go jeżowym kosturem, bo chciała wracać do wsi z innymi. Znowu jeź uratował mu życie. To niepozorne stworzonko przed laty przepędziło zmorę z jego domu, potem, kiedy został sam, wyprowadziło go z pustej chaty, dając mu do zrozumienia, że czas wyruszyć w świat. Gdy odwiedził swoje sioło wiosną, jeź leżał martwy przed progiem jego domu, jakby chciał, żeby go tu znalazł. Teraz jego kolczasta skóra towarzyszy mu wszędzie i jest jego najskuteczniejszym amuletem.

Mrok cofnął się, jakby gorąco go poparzyło. Starzec chwycił kostur i pochylił się, łapiąc coraz głębsze oddechy.

– Co wam? – spytała dziewczyna. Tylko ona zauważyła, że dziadowi coś złego się dzieje. Teraz stała, raz spoglądając niespokojnie na starca, a raz na oddalających się ludzi.

– Czemu nie zetniecie tej wierzby – zapytał z pretensją.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Żeby zle nie przylazło do wsi – odpowiedziała rzeczowo.

Zrozumiał, że mieszkańcy siola zdają sobie sprawę, że coś niebezpiecznego zamieszkało wewnątrz wierzby. Spojrzał nienawistnie na stare drzewo.

– Nienasyconyś, zły duchu – szepnął.

Sięgnął do worka i wyjął owinięte w gruby materiał gęśle. Z namaszczeniem zaczął je rozwijać. Podał pled dziewczynie, która jednak zdecydowała się zostać. Sam zaś ucałował instrument.

Gęśle rozbrzmiały zawodzącą, smętną melodią, a do niej dołączył śpiew dziada. Jeź nie potrafił ocenić, czy to on nadaje instrumentowi rytm, czy też gęśle same go prowadzą. Śpiew i muzyka zaklinały dziwne miejsca, zaklinały zmarłego, zaklinały mrok, który cofnął się gdzieś w głąb pnia. Potem słowa pieśni nabrały charakteru modlitwy skierowanej do bogini Nyi, aby przyjęła tego, który przedwcześnie się do niej wybrał.

Dziad w końcu dotknął wnętrzem dłoni strun, uspokajając ich drganie. Położył instrument na worku i wyciągnął nożyk z przytroczonej do pasa pochewki. Odwiązał sznurek, którym przytwierdzony był bukłak. Łyknął wody i odłożył naczynie do worka. Przymocował rękojeść noża do końca kostura, po przeciwległej stronie niż nanizana była skóra jeża, i zaczął żmudną pracę przecinania sznura nad wisielcem. Kilukrotnie musiał przerywać robotę. Krople potu rosily jego czoło, ręce omdlewały. Spoglądał wtedy na dziewczynę, która jakby otumaniona jego wcześniejszymi śpiewnymi zaklęciami nie reagowała. Stała niczym kamienna stella.

Nie podobała mu się. Wprawdzie była piękna, miała wysokie czoło, ciemne włosy, splecione w długi warkocz, równie ciemną oprawę oczu i usta jakby rozchylone do całowania. Było jednak w niej coś nieprzyjemnego, coś, co nakazywało zachować ostrożność.

Mocno naprężony sznur w końcu ustąpił pod wpływem ostrza. Ciało młodego mężczyzny zważyło się bezwładnie. Sztynne, leżało pokracznie u stóp dziada. W oddali słychać było skrzypienie kół pchanego przez dwóch mężczyzn wózka.

Starzec odwrócił ciało młodzieńca. Zmarły miał półotwarte usta i podniesione powieki. Jeź nie lubił spoglądać w oczy umarłych. Była w nich niezrozumiała obojętność, jakaś dziwna sztuczność. Te jednak wyglądały inaczej. Były nieruchome, ale zbyt przejrzyste, pozbawione matowej mgielki. Przekrwione białka dodawały im upiorności. Nie chciał spoglądać w te oczy. Zabrał się za odcinanie sznura, który wpijał się w szyję zmarłego. Kiedy skończył, stali już przed nim mężczyźni z wioski. Boromir trzymał za poprzeczny uchwyt dyszla dwukołowego wózka, a drugi asekurował pojazd. Tego drugiego Jeź również sobie przypomniał. Specjalizował się w wytwarzaniu piwa, którym handlował z całą okolicą. Obydwu pamiętał z ostatniej bytności we wsi.

Przybyli nie spoglądali na zmarłego, lecz na fragment pozostawionego na gałęzi sznura. Tylko dziewczyna z lękiem wlepiła oczy w wisielca.

– Nie zapatrzył się – mruknął Jeż. Zasłonił zmarłemu oczy i przewiązał sznurem, od którego przed chwilą uwolnił jego ciało.

Dziewczyna zamrugała i cofnęła się o krok. Teraz cała trójka wpatrywała się w zwisający fragment stryczka.

– Możecie zdjąć go, ale cały sznur do mnie należy – powiedział Jeż.

Dziewczyna znów się cofnęła o krok, Boromir chrząknął zakłopotany, a piwowar ostentacyjnie dotknął dłońmi swoich pleców.

– To nie na moje chore łędźwie – odparł spłoszony.

Starzec widząc, że nie doprosi się o zdjęcie sznura, na nowo przytwierdził nóż do kostura i zaczął piłować pętlę zawiązaną wokół konara. Nikt się nie ruszył, żeby mu pomóc. Nikt też nie miał odwagi, żeby dotknąć zmarłego. Zniecierpliwiony dziad odłożył na chwilę kij z nożem i przełożył zmarłego na wózek.

– Odwieźcie go do chaty. Jak skończę, przybędę.

I najspokojniej wziął się za dalsze piłowanie owiniętego wokół konara sznura.

Mężczyźni ruszyli. Jeden ciągnął za dyszel, drugi popychał wózek. Tylko dziewczyna została.

Wreszcie sznur ustąpił i opadł na trawę. Jeż podniósł go i schował do worka.

– Opowiedz mi o tym nieszczęśniku – poprosił.

Domyślał się, że chłopca opanował mroczny duch mieszkający w wierzbie. Tylko nie wiedział, jak to się stało. Ewidentnie ludzie ze wsi omijali to drzewo wielkim łukiem.

– Bańko jak Bańko. Ani był mądry, ani głupi.

– A miłował tu jakąś?

– Nie. On zawsze gdzieś po polach gonił, na dudkach grał.

Starzec przyklęknął i zaczął odwiązywać nóż. Zobaczył na ziemi podłużny przedmiot z wydrążonymi otworami.

– To jego? – Dziad podniósł drewnianą piszczałkę drążoną w wierzbowej gałązce.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Takie strugał, ale czy te były jego? Skąd mi to wiedzieć?

Mężczyzna rzucił dudkę na drogę, przeszedł się kawałek, usilnie czegoś wypatrując. Wreszcie znalazł całkiem spory kamień. Zmiażdżył nim instrument, żeby już nikt się nie pokusił, aby na nim zagrać. Zawinął gęśle z powrotem w pled i włożył do worka. Już go miał zarzucić na plecy, gdy dziewczę złapało go w pótbrocie.

– Ja go wezmę. Wyście srodze zmęczeni.

I nie czekając na jego odpowiedź, zarzuciła wór na swoje plecy. Chciał zaprotestować, ale dziewczę, nie odwracając się nawet, ruszyło w stronę wsi. Chwycił więc kostur i ruszył za nią. Szła dość szybko, jakby wcale jej nie zależało, żeby dotrzymywał jej kroku. Nie było mu łatwo za nią nadążyć, ale widząc zachodzące za horyzont słońce, nie narzekał ani nie prosił, żeby zwolniła. Też wolał się znaleźć jak najdalej od przeklętej wierzbki, zwłaszcza nocą.

Dziwiła go ta dziewczyna. Pomyślał, że to nowe pokolenie jest całkiem inne. Mało ciekawe świata. On, będąc dzieckiem, a nawet już wyrostkiem, biegał za wędrownymi dziadami, żeby dowiedzieć się czegoś o innych ludziach. Jak żyją? Co robią? Tej nic nie

interesowało. O nic nie zapytała. Jej odpowiedzi były zdawkowe. Zaczął się zastanawiać, dlaczego mu wciąż towarzyszy? Dlaczego nie jest z innymi dziewczętami?

– A matka chłopaka od dawna tak bez ruchu leży? – wydyszał.

Obróciła się i spojrzała zdziwiona. Chyba nie spodziewała się, że jest tak blisko.

– Powiadają, że to od zgryzoty ją chwyciło, gdy Bańka na gałęzi ujrzała.

– Zatem niedługo. – Dziad sam sobie odpowiedział.

Dziewczyna jakby przyspieszyła nieco kroku. Starzec jednak nie dawał za wygraną. Wprawdzie wiek miał już słuszny, ale w końcu większość czasu spędzał, chodząc.

– Czemuś nie poszła z innymi do osady, tylko mi towarzyszysz?

Jeśli tę gonitwę można nazwać towarzyszeniem – pomyślał zbulwersowany.

Jak mógł się tego spodziewać, dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. A przynajmniej tak mu się wydawało.

– Co to? Muszę wszystko robić jak inni? – usłyszał.

To nie była odpowiedź. To było pytanie, na które nie oczekuje się odpowiedzi. Gdyby była bardziej rozmowna, to przy takiej umiejętności zadawania pytań, będących odpowiedziami, mogłaby układać pieśni. Dziad jednak nie dał się zbyć.

– Nie ciekawaś pieśni nowiniarskich?

Dziewczyna chyba westchnęła. Obróciła się ku niemu. Odczekała dwa oddechy i ruszyła obok starca.

– Ciekawam, ale poczekam, aż wszystkim je zaśpiewacie. Wasza gęźba pod wierzbą mnie skołowała.

Dziewczę szło teraz równo z dziadem. Czyżby straciło nadzieję na pozostawienie go w tyle? A może blisko domów poczuło się bezpieczniej?

– Chadzałaś nocą pod tę wierzbę?

Popatrzyła na niego, jakby pytał, czy słońce świeci nocą.

– Nikt tam po zmroku się nie wybiera. Jak kto już musiał, to powiadał, że tam bies gałęziami rusza, choć wiatru ani śladu. A Gniewko, jak raz wracał z Kupalnocki, to widział, jak w dziupli wierzby coś łyskało niczym z paszczy żmija. A i zgubić się tam łatwo. Niejeden do rana wokół drzewa krążył, nie mogąc trafić na drogę, choć, jak widzicie, szeroka ona i solidnie udeptana.

Dziad zdziwił się niepomiernie, ale nie samymi wieściami, bo już nieraz podobne słyszał. Zdziwiło go, że ta dziewczyna potrafi naraz wypowiedzieć tyle słów. Zaczął się zastanawiać, czy pod tą wierzbą nie paraliżował jej lęk przed złym duchem.

Byli już między zabudowaniami. Przed jedną z chat gromadzili się ludzie, więc łatwo się było domyślić, że właśnie tam znajduje się dom zmarłego. Zebrani gapili się na ciało wisielca, które wciąż spoczywało na wózku.

Starzec zatrzymał się. Odwrócił się w stronę dziewczyny, chcąc prosić o zwrot worka. Ona jednak zniknęła. Worek również.

Rozejrzał się zaniepokojony. Ten tobolek był całym jego majątkiem, a największym skarbem schowane w nim magiczne gęśle. Wszedł w grupkę ludzi, przyglądając się każdej dziewczynie. Tej, która nosiła jego bagaż, nigdzie nie było.

- Boromirze - zauważył znajomą postać - dziewczę, które mi towarzyszyło, umknęło z moim workiem podróжным.

Mężczyzna, słysząc to, spojrział na żonę. Ta odwróciła się i szybko opuściła zgromadzenie. To samo uczynił piwowar, który również był świadkiem tych słów.

- Żena ją sprowadzi - uspokoił dziada Boromir.

Jeż spojrział na wisielca i zauważył pewien niepokojący szczegół. Pominął go jednak milczeniem.

- Gdy ciało zmarłego zostanie przygotowane - zagrzmiał - przybądźcie na puste noce. Trzeba czuć, bo dusza nieszczęśnika wciąż się wśród nas błąka, póki jej z należyтым zwyczajem nie odprowadzimy.

Jeż zajrzał do chaty chłopca. W kącie na słomianym legowisku spoczywała kobieta. Ogień w piecu wygasł. Nikt nie skrzesał nowego. Niewiasta leżała na wznak, patrzyła w sufit i pojękiwała. Na środku stała ława przykryta lnianym całunem.

- Przynieście wody i szmatkę do obmywania - zażądał, zwracając się do pierwszej kobiety, którą spotkał w drzwiach. - A wy - odezwał się do pozostałych gapiów - idźcie doglądać zwierzęta, okadźcie swoje chaty, dołóżcie do ognisk. Wróćcie tu nocą, gdy się będzie spać.

Ludzie niechętnie się rozchodzili. Wkrótce pojawiła się dziewczyna prowadzona przez dwie starsze od niej kobiety. Szedł też piwowar i z dumą niósł należący do dziada worek.

- Czemuś uciekła z moim mieniem? - zapytał złodziejkę oburzony starzec.

- Nigdzie nie uciekała - odparowała. - Za potrzebą poszłam. Miałam się z tego opowiadać?

Chciał spojrzeć w jej oczy, ale ona umknęła wzrokiem, patrząc pod nogi.

Jeż wziął worek i sprawdził w pierwszej kolejności, czy nie zginęły jego święte gęśle. Na szczęście wyczuł je. Pobuszował ręką jeszcze chwilę. Potem odłożył tobolek.

Tymczasem przyniesiono miskę z wodą i szmatkę. Rozebrał więc ciało chłopca i wziął się za mycie. Niewiasty stały tuż obok, ale żadna, jak mógł się tego spodziewać, nie zaproponowała mu pomocy. Był już zmęczony. Cały dzień podróży i emocje pod wierzwą dały mu się we znaki.

- Poszukajcie w skrzyni jakiego godnego odzienia dla chłopaka. I rozpalcie ogień na majdanie, by trupie ciuchy spalić, a i godnie byłoby czuć przy ognisku przez noc.

Kobiety wzięły się do pracy. Dziewczyna, której odebrano worek, znów gdzieś zniknęła.

Księżyc był już wysoko, gdy skończyli przygotowania. Ciało chłopca leżało w hacie na podwyższeniu, w centrum wsi płonął ogień, a ludzie czekali, aż dziad wędrowny zaintonuje pieśni.

Jeż wyciągnął z worka pled, rozłożył przy ogniu, ukończony instrument przytulił do piersi i zasnął. Gęśle grały same.

Obudził się w środku nocy. Wszyscy popokładali się i w najlepsze spali. Wszedł do chaty, gdzie leżał zmarły oraz jego zrozpaczona matka. W glinianym naczyniu u stóp martwego chłopca pełgał ogień, wokół rozchodził się zapach topionego zwierzęcego tłuszczu. Kobieta na legowisku nie jęczała. Wyglądała na to, że zasnęła. Pochylił się nad nią, żeby się upewnić.

Jej oddech był głęboki, oczy miała zamknięte. Wydawało mu się, że stopy chłopca drgnęły. Obrócił się i bacznie przyglądał się im przez pewien czas. Nie ruszały się. Pomyślał, że to od ruchliwego płomienia lampki. Zrobił kolejny krok i zamarł. Z oczu wisielca zniknął sznur. Były rozwarte i wpatrzone w powałę domu. Uczynił znak ochronny i wycofał się. Usiadł przy ognisku, uderzył w struny gęśli. Ludzie zaczęli się budzić. Zaintonował lamentację. Trzeba było zniechęcić duszę zmarłego do pozostania wśród żywych. Dać jej do zrozumienia, że na nią już czas.

Kiedy skończył, był już świt. Zaczęli się schodzić pozostali mieszkańcy osady. Ich twarze i słowa wyrażały zaniepokojenie.

– Ognik jakowys błąkał się wokół mojej chaty – poskarżyła się tęga niewiasta. Strzelała oczami na wszystkie strony, jakby się obawiała, że ktoś lub coś ją zaatakuje znieacka.

– A u mnie ogień wygasi, choć całą noc podkładałam. Czyżbym była następna? – pytała trwożliwie brzemienna kobieta, z niepokojem głaszcząc swój wydatny brzuch.

– Strzeżcie się, Ratomirowa – wtrąciła tęga – bom kruka na twojej chacie widziała.

Ciężarna aż zasłoniła usta, tłumiąc krzyk przerażenia. Wszystkie znaki wskazywały, że nie przeżyje porodu.

Nadszedł Boromir z żoną. Już z daleka było widać przejęcie na ich twarzach.

– Coś w nocy kozy nam zagryzło. Nikt nic nie słyszał, a biedulki martwe leżą w kałużach krwi – zaczął opowiadać. Jego żona co chwila nerwowo pociągała nosem i wycierała go w zapaskę. Przygryzała wargi, jakby się miała zaraz rozplakać.

– Jezuu, nie czekajmy do kolejnej nocy, bo nie wiadomo, co jeszcze się może przytrafić. Odpraw Bańka w zaświaty, niech nas już nie dręczy – poprosiła Boromirowa.

Dziad wszystkich wieści słuchał ze spokojem. Rozejrzał się po okolicy. Wstał i poszedł pod ogrodzenie, gdzie piołun rozgałęział się niczym małe drzewo. Wyrwał go. Potem ułamał parę gałązek z pobliskiego krzewu głogu. Wrzucił to wszystko do ognia i zaintonował pieśń.

*Poszła Jagna prac do wody*

*Tam ją spotkał wodnik młody*

*Pójdźe Jaguś na me włosci*

*A nie braknie ci miłości*

*Jagna pierze kijankami*

*Ale wodnik ciągle mami*

*U mnie to ty panią będziesz*

*Wielką władzę też posiadziesz*

*Dam ci skrzynię i korale*

*Pracować nie będziesz wcale*

*Wystrojona zaczniesz chodzić*

*Niewolnice z sobą wodzić*

*Dziewczę pranie wyżymało*

*Nad swym losem rozmyślało  
Każdy woli nic nie robić  
Piękne rzeczy przysposobić*

*Kijki z praniem odrzuciła  
I się w wodę zanurzyła  
Wodnik co ją zbytkiem kusił  
Skoczył na nią i uduślił*

Ludzie skupili się wokół, by posłuchać dziadowskiej pieśni. Twarze ich jednak wyrażały rozmaite uczucia, począwszy od zdziwienia, poprzez kpiące uśmieszki, po wyrazy oburzenia.

– Jeżu, czy aby dobrą pieśń dobrałeś? – spytał Boromir.

Dziad spojrział na niego surowo. Był w nim gniew, ale wiek nauczył go panowania nad tym uczuciem. Wiedział, że silne emocje nie są dobrym doradcą. Szarpnął palcami struny gęśli. Ich gędzba go nie uspokoiła, pieśń popłynęła sama.

*Gdy bogowie się kapali  
Kukle słomy życie dali  
Powstał człowiek że ho ho  
Dobro dali mu i zło*

*I rozeszli się po ziemi  
Nawet stali uczonymi  
Grody domy budowali  
Bogom zawsze dzięk dawali*

*Świat demonów okroili  
Toteż tamci się wciąż mścili  
Strzygi wily i wąpierce  
Czynili z nich wieczkę*

*Ludki bogów swych błagali  
By im na to sposób dali  
Jak demony obtaskawić  
By w spokoju życie trawić*

*Na to Perun władca stary  
Oraz Weles mu do pary  
Rzekli jako nas błagacie  
Taką im obiatę dacie*

Dziad spojrział po zebranych. Kpiące uśmieszki zniknęły, ale wiele osób nadal nie rozumiało, co im gęslarz chce przekazać poprzez tę pieśń.



– Znacie historię swego siola? – spytał głośno.

Jedni spoglądali na siebie pytająco, inni spuszczały wzrok. Boromir zafrasowany gładził błyszczącą łysinę. Kłopotliwa cisza przedłużała się.

– Wywodzi się od wapiersza, co przed laty gnębił osadę.

Wszyscy odwrócili się zdziwieni. Nieopodal stała stara kobieta. Podpierała się laską, co nie dziwiło, bo ledwo się trzymała na swoich pałakowatych nogach. Jej usta zapadały się co chwila, jakby chciała na zebranych splunąć.

Jeż nie znał staruszki. Widocznie mieszkała gdzieś na uboczu.

– Nikt nie pamięta, jak drzewiej bywało. Nikt nie dba, by przekazywać opowieści młodym. Żyją jak nierozumne chrząszcze. Latają, gdzie nie trza i się płodzą. – W tonie jej głosu i w spojrzeniu była niechęć i wzdarda. – Babka mojej babki zakłęta wapiersza i przegnała do wierzby na rozstajach. Drogę potem przeorali, ostawili jedną, ale zawżdy pamiętali, by wiosną i jesienią złożyć mu obiatę. Wapiersz napojony krwią kuraka, kozy czy owcy nie dokuczał mieszkańcom wsi.

– Starość z mądrością chadzają w parze – skomplementował kobietę Jeż. – Kiedyście złożyli obiatę wapierszowi zamkniętemu w starej wierzbie? – Tym razem zwrócił się do zebranych.

– Wiosną. – Boromir poczuł się zobowiązany, żeby odpowiedzieć.

– Ostatniej wiosny? – W pytaniu Jeża było wyraźne powątpiewanie.

– Nie. Poprzedniej – przyznał się skonfundowany mężczyzna.

– Nie poprowadzę dziś obrzędów pogrzebowych – oświadczył twardo dziad. – Pierwej złożymy godną ofiarę.

– Nasze kozy nie wystarczą wapierszowi? – załkała żona Boromira.

Ta kobieta nieustannie sprawiała wrazenie, jakby płakała albo miała katar. Jej nawyk pociągania nosem wzbudzał obrzydzenie.

– To nie była obiata przez was złożona. To było zaspokojenie głodu – wyjaśnił Jeż.

– A śmierć Bańka? – zapytała tęga niewiasta.

– O tym później. Przed zachodem słońca czekam pod wierzbą. Przeprowadźcie czarną owcę, przynieście miodu i mleka. Niewiasty niech przygotowują jakieś potrawy z maku.

\* \* \*

Krew zarżniętej owcy wsiąkała powoli w ziemię tuż przy konarach wierzby. Dziad trzymał odciętą głowę zwierzęcia i czekał, aż dwóch wyrostków wykopie odpowiedniej głębokości dołek, by ją do niego złożyć. Boromir sprawiał mięso, wrzucając co lepsze kawałki do dłubanki. Kobiety czekały, by zabrać je do wsi i wymoczyć w kwaśnym mleku. Mięso w sam raz skruszeje na jutrzejszą tryznę.

Każdy ułął odrobinę mleka lub miodu oraz złożył garść kutii, kawałek makowca albo przynajmniej samego maku.

Potem dziad wyjął z woreczka krzesiwo i spory krzemień. Z drugiego wyciągnął wysuszone kawałki hubki. Roztarł je i wysypał na kawałek kory. Wyjął przygotowane wcześniej drewniane skrawki i garść słomy. Zaczął uderzać krzesiwem w krzemień. Iskry

posypały się na hubkę i rozżarzyły ją. Położył nań słomę oraz poskręcane wióry. Rozdmuchał powstały płomień i podłożył pod wcześniej ułożony niewielki stosik z gałęzi. Kiedy ogień rozpałił się na dobre i objął drewno, dziad wsadził weń wiecheć suchego piołunu. Nie pozwolił się nikomu oddalić, póki każdego nie okadził dymem. Ludzie posłusznie podchodzili i oczyszczali się. Kiedy wszyscy już poszli, Jeź czekał cierpliwie, aż ogień sam się wygasi. Kostura z jeżową skórką nie wypuszczał z rąk. Nie miał jednak odwagi ponownie dotknąć wierzbowego pnia, mimo magicznej ochrony.

Kolejna pusta noc minęła na śpiewach ku czci Nyi, lamentacjach i błaganiach o przyjęcie duszy Bańka do Nawii. Jeź okadził też chatę chłopca oraz jego matkę. Kobieta, otumaniona kadzidłanym dymem, zasnęła.

Kiedy o świcie Jeź wszedł do chaty zmarłego, niewiasta siedziała przy zwłokach syna. Popatrzyła na wchodzącego dziada i spuściła wzrok na dziecko. Kołysała się, jakby odprawiała jakieś wewnętrzne modły, których brzmienie nie wydobywało się poza jej ciało. Głaskała chłopca po nogach. Błada, z obłędem w oczach wyglądała upiornie, choć nie była upiorem.

Ludzie, odświętnie ubrani, zaczęli się schodzić, by wyprowadzić ciało zmarłego. Mężczyźni dzierżyli toporki, którymi zaczęli wyciosywać w ścianie chaty otwór. Pracowali w milczeniu. Wszyscy byli poważni i uroczyści. Dziewczyna o wysokim czole i ciemnym warkoczu stała u boku barczystego blondyna, który nie spuszczał z niej cięło-corozmarzonego wzroku. Podobnie patrzył na żonę Boromira młody kowal, jakby nie dostrzegał jej zwiędłej cery i nieznośnego nawyku pociągania nosem.

Piwowar chodził z dzbankiem piwa i każdego częstował. Dziad kategorycznie odmówił i ostentacyjnie sięgnął do bukłaka z wodą.

Matka chłopca odzyskała władzę w nogach i rękach, ale nie odzyskała mowy. A może uznała, że skoro utraciła syna, to nie ma potrzeby do kogokolwiek się odzywać?

Kiedy wszyscy się już zebrali w chacie i wokół niej, dziad usiadł na ławeczce przed domem zmarłego, zamknął oczy i wydawało się, że zasnął. Ludzie zniecierpliwieni zaczęli chrząkać, pokasywać, nie mając śmiałości go ponaglać, żeby zaczął wreszcie uroczyścić. Kiedy dziad zachrapał, co nie było dziwne po tylu nocach czuwania, Boromir podszedł i lekko potrząsnął jego ramieniem.

– Czego? – spytał starzec niezbyt grzecznie.

– Obrzęd czas zacząć.

– Nie będzie żadnego obrzędu i ciałopalenia – mruknął dziad i z powrotem zamknął oczy.

Wśród zgromadzonych przeszedł szept niezadowolenia, który powoli przeradzał się w głośne pretensje i narzekania.

– Jak to nie będzie?

– Chceszli z niego kolejnego wapiersza zrobić?

– Co ten dziad wygaduje?

– Upił się?

Jeź nie otworzył oczu. Nie interesowało go, kto tak na niego wyrzeka. W końcu, kiedy zaczęło się robić zamieszanie, uniośł powieki, rozejrzał się, chwycił kostur i z trudem stanął

na nogach. Uniósł jeżową łaskę w górę. Ludzi ucichli.

– Samiście doprowadzili do śmierci tego chłopca! – zagrział.

Okazało się, że są różne rodzaje ciszy. Teraz nastąpiła ta absolutna.

– Umyślnie rozsierzdziliście wapiersza, żeby kogo opętał. Padło na nieszczęsnego Bańka, co dudkę wystrugał z wierzbowej gałązki. Nie on, to byłby inny. Wisielca się wam zachciało. Jesteście gorsi od upiorów.

W panującej ciszy dźwięk szurających stóp i delikatny stukot laski wydawały się hałasem. Do dziada zbliżyła się staruszka.

– Jeśli prawdę mówisz, to ich dosięże klątwa osieroconej matki. Ale przez wzgląd na nią i na chłopca winniśmy go wyprowadzić z chaty, złożyć na stosie i spalić. Odesłać do Wyraju przez dym ciałałpalny, a resztę oddać Matce Ziemi.

– Pierwej niech mi piwowar odda sznur, co go uciął, gdy wioził chłopca do wioski.

Wszyscy skierowali wzrok na mężczyznę z dzbanem w dłoni. Ten się zaczerwienił.

– Na co mi wisielczy sznur? – spytał zaczepnie.

– Nie rozlewasz dzisiaj piwa z racji obrzędu ciałałpalenia – odparł dziad. – Wrzuciłeś do dzbana nic z owego magicznego powroza, by przywiązać do napitku każdego, kto się z niego napije – Dziad, mówiąc to, splunął z obrzydzeniem.

Ludzie zaczęli zaglądać do swoich kubków, niektórzy wylewali ich zawartość, inni zaczynali zlorzeczyc piwowarowi.

– Oddaj sznur, bo będziesz następny! – zawołał jakiś mężczyzna. Kilku mu zawtórowało. Nikt nie chciał zostać ofiarą magicznych sztuczek.

Dziad znów uniósł kostur. Zebrani uciszyli się.

– Ta część wisielczego sznura, którą miałem w worku, też została urznięta. Skradło go owo dziewczę – wskazał na ciemnowłosą młodą kobietę, która go nie odstępowała pod wierzbą.

– Ona piwa nie warzy! – zawołał piwowar. Pewnie pomyślał, że w ten sposób odsunie od siebie podejrzania, sugerując inne przyczyny wejścia w posiadanie magicznego przedmiotu.

Część ludzi popatrzyła złowrogo na dziewczynę. Oczywiście poza wpatrzonym w nią mężczyzną, który oburzony zasłonił ukochaną przed złymi spojrzeniami.

– Piwowar słusznie prawi – odezwał się zakochany. – Zostawcie ją w spokoju, bo będziecie ze mną mieli do czynienia – mówiąc to, wymownie dotknął długiego noża wiszącego u pasa.

– Już cię przywiązała do siebie, sarni bobku! – zawołał jakiś chłopiec. – Nie załaskotał cię kawałek sznura, jakeś go połykał w napitku?

Parę osób się roześmiało, choć tak naprawdę nikomu nie było do śmiechu. Sznur, który przytrzymał powieki zmarłego, też został ukradziony i pewnie był w posiadaniu niejednej osoby. Nikt nie chciał być publicznie oskarżony i oszkalowany. Niektóre niewiasty pod pretekstem doglądnięcia posiłku na tryznę opuściły zgromadzenie. Za nimi, jakby pociągnięci niewidzialnym sznurem, podążyli mężczyźni. Wkrótce pod chatą zostało zaledwie parę osób.

Cztery z nich chwyciły za rogi żałobnego całunu i ruszyły przez wyrąbany w ścianie otwór, żeby zmarły nie chciał powrócić drzwiami. Potem niewielki korowód krążył poza wsią, jakby chciał zgubić drogę i zmylić zmarłego. W końcu złożono go na stosie.

Dziad wyciągnął krzesiwo. Wkrótce zapłonął ogień. Zagrały gęśle. Popłynęły słowa pieśni.

Jeż nie czekał do końca smutnego obrzędu. Gliniana popielnica stała nieopodal i czekała na wsypanie pozostałości po ciałopaleniu. Dolek na nią też już był przygotowany.

Nie chciał uczestniczyć w wieczornej tryźnie. Nie miał ochoty nigdy więcej oglądać mieszkańców Wąpierzyc. Zbliżała się noc, nikt o takiej porze nie śmiał podróżować. Dziad jednak dobrze wiedział, że czasem lepiej spotkać na swej drodze złośliwe demony niż okrutnych i fałszywych ludzi. Ruszył wolnym krokiem, podpierając się jeżowym kosturem. Wszak wędrówka to jego życie.



## MONIKA MACIEWICZ



*Autorka zdjęcia: Marlena Paniw*

Autorka powieści (trylogii) z gatunku słowiańskiej fantastyki (etnofantasy): „Wiedma”, „Kruki” oraz „Żmijątko” (Wydawnictwo Zysk i S-ka). Jej książka pt. „Wiedma” na konwencie kultury rodzimej SLAVNI w 2023 r. zdobyła tytuł najlepszego debiutu roku 2021.

Monika Maciewicz jest fascynatką czasów wczesnego średniowiecza, członkinią drużyny odtwórstwa historycznego Czarny Żmij, blogerką, popularyzatorką kultury słowiańskiej prowadzącą *Stronę Mitośników Słowiańszczyzny – Jesteśmy Słowianami*. Na co dzień polonistka, logopedka, liderka Teatroteki Szkolnej, członkini Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu. Jej hobby to również zielarstwo oraz teatr. Przez wiele lat współpracowała z teatrami amatorskimi w Przemyślu, pisząc i reżyserując sztuki teatralne. Zadebiutowała zbiorem dla dzieci „Bajki pełne marzeń” (Wydawnictwo Skrzat). Jej opowiadanie „Uciekaj, nim przyjdzie noc”, nagrodzone wyróżnieniem, ukazało się w antologii „Na końcu świata napisane” (Videograf II).

**Michał Jankowski - Tęsknica**



MICHAŁ JANKOWSKI

# TEŚKNICA

- II -



*Wczorajszy wieczór był bardzo pracowity dla lokalnej policji. W lesie znaleziono powieszono ciało powszechnie szanowanego Michała Plaska. Wszystko wskazuje na to, że znany wydawca targnął się na swoje życie. Przypominamy, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy to już piąte samobójstwo w naszym niewielkim mieście, i kolejne przez powieszenie. Sprawa staje się nad wyraz tajemnicza, gdyż dotyczy szacownych obywateli, którzy nigdy nie przejawiali skłonności autodestrukcyjnych, a jednocześnie śledczy kategorycznie wykluczili udział osób trzecich w zdarzeniach. Uwagę zwraca także fakt, że wszyscy nieszczęśnicy na scenery swojej śmierci wybrali dokładnie to samo miejsce – wiekowy dąb, który rok temu z niewiadomych przyczyn nagle zmarniał. Martwe drzewo w jakiś tajemniczy sposób stało się szubienicą samobójców. Śledztwo jest w toku. Naszych Czytelników będziemy informowali o dalszym przebiegu tej jakże niepokojącej sprawy.*

Wilhelm Straszyński podniósł wzrok znad gazety. Przeczytany właśnie artykuł mocno nim wstrząsał. Ze zmarłym łączyły go co prawda jedynie chłodne stosunki służbowe, ale obaj jeszcze dzień wcześniej ze sobą rozmawiali. Analizował teraz w pamięci każdy szczegół tamtej konwersacji. Nie potrafił odnaleźć jednak chociażby cienia złej emocji, która mogłaby zapowiadać tak tragiczny los kolegi z pracy.

– Luizo, wiesz może, gdzie rośnie ten stary dąb, który nagle usechł w zeszłym roku? Podobno to gdzieś niedaleko?

– Tak, ale ja nigdy tam nie chodzę. To wyjątkowo ponure i przygnębiające miejsce. Mam wrażenie, jakby nad okolicą zawsze wisiała jakaś ciemna chmura – odrzekła pani Straszyńska. Nie potrafiła przy tym ukryć nieprzyjemnego dreszczu, jaki nagle ją przeszedł. – Teraz, gdy ten dąb jest martwy, tym bardziej musi być tam strasznie – dodała po chwili.

Wilhelm siedział posepnie zamyślony nad złożoną już gazetą, czym zwrócił uwagę małżonki.

– A dlaczego o to pytasz? Co ci jest? – zapytała Luiza, zaniepokojona zmienionym wyrazem twarzy męża.

– Właśnie przeczytałem o śmierci znajomego.

– Ojej! Znałam go?

– Nie, nie! Raczej nie – uspokoił ją. – Ale ja owszem, bo to mój wydawca, i po prostu nie pojmuję tego. Przecież wczoraj z nim rozmawiałem i niczego nie zauważyłem. Na dodatek umówiliśmy się na jutro na zdanie kolejnej części tekstu do artykułu. Powiesił się właśnie na tym wyschniętym dębie.

– Okropnie! – Straszyńska westchnęła. – I to jeszcze w tak okropnym i pustym miejscu – dodała również szczerze zmartwiona.

– To oznacza, że musiał to zrobić jeszcze tego samego dnia, krótko po naszym spotkaniu. Jak mogłem niczego nie zauważyć? – trapił się mężczyzna.

– Ależ Wilhelmie! Niektórzy bardzo długo dojrzewają do takiej decyzji, nieraz trwa to latami, a zmiany w osobowości zewnętrznie mogą być po prostu niedostrzegalne – pocieszała męża pani Straszyńska. – Kto wie, jak układało mu się życie prywatne? Przecież ty znałeś go jedynie z pracy, prawda?

- Tak, nie byliśmy zbyt blisko i nie zwierzałyśmy się sobie, jeśli o to ci chodzi, ale i tak mocno to mną wstrząsnęło.

- Właśnie widzę. Bywa, że jedno wydarzenie lub chwila mają ciężar nie do udźwignięcia dla zszarganych nerwów, przez lata nieznajdujących ukojenia. Tak musiało być i w tym wypadku, a ty wcale nie musiałeś tego zauważyć.

- Pewnie masz rację, kochanie - przyznał smętnie. - Ja jednak nie potrafię zrozumieć takich ludzi. Dlaczego nie poprosił o pomoc? Jak można tak po prostu odebrać sobie życie? - dywagował Straszynski. - Jest przecież tyle możliwości! A śmierć to rezygnacja ze wszystkich rozwiązań, a zarazem karanie samego siebie. Takie jest moje zdanie. Ja w żadnym wypadku nie zdecydowałbym się na samobójstwo - skwitował podniesionym głosem.

- I ja myślę podobnie, kochanie. Choć zważ też, proszę, że ani ja, ani ty nigdy nie doświadczyliśmy dotychczas niczego, co mogłoby tak druzgocząco wpłynąć na nasze postrzeganie, by w ogóle rozważać podobną ewentualność.

- To prawda... i może dlatego tak trudno to pojąć.

Więcej już nie wracali do tej sprawy, choć pan Straszynski nie był w stanie opędzić się od wspomnień o zmarłym koledze. Nie powiedział już jednak niczego więcej.

Na dworze rozszalała się nawałnica. Błyskały pioruny, a deszcz pchany wiatrem wściekle walił o szyby. Państwo Straszynscy przez jakiś czas siedzieli jeszcze przy rozpalonym kominku, popijając herbatę, rozmyślając i rozmawiając zdawkowo, by wreszcie ułożyć się do snu.

\* \* \*

Wilhelm Straszynski obudził się o świcie z nieprzyjemnym uczuciem w ustach, jakby oddychał mokrym, zatęchłym powietrzem. Zimne podmuchy wdzierały się przez uchylone okno. Ledwie odzyskał świadomość, a już w jego serce wkraść się niejasny niepokój. Żona spała w najlepsze, podczas gdy on leżał bez ruchu, patrząc w sufit skąpany w bladej szarości poranka. Z każdą sekundą narastały w nim jakieś złe przeczucia i przekonanie o czyjejs obecności. Nieprzyjemne doznania zdawały się pęcznić gdzieś w jego wnętrzu i od środka rozrywać pierś do tego stopnia, że chwyciła go nagła duszność. Nieznośny zapach wciąż go drażnił i zastanawiał. Musiał podnieść się z łóżka, bo w pozycji leżącej nie był w stanie wytrwać już ani chwili dłużej.

Delikatnie i niemal bezszelestnie wstał z pościania. Przeszedł do salonu, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca. Chodził od okna do okna, co rusz ciężko przy tym wzdychając. Potem próbował usiąść z książką w fotelu, jednak litery zlewały się w nieodczytywalną masę ukrytą za mgłą rozbieganych myśli. Nawet kieliszek mocniejszego trunku, po który nie zwykł sięgać o tej porze, nie pomógł. Jakby jakaś straszliwa zmora gniołła jego wnętrzości, rozpierzchała spokój, dręczyła niepohamowanym dygotem nerwów. W końcu ubrał się i delikatnie zatraskując za sobą drzwi, wyszedł na zewnątrz.

Poranek przywitał go wilgotnym chłodem i na wskroś przesywającą zmysły szarością. Powiewy jesiennego wiatru nie rozmyły irytującej woni stęchlizny, która dręczyła go, odurzała i przyprawiała o mdłości. Wyszedł z własnego ogrodu i niemal bezwiednie dotarł do parku, o tak wczesnej porze zupełnie pustego. Podobno przed wiekami był tu cmentarz,

ale świadczyć o tym mogły już jedynie typowe dla cmentarnych alejek nasadzenia starych drzew, bo żaden grób się nie ostał. Niemal wyzuty z sił Straszynski opadł ciężko na ławkę, nie zważając wcale na mgłową wilgoć perlącą się na jej powierzchni. Jednocześnie uwolnił jakby nieprzebrany potok czarnych myśli, który spłynął na niego, uderzając z niebywałą siłą i zaskakując chaosem obłądnych wręcz rozważań. Widział w nich Michała Plaska dyndającego na grubym sznurze. Doznawał przyniatającego poczucia winy i jakiejś głębszej, nieokreślonej żalości.

Z ponurych refleksji wyrwał go nagły ruch majaczący w oparach mgły. Podniósł wzrok i po chwili z mlecznej zasłony wyłoniła się dziwnie wyglądająca kobieca postać. Zupełnie oniemiał na jej widok, bo też jej obraz był całkowicie niezwykajny. Zbliżyła się ku niemu, idąc boso ze stopami przewiązаныmi pojedynczymi wiechciami trzciny, odziana jedynie w bezkształtną szarą szatę i wianek z zeschniętych paproci na głowie. Splątane długie czarne włosy beładnie spływały na ramiona, ale jednocześnie nie zasłaniały niespotykane bladej twarzy, która mimo kredowej cery urzekała i hipnotyzowała. Zbliżając się do trwającego w bezruchu Straszynskiego ani na moment nie spuszczała z niego wzroku, a z jej kobiecych, wręcz dziewczęco młodych oczu – jak zresztą z całej postaci – bił niewymowny smutek i już samo to wejrzenie do głębi go poruszyło.

Podeszła i bez słowa usiadła tuż obok w taki sposób, że nawet na moment nie przerwała się niewidzialna nić splatająca ich spojrzenia. Mężczyzna był jakby zupełnie bezwolny i do cna pogrążony w jej ujmującym smutkiem pięknie. Gdyby rozpacz była biżuterią podkreślającą kobiecą urodę, to ta dziewczyna należałaby do najurodzawszych. W tym momencie serce Straszynskiego krwawiło już współczującą wręcz miłością i oddaniem dla dziwnej nieznajomej. Trwał ujęty i oczarowany niezwykłą istotą, niezdolny wykonać najmniejszego nawet ruchu, a gdy zobaczył, jak po jej śnieżnobiałym licu spływa krystaliczna łza, to i jemu momentalnie zwilgotniały oczy i nie był w stanie powstrzymać gorących kropeł zalewających policzki. Nie myślał o żonie, zapomniał o Michale Plasku i nie miało najmniejszego znaczenia nic, poza nieznajomą panią. Więziła go w kajdanach swego rozpaczliwego wejrzenia, a on wcale nie chciał się uwalniać.

Nagle drgnęła i delikatnym, kojącym ruchem objęła go. Poczul intensywny zapach zbutwiałych liści, a całe ciało przeszył przenikliwy chłód. Po chwili przesunęła głowę w taki sposób, że zetknęły się ich usta. Na chwilę zamarła, lecz zaraz wpiła się w niego gwałtownym, lecz, co zaskakujące, aksamitnie delikatnym pocałunkiem, który on przyjął i oddawał z zachłannością, jakiej u siebie nie podejrzewał. Przywarła do niego na wyjątkowo długą chwilę i w końcu nie mógł już złapać tchu. Nie był też w stanie oderwać od niej ust. Prerażony chciał krzyknąć, zaczął się krztusić i dusić...

I wtedy się ocknął. Siedział sam na mokrej ławce, w zupełnie pustym parku. Cóż to była za mara – pomyślał strapiony, czując jednocześnie w ustach nieprzyjemny smak mokrej ziemi. Kolejna fala jakiegoś bezimiennego smutku boleśnie ścisnęła mu duszę. Podniósł się ze swojego miejsca i powoli powłókł dalej przed siebie.

Szedł bez wyraźnego celu. Nie zważał na rosę, która grubymi kroplami zmoczyła mu obuwie i nogawki spodni. Trwał w jakiejś dziwnej, bezmyślnej zadumie, a im dalej szedł, tym bardziej zdawał się zapadać w sobie. Podążał na oślep, wiedziony niewidzialną siłą. Zszedł z

drogi, przebył łąkę i wkroczył w jesienny las. Gdyby ktoś zauważył go w tej chwili, bez wątpienia uznałby Wilhelma za widmo, które – niczego nie widząc i niczego nie słysząc – trwa we wciąż pogłębiającym się transie zgubnej wędrówki. Ogarnęła go ponura smętność. Przygnębiającą falą poczęła druzgotać każdy strzęp jego jaźni. Ta nagła zmiana zaskoczyła go i przeraziła zarazem. Nie umiał opędzić się od tragicznego poczucia wszechogarniającej beznadziei i smutku. Szelest poźółkłych, opadłych liści pod stopami zdawał mu się dojmującą żalobną melodią, a jej dźwięk poruszał najbardziej wrażliwe struny jego duszy. Wnet poczuł w oczach piekące łzy, których źródła nie potrafił określić. Doświadczwał wręcz fizycznego bólu czarnej melancholii. Wszystko, co znał, co miał i osiągnął, nagle wydało mu się kompletnie bezsensowne, obojętne, beznamienne i bezcelowe. Był za to przekonany, że gdyby chcieć nakreślić kształt rozpacz, ta bez wątpienia miałaby nie inną, jak właśnie jego obecną sylwetkę.

Długo szedł nieświadomy drogi, jaką przebywa. W koszmarnym, a wciąż pogłębiającym się stanie odrętwienia i udręczenia nie zważał na nic. Pragnął jedynie uciec jak najdalej od tego strasznego stanu ślepej zgrzyoty, a zarazem grażył się w niej i bezwiednie jej oddawał. Wreszcie wyszedł na rozległą polanę. Przystanął na chwilę, a jego zmęczony wzrok padł na potężne, ogołocone z wszelkiego życia drzewo. Wydawało się od dawna martwe. Stało samotnie na samym środku zasnutej dziwną ciszą przestrzeni. Wilgotne obłoki mgły przesuwały się bezszelestnie po zadziwiająco posępnym i przyprawiającym o ciarki miejscu. Zapatrzył się w to drzewo. Nie mógł oderwać od niego oczu. Poczerniała z wilgoci i omszałe robiło wyjątkowo złowrogie wrażenie. Miało makabrycznie powykręcane gałęzie, a na pniu rysowały się jakieś zastanawiające kształty. Wyglądem przypominało człowieka z uniesionymi ramionami, zastygłego w grymasie dzikiej furii. Najbardziej upiorny był jednak wiszący tam gruby pozieleniały sznur zakończony pętlą. Zwiślał z jednego z konarów i niczym mroczne zaproszenie posępnie dyndał na wietrze.

Straszyński zbliżył się i dotknął chropowatej powierzchni grubej kory. A więc to tutaj – pomyślał, a przez całe ciało przeszedł bolesny dreszcz. Wsparł się o pień i osunął na ziemię. Doznał gwałtownych zawrotów głowy i pociemniało mu w oczach. Był do cna wyczerpany. Nie potrafił znaleźć w sobie siły ani chęci, by zawrócić. Zwiesił ciężką jak z kamienia głowę i na długą chwilę zastygł w tej udręczonej pozie. W żaden sposób nie mógł powstrzymać łez. Targany niepohamowanym szlochem z trudem łapał oddech. Nieopisany smutek, gorycz i poczucie bezdennej samotności wzbierały w nim kolejnymi nieokiełznanymi falami. Całe życie wydało mu się bezgranicznie puste, obce i bezwartościowe. To poczucie tchnęło w jego umartwione ciało ostatnią wątłą resztkę sił.

Wstał i rozejrzył się tępy, załzawionym wzrokiem po nieprzyjemnie szaroponurej polanie. W tamtym momencie przedstawiał obraz złamanego życiem starego człowieka, uginającego się pod ciężarem jakiejś nieludzkiej nieomal udręki. Nie było tu jednak nikogo i nikt nie mógł ustrzec go przed tym, co postanowił zrobić.

Straszyński wdrapał się na najniższą gałąź. Stękał przy tym i wzdychał, jakby miał wyzionąć zaraz ducha z wyczerpania samą tą czynnością. Pochwylił koniec wiszącego obok sznura i założył sobie gotową już pętlę na szyję. Naraz cały świat wydał mu się ohydny, odrażający i mroczny. Ostało się w nim jedno jedyne pragnienie – by przestać odczuwać, by

zapaść w sen bez żadnych snów i rozpląnąć się w nicości. Gdy kolejny spazm nieutulonej rozpaczynie nieznosnie ścisnął mu serce, mężczyzna delikatnie zsunął się z gałęzi, na której stał. Zawisł może metr nad ziemią. Sznur boleśnie zacisnął się na jego szyi. Przez chwilę organizm próbował walczyć, jednak on ani na sekundę nie ustąpił w swym makabrycznym postanowieniu. Nie bronił się przed tym, czego już i tak nie był w stanie powstrzymać. Wytrzymał.

W ostatniej chwili świadomości zdało mu się, iż widzi, jak zza drzewa na skraju lasu przygląda mu się owa kobieca złuda, która nawiedziła go w parku. Rozpacz bijąca z jej czarnych oczu pociągnęła go w ostateczną otchłań ciemności. W końcu wszystko wokół zawirowało i ucichło w błogiej martwocie.



## MICHAŁ JANKOWSKI



Urodzony w 1984 roku; historyk i księgarz; laureat konkursu literackiego „Na skrzydłach Pegaza” oraz poetyckiego pod tą samą nazwą; autor dwóch książek historycznych, które ukazały się nakładem wydawnictwa Pejzaż (w tym jednej nagrodzonej Bydgoską Nagrodą Literacką „Strzała Łuczniczki”) oraz bajki dla dzieci (data premiery: grudzień 2023); prowadzi poetycko-fotograficzne konto na Instagramie melancholie\_ruin; swoją twórczość z dziedziny prozy określa jako posępną, egzystencjalno-romantyczną grozę.

# Krzysztof Dzieńiszewski - Pod powierzchnią





KRZYSZTOF DZIENISZEWSKI

# POD POWIERZCHNIĄ

- III -

Był jeden z pierwszych ciepłych wieczorów tej wiosny; powoli zapadał zmierzch. Wiatr niósł ze sobą zapach życia – świeżej trawy, młodych liści, wzrastających już gdzieś w odległości kwiatów – który docierał aż nad niewielkie jezioro leżące pośrodku zacisznej polany głęboko w gęszy. Tam mieszał się z cierpkimi, ziemistymi woniami błota, murszu i wodnych roślin gęsto porastających wschodni brzeg zbiornika. Powiew ten, choć z pewnością nie przeszywał chłodem jak jeszcze kilka tygodni wcześniej, zdecydowanie nie mógł w pełni ogrzać nagiego ciała brnącego leniwie przez lekko zielonkawą wodę. Zanurzona powyżej piersi kobieta nie zdradzała najmniejszych oznak zimna – gładkich, białych jak marmur ramion nie pokrywała gęsia skórka, a w ruchach nie znać było sztywności czy drżenia; wyłącznie grację.

Postać skierowała się niespiesznie w stronę środka jeziora, z każdym krokiem opadając głębiej, aż w końcu osunęła się w toń, w której jeszcze przez jedną tylko chwilę dojrzeć można było jej kłębiące się, czarne jak heban włosy. Zdać by się mogło, że teraz na polanie zapadnie martwa cisza, ale stało się zgoła odwrotnie – gdzieś spomiędzy drzew dobiegały nań szelesty, szmery i trzaski, głośniejsze z każdą sekundą. Tak nie hałasują rodowici mieszkańcy leśnego ostępu, lecz raczej ktoś niezbyt wprawny, kogo okoliczności zmusiły do przedzierania się w nieznane wąską, zwierzęcą ścieżką.

I rzeczywiście, już niebawem z zarośli tyleż wyszedł, co wypadł szczupły młodzieniec o kasztanowej sięgającej ramion czuprynie, cały lekko przykurzony i cicho sapiący z wysiłku. Korzystając z wolnej przestrzeni, wyprostował się, poprawił ubranie, po czym dotknął zapiaszczonym palcem świeżego zadrapania na policzku i aż syknął z bólu. Pot spływał mu z czoła, zostawiając bruzdy w smugach brudu zalegających na twarzy. Tego zobaczyć nie mógł, ale umorusane ręce już owszem, i pewnie z tego względu od razu skierował kroki w kierunku jeziora.

Podchodził doń od północy, gdzie dalece mniej było nadwodnej flory, ale za to z brzegiem łączył się duży, stosunkowo płaski gład, tworzący naturalny pomost wysunięty ku centrum zbiornika. Postępując ostrożnie po suchej powierzchni skały, dotarł do jej krawędzi, gdzie opadł na kolana i zaczął powoli zmywać pył z rąk. Gdy były już czyste, wychylił się jeszcze bardziej i nabierając wody w dłonie, zajął się twarzą. Pochłonięty tą czynnością nie miał pojęcia, że ktoś mu się przygląda.

Skończywszy, przysiadł na piętach na skraju skały, wpatrując się półprzytomnie ze spuszczoną głową w oczy własnego odbicia w tafli jeziora, teraz już niezmaconego jego machinacjami. Napawał się ciszą, delikatnym wiosennym wiatrem, spokojem... Zmęczony uprzednim zmaganiem z chaszczami i wydarzeniami całego dnia poczuł, jak obraz z wolna mu się rozmazuje, a głowa opada coraz niżej i niżej. Byłby zasnął, gdyby nie przeszło go nagle, ale zupełnie rozsądne ułknięcie niepokoju – po ciemku na pewno nie trafi stąd do domu. Ta myśl pobudziła go do działania, postanowił więc dłużej nie mitrzyć i ruszać w drogę powrotną. Podparł się jedną dłonią, wysunął spod siebie nogi, gotowy wstać, unieść wzrok... i wtedy wrzasnął przerażony, rzucając się niezdarne w tył, ledwo unikając runięcia do wody. Kilka metrów na wprost od niego wystawała z jeziora ludzka głowa.

– Witaj. Wystraszyłeś się – bardziej stwierdziła, niż zapytała głowa głębokim, melodyjnym altem.

Chłopakowi z początku odjęło mowę, ale w końcu odnalazł język w gębie i wykrztusił:

– Pewno, że tak! Skąd miałem wiedzieć, że się tu kąpiesz... Dziewczęta z wioski nie chodzą tak daleko w las. Właściwie nikt nie chodzi, tylko ja. No i myśliwi. A ty mi na myśliwego nie wyglądasz. Poza tym jest jeszcze za zimno, żeby tak siedzieć w wodzie... nie marzniesz?

Głowa zbliżyła się nieznacznie, teraz ukazując ukryte wcześniej pod powierzchnią ramiona.

– Nie. I nie kąpię się. Mieszkam tu.

Młodzieniec rozejrzał się po polanie, ale nie dostrzegł żadnej chaty, szałas... nic.

– Gdzie „tu”? Sama w kniei? Nic nie wiem, żeby tu były jakieś wioski, ludzie...

– W jeziorze. I masz rację, jesteś tutaj jedynym człowiekiem.

Zamarł, łączył fakty. Kiedy rozwarł usta, by zapytać, odpowiedź padła sama:

– Jestem rusałka.

I rzeczywiście, połapał się, że od początku nie odrywa od niej wzroku nie tylko z zaskoczenia, ale i z zachwytu. Była piękniejsza niż jakokolwiek kobieta, jaką widział w życiu. Pełne wargi wykrzywił nieśmiały, zalotny uśmiech; duże orzechowe oczy spoglądały na niego z przyjaznym ciepłem i ciekawością, a lśniące kruczoczarne włosy przelewały się niemal wytworną kaskadą ponad jej prawym ramieniem, ginąc w wodzie.

Zdał sobie sprawę, że milczy, odchrząknął więc i zakołysał lekko głową na boki, by wyrwać się z otępienia, po czym rzekł niepewnie, bardziej chyba do siebie niż do niej:

– Rusałki wabią mężczyzn do wody, a potem ich mordują... tak ludzie gadają.

Uśmiechnęła się nieco szerzej.

– Nie wchodź więc do mojego jeziora, a wszystko będzie dobrze.

W zasadzie nie czuł już przed nią strachu, ale po tych słowach przesunął się nieco w tył po skale. Dopiero teraz poczuł ból w prawym przedramieniu i zdał sobie sprawę, że lekko krwawi – musiał je rozciąć, kiedy się przewrócił.

– Nie wchodziłem... i nie zamierzam. Ale myłem w nim ręce i twarz. Przepraszam. – odrzekł, zastanawiając się, jakiej oczekiwać reakcji.

– Nie szkodzi. Leśne zwierzęta też się w nim czasem myją albo piją z niego. Nie zrobiłeś nic złego.

Zakłopotany, znów nie wiedział, co powiedzieć. W jej spojrzeniu było coś takiego, że czuł się nagi, choć przecież z ich dwójki to właśnie on miał na sobie ubranie. Nie dowierzał, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeszcze rano najwyczejniej w świetle wstał z siennika, jak co dzień poszedł pracować do tartaku... a potem miał się widzieć z Jagną, ale nie przyszła. Znowu. Wściekł się i poszedł do lasu, żeby się zmęczyć, ochłonać... nie planował zabrać aż tak daleko, skoro chciał wrócić przed zmierzchem, ale...

– Muszę iść! – wykrzyknął nagle, spłoszony. – Zaraz będzie ciemno, a ja tak po prawdzie to nie wiem, gdzie jestem... wybacz!

W lekkiej panice zeskoczył ze skały na brzeg i spojrzał jeszcze raz na rusałkę.

– Nie obawiaj się. Wyjdź stąd północną stroną, tak jak przyszedłeś, a potem skieruj się bardziej na zachód. Trafisz. Jesteś bliżej, niż sądzisz.

Uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco, a on wydukał:

– Dzień... dziękuję!

I odszedł pośpiesznie, nie oglądając się za siebie. Nie widział więc, że istota patrzyła za nim, póki nie zniknęła między drzewami, po czym podpłynęła do głazu, przyłożyła dłoń do miejsca, które poplamiał krwią i zamarła, jakby w namyśle.

\* \* \*

Ciszę leśnej polany znów zakłócił trzask łamanych gałązek. Było kilka tygodni później, a wiosenne słońce stało obecnie w zenicie, emanując blaskiem i ciepłem, choć nie przygrzewając jeszcze tak jak w lecie. Chłopak wyłonił się ponownie spośród tych samych zarośli; tym razem nieco mniej brudny i zasapany. Począł z wolna zbliżać się do jeziora. Światło dnia odbijało się w wodzie, mrugając doń wesoło, a cała okolica była przyjemnie spokojna, wstąpił więc pewnie na skałę, jak uprzednio, i czekał. Miejsce wyglądało tak samo, więc to wszystko mu się przecież nie przyśniło. A zatem gdzie ona jest? Czyżby wychodziła tylko o zmierzchu?

– To ty. Wróciłeś.

Głos rozległ się gdzieś z lewej strony, a on aż podskoczył ze zdumienia, ale tym razem przynajmniej nie upadł. Szelest rozgarnianych roślin ściągnął jego wzrok ku wschodniemu brzegowi, gdzie dojrzał rusałkę kładącą się właśnie na brzuch w płytkiej wodzie, by już po chwili sunąć leniwie w jego kierunku.

– Witaj! Tak... cóż... zawędrowałem akurat w te strony i pomyślałem, że sprawdzę, czy...

– Czy jestem prawdziwa – tak jak uprzednio bardziej stwierdziła, niż spytała kobieta.

Chłopak zmieszał się.

– Wiesz, nie co dzień spotykam kogoś takiego jak ty.

– A ja nie co dzień spotykam... kogokolwiek.

Przestała płynąć i przysiadła na dnio pływaczki po lewej stronie głazu. Młodzian zawiesił spojrzenie na jej orzechowych oczach i zasepił się.

– Więc musisz się czuć samotna.

– Muszę?

– Ja bym się czuł – tu zawahał się, po czym dodał: – A właściwie to nawet i teraz tak się czuję.

Istota przekrzywiła głowę, patrząc na niego z zaciekawieniem.

– Mówiłeś, że mieszkasz w wiosce.

– Bo mieszkam. Ale nie trzeba być samemu, żeby się czuć samotnym.

– Wy, ludzie, jesteście dziwacznicy.

Westchnął. Jej ton głosu nie zdradzał niczego, więc nie miał pojęcia, czy się z niego natrząsa, czy może faktycznie nie rozumie, o co mu chodzi.

– To, że mieszkam z innymi, nie znaczy, że jestem z nimi blisko. To, że z nimi rozmawiam, nie znaczy, że mówię to, co chciałbym powiedzieć. Ani że im ufam. Po prostu żyjemy obok siebie. Czasami przy nich czuję się jeszcze gorzej, niż gdy jestem sam. Wtedy chodzę do lasu.

Unikał jej spojrzenia. Nie wiedział, czemu powiedział to wszystko głośno, i to komuś, kto nawet nie jest człowiekiem. A może właśnie dlatego było mu łatwiej?

– Czyli nie masz przyjaciół? – zapytała, podnosząc się z dna, by z wolna przepłynąć na głębszą wodę z przodu skały, mniej więcej w miejsce, gdzie widział ją za pierwszym razem.

– Aj, nie, to nie tak. To znaczy, są Maćko i Ziętek. I Siemko. Jest też Jagna. – Na myśl o niej żołądek skręcił mu się nieprzyjemnie. – Tyle że... ja zawsze trochę jestem piątym kołem u wozu. A teraz już w ogóle mają mnie za pomyłonego, bo nie wierzą, że cię widziałem. Niepotrzebnie cokolwiek im mówiłem...

Zakłopotał się i nachmurzył jeszcze bardziej. Zrobił z siebie głupca, a teraz też go z siebie robi, żaląc się rusałce jak ostatni dzieciak. Ona nic nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego tymi swoimi wielkimi brązowymi oczętami.

– Wybacz – odchrząknął. – A ty? Masz jakichś przyjaciół? Jeśli wolno mi spytać...

– Kiedyś miałam przyjaciela. A przynajmniej tak mi się wydawało – odparła zwięźle.

– Ale nie jesteś samotna?

– Nie.

Przypuszczał, że kłamie. Jednak nie znał się na rusałkach, a nie czuł się przy niej na tyle pewnie, by drażnić temat. Zastanawiał się, co dalej powiedzieć, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Więc po prostu siedział i patrzył za nią, gdy tak przepływała powoli wzdłuż skały, z lewa na prawo, potem z prawa na lewo, i znów.

W końcu zatrzymała się w miejscu i sięgnęła powoli ku skroni. Jednym szybkim ruchem długiego, ostrego jak brzytwa paznokcia – do tej pory nawet nie zauważył, że takie ma – odcięła sobie spory pukiel kruczoczarnych włosów. Zbliżyła się do skały i wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Proszę.

Chłopak spojrział na nią pytająco.

– Żebyś o mnie pamiętał i już nie sprawdzał, czy byłam prawdziwa. I możesz je pokazać tym innym ludziom, żeby ci uwierzyli.

– Och. Naprawdę... nie musisz...

– Ale chcę. Proszę.

Podniósł się z głazu, lecz przed podejściem bliżej krawędzi zawahał się. Nie umknęło to uwadze kobiety.

– Bierz. Obiecuję, że nie wciągnę cię do wody i nie pożrę. Przynajmniej nie tym razem – dodała, uśmiechając się figlarnie.

Zarumienił się i pośpiesznie przyjął podarek.

– Dziękuję. Ale...

Nie zdążył już powiedzieć nic więcej, bo jego rozmówczyni odepchnęła się od skały i zanurzyła pod wodę, wołając tylko na odchodne:

– Przyjdź jeszcze kiedyś!

\* \* \*

– Więc jak to jest, nie masz żadnej rodziny?

Chłopak znów siedział na skale i rozmawiał z wodną niewiastą.

– Nie – odrzekła, przyglądając się uważnie, która przysiadła jej na dłoni. – Nie mam. Jestem tu, odkąd jest tu jezioro, bo łączy mnie z nim więź. Nie rodziłam się w taki sposób jak wy, ludzie, więc i nie mam rodziców. I chociaż inne rusałki są chyba w jakimś sensie moimi siostrami, żadnej nigdy nie spotkałam.

– Bo nie możesz wychodzić na brzeg, prawda?

Skinęła głową.

– Nawet na chwilę?

– Nawet. Muszę w każdym momencie dotykać wód zbiornika, który mnie zrodził.

– A co by się stało? Umarłabyś?

Nie odpowiedziała. Jego ciekawość jednak nie zmalala ani odrobinę.

– Dobrze więc, a co robisz w zimie? Takie małe akweny skuwa chyba lód?

– Skuwa. Zimą opadam na dno. Zasypiam i śnię o wiośnie.

– I skąd wiesz, kiedy się obudzić? Czy to tak, jak z niedźwiedziami, które...

Kobieta niespodziewanie zacisnęła pięść, plosząc ważkę ze swych palców i posłała mu gniewne spojrzenie.

– I tyleż we mnie widzisz? Niedźwiedzia? Intrygującą leśną bestię?

– Nie! Skąd...! Czemu tak mówisz? Ja naprawdę nie chciałem... ja tylko... – dukał nieporadnie młodzian, przerażony, że sprawił jej przykrość.

Prychnęła i cofnęła się o kilka kroków, jakby miała zamiar zanurzyć się pod wodę i odejść. Ale popatrzyła na niego i ostatecznie srogi grymas na jej nadobnym licu złagodniał, a zastąpił go... smutek.

– Mówiłam ci, że miałam kiedyś przyjaciela, prawda? – zaczęła, a on natychmiast zamilkł.

– Dawno temu zbłądził tu pewien bard – ciągnęła – uciekał przed zbójcami; zgubił drogę. Trafiał tu, na polanę, i spotkał mnie, tak jak i ty mnie spotkałeś. Nie mógł oderwać ode mnie wzroku. Powtarzał, jaka jestem piękna i że nie wierzy we własne szczęście, iż poznał najprawdziwszą w świecie rusałkę. Siedział na brzegu do zmierzchu, czarował rozmową, żonglował nawet kamykami, żeby mnie rozbawić.

Zasepiła się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, a jej spojrzenie błędziło gdzieś ponad ramieniem chłopaka, jakby mogła tam dostrzec dni minione.

– Wracał potem jeszcze wiele razy. Opowiadał o życiu poza puszcza, ale przede wszystkim wypytywał. O wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Mówił, że jestem jego muzą i że ze mną u boku napisze najwspanialszą balladę o wodnych niewiastach, jaką słyszał świat. Bo tylko on jeden będzie śpiewał prawdę.

Młodzian siedział bez ruchu na skale i słuchał. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wyczuwał w jej głosie ból.

– Przyzwyczaiłam się do jego obecności. Czułam się ważna. W końcu tak się mną interesował, tyle się starał, żeby umilić mi czas. A skoro mogłam się odwzajemnić moimi odpowiedziami, to cóż w tym złego? Ale potem pytania już mu nie wystarczały... – teraz jej twarz pokryła się delikatnym rumieńcem – chciał, żebym wyszła dla niego na płycznę i...

pokazała się... w całości. Naszkicował mnie, twierdził, że... że opisy będą bardziej... plastyczne. A potem zaczął mnie namawiać, żebym wyszła na brzeg. Mówiłam mu, że nie mogę... po prostu nie mogę... ale on zaczął się wściekać i... i...

Łkała. On gapił się na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Chciał ją przytulić, ale była daleko, z wody wystawała tylko głowa.

– Nigdy go nie obchodziłam. Byłam tylko dziwem, dobrym tematem – mówiła powoli, pociągając nosem. – I pewnie wywłóklby mnie z jeziora nawet siłą, gdyby wierzył, że to jakoś ulepszy jego dzieło. Widział we mnie tylko rusałkę. Przychodził tygodniami, a nie spytał nawet, jak się nazywam. Jakby nie przeszło mu przez myśl, że mogę mieć jakieś imię...

– Tak mi przykro... – rzekł ostrożnie chłopak. – Ludzie bywają naprawdę podli. Nie zasłużyłaś sobie na to. Nikogo nie powinno się tak traktować. A już na pewno nie kogoś takiego jak ty...

Powoli przestawała płakać. Obróciła się do niego plecami, by nie widział łez, ale oddech wciąż miała niespokojny. Nie był pewny, czy wypada o to teraz pytać, ale ciekawość jednak zwyciężyła.

– I co się z nim w końcu stało?

Pytanie zawisło w powietrzu. Cisza przedłużała się, przerywana jedynie coraz rzadszymi odgłosami pociągania nosem. W końcu odpowiedziała, choć nadal nie odwracając się w jego stronę:

– Nic. Odszedł ze swoim notatnikiem, swoją lutnią i wiekopomną balladą. A ja zostałam tutaj, z jeziorem i wspomnieniami.

– To okropne. Czy mogę... cokolwiek dla ciebie zrobić?

– Tak. Nie pytaj mnie więcej o samotność. Czasami lepiej jest być samą i nie ma w tym niczego złego. Nie mam przyjaciół, tylko jezioro, zwierzęta i las, i żyje mi się świetnie! I ty też nie powinienes się do mnie zbliżać.

– Ja jestem twoim przyjacielem. I nigdy cię tak nie potraktuję.

Milczała. Zrozumiał, że chce zostać sama. Wstał więc ze skały i zaczął odchodzić. Po chwili jednak odwrócił się i zapytał:

– Jak masz na imię?

– A co ci do tego? – warknęła.

– Nie chcę, żebyś była dla mnie „tylko rusałką”.

Nie odpowiadała. Nie pozostało mu więc nic innego, jak odejść. Postąpił kilka kolejnych kroków, i wtem usłyszał za sobą cichutki głos:

– Jestem Milena.

\* \* \*

Była pełnia, księżyc stał wysoko na niebie, oświetlając polanę srebrzystym blaskiem. Ciepła letnia noc rozbrzmiewała miarowymi odgłosami uspiętego lasu. Rusałka leżała na wznak na wodzie, rozkoszując się pięknem swojego małego królestwa. Nie spodziewała się tej nocy żadnych odwiedzin. A już na pewno nie takich.

Chłopak wypadł spomiędzy drzew i niemal wbiegł na swoje zwyczajowe miejsce na głazie. Milena ledwie zdążyła zareagować i ukryć swe nagie kształty pod wodą, wynurzając jedynie głowę i ramiona, jak zawsze.

– Co się stało? – spytała, widząc w świetle księżyca, że twarz przybysza jest złana potem, który miesza się ze łzami.

– Wszystko! Wszystko się, do diabła, stało! Wszystko się wali, czego się nie dotknę! – wykrzykiwał, tłukąc przy tym pięścią o skałę. – Jak oni mogli?! Co ja im takiego zrobiłem?!

Kobieta czekała cierpliwie, aż się uspokoi. Powoli przestał okładać kamień, a wściekłe dyszenie przeszło w bardziej wyrównany oddech.

– Przepraszam. Nie powinienem tu tak wpadać i wrzeszczeć. Nie mogłem spać, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, dokąd pójść. Jagna ma innego. Pamiętasz Jagnę? – Milena skinęła głową. – Miałem się jej oświadczyć. Nawet jej rodzina już się zgodziła. A ta ma innego. I to nie jakiegoś obcego, tylko Ziętka. I to od dawna, od wiosny. Oboje wiedzieli przez cały ten czas i śmiali mi się w twarz. W ogóle wszyscy chyba wiedzieli, tylko nie ja. Czuję, że coś jest nie tak, ale przecież... przecież...

Patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną, a gdy głos zaczął mu się rwać, powiedziała tylko:

– Przykro mi.

– Przyłapałem ich wieczorem w stodole. A ona co? Wiesz, co mi powiedziała? Że nie będzie się ośmieszać, wychodząc za takiego kiepa jak ja, który tyle siedzi w lesie, że postradał tam rozum i teraz łązi po wiosce, gada, jak to jest z rusałką w komitywie i na dowód pokazuje ludziom włosie z końskiego zadu.

– Z zadu?

– Konkretnie z ogona. Prawda, że jakoś tak zeszywniały i trochę blask straciły, spójrz – pogmerała za pazuchą i wyciągnął zeń metalową obręcz, na której zawiązał pukiel.

– Och. To chyba przez brak wody z jeziora. Nie wiedziałam, że tak się stanie, wybac. Daj je. – Zabrała od niego ten osobliwy talizman i zanurzyła końcówki włosów w wodzie. Te na ich oczach na powrót nabrały dawnego blasku i miękkości.

– Zwróciła mu własność, a on wymamrotał:

– Nie masz za co mnie przepraszać.

– Czyli nikt ci nie uwierzył? – podjęła poprzedni temat.

– Większość nie. Na pewno nikt z moich tak zwanych przyjaciół. Tylko dzieciaki i kilka starszych osób. A ci drudzy twierdzą, że z ciebie jest potwór i demonica, i że cud to, że jeszcze żyw. Zabraniali mi tu przychodzić.

– Ale nie posłuchałeś.

– Oczywiście, że nie. Oni tylko powtarzają po starych baśniach i zabobonach. Nie znają cię tak jak ja.

Spojrzał na nią i zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie. Siedział na samym skraju skały, a ona stała tuż obok, zanurzona ledwo powyżej piersi. Błądził wzrokiem po jej gładkich ramionach, hebanowych włosach, pełnych wargach, aż w końcu zapatrzył się w najpiękniejsze orzechowe oczy, jakie widział w życiu.



Wtedy ona ujęła go delikatnie za rękę, błędząc kciukiem po wierzchu jego palców i knykciach, które stukł sobie przed chwilą o kamień. Jej dłoń była chłodna i nadzwyczaj delikatna, a przy tym zupełnie nie śliska, czego jakoś się spodziewał po wodnej istocie.

Siedzieli tak bez słów w świetle księżyca, ciesząc się tą odrobiną kontaktu fizycznego, jaka była im dana. Gdy młodzieńca opuścił w końcu stres ostatnich przeżyć, poczuł ogromne zmęczenie i powoli, mimowolnie osunął się do pozycji leżącej. Rusałka nie puszczała jego dłoni, dopóki nie zasnął. Kiedy to się stało, pogładziła go jeszcze lekko po włosach, zlizwała z kciuka krew startą z jego knykci i zanurzyła się w odmętach jeziora.

\* \* \*

Był sierpień. Chłopak odwiedzał Milenę najczęściej jak mógł, czyli co kilka dni, głównie w nocy, bo za dnia o tej porze roku było mnóstwo roboty. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, dużo się śmiali. Ona uczyła go o wodnych roślinach i zwierzętach, i dzieliła się przemyśleniami i spostrzeżeniami swojego nietypowego umysłu, a on opowiadał jej o swoim życiu w wiosce i zwyczajach ludzi, a któregoś razu przyniósł też sakiewkę starannie dobranych kamyków i pokazał jej, jak puszczać kaczki, żeby miała co ćwiczyć, kiedy go nie będzie.

Tej konkretnej nocy znów była pełnia. Skończyli właśnie rozprawiać o kwiecie paproci, który, jego zdaniem, mógł przecież być prawdziwy, skoro rusałki takie są. Korzystając ze świeżo zapadłej ciszy, Milena spytała:

- Mówiłeś, że chciałeś się oświadczyć tej Jagnie. Co to właściwie znaczy?

Młodzian skrzywił się na wspomnienie swojej niedawnej lubej, ale odpowiedział, w duchu niedowierzając, jak wiele jeszcze prostych spraw pozostaje dla wodnej boginki niejasnych:

- To znaczy, że chciałem jej zaproponować ślub. I małżeństwo.

Jej twarz jednak wciąż nie wyrażała zrozumienia.

- To taki rytuał i... jakby umowa. Że ślubujemy sobie dożywotnią miłość, w zdrowiu i w chorobie, i że będziemy razem żyć, mieszkać i tworzyć rodzinę. I nigdy się nawzajem nie opuścimy. To się przysięga przed Bogiem i ludźmi.

Rusałka zamyśliła się, gładząc go leniwie palcami po dłoni, jak miała ostatnio w zwyczaju. Milczała jakiś czas, ale potem spojrzała na niego z uwagą i powiedziała cicho:

- Uważam, że to bardzo piękne. Wiele rzeczy, o jakich mi opowiadasz, brzmi okropnie albo po prostu dziwacznie, przynajmniej dla mnie. Ale ta jest piękna. Móc powiedzieć wszystkim, że się kogoś kocha i wiedzieć, że ta osoba nigdy, przenigdy nas nie zostawi i nie skrzywdzi. To cudowne!

Chłopak popatrzył w jej oczy, teraz rozjarzone blaskiem niewinnego, naiwnego zachwyty. Rozwarł usta, by wyjaśnić, że przysięgają to też źli i podli ludzie, którzy potem łamią dane słowo albo latami dręczą współmałżonka, którego obiecali kochać... ale nie chciało mu to przejść przez gardło. Zamiast tego rzekł więc:

- Tak. To cudowna idea.

- I ty chciałeś to przysiąc Jagnie - ciągnęła kobieta - ale nie zrobiłeś tego.

– Jasne, że nie. Nie po tym, co się stało.

– To smutne, stracić okazję do czegoś tak wspaniałego.

Wzruszył ramionami.

– Niczego nie straciłem; ona mnie nie kochała. Teraz wiem, że moja droga prowadzi ku innej, a okazja... może jeszcze się znajdzie.

Rusalka puściła jego dłoń i cofnęła się nieco dalej w głąb jeziora. Spojrzała na nią pytająco.

– Jest coś, czego chciałabym spróbować.

Teraz to na jego twarzy znać było wyraz niezrozumienia. Ona nie powiedziała już nic więcej, tylko zaczęła powoli stąpać w kierunku brzegu, kierując się wzdłuż skały. Patrzył, jak woda odsłania jej ramiona, potem obojczyki, schodzi poniżej pach, z ledwością już zakrywa piersi...

– Nie musisz tego robić. Ja... nie jestem taki, jak...

– Wiem, że nie jesteś. I właśnie dlatego chcę.

Nie zwalniała kroku. Nocne powietrze omiało już wszystko powyżej pępka... a przynajmniej miejsca, w którym u człowieka znajdowałby się pępek. Chłopak podziwiał ją, oniemiała, więc to ona przerwała ciszę:

– Zostajesz w tyle. Ściągnij koszulę.

Zrobił, jak kazała. Gdy jej wzrok zaczął błędzić po jego wyrobionych pracą w tartaku ramionach i torsie, wykrztusił:

– Ale mówiłaś, że mam nie wchodzić do wody. A ty nie możesz wyjść na brzeg ani na skałę. Więc jak...

– Och, nie musisz mnie dotykać – zamruczała, uśmiechając się drapieźnie. – Wystarczy przecież, że się widzimy, czyż nie? – Dłonią ścisnęła krągłą pierś, a potem rozkosznie powoli zaczęła sunąć w dół po gładkiej skórze. – Tak też może być... przyjemnie.

Teraz to ona nie spuszczała wzroku z niego, a w jej ślicznych brązowych oczach błyszczał głód, od którego aż przeszły go ciarki.

\* \* \*

Była sama, młodzieniec dopiero co wyruszył w drogę powrotną do wioski. Przeciągnęła się z wolna. Ach, brakowało jej tego. Ostatni raz był... cóż, dawno temu. Zaczęła o nim rozmyślać. I im dłużej tak myślała, tym silniejszej nabrała ochoty, by odświeżyć sobie pewną pamiątkę.

Z gracją położyła się na wodzie i popłynęła w kierunku oczeretu zarastającego wschodni brzeg. Przecisnęła się sobie tylko znanym przejściem pomiędzy roślinami i odszukała skrytkę, zbudowaną pieczołowicie z patyków i płaskich kamieni. Wyciągnęła ostrożnie z lekka już poplamiony wodą notatnik. Nie potrafiła czytać, więc strony ze spisanyimi informacjami i próbnymi strofami przerzucała bez zainteresowania. Aż w końcu znalazła szkice przedstawiające ją samą. Tak, rzeczywiście prezentowała się na nich urzekająco. Jak miło było wiedzieć, że od tamtej pory nie straciła ani odrobiny wdzięku...

\* \* \*

Zaczęła się jesień, a oni korzystali z ostatnich ciepłych nocy tego roku. Chłopak leżał na plecach na skale, patrząc w gwiazdy, a rusalka robiła to samo, unosząc się tuż obok na powierzchni jeziora. Już od jakiegoś czasu nie przejmowała się tym, czy woda zakrywa jej ciało przed jego wzrokiem. Trzymali się za ręce i rozmawiali.

– ...i dlatego myślę, że mógłbym zbudować tu chatę. Umiem się obchodzić z drewnem, w końcu robię w tartaku, a jak się jeszcze trochę poduczę u cieśli, to przed zimą postawię tutaj coś, w czym będzie można zamieszkać. Drogę do wioski znam już na pamięć, więc nie zajmuje mi aż tyle czasu, co na początku, wciąż będę mógł tam pracować. Ale za to będziemy się widywać codziennie, a ja nie będę spał na kamieniu – zaśmiał się, pochłonięty tą optymistyczną wizją.

Milena słuchała i gładziła go kciukiem po dłoni.

– Zamieszkaż tutaj, przy mnie? Zamiast z innymi ludźmi? – upewniła się.

– Tak. Przecież wiesz, co myślą o mnie w wiosce. A ja to samo myślę o nich. To znaczy, mam ich powyżej uszu. A ty mnie rozumiesz i zawsze cieszysz się na mój widok... nie tak jak inni. Najpiękniejsze chwile spędziłem z tobą, mimo że znamy się tylko pół roku. Wiem, czego chcę.

– Czy na pewno?

Zdziwiły go jej słowa. Sądził, że się ucieszy. Przetoczył się na brzuch, by na nią spojrzeć.

– O co chodzi?

Nie patrzyła na niego, wciąż wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo.

– Powinieneś być szczęśliwy. Ślubować jakiejś kobiecie z wioski. W pełni ludzkiej kobiecie. A ty chcesz zostawić wszystko za sobą i przenieść się tutaj, do lasu.

– Nie do lasu, tylko do ciebie. Z tobą jestem szczęśliwy.

Oderwała wreszcie wzrok od gwiazd, opadła nogami w wodę, zmieniając pozycję na pionową i spojrzała na niego z irytacją.

– Nie rozumiesz! Ja nie jestem wcale piękna... pod powierzchnią. Nie jestem...

– Nie, nie rozumiem. Jesteś cudowna, a ja niczego bardziej nie pragnę niż być przy tobie.

On leżał na brzuchu na skale, ona stała w jeziorze zanurzona po pachy. Ich twarze dzieliły centymetry. Patrzył w jej nieziemskie orzechowe oczy i jak zawsze dostrzegał w nich żar uczuć, jakich nie widział nigdy u żadnej innej kobiety. Ona uśmiechnęła się nieśmiało, smutno i spytała:

– A zatem jesteś pewien?

– Jestem. Jak niczego na świecie.

– Pocałuj mnie.

Wychylił się ponad skałę; ich usta po raz pierwszy połączył pocałunek. Wszystko inne zniknęło. Czuł tylko jej miękkie wargi, zwinnie język, chłód skóry. Tonął w tych doznaniach, jak wcześniej w jej oczach. Wtedy zadziornie przygryzła mu dolną wargę, leciutko ją rozcinając. Oszołomiony radością miał ochotę zachichotać, gdy nagle... zawył z bólu. Ugryzła go jeszcze raz, ale tym razem mocno, z całej siły. Poczul, jak usta zalewa mu krew. Próbował się wyszarpnąć, ale wciąż trzymała go zębami. Jęknął i raz jeszcze pociągnął w tył; puściła.

- Co...?

Zdażył jedynie zarejestrować, że Milena łapczywie zlizuje sobie krew z podbródka, nim chwyciła go dłonią za potylicę i ze zdumiewającą siłą trzasnęła jego twarzą o skałę, na której leżał. Poczul, jak pęka mu nos, a kilka przednich zębów wyłamuje się do środka. Nie puściła go, dłoń zaciskała się teraz na jego włosach. Niczego nie rozumiał.

- Dla... czego...?

- Bo taka już moja natura - odparła.

Kolejny raz uderzyła jego głową o kamień. Teraz pękł mu łuk brwiowy; krew lała się prosto w lewe oko. Prawym widział nieostro, a w uszach mu dzwoniło. Mimo to spróbował przemówić:

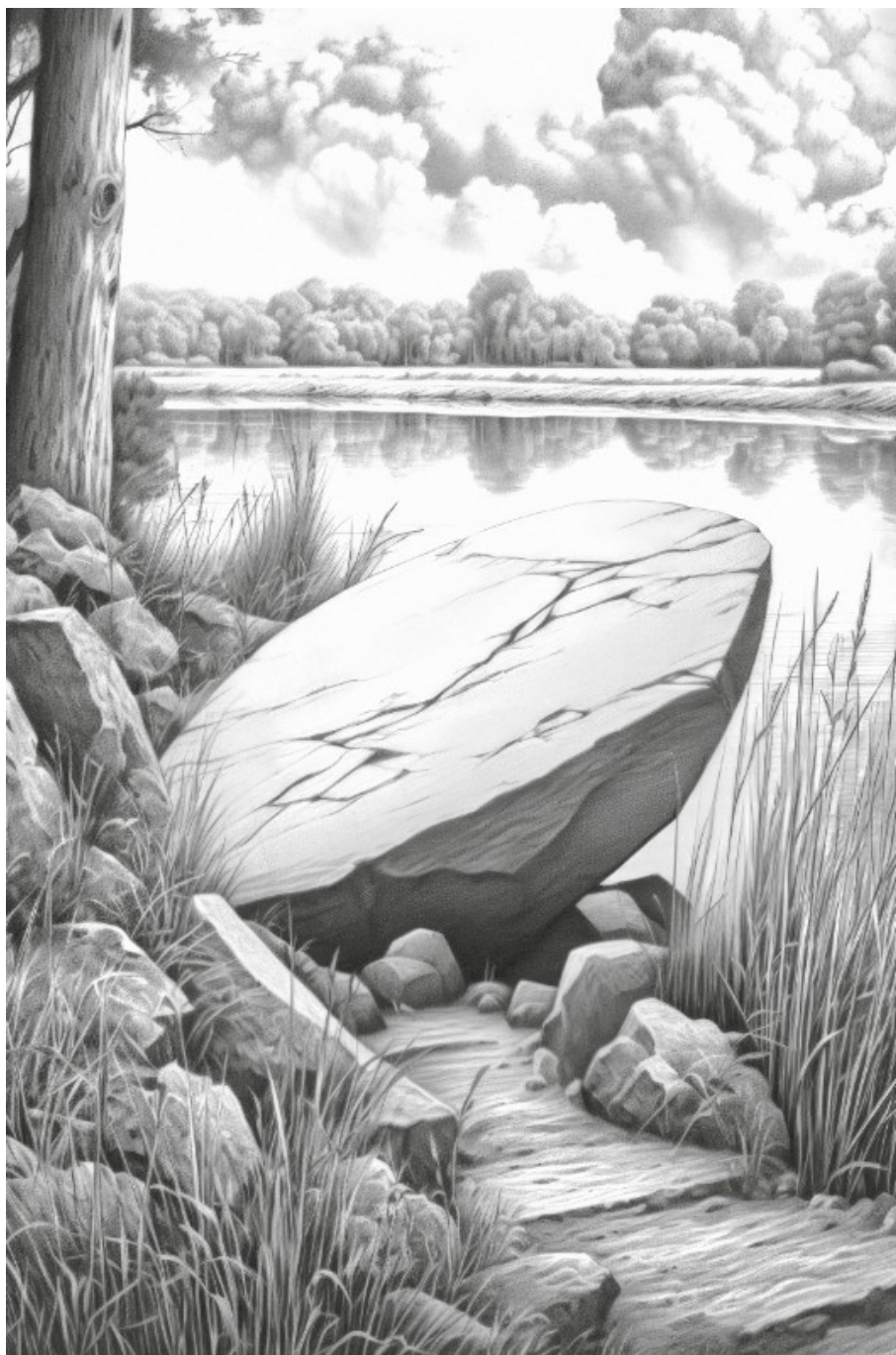
- Ale ja... ja cię...

- Wiem - odpowiedziała niemal łagodnie. - Wiem, że mnie kochasz. Czuję to od dawna. Nie musisz nic mówić. Byłeś wspaniały. I dziękuję ci.

Pochyliła się i pocałowała go miękko w pokrwawiony, rozdarty policzek.

- Mówiłam, żebyś się do mnie nie zbliżał. Wszyscy mówili. A ty nie słuchałeś. Pokochałeś mnie. Wybrałeś mnie. A teraz wiesz, jaki to był wybór. Wiesz, jaka jestem pod powierzchnią.

Po tych słowach zanurzyła się i po raz pierwszy zobaczył ją pod wodą. Czarne, bezlitosne ślepie. Ostre igły zamiast zębów. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy pociągnęła go za sobą i błyskawicznie wgrzyła się w odsłoniętą szyję.



## KRZYSZTOF DZIENISZEWSKI



Urodzony 24 listopada 1994 roku w Warszawie. Z literaturą związany od dziecka, najpierw jako czytelnik, później badacz na potrzeby szkolno-akademickie, a obecnie autor i recenzent. Od 2019 roku współpracuje z portalem Ostatnia Tawerna, początkowo jako redaktor i korektor, później w roli redaktora prowadzącego. W 2020 roku został laureatem I edycji konkursu TwórcyTwórców oraz aktywnym członkiem grupy literackiej o tej samej nazwie. Rok 2022 to początek publikacji tekstów w takich antologiach jak „Tryzna” czy „Rubieże Rzeczywistości” (tom 4); kilka kolejnych zbiorów znajduje się w przygotowaniu.

Z wykształcenia magister filologii języka fińskiego, akademicko zainteresowany początkami literatury fińskiej oraz oddziaływaniem na nią mitów i mitologii europejskich. Zawodowo był już korepetytorem, korektorem, tłumaczem, handlowcem i analitykiem danych, by obecnie zostać częścią zespołu odpowiedzialnego za tzw. *quality assurance* w jednej z korporacji związanych z IT.

**Silke Brandt - Czarnobóg, pan lodowego  
miasta**



SILKE BRANDT

**CZARNOBÓG, PAN LODOWEGO MIASTA**

- IV -



Z naszej łodzi cumującej w przystani Dudinka widzimy bielący się, węzowy zarys Ambarnai pełznący ku szczytom gór; jej zamrożone wody z rzadka tną lodolamacze z napędem jądrowym. Latem rzeka spływa czerwienią od diesla i rdzy, lecz obecnie otacza nas lód. Dla Kronosa to bez znaczenia: stara pogłębiarka nasiębierna nie pali się, by stawić czoła nurtowi i ruszyć ku Norylskowi i kopalniom rudy w Tałnachu, gdzie chemikalia wyżarıby jej niebieskie poszycie.

Kronos jest mi domem od niezliczonych lat. Łajba to zabytek na tle tankowców Dudinki, których czerwone dzioby potrafią przemierzać zamrożone wody nie gorzej od łamaczy lodu. My nie ruszymy się nigdzie, póki nie nadejdzie lato. Piękny statek przekopywał niegdyś dno Ambarnai, lecz jego możliwości dawno odeszły do lamusa dzięki wprowadzeniu nieporównywalnie potężniejszych maszyn.

\* \* \*

Z kwatery w ładowni wspinam się na pokład, gdzie metal zdaje się chłodniejszy od powietrza. Oddech nie zamienia się w parę przed twarzą – umarłem na długo przed Kronosem, lecz czas płynie dalej, nie oglądając się na moją egzystencję. Zupełnie jakby śmierć go pokonała i zabrała mnie ze sobą w podróż do wieczności. Podczas gdy mój biały brat rozmył się w nicości, zaniedbany i porzucony, mnie udało się dostosować do nowych warunków. Piece hutnicze dostarczają mi ciepłoty, kominy wydychają dwutlenek siarki z mych płuc. Czarne wiosenne śniegi – skondensowane zanieczyszczenia z całego roku – chłodzą mój zapał. Przesycona olejami Ambarnaja to moja krew. Stulecia temu siedziałem rozkraczony na wielkich gmachach bloków, zanurzając szpony w tym ich betonie. W uliczkach polowałem na mieszkańców, śląc morze płomieni, by pożreć tych, którzy nie uciekali dostatecznie szybko. Teraz, podobnie jak moja krypa, jestem wrakiem i nikt nie przychodzi złożyć mi ofiary. Miast tego kierują swe modły do rafinerii, pieców i kopalni Tałnachu, w mętnej nadziei na przyszłość.

Długim krokiem przekraczam reling i ruszam ku Norylskowi.

\* \* \*

Podmuch wiatru zmiata śnieżny puch z dachów i rozmigotana mgiełka na mgnienie oka unicestwia budynek. Mój cel to Sewastopolskaja 17, blok mieszkalny rozczłonkowany na trzy części. Pęknięcia utworzyły trójkąt – jak gdyby ktoś złożył na powrót podartą fotografię, nie dbając o dopasowanie krawędzi. Władze ogłosiły, że przyczyną zniszczeń była topniejąca zmarzlina, lecz powszechnie uważa się, iż za katastrofę odpowiada podziemne zapadlisko; że kopalnie Tałnachu sięgnęły zbyt głęboko i podwaliny miasta chyły się coraz bardziej ku okolonemu terasami kraterowi. Podczas gdy główny budynek nie jest już dostępny, we wschodnim skrzydle pomieszkują kilkoro żywych trupów, śniących zwłok. Benzyna, siarka i płyn do zapalniczek rozpalają ich żyły. W połowie schodów wita mnie woń *krokodilu*. Do lokalu 489 wiodą oliwkowe drzwi, które permanentnie stoją otworem. Dzwonek – popsuty. Wkraczam do rześcisie oświetlonego pokoju. Mara wyleguje się na sofie, zatracona w snach. Oto ma wyrocznia dostrojona jedynie do przeszłości. Przyszłość nie wymaga przepowiedni – przyszłością jest Norylsk, jego żrące etery, rzeczułki paliwa i tunele sięgające trzewi planety.

– Mara – zagaduję, przykucając obok i chwytając ją za ramię. – Zbudź się. Znów śniłem o żeglowaniu łodzią.

Niechętnie wynurza się ze schronienia, jakie zapewnił jej umysł. Mimo to wita mnie z uśmiechem.

– Czyś ty jest posłańcem? – pyta. – Przynosisz mi podarek?

– Wszystko na srebrnej tacy – odpowiadam. – I więcej. Ruszymy odkrywać świat, ty i ja. Zobaczymy magiczne miejsca.

Mara uśmiecha się i kuśtyka do kredensu, gdzie czeka kuchenka elektryczna, garnek i rozliczne sита. Patrzą, jak wygotowuje miodowozłoty płyn ze składników, które przyniosłem. Dopiero gdy przesącza dezomorfinę zwaną *krokodilem*, przez filtr do kawy dwukrotnie, powstrzymuję jej zbrojną w strzykawkę dłoń.

– Coś wyjątkowego – wyjaśniam. – Z ukłonami od Mateczki Ziemi. Pamiątka z najgłębszych głębin Tałnachu. Zabierze nas prosto pod powierzchnię.

Wyciągam z kieszeni myśliwski nożyk i kawałek antracytu. Zeskrobuje nieco pylistej substancji. Opada poprzez bursztynową toń na dno szklanki. Mieszam ostrzem.

Mara wciąga miksturę do strzykawki. Chwilę później narkotyk parzy nam arterie, a ona zaczyna odpływać. Uderzam ją z płaskiej w oba policzki.

– Hej! Sen... Mów!

Kaszle. Oczy czarne jak smoła trzyma półzamknięte; wąty głos dobywa się z gardła, niby szept spod ziemi:

– Rzeka spłynie czerwienią i wszelkie stworzenie padnie pokotem – mruczy Mara.

– Powtarzasz się – mówię. – Powiedz mi coś, czego nie słyszałem w zeszłym roku. Podążaj za węglem w otchłanie.

Przewraca gałami, ukazując białka. Jej słabe, mokre paluchy zaciskają się na moim nadgarstku.

– To miasto wzniesiono na kościach – kontynuuje. – Każdy, który omdlał, wepchnięty został do dołu wykopanego pod fundamenty, zasypany ziemią, zalany betonem. Gdy puściła zmarzlina, gnaty wydostały się na wierzch. Dlatego pękły ściany wokół nas. Słyszałam krzyki i zawożenia dusz, nawet na dachu.

– Znowu wspięłaś się na dach? – pytam. – Nie opuszczaj mnie jeszcze. Tyle cudów do zobaczenia. Razem. Potrzebuję przewodniczki.

– Cóż to za bóg, który nie radzi sobie bez przewodniczki? – odparowuje Mara. Nie czeka na odpowiedź. – Przed betonem istniało wyłącznie drewno – podejmuje. – Z początku las, co oczywiste, lecz wkrótce: osada z bali. Kaplica nadal wieńczy koniec głównej drogi. Smutna wydmuszka. Odwiedź ją, śmiało. Wiesz, że nikt się już tam nie modli.

– Do mnie się modlą – oznajmiłem urażony. – Schodzą pod ziemię i przewalają czarny grunt. Ich rafinerie zioną ogniem, piece przysmażają zbrocza gór, a wypalona kwasem tundra stała się połącią martwoty. Czegóż więcej pragnąć?

– Ależ oni nie myślą o tobie. Nie dbają o to, czy egzystujesz, czy nie. Nikt nie zachodzi na twą konającą łajbę i nie składa ofiar.

– Na co mi oni? Sam poluję na ofiary. – Po raz pierwszy ją okłamałem. Krzywy uśmieszek Mary podpowiada mi, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Z glutów osiadłych na filtrze do kawy smakuję nieco trutki. Antracyt rozpała me tęczęwki bladą tęczę w odcieniach szarości.

– Śniłem o tym, że opuściłem miasto – przyznaję. – Choć nie było dokąd. Kronos pełzi poprzez zmarzniętą gęstwinę tuż za kilwaterem lodołamacza, telepiąc się i jęcząc. Kry dźwięczały i łamały się o dziób. Kolebaliśmy się w górę i w dół jak podczas sztormu. Kiedy zniknął lodołamacz, wokół nas rozciągała się zamrożona pustynia. Prowadził nas jedynie duch Deepwater Horizon. Mojej płomiennej latarni, gdzie próżno szukać azylu.

– Przestań nawiedzać kopalnie – mamrocze na wpół przytomna. – Przestań gapić się na huty wypalające dziury w ziemi. Spytaj drewno, co ma ci do powiedzenia.

– Nonsens – odpowiadam. – Drewno ze mną nie rozmawia. Ani mnie nie karmi.

– Opuścisz królestwo czarnych wieżyc, gdy nadejdzie lato. Wówczas mnie nie będzie. – Mara podwija nogawkę, by obnażyć spurpurowiałe ciało, bezkrwiste i luskowate w miejscach, gdzie spękała skóra. – To nie koniec.

Rękawy idą w górę; ramię podsuwa się do światła. Dopiero teraz czuję zgniliznę ponad wzywami diesla. Wewnątrz jasnoróżowych strzępków mięsa wyraźnie zarysowują się kość strzałkowa i łokciowa. Posoka wyschła. Nic więcej tamtędy nie popłynie.

Chwytam ją za dłoń, jakbym chciał ją ogrzać.

– Czy widziałaś szarą tęczę? – dociekam.

Potrząsa głową, zamknąwszy oczy.

– Przyniosłem ci coś jeszcze – oświadczam jej odległemu obliczu. Następnie zagotowuję nowy koktajl. Zamiast siarki dodaję nikiel i kobalt. Przesączam bulgoczący płyn trzykrotnie. Bursztynowa barwa ciemnieje. Nie czekając, aż wywar ostygnie, wstrzykuję jej narkotyk, po czym połykam resztę. Mara stęka, wcale nie bez przyjemności. W moich snach błąkam się poprzez opuszczone blokowiska, wzieram z wyłamanych okien. Wichry oblegają mi skronie poświstem. Krocę ulicami, które zaścielają zdezelowane auta, przerdzewiałe puszki i zamarznięte ciała. Ich członki odłamują się, gdy przypadkiem trącam je nogą. Drogi wiodą mnie ku górcom Tałnachu. Szczyty kryją się za czterema czerwono-białymi kominami, które smużą się jak kadzidło sinymi wstęgami chemikaliów. Kieruję się na wschód, gdzie śnieg znaczą strugi czerni, gdzie szkielety drzew wyciągają gałęzie ku niebu. Zanieczyszczenia wypaliły stąd życie. Kopalnia odkrywkowa wyrwała w ładzie krater. To tu ciężarówka zwałają z powrotem to, co odebrały maszyny – tyle że toksyczne; zasoby naturalne przemienione w truciznę, której przyroda nie przetrawi, aby przetrwać.

\* \* \*

Małeńka kaplica – zaledwie blokhauz z wieżyczką – sterczy opuszczona na końcu ścieżki. Wącham jej ściany. Na chwilę woń zeschniętej smoły zwycięża nad siarkowym odorem rafinerii. Odłamuję nożem drzazgę, chwytam mocno i wciskam sobie w przedramię. Szpic przebija skórę. Krew wypływa i zamarza w jasnoczerwone jagody, nim opadnie na ziemię. Zwiększając nacisk, wykrawam słowo DRUDKH. Memento tego, co istniało niegdyś i co umarło dawno temu.

Chłód wślizguje się ranami do mojego krwiobiegu. Potykam się o śpiących i o powykęcane szyny obnażone przez okrutną zawieję. Śmiertelne torowisko wiedzie mnie ku Ambarnai, w głębokie zasy, wreszcie – na powierzchnię zamrażającej rzeki zdążającej ku przystani Dudinka. Igiełki bólu klują; próchno wypuszcza truciznę, a drewno zasysa energię z mej krwi i oddaje wspomnienia, zachowując się jak inny, bardziej naturalny narkotyk. Korzenie wijące się w glebie, żywica zatykająca naczynia włosowate... a potem siekiery. Długa, powolna śmierć w służbie kolejnego zapomnianego bóstwa.

Porzucając za sobą lunę rafinerii i skłębione wyziewy, zmierzam ku niebu pełnemu gwiazd i skutemu lodem horyzontowi.

\* \* \*

Dumny, ścięty dziób Kronosa odcina się na tle lodu, rura odpływowa dźga ku górze niby złamany bukszpryt, a lekkie maszty rozmywają się w nocy. Wspinam się na pokład i opadam na fordek. Lodowaty metal wgrzyza mi się w plecy.

W moich snach ponad Kronosem łopocze pełne ożaglowanie. Zielone morze obmywa burty, przód nurkuje w kipieli, tak głęboko, że nawigacyjne światła zanurzają się w wodzie. W tych momentach ton wygląda jak szkło; to jest, zanim znów spowiją ją ciemności, gdy cofną się fale. Obawiam się, że łajba zejdzie z kursu, że ster wyfrunie mi z dłoni, kiedy zepchnie nas do boku. Stałowe poszycie odpowiada wibracją na zew szerokich wód. Skwir sztormu w olinowaniu staje się nieustannym, obłąkańczym zawrotem głowy, które wpędza mnie w dezorientację, chaos, aż pozostaje już tylko zawierzyć busoli. Burzowe podmuchy pchają nas w nieznaną. Kronos tańczy na bałwanach, ślizga się po nich, tnie. Staram się kierować nas centralnie na północ, przez połacie mroku ku dryfującemu lodowi, skąd ognie płonącej latarni nawołują mnie, bym wracał do domu.

## Posłowie autorki

Norylsk to jedno z najbardziej wysuniętych na północ miast na Ziemi i przy okazji jedno z najbardziej zanieczyszczonych. Zimą temperatury spadają do  $-58^{\circ}\text{C}$ . Rafinerie, huty i kopalnie (nikiel, ruda, pallad, platyna, miedź, kobalt, węgiel) odpowiadają za toksyczność. Miasto wybudowali niewolnicy łagrów za czasów Stalina. Zmarło ich tam, szacunkowo, 150 tysięcy. W trakcie późniejszych wykopalisk odkryto pod miastem kości. Norylsk pozostaje zamknięty dla obcokrajowców.

Inspiracją dla tego opowiadania, w tym dla niektórych opisów w nim zawartych, był wiersz Georga Heyma „Bóg miasta” z 1910 roku [Polską wersję wiersza, w tłumaczeniu Jacka St. Burasa, czytelnik znaleźć może w czasopiśmie „Literatura na świecie”, nr 10 (147) z 1983 roku – przyp. tłum.].

Czarnobóg, niszczyciel, wraz ze swym łagodnym bratem Białobogiem, stanowią rekonstrukcję pogańskich wierzeń słowiańskich. Zestawienie dobra przeciwko złu jest obce w mitologii słowiańskiej, przez co wielu etnografów podejrzewa, iż oba bóstwa wymyślili na własny użytek ignorancy misjonarze chrześcijańscy.

*Drudkh* to ukraińskie słowo oznaczające „las”, „drewno”. To również nazwa pogańskiej kapeli blackmetalowej. Tematyka ich utworów oscyluje wokół regionalnej historii i tradycji. [Ukraiński zespół słowo *drudkh* zapożyczył ponoć z sanskrytu. – przyp. tłum.].

Prawdziwy Kronos, autonomiczna pogłębiarka ssąco-nasiębierna, zbudowany w 1964 roku, pływa głównie po Bałtyku. Jego kod to IMO 7338767.

*przełożył Kornel Mikołajczyk*



## SILKE BRANDT



*Autor zdjęcia: Nalle Elmgren*

Urodzona w Niemczech, miała ze strony matki kapitana żaglowca, a ze strony ojca – babcię Polkę. Studiowała anglistykę i historię sztuki. W 2008 roku przeprowadziła się do Finlandii; pracowała w marketingu i zarządzaniu kulturą, jako dyrektor festiwalu filmowych, dziennikarka i zawodowy marynarz pokładowy na holenderskich żaglowcach. Eseje i opowiadania publikowała w prasie tradycyjnej i czasopismach literackich, m.in. w „Penumbra #3” S. T. Joshiego oraz w „Nowej Fantastyce”. Redaktor magazynu fantastycznego „Alraune” i antologii grozy, m.in. „Feuersignale (Sygnały ogniowe) – Hommage à Stefan Grabiński” z Maciejem Szymczakiem i Kazimierzem Kyrzczem Jr.

Strona autorki: [silkebrandt.weebly.com](http://silkebrandt.weebly.com)

# Adam Kaczmarczyk - Żmijowaci





ADAM KACZMARCZYK

# ŻMIJOWACI

- V -

*Tyran jest dumny i w tym kryje się załóżek jego upadku. Jest zaś dumny, ponieważ uważa, że jego siła jest jego własną siłą, co sprawia, że stawia się on w roli błazna myślącego cień rzeczy z własną rzeczą.*

Joseph Campbell, *Bohater o tysiącu twarzy*

Niewinna, błoga drzemkę kędzierzawego młodziana przerwał nachalny i donośny klekot.

– Cóż do licha!? – wrzasnął zdezorientowany i złękniiony, dopiero co wyrwany ze snu pszenicznowłosy chłopak. Podniósł się lekko na łokciach i unióśł głowę. Spomiędzy siana, na którym leżał, dobył się piskliwy, urwany nagle dźwięk, który zagłuszył ponowny klekot dochodzący gdzieś z wysoka. Nie dadzą pospać, zwierzące psubraty... – zachnął się i spojrział w górę.

Jedynę drzewo na polu pszenicy zaszeleściło okazałą koroną, wprawione w taniec przez ciepły wrześnieowy wiatr niosący ze sobą mnogie babie lato. Młodzian wodził wzrokiem po białej korze dorodnej, starej brzozy, stojącej tu niczym wiekowa, samotna panna czekająca na wydanie.

Klekot powtórzył się, a gniazdujące w koronach wysokiego drzewa bociany wzbiły się w powietrze, pewnikiem rozstając się na ten niosący chłód czas ze swym uwitym misternie w koronach drzewa domostwem.

– Zaspały z tym odlotem do Wyraju, a?! – rzekł młodzian sam do siebie, przeciągliwie wypowiadając ostatnią literę pytania. Po czym podniósł się, otrzepując lniane odzienie z wszędobylskiego siana i niespiesznie ruszył przez złociste łany ku rodzinnej wiosce leżącej nad urokliwą rzeką Canem.

Rodzina Lubcza nie była przesadnie dużą wsią, lecz jej położenie pośród złocistych pól było istic czarujące oraz malownicze. Królestwo Jaruny, na którego terenach się znajdowała, graniczyło z perperuńskim Królestwem od zachodu, a naturalną granicę wyznaczała wartka i życiodajna rzeka Canem zmierzająca spiesznie na południe ku Psiemu Morzu.

Pierwsze wiejskie zabudowania i domostwa przesłaniał jeszcze poskrzypujący wiekowy młyn napędzany wodnym kołem zanurzonym w rzeczonym silnym nurcie. Gdy tylko wąską ścieżką wyminął domostwo młynarza, do uszu młodziana dobiegł znajomy mu donośny, gruby głos.

– Gdzieś się znouż podziewał i szwendał, Bogdaszu!? – burknął spod sumiastego węża postawny mąż trzymający się pod boki.

– Oj, tatko, na polu roboty wiele i zarobionym po łokcie... – tłumaczył się wracający dopiero co z pola, zaspany jeszcze młodzian.

– A to siano we włosach i mętny jeszcze wzrok, to pewnikiem od tej..., jak to żeś rzekł, ciężkii roboty!?

Młodzieniec skwitował to wymijającym grymasem i machnął jak gdyby od niechcenia ręką.

– Ech tam, matuli chciałem pomóc, przeca jutro Wieńce, Święto Plonów! – dodał, udając wielkie przejęcie i zainteresowanie.

– Oj, chłoptasiu, przechero, ku rzece idź! Tam z ciotkami wiano oporządzać poszła już o samym świtaniu. Godała matula o tobie i miałem cię posłać do niej jak tylko się zjawisz!

Kędzierzawy chłopak ucieszył się na te słowa, puścił oko do wąsatego rodziciela i ruszył w podskokach we wskazanym przezeń kierunku.

\* \* \*

Po gładkim, niczym tafla spokojnego jeziora, lazurowym nieboskłonie pędziły liczne klucze ptactwa najróżniejszych gatunków. Towarzyszące temu pożegnalne zaśpiewy i klekoty zwróciły ponownie wzrok młodziana ku niebu.

Równonoc już jutro, spóźnialskie ptaszyska Wyraju tak pożądlive, wiedzą, że później zamknie dźwierz przed nimi sam duch płomienia, Raróg – pomyślał kędzierzawy młodzian, lecz następne zdania wykrzyczał najgłośniejszym, jak tylko umiał:

– Spieszcie się, podniebni bracia, duchy jaźni i myśli! Spieszcie, aby na wiosnę z nowym życiem na ziemię naszą powrócić, sława wam, braciszku, sława!

Orzeźwiający powiew znad rzeki wtargnął do nozdrzy krocącego młodzieńca. Jego oczom ukazało się zakole Canem, wylaniające się zza niewielkiego, obsypanego zielenią pagórka.

Gdy tylko nań wszedł, dostrzegł gromadkę krzątających się kobiet, zajętych przygotowaniami do jutrzejszego świętowania równonocy. Idąc w ich stronę, wypatrywał swojej rodzicielki, która jednak z pomocą matczynej intuicji pierwsza go dojrzała.

– Gdzieś się, synku, podziewo?! – zawołała zniecierpliwiona i odetchnęła z widoczną na twarzy ulgą.

– Przecie wiązki czekają, abys je ściąć był łaskaw. Wyczekujemy cię jak... – Nie dokończyła, odsapnęła, kiwając głową z dezaprobatą i dodała: – Przecie bez tego wieńca obrzędowego nie zrobim, jutrzejszych obchodów niedopełnim, a wtedy matka Mokosz rozsierdzi się wielce.

Chłopak słuchał matczynych słów, tym razem z większą niżli ojca powagą i należytym zrozumieniem. Wiedział, że obrzędowy, równonocny wieńiec noszony przez najpracowitszą ze żniwiarek, która prowadziła, jak nakazywała tradycja, uroczysty korowód, był niezbędnym atrybutem owego dziękczynnego święta. Przed niewielką chatką, przy której stali, wystawione były solidne drewniane ławy, a uwijające się przy nich pracowite kobiety przygotowywały ozdoby z jarzębiny, orzechów, kwiatów, zbóż oraz ziół, którymi przystrajano stroje, wianki oraz całe domostwa. Inne zaś, odziane w śnieżne białą szaty, rozcierały w kamiennych misach wonne korzenie i osobliwie wyglądające, pewnikiem niejadalne grzyby służące do wróżebnych rytuałów, które rozpocząć miały się właśnie dzisiejszego wieczora tuż po zachodzie słońca.

– Bogdaszu, trzymej ten sierp i czyn, co powinność każe! – rzekła zdecydowanym głosem matka młodziana, wręczając mu wyjątkowe, łukowate narzędzie i wskazała na jedyny nieskoszony do tej pory pas zboża, który dopiero tą porą miał zostać uroczystie ścięty. Młody odebrał z matczynej dłoni sierp o lśniącym ostrzu i przystrojonej jarzębiną brzoze ręką. Nie wiedzieć kiedy obok niego znalazła się, wyrastająca niczym spod ziemi, czwórka kobiet ustrojonych kwieciami, złocistymi kłosami zbóż oraz jarzębiną. Szły

tuż obok Bogdasza w nielicznym korowodzie, prowadząc go w stronę ostalego się na polu zboża, tańczącego na wietrze. Będąc tuż przed rzeczonymi złocistymi kłosami, zaintonowały rytmiczną, obrzędową piosnkę:

*Mój wianeczku, wianku błogi,  
Jutro włożę na strój owgi.*

*Z wiązki powstać dane ci to,  
Upstrzym zbożem piękne li to.*

*Dumnie nosić cię będziemy,  
A po święcie cię schowiemy.*

*Abyś nie zlichł skoro zima,  
A na wiosnę ożyłbyś nam.*

*Aby Mokosz pamiętała,  
Że nam bliska, ukochana!*

Gdy wybrzmiały ostanie słowa piosnki, młodzieniec ukląkł przed wiązką i z należyтым szacunkiem oraz namaszczeniem serią zdecydowanych ruchów ściał ostatni ze złocistych, czekających na ten właśnie dzień kłosów.

Następnie wziął owe wiązki do rąk, pochylił głowę, a otaczające go kobiety wyśpiewały ponownie słowa zaśpiewki. Korowód z Bogdaszem na przedzie, niosącym wyjątkowe zboże, dotarł po kilku chwilach na właściwe miejsce dziękczynnych przygotowań. Widocznie przejęta matka chłopaka dygnęła dostojnie, jakby nie była chłopskiego stanu, i schyliwszy głowę z należyтым szacunkiem do matki ziemi, rodzicielki Mokoszy, odebrała od syna obrzędowe wiązki. Ostrożnie odstawiła je na pobliską ławę i spojrzała na chłopaka, uśmiechając się nienachalnie.

– Spieszno ci do niej, co? – zaskoczyła syna bezpośrednim pytaniem trafiającym dokładnie w sedno jego myśli. Bogdasz zarumienił się i drapiąc się po kędzierzawej czuprynie, rzekł: – Matulu, znasz mnie jak własną kiesę, co będę wymyślał, skoro jest tak, jak mówisz.

Uśmiechnął się i przytulił z całych sił rodzicielkę. – Chciałem zaprosić Dobrawę na jutrzejsze świętowanie – poinformował. W jego głosie znać było niepewność.

Uśmiechnięta matka odsunęła chłopaka od siebie i chwyciwszy go za ramiona, odrzekła ciepłym, pełnym troski głosem: – Idź do niej, tylko uważny bądź, godzina drogi przed tobą do Ustry.

Uradowany młodzian ucałował matulę w czoło i czym prędzej odwrócił się i ruszył na południe w radosnych podskokach.

– Tylko jutro wróćcie niedługo po świtaniu, świętowanie nie będzie na was czekać! Bogi nie zwykły czekać!

Oddalający się Bogdasz odwrócił się, pomachał ręką na pożegnanie i krzyknął na odchodne:

– Dobrze, matulu, będziem niedługo po świtaniu, daję słowo!

Matka odwróciła się i skierowała kroki ku ustrojonym chatom, wokół których gwar i krzątanina ustępowały miejsca przygotowywanemu ognisku, miejscu dzisiejszych wróżeń.

Wysokie, płaszące skocznie płomienie strzeliły w jednym momencie iskrami i niepokojącym trzaskiem. Ametystowa poświata i gęsty dym ustąpiły tak szybko, jak się pojawiły, a zza nich wyłoniła się postać starego żercy opatulonego w ciągnące się po ziemi długie, zielono-malachitowe szaty. Wiekowy kapłan podwinął szerokie rękawy i otarłszy pot z czoła, cisnął w ogień zawiniątko, które po zetknięciu z ogniem ponownie wywołało trzask, dym oraz ametystową poświatę. Dokoła starca prędko ustawiła się reszta zebranych mieszkańców, okrążająca okazałe ognisko kilkoma okręgami widocznie przejętych rytuałem uczestników.

Żerca chwycił podany mu gliniany pękaty dzban, do którego chwilę wcześniej odziana w biel kobieta dodała rozdrobnione uprzednio korzenie oraz grzyby. Przechylił naczynie, nabierając słodko-gorzkiego, mocnego miodowego trunku do ust, po czym plunął miksturą w ogień.

Płaszące języki ognia ponownie przybrały ametystową barwę, a uczestniczący w rytuale mieszkańcy złapali się za dłonie i poczeli nucić niedawną melodię wyśpiewaną przez korowód zmierzający trzy kwadranse temu po odświętną wiązkę. Kapłan wznosił dłonie ku niebu i zaczął recytację inkantacji:

*O matko Mokoszo, matko urodzaju,  
Dzięki ci za twe łaski,  
Które zsyłasz na nasze pola, łąki i sady.  
Moc twa i dobroć sprawiają,  
Że ziemia tak hojna i płodna,  
A plony obfite i zdrowe.  
Dziękujemy ci za ten rok, o przematko nasza,  
Dziękujemy ci za dary, które otrzymaliśmy,  
I za to, że możemy dzielić się nimi z innymi.  
Prosimy cię przeto, Mokoszo,  
Niechaj twoja moc i dobroć zawsze towarzyszą nam,  
A my gorliwie pamiętać będziemy o twojej łasce.  
Niech tak będzie, o wielka Mokoszo,  
Niech tak będzie, przez wieki wieków!  
Bądź również łaskawa, Matko Życiodajna  
Zdradzić nam swe plany,  
Ażbyśmy w spokoju przetrzymali nadchodzący czas chłodu.  
Uchylże rąbka tajemnicy czasu nam przyszłego,  
Ażbyśmy w spokoju utulili cię do snu zimowego.*

Po tych słowach stary kapłan ponownie nabrał do ust mocnego trunku i znowu splunął w ogień.

Ametystową lunę przesłonił gęsty, biały niczym mleko dym. Zgromadzeni zamarli w oczekiwaniu, wypełniając okolicę ciszą, a jedynym odgłosem dochodzącym do uszu był dźwięk palących się drew. Wpatrywali się ciekawsko weń, nasłuchując bacznie, z wielkim przejęciem malującym się na poważnych twarzach.

Wtem swoistą ciszę przerwał szum ciepłego wiatru niosącego ze sobą pajęczce sieci babiego lata, które wpadając w ogień, rozświetlały go niezwyklejmi rozbłyskami. Po chwili jakby czas się zatrzymał, wiatr ustał, a latające białe pajęczynki rozplynęły się nie wiedzieć gdzie.

Spokojny głos, który jednakoz nie nosił znamion emocji, dobył się z samego środka paleniska, którego barwa pozostała ametystowa pomiędzy gęstym siwym dymem.

– Przed tym, co po zimie ma nastać, a ma to być szczodry i urodzajny czas, wolny od zaraz i plag, przedtem zło wypełźnie, nadchodząc od zachodu.

Na zgromadzonych padł blady strach, który malował na twarzach mieszkańców wymowne, złęknione grymasy.

– Czernń żmija, węże, śmierć... – Głos urwał się, lecz po chwili powrócił.

– Proście Matkę o pomoc, proście o opiekę i ochronę. Pilnujcie przeto, aby wczesną wiosną nie orać matuli, o ziemię jak o brzemiennej dbajcie. A po całym cyklu urodzaju dzięki jej składajcie i do snu matulę utulać dopomagajcie.

Ostatnie słowo oddaliło się umykającym echem, zostawiając po sobie jedynie ciszę.

Stary żerca skłonił się z wyraźnym wysiłkiem, po czym wolno zadeklamował:

– Wielki to zaszczyt dla naszego ludu prorocstwa owe wysłuchać. Dziękujemy zatem za rzeczzone słowa i gotować musim, aby czas ten przetrwać.

Nagle ogień zgasł, a w jego miejscu, jak gdyby nic sobie nie robiąc z rozgrzanej żarem ziemi, wykiełkował kwiat dziewanny, rosnąc aż do okazałej, wyjątkowo dorodnej i strzelistej swej postaci.

Kapłan uśmiechnął się, spoglądając na znajomą leczniczą roślinę, kojarzącą się wszystkim tu zebranyim z boginią zaklętą w tym ziele.

– Dziękujemy ci, Dziewanno, za słowa prorocstwa, teraz trzeba nam czekać, ofiary i modły składać, aby łaski doznać.

\* \* \*

Radujący się Bogdasz pędził pomiędzy wrzosowymi polami, które swoim kwieciami i zapachem mąciły rozanielone myśli zakochanego po uszy młodzieńca. Nie przypadkowo ów miesiąc zwano czasem wrzosowym, czasem też pajęczym. Chorsowe oblicze w całej swej okazałości oświetlało nadchodzącą, rozgwieżdżoną noc. Nadmorski krajobraz ukazujący się przed spieszącym się młodzieńcem dodawał mu sił niczym skrzydeł, a widok księżycy przegładającego się w morskiej toni jawił się jak olejny pejzaż.

Rybacka wieś Ustra, do której zmierzał, wyglądała na wyludnioną.

Bogdasz zwolnił zaniepokojony i stawiając ostrożnie kroki, rozglądał się badawczo.

Nagle coś lub raczej ktoś, ni stąd ni zowąd, pchnął niespodziewającego się tego młodziana, który upadł niczym kłoda na piaszczystą ziemię. Wystraszył się nie lada i przez

zamknięte niemal oczy chciał dostrzec napastnika, po czym zacisnął niepewnie pięści, gotując się do obrony.

Do nozdrzy kędzierzawego równie niespodziewanie wślizgnął się przyjemny, kojący rumiankowy zapach, a siedząca na jego torsie osóбка szepnęła cicho i czule wprost do jego wyczulonego na bodźce ucha:

– To ja, Bogdaszu, nieuważny chłopcze.

Po czym pocałowała go i poderwała się sprężystym podskokiem, podając dłoń ukochanemu. Ten zaś poczuł nieopisaną ulgę i radość zarazem, wstał i przyciągnął ku sobie rumianą, rudą pannicę, obejmując ją czule w pasie.

– Ech, ty moje szczęście... Napędziłaś mi stracha nie lada. – Westchnął, a na jego twarzy zagościł niepohamowany, rozpromieniony uśmiech. – Wioska jawi się niczym opuszczona, porzucona sama sobie – rzucił, wskazując na rybackie zabudowania. – Gdzie podziali się wszyscy, przecież godzina nie tak późna wcale? – dopytał.

Dobrawa chwyciła Bogdasza za dłoń i pociągnęła w kierunku najbliższych drewnianych domostw. – Zostało kilka panien i jedynie dziatki, które do snu układać o tej porze się zwykło – wyjaśniła niejednoznacznie. – To znaczy żeśmy tu prawie sami i przeszkadzać nam nikt pewnikiem nie będzie. – Dziewczyna uśmiechnęła się uwodzicielsko, po czym otworzyła ostrożnie skrzypiące drzwi prowadzące do wydrążonej pomiędzy skałami i wydumą spiżarni. – Tu ojcie miody i przeróżne trunki chowają, a liczyć ich nie zwykli. – Szarpnęła młodziana za sobą. – Trzymaj drzwi, bo sam Chors oświetlać nam łaskaw – dodała.

W istocie Chorsowe oblicze jaśniało niczym słońce przesłonięte nieprzejednaną mgłą.

Rudwłosa sięgnęła po opasłą butelczynę, po czym domknęła ostrożnie drzwi, chcąc uniknąć raptownego ich skrzyknięcia.

– Chodźmy, miły, na nasze miejsce – rzuciła zalotnie, przekazując mu pękate, chłodne naczynie. Wydma, na którą wstąpili, nie była przesadnie wysoka. Przed rosnącym na niej okazałym krzewem rokitnika leżała wysmagana wiatrem i słońcem siwa gładka kłoda.

Gdy na niej spoczęli, obdarzyli się niekrótkim, łączącym pocałunkiem, po czym spojrzeli na morze, nabierając w płuca orzeźwiającego powietrza.

– To gdzie się podziała reszta mieszkańców wioski? – dopytał wielce ciekawy takiego stanu rzeczy Bogdasz, siłujący się z odkorkowaniem przykurzonej butelczyny.

– Słyszałeś zapewne o wielkich krabach kyspiach zamieszkujących tutejsze wody. – Dziewczyna zaciekawiła Bogdasza wypowiedzianymi słowy i uraczyła się słodkim, piekącym w gardle trunkiem. – Zamieszkują one jedynie te wody Psiego Morza, do których wpływają rzeki Areneo na zachodzie Jaruny i naszej, życiodajnej Canem właśnie. – Wzięła kolejny łyk i oddała butelczynę ukochanemu.

– To dlaczego ich tutaj nigdy nie widziałem? Myślałem, że jedynie w legendach i bajaniach ludzie wspominają je zwykli, a bardowie w pieśniach wzmiankować jeno kwapliwi rozślawiać welesowe te wielkie stworzenia.

– Nie, kochany mój. – Dobrawa przysunęła się do kędzierzawego chłopaka. – Kyspie są wielkimi stworami, ważącymi bez mała tyle, co dwóch, a nawet trzech postawnych mężów, a ich odnóża sięgają prawie szesnastu łokci, ale bywają czasem bezbronne. – Bogdasz zasępił

się, widocznie zdziwiony. – Pomimo tej powierzchownej potworności to wielce łagodne istoty, przynajmniej do czasu gdy nie zajdzie się im za skórę, a w zasadzie za pancerz. – Uśmiechnęła się i puściła oko, po czym dodała: – Teraz wraz z równonocą na świat przychodzić zwykły małe kyspie, a brzemiennym ich krabim matkom trzeba dopomóc, aby osłabione i bezbronne podczas porodu nie zostały wyrzucone na brzeg na pastwę czyhających nań drapieżników, czy nawet gorzej, ludzi.

Młodzieniec oderwał od ust odpitą już do poły flaszkę i rzekł:

– Słyszałem o czarnych rycerzach z zachodu, którzy z kyspich połyskujących smolną czernią pancerzy tworzą na zamówienie wyjątkowe zbroje. Te zaś wytrzymalsze są od dagdyskiej stali, a i lżejsze o stokroć. Cały czas jednak myślałem, że to jakieś bajki i zmyślane opowiadki chcących zrobić wrażenie przyjezdnych obieżyswiatów i kupców.

– Sama jestem ciekawa, ile w tych opowieściach prawdy... – odparła, dokańczając wywołujący przyjemne rozweselenie trunek, i dodała:

– Widzisz zatem, że pomoc tym wielkim stawonogom jest potrzebna, a z niej również sam Weles będzie rad i dobrobyt zapewni. – Uśmiechnęła się ponownie i naparła na młodziana, który wraz z rudowłosą spadł z kłody, na której siedzieli.

Młodzi zakochani, opromienieni chorsowym subtelnym światłem, obdarowywali się pożądanymi pocałunkami i objęciami, aż w końcu złączyli swe drżące od pożądania ciała, stając się jednością. Wyczerpani miłosnym aktem, wtuleni w siebie pogrążyli się w upragnionym, głębokim śnie.

\* \* \*

Hałas roztrzaskiwanych drewn, brzęk stali i piekący w oczy dym obudziły zdezorientowanego Bogdasza.

– Zabierać te śmierzzące śledziami wiejskie trupy i uważać, do ciężkiej cholery, aby zaszranie kraby nie wlażyły z powrotem do morza!!! – wrzasnął odziany w połyskującą czernią zbroję rycerz, pewnikiem dowódca całej grupy liczącej z tuzin mężów.

Wnosząc po specyficznym akcencie, najeźdźcy przybywać musieli z zachodu, tak przynajmniej mniemał zląkniony nie lada kędzierzawy młodzian.

Przeciągle ziewnięcie dodatkowo przestraszyło Bogdasza, spoglądającego instynktownie przez ramię. Rumiana Dobrawa wybudzała się niespiesznie z błogiego snu, poprawiła ogniście rude, splecione wczorajszymi igraszkami włosy. Nie spodziewała się tego, co za chwilę ujrzeć miały jej zaspane jeszcze, niewinne młode oczy. Kobięcy krzyk zerwał na równe nogi zbudzoną dopiero co młódkę.

– Zostawta, niczego nie zawiniły!!! – Głos urwał się raptownie, przechodząc w gardłowy charkot.

Bogdasz przyciągnął ku ziemi swą lubą i przystawiwszy jej palec do ust, wyglądniętą zza wysuszonej siwej kłody.

Protestująca przed chwilą kobieta osunęła się na kolana, a spływająca jej z szyi krew załala rozdartą odzienie nieosłaniającą już piersi.

– Zdychaj, ty wiejska suko! – Rosły czarny rycerz po gibkim cięciu mieczem zadał cios zbrojonym ciężkim butem prosto w pytającą swoim wyrazem twarzy o powód nikczemnego



ataku kobietę.

– W imię morskich plugastw ginąć tak prędcy... Idioci, cuchnące rybackie męty!!! – krzyknął z niekrytą pogardą i zakomenderował: – Ja, kapitan Orm, powiadam wam, towarzysze – wskazał na ośmiu stojących przy wywleczonej na brzeg, widocznie osłabionej porodem, ogromnej kyspie – z rozkazu samego cesarza Regnira wycisnąć macie zeń całe zafajdane, krabie potomstwo, do beczek i na wóz! – Wskazał na utwardzoną kocimi łbami ścieżkę, na której oczekiwali zaprzęgnięty w dwa czarne konie wóz opisany węzowym jonmungardzkim herbem, i reszta karych rumaków.

Czarni wojowie pokiwali porozumiewawczo.

– Cesarz nakazał stworzenie lokalnych hodowli w samym Jonmungardzie, ciągnących się przez tereny jeziora Corvum i liczne tamtejsze rzeki. Przygotowania do wojny idą pełną parą, a zważając na ogromne zapotrzebowanie na ów materiał, konieczne jest podjęcie zdecydowanych działań zabezpieczających ciągłość dostaw krabich panczerzy. Więc nie ociągać się, panowie! – objaśnił.

– Tam, taaamm jest moja matka! Aaa! – krzyknęła rudowłosa, która dopiero teraz rozpoznała swą rodzicielkę w zaszlachtowanej przed momentem kobiecie.

Bogdasz próbował ją zatrzymać. Wybiegł, chwytając za wyslizgującą się z uścisku delikatną roztrzęsioną dłoń. Nadaremnie jednak. Jedyne, co zrobił, to wydobyl z siebie rozpaczliwy krzyk, który wypełnił okolicę:

– Nie, Dobrawo!!! Oni cię zabijają!!!

Chciał biec na ratunek swojej ukochanej, lecz strach jakby paraliżem zawładnął całym jego ciałem. Rumiana, rudowłosa dziewczyna nie zdążyła nawet dobiec do ciała zamordowanej matki. Czarny rycerz dzierżący w dłoniach długi miecz przestąpił na lewą nogę, aby po zręcznym obrocie ciąć ze świstem powietrze. Nastąpiła cisza, Dobrawa stanęła jak wryta, niby zatrzymana przez czas. Po chwili jej pełna bujnych ognistych włosów głowa zsunęła się z szyi, upadając głucho na piasek.

– Nie, moja ukochana, nieeee!!! – krzyczał wniebogłose kędzierzawy młodzian. – Wy kurwie syny!!! – lamentował bezsilny, czując niespotykane, rozrywające serce niewyobrażalne cierpienie.

Czarny rycerz odwrócił się w stronę zrozpaczonego młodziana i rzekł zimnym, beznamiętnym tonem:

– Tak jak rozkazałem, zajmijcie się ładunkiem, a wy panowie – wskazał na pozostałą trójkę – za mną, po tego krzykliwego, wiejskiego kochasia!

Czwórka czarnych zbrojnych, na czele z kapitanem, ruszyła w kierunku zrozpaczonego, lamentującego młodziana.

Zapłakany Bogdasz, widząc nadchodzące zagrożenie, zebrał się pospiesznie i ruszył pędem ile tylko sił w nogach w stronę rodzinnej wsi. Ciężkozbrojni nie gubili go jednak z oczu, podążając równie spiesznym, iście pościgowym krokiem.

Na przekór tragicznym wydarzeniom zapach wrzosowisk wdzierał się do nozdrzy, a nieprzesłonięte niczym słońce zmierzało, jak gdyby nigdy nic, w kierunku najwyższego punktu na nieboskłonie. Wyczerpany ucieczką Bogdasz powoli opadał z sił, ale w końcu na

horyzoncie ujrzał kołyszącą się na wietrze samotną, stojącą pomiędzy złotymi polami brzozę.

– Dom, byle prędko do domu! – wysapał sam do siebie, szybko łapiąc oddech. Na pole właśnie wchodziła kolorowa procesja, na której przedzie dumnie paradowała najsumienniejsza pracująca żniwiarka niosąca na głowie uroczyste wiano, okazałe i upstrzone kwieciami, ziołami oraz jarzębiną.

– Uciekajta wszyscy, czarni, żmijowaci nadchodzą, wszystek was wybiją!!! – wrzeszczał Bogdasz wniebogłosy, nie mogąc się opanować. Biegając już ledwo co, bez sił, osunął się w końcu i runął na ziemię jak kłoda.

Korowód zastępnął niczym wielki słup soli, rytmiczne zaśpiewy ustały, a spomiędzy zgromadzenia spieszenie podeszła do syna matka i podniosła go ku sobie.

– Co się, synku, stało?! – dopytywała wielce zaniepokojona i równie roztrzęsiona.

– Czarni wojowie... Dobrawkę mą ukochaną zabili jak psa jakiego, główkę niczym makową ścieli! – Młodzieniec otrząsnął się, przechodząc w niedający się opanować szloch i dokończył wypowiedziane z trudem zdanie: – Nikogo nie oszczędzili, ci węża mający w herbie! – Pociągnął nosem, łzy już nawet nie chciały płynąć po jego rozpalonych licach. Spoglądając za siebie, wyciągnął drżącą rękę i wskazał na nadchodzące smoliście czarne, połyskujące w słońcu postacie.

– To oni, zginiem wszyscy – wycedził zrezygnowany, po czym osunął się powtórnie na ziemię.

Na przód zgromadzenia wysunął się spiesznym, jak na starca, krokiem żerca w zielono-malachitowym długim odzieniu. Podszedł do Bogdasza, położył znaczoną czasem, pomarszczoną dłoń na czole młodziana i rzekł: – Nie lękaj się już, zawierz bogom i modły odprawiaj... – Po czym wyszedł na przód, niby chcąc powitać nadchodzących, wielce wątpliwych gości.

O dziwo pełnym spokoju, cichym głosem zaczął recytować słowa, które kierował do objawionej we wczorajszej wróżbie boginki w zielu zaklętej:

*Dzięki ci, bogini nasza, dzięki, Dziewanno, dzięki Pani Miłości, Pani Uczucia, Pani Łaski. Dzięki ci, córko Czarnogłowa i Białobogi. Dzięki, Pani władająca niepodzielnie uczuciem, dzięki za odczuwanie sercem, A nie rozumem, dzięki Pani Łaskawa, Pani Miłości i Pani Uczucia. Miej nas W swej opiece. Chroń nas ode złego. Dzięki ci, o Pani. Pani, której córy bronić życia przysięgały! Dzięki ci!*

Po słowach inkantacji starzec spojrział przed się, wprost na nadchodzącą czwórkę czarnych rycerzy.

– Żmijowaci – wycedził z niekrytą pogardą, po czym ponowił recytowane wcześniej słowa.

– Widzicie, możni panowie, stary na tyle jest tępy, że nie lęka się nawet jonmungardzkiej stali! – zawołał pewny siebie kapitan Orm, wysuwając się na przód rycerskiego pochodu. Z uniesionym ku niebu mieczem podszedł do pochylonego kapłana i bez chwili wahania ściął

staremu łeb niczym odświętnemu bażantowi. Zgromadzeni zamarli w przerażeniu i zaczęli cofać się w stronę osamotnionej brzozy, górującej nad pszenicznym polem.

– Teraz na was kolej, zabobonne wieśniaki! – burknął złowrogo, zbliżając się do przerażonej grupy. Strącił pięścią uroczyste wiano z głowy ustrojonej przasnje żniwiarki i zamachnął się mieczem.

Spomiędzy zgromadzonych z krzykiem wyskoczył ku napastnikowi rozwścieczony Bogdasz i wytrącił czarnemu wojowi srebrem lśniący oręż. Ten uniósł tylko lekceważąco wzrok, roześmiał się rubasznie, a potem krzyknął:

– Ty wiejski smarku, czelność miałeś rękę na jonmungardzkiego pana podnieść, twoja wieśniacza sucz przynajmniej nie uciekała spod miecza jak dziwka!

Na te słowa młodzian rzucił się na kapitana, który – nic sobie nie robiąc z zadawanych na ślepo ciosów – odwinął się ciężką pięścią odzianą w stalową rękawicę. Kędzierzawy chłopak poleciał w powietrzu i wylądował pod wiekową brzozą.

– Całe wasze wiejskie pospólstwo, odrażające ciemnotą, oddające cześć fałszywym bogom zdechnie tu i teraz, niczym warchlaki ubijane na kielbasiane pęta! – zakrzyknął Orm, podnosząc długi miecz.

– Nie tak prędko, mości rycerzu, któremu niestraszne młode kobiety, wiejscy młodzikowie i starcy!

– Któż śmie temi słowy... do jonmungardzkiego dowódcy!? – zawołał zbity z pantaląku.

Zza okrytego białą sędziwego pnia wyłoniła się nieruchoma, posągowa postać niby sunąca w powietrzu. Nie była wysoka, okryta niedźwiedzią skórą niczym płaszczem, którego pysk stanowił kaptur. Wyglądała groźnie. W rękę dzierżyła drewnianą włócznię zakończoną kościanym ostrzem, zdobioną rycinami i rzemieniami. Na szyi zaś miała naszyjnik z kłów drapieżnych zwierząt, a na jego środku zawieszona była czaszka jakiegoś, wnosząc po budowie dzioba, drapieżnego ptaka. Włosy miała splecione w niezwykle długie, grube na szerokość może męskiej dłoni warkocz przewiązany w kilku miejscach rzemieniem.

Jej twarz nie zdradzała emocji.

– Dzewoniowa matka... – wyszeptła ciężko najstarsza uczestniczka przerwane brutalnie świętowania, wpatrzona w posągową postać stojącą w bliskości drzewa.

Kapitan Orm zaśmiał się lekceważąco i odwrócił do towarzyszy broni.

– Widzieliście leśnego burka! – zachichotał ponownie i warknął: – Zwierzolubna sucz nie będzie stawać doborowym cesarskim wojom na drodze, zabić dzikuskę! – rozkazał.

Czterech rycerzy ruszyło na stojącą niedaleko postać obleczonej w niedźwiedzią skórę.

Gdy byli już blisko, kobieta uklękła niespodziewanie i zatopiła dłoń, naznaczoną niezrozumiałymi symbolami, w urodzajną, życiodajną glebę.

Ziemia w jednej chwili zatrzęsła się, a rosnące pomiędzy kobietą a napastnikami trawy wystrzeliły na wysokość rosnącego ogara i zagęściły się niczym niewielki żywopłot.

Rycerze nie przestraszyli się nazbyt i nie przestali się zbliżać.

– Dzikie wiedźmowe nasienie! – Kapitan splunął na ziemię. – Myśli, że przestraszyć nas zdoła i odstąpi, nic bardziej mylnego, suko! – Ponownie splunął i silnym zamachem ściał dzielące ich zaczarowane trawy.

Kobieca postać poruszyła jedynie nieznacznie ustami, a jej oczy rozbłysły. Zaciśnęła dłoń na drewnianym orężu, który zatrzeszczał pod wpływem silnego chwytu.

– Nie ze mną zmierzyć się wam przyjdzie, tylko z nią.

Kobieta wskazała przed siebie kościanym grotem włóczni.

– Masz mnie za głupka, niemądra suko? Myślisz, że na taki żaloszny fortel dam się nabrać i zginę jak byle nowicjusz! – zaśmiał się pewny siebie Orm. Jednak pewność ta nie trwała ni chwili dłużej. Na zbroję kapitana chlusnęła srogą strugą szkarłatna posoka, a pod nogi przeturlała się głowa, zakuta w czarny lśniący hełm.

– Co, do ciężkiej cholery?! – Kapitan odskoczył w bok i zwrócił twarz do kompanów. Naprzeciwko jednego z nich wisiała lewitująca w powietrzu wychudzona postać o długich jasnych włosach, zdobionych rumiankowym wiankiem. W szponiastej dłoni trzymała zakrwawiony złoty sierp, którym w mgnieniu oka pozbawiła głowy kolejnego czarnego rycerza. Kapitan wrzasnął i ruszył, gotując się do ataku na podniebną potworę. Ta odwróciła się ku niemu i okazała świecące rubinową czerwienią oczy zatopione w trupim, przerażającym obliczu. Świst i przeraźliwy złowrogi szept niosły się przed pędzącym straszylem. Wtargnęły w czarnego woję, który zdrętwiał jakby od trucizny. Przed ostatecznym ciosem ostrego sierpa zdążył jedynie wymówić przeciągłe, urwane zgonem „Nie!”, po czym jego zakuty w zbroję łeb poturlał się po ziemi.

Ostatni z jonmungardzkich czarnych wojów upuścił miecz i rzucił się do ucieczki, krzycząc rozedrganym, jękającym się z przestraschu głosem:

– Jeszcze tu wrócimy, będą nas tysiące! I wyrzniemy was jak bydło, sucze, wiejskie, dzikie syny!

Odziana w niedźwiedzie futro, nazwana przez starą Dziewoniową matką, przekrzywiła lekko głowę i wyszeptła cichym i matowym głosem:

– Nie godzi się plugawić niewinną krwią ziemi, matki Mokoszy hańbić w dniu jej poświęconym. Zniwagi takowej i ataku na gorliwych swych wyznawców matka nie zwykła darować i płazem puszczać. Także o welesowe dzieci z morza siłą wydarte ojciec ich się upomni i należycie ukarze. Dokończę dzieła, południco!

Więcej o stworzonym przez Autora uniwersum Czytelnik znajdzie w powieści *Kawka. Pająk Mokoszy*.



## ADAM KACZMARCZYK



Z zawodu informatyk, z wyboru pisarz darzący wielkim uczuciem fantastykę. Prywatnie mąż Agnieszki i tata Emilki oraz Lilianki. Bratnia dusza brytyjskiej kocicy Adeli i dzielnego maltana Magnusia. Mieszka na Śląsku. Miłośnik filmów, książek, gier fantasy, science fiction oraz RPG. Fan Geralta z Rivii, Aragorna i Hana Solo. Technologiczny geek, zagorzały wielbiciel mieszanych sztuk walk. Kocha włoską kuchnię i kawę zbożową.

**Jacek Pelczar - Nieszczęścia chodzą trójkami**



JACEK PELCZAR

# NIESZCZĘCIA CHODZĄ TRÓJKAMI

- VI -



Rozgardiasz panujący nad brzegiem rwącej, ale płytkiej rzeczki niósł się daleko w bór, a usłyszeć go można było hen, nawet na pobliskich polach, gdzie pomimo zbliżającego się święta pracowały starsze kobiety. Chłopcy i młodzi mężczyźni nie przejmowali się wznoszonym przez siebie rwetesem. Uwijali się w pocie czoła, ściągawszy koszule. Wszyscy czekali na ten dzień cały rok. Z werwą układali więc bierwiona pod mające zapłonąć po zmroku ogniska. Nosili stoły i ławy, ustawiali pieńki do siedzenia, taszczyli jeszcze inne rzeczy, które miały się przydać podczas biesiady. Pracowało z nimi również kilka dziewczyn. Poruszały się zbite w ciasną grupkę, dekorując gałęzie i siedziska. Od czasu do czasu rzucały wymowne spojrzenia któremuś z chłopców, a potem odwracały się znów do wewnątrz własnego, prywatnego kręgu i wybuchały niekontrolowanym śmiechem.

– Co tam, Jaśku? – odezwał się w stronę postawnego młodzieńca jeden z odpoczywających chłopaków. – Upatrzyłeś już sobie jaką lubą na tę Kupalnockę?

Stojący w pobliżu junacy zarechotali gromko, a Jaśko wbił wzrok w swoje dziurawe trzewiki i sponił się rumieńcem zupełnie jak panienka. Na ten widok wszyscy zarżeli jeszcze głośniej.

– Czyli będzie jak zawsze? – nie poddawał się chłopak. – Jaśko sam zostanie pilnować ognia, jak my wszyscy już poznikamy w chruśniakach z naszymi pannami. Pewno zasie nawet żadnego wianka nie złapie, a jak złapie, to się do niego żadna dziewczka nie przyzna.

Młodzieńcy śmiali się i poklepywali po plecach. Jaśko natomiast – chociaż większy od każdego z nich, o barach szerokich i mocnych, jak wyrzeźbionych z dębiny – robił się tylko bardziej czerwony na gębie i zgarbiony.

– Wielki jak topola, głupi jak fasola! – krzyknął ktoś w tłumie, a reszta zaraz podchwyciła okrzyk i jęła skandować go do prostej melodyjki.

Oczy wszystkich na nabrzeżu skierowały się na coraz głośniejszą grupę chłopaków. Jaśko na znajome mu aż za dobrze skandowanie zareagował tak jak zawsze. Wziął nogi za pas i pognął przed siebie.

– Jasiek Niemowa znowu się chowa! – krzyknął ktoś, a reszta zaś ryknęła śmiechem.

W całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, jak jedna z dziewcząt oddziela się od zwartej grupy i szybko znika w lesie.

\* \* \*

Jaśko biegł przed siebie, byle dalej od chichoczącej młodocianej gawiedzi. Byle dalej od wytykających palców dziewcząt i chłopców, kpiących spojrzeń i drwiących słów. Niskie gałęzie chłostały go po twarzy, a wysokie trawy – po łydkach, wystających spod podwiniętych portek.

– Jaśko! Jaśkooo! – usłyszał za sobą nagle.

Odwrócił się odruchowo. Kątem oka zauważył biegnącą za nim drobną postać w białej sukni oblamowanej na rękawach oraz kołnierzu szeroka, zdobną krajką. Tomiła – poznał od razu jej kruczce włosy falujące na wietrze. Przyspieszył na ten widok jeszcze bardziej, bojąc się, że i ona będzie z niego drwić.

– Jaśko... – Naraz zawołanie urwało się i zmieniło w pisk, a potem płacz.

Chłopak stanął wbrew sobie i obejrzał za siebie. Nie widział już Tomiły, która zapewne podczas pogoni przewróciła się gdzieś w wyrosnięte poszycie. Słyszał jednak przytłumiony szloch. Zastanawiał się chwilę, aż w końcu ruszył szybkim krokiem w tamtą stronę. Wkrótce odnalazł dziewczynę leżącą w bylinach i kurczowo ściskającą kolano. Na jego widok zerwała się prędko, choć syknęła boleśnie, kiedy stanęła na prawej nodze. Otarła oczy kuliakiem, zerknęła szybko na Jaśka i popatrzyła na dół, jakby czegoś szukając.

– Mój wianek – szepnęła, a potem pisnęła, przyciskając dłonie do ust. – O nie, moja suknia! Jest cała w trawie i błocie! I popruta! O nie! Matula da mi w skórę! I w czym ja teraz, biedna, pójdę na Kupałnockę?!

Jaśko wbił spojrzenie w ziemię, czując ciepło napływające mu do twarzy aż po czubki uszu i sam skalp – nieomylny znak, że czerwieni się niczym dojrzale jabłko w sadzie.

– Jak ja teraz wyglądam, Jaśko? Czemuś się nie zatrzymał? Przecie cię wołałam, Jaśko!

Chłopak tylko wzruszył ramionami, zaplatając ręce za plecy, gdzie zaczął nerwowo wyłamywać sobie palce. Tęsknie spojrzał w stronę leśnej dróżki, którą jeszcze niedawno biegł wolny jak ptak. Dziewczyna w tym czasie nie przestawała mu ciosać kółków na łbie. Górował nad jej filigranową postacią, pomimo zwieszanej głowy i ściągniętych barków. Otrzeptał się, dzięki czemu skrył za burzą jasnych jak pszenica zmierzwionych loków, niebieskie duże oczy oraz ładną, niemal dziewczęcą twarz, nieprzystającą do postury drwala.

– Jaśko! Słuchasz mnie w ogóle?! Jaśko? – piszczała Tomiła. – Mój wianek! Spadł mi z głowy, jak żem upadła. Pomóżże mi go szukać!

Chłopak praktycznie natychmiast zaczął rozglądać się posłusznie wokół. Nie minęło kilka uderzeń serca, a pośród suchej trawy wypatrzył piękny zielony wianek, upleciony dostatnio z różnej grubości lodyg. Okupowały je gęsto wszelkiej maści kwiaty: białe jak śnieg jastruny, z jarzącymi się radosną żółcią środkami; namiętne różowe goździki o poszarpanych płatkach; duże głębokoczerwone maki; zarumienione niczym sam Jaśko stokrotki i wiele innych, których biedny chłopak nie potrafił już nazwać. Podniósł ozdobę i podał Tomile, wciąż nie ośmielając się dźwignąć na nią oczu.

– Podobna ci się? – zapytała nagle zmienionym, delikatnym tonem, wyciągając ręce po wianek.

Jaśko z wahaniem skinął głową.

– Bo właśnie dlatego za tobą biegłam, wiesz? Żeby zapytać, czy ci się podoba.

Chłopak naprężył się cały, kiedy drobne dłonie, zamiast zaplecionych kwiatów, dotknęły jego rąk.

– Bo jeśli tak – ciągnęła Tomiła, a jej głos stawał się coraz cichszy – ...to może chciałbyś mi się dobrze przypatrzeć? Abyś poznał go dziś w nocy w nurcie rzeki i mógł wyłowić...

Jaśko wyprostował się jak rażony gromem. Spojrzał wprost w jej oczy, na wpół zaskoczony, a na wpół przerażony.

– Chcesz?

Dziewczyna wolno, bardzo wolno wyluskała wianek z twardych, żyłastych dłoni, a chłopak, nie spuszczać z niej wzroku, równie wolno potaknął.

- Och, jak się cieszę!

Podeszła do niego jeszcze bliżej. Wspięła się na paluszki zdrowej nogi i ściągając go przy tym za ramiona w dół, cmoknęła w policzek. Jaśko zaczerwienił się bardziej, ale nie ośmielił od niej odstąpić.

- Jaśko... - zamruczała jak kotka. - Ale skoro i tak wiemy, że ty wyłowisz mój wianek... to może już ci go dam?

Wbrew temu, co powiedziała, wcisnęła wianek głęboko na skronie, po czym zsunęła suknię niespiesznie z jednego, a chwilę później z drugiego ramienia. Materiał - brudny od trawy i błota, podarty na kolanie - bez najmniejszego oporu, z cichym szelestem ześlizgnął się wolno po wszystkich wypukłościach młodego, kobiecego ciała. Stała przed Jaśkiem, jak ją ulepili Bogowie. W samym jedynie wianku na głowie, okryta gdzieś kaskadą smolście czarnych, długich włosów. Trwali naprzeciw siebie, a chwila rozciągała się jak prastary bór dokoła. Tak, pragnęła go zawstydzić - tego wielkiego, starszego chłopaka, który gdyby chciał, gdyby tylko chciał... ale nigdy nie chciał. Podobało jej się to w nim - jaki był zależny. Oczekiwanie jednak przeciągnęło się nadto, co z każdym uderzeniem serca doskwierało dziewczynie coraz bardziej. Już prawie nie mogła go znieść; już zaczynała pąsowieć, jak Jaśko, i miała zerwać z ziemi okrycie, a potem czym prędzej uciec.

Wtedy nagle chłopak się ruszył. Wcałe nie wstydliwie. Nie zachowawczo i ostrożnie, jak robił wszystko zawsze. Sięgnął po nią, jakby od dawna należała do niego.

Owinął mocne ramię wokół jej wątej kibici i przygarnął ją do siebie. Zmusił, by stanęła na palcach i ponownie zbliżyła twarz. Pocałunki, którymi ją obsypał, również nie były delikatne - kochające, jak je sobie wymarzyła - a głodne. Spragniony ich Jaśko smakował ją całym sobą - czuła to w każdym dotyku. A kiedy przewrócili się na miękkie leśne poszycie, ona chłonęła jego. Nie przeszkadzało jej, że nie było tak, jak to sobie wyśniła. Że Jaśko nie był w tych sprawach nieśmiały, tak jak nieśmiały był we wszystkich innych, bo kiedy jego spodnie spadły obok porzuconej sukni, Tomiły nic już nie obchodziło. Nie było też już niczego. Zniknęły drzewa i krzewy, grające świerszcze, śpiewający kos - zniknął las. Przepadło słońce ze swym ciepłem i niebem, na którym wisiało. Nawet ziemia pod nimi odleciała wraz z wiatrem gdzieś w siną dal. Zostali tylko oni, choć nie byli już Jaśkiem i Tomią, bo ich imiona przepadły wraz ze wszystkim innym dookoła. Byli mężczyzną i kobietą. Byli całym światem.

Tylko ich dwoje - ona i on - oraz wianek, który ich połączył.

\* \* \*

Ognie płonęły wysoko, a stoły uginały się od jadła i napoju, kiedy grupa młodych kobiet zapaliła pochodnie, po czym skierowała się w stronę rzeki. Chłopcy bez niczyjej zachęty odchodzili od stołów, ale choć rękawami ocierali tłuste od pieczystego usta, to wszyscy oczy mieli głodne, gdy jeden po drugim ruszali w dół rzeki, po drodze również zabierając ze sobą pochodnie.

W końcu wszystko było na miejscu. Młode kobiety, śpiewając wspólną melodię, stawały po kolana w wodzie niedaleko nabrzeża, na którym płonęły ogniska, i niespiesznie ściągały z głów wianki. Kładły je potem na wodzie i trzymały jeszcze chwilę, unoszące się w wartkim

nurcie. Zadzierają głowy, próbując przebić wzrokiem ciemność, by dojrzeć odległe bystrzyny, gdzie tańczyły ogniki pochodni. Każda zastanawiała się, czy jej wianek popłynie w kierunku odpowiedniego chłopca – tego wybranego, wymarzonego, do którego posyłała swe serce. A potem rozwierzały palce, w duchu mając nadzieję, że ich wianek wyłowią właściwe ręce.

W dole rzeki nikt już nie śpiewał. Junacy trzymali pochodnie jak najwyżej nad głowami, starając się zarzucić krąg światła jak najdalej, niczym sieć rybacką, tak by mieć szansę pochwycić tę wiankę, którą upatrzili sobie jeszcze podczas uczt.

Słychać było szmer nurtu prześlizgującego się po obłych skałach. Niesiony przezeń dziewczęcy śpiew. Rozgrzane oddechy i skrzypiące pod pełnym niepokojem naciskiem drewno pochodni.

– Mój! – ryknął Mścisław i runął w stronę pierwszego wianka, który pojawił się na widoku.

– Juści! – odrzyknął Bożydar, ciskając pochodnią w bok i dając nura w wodę.

Wianki jęły teraz pojawiać się jeden po drugim. Zaroiło się od nich, a chłopcy rzucali się po nie jeden przez drugiego, jak ukleje na mieliznie. Część zdążyła już zapomnieć o wypatrywaniu tego jedynego i upragnionego. Teraz liczyło się dla nich tylko jedno – nie zostać z pustymi rękoma.

Inaczej było z Jaśkiem. Ten stał pośrodku całego rozgardiaszu i strzelał oczyma to tu, to tam; w ciszy i skupieniu szukając tego, po co przyszedł. Coraz mniej wianków pojawiało się w blasku nielicznych pochodni, które uniknęły zatopienia. Część chłopców stała już na trawie, wykrzykując kąśliwe uwagi pod adresem tych, którzy wciąż tkwili po kolana w zimnej wodzie. Nagle Jaśko ruszył wolno i podszedł ku tym pierwszym.

– Patrzcie go! Poddaje się! – krzyknął ktoś. – Nawet czekać mu się już odechciało!

– Może znowu będzie uciekać!

Jaśko nie zatrzymał się jednak ani nawet na nich nie spojrział. Już dochodził do brzegu, gdy skręcił nieoczekiwanie i ruszył w dół biegu rzeki. Po kilku krokach schylił się i z przybrzeżnych szuwarów wyłuskał wianek. Uśmiechnął się do niego szeroko, zadowolony z siebie, i ruszył wraz z resztą chłopców z powrotem w kierunku ognisk. Nie odważył się jednak iść z nimi ramię w ramię, a i oni, chociaż przestali mu dokuczać, nadal odganiaли go od siebie i łypali nań krzywo. Został więc kilka kroków z tyłu. Uśmiech jednak nie schodził mu z twarzy.

Nagle poczuł, że ktoś szarpnął go za mokrą koszulę. Jaśko zgubił krok, o mało nie wypuszczając wianka z rąk. Odwrócił się wolno, bojaźliwie. Za nim stała dziewczyna. Przyjemnie rumiana, o miękkich, pełnych mimo młodego wieku kształtach i okrągłej buzi skrytej za kaskadą jasnych fal długich włosów.

– Jaśko – szepnęła Milena delikatnie, zerkając w stronę pozostałych chłopaków. – Wyłowiłeś mój wianek, Jaśku. Jak się cieszę!

Chłopak na zmianę otwierał i zamykał usta, a oczy rozwarły mu się w zdumieniu.

– Nie wstydz się mnie, Jaśku – kusila niskim, cichym głosem. – Chodź ze mną w gęstwinię, dziś Kupalnocka...

Chociaż był od niej nieco starszy, to najpewniej mniej doświadczony, zawsze troszkę zagubiony, czym ją niezmiernie rozczulał – jej nieśmiały Jesieniek. Taki duży, silny i ładny, a zupełnie bezbronny. Spodziewała się, że być może długo będzie go musiała kusić, przekabacać i prosić. Myślała, że wolno i subtelnie wprowadzi go w ten ekscytujący świat. Jednak nic z tych rzeczy. Jaśko w gnieniu oka chwycił ją i przyciągnął do siebie. Zanim Milena zrozumiała, co się dzieje, jego usta przykryły jej, język znalazł się w środku – niecierpliwy, spragniony. Zupełnie jak dłonie chłopaka – jedna z nich owinęła się wokół talii, a druga złapała za pierś.

– Och! – Milenie wyrwało się ni to westchnienie, ni to jęk. – Och, Jaśko!

Spojrzała na niego zaskoczona, ale szczęśliwa. Chwyciła go mocniej, odważniej.

– Jaśko... – szepnęła.

Chłopak jednak ani myślał czekać, co mu powie. Pociągnął ją do boru, jak chciała. Pośród ciemności nocy i pohukiwania sów, gdzie w ukryciu swe płatki rozwijał już kwiat paproci. Milena wyobraziła sobie, że też jest tym kwiatem, że otwiera się na swego wybranka, obdarowując go skarbami – ciepłem i rozkoszą. On zaś niepomny na niebezpieczeństwa, ból i trud, zrobi wszystko, by do niej dotrzeć, a potem zabrać ją do domu. Do ich domu.

Mrok nocy stał się ich sprzymierzeńcem – spowalniał łaknienie, wyostrzał zmysły, zmuszał do ostrożności. Pozbawieni wzroku oglądali się za pomocą dotyku, węchu, smaku. Poznawali się łapczywie, głodni siebie nawzajem. Zasluchani we własne oddechy i westchnienia, głuchli na szmery nocy oraz odległe wołanie biesiady. Trwali zawieszni pomiędzy jawą i snem, światłem i ciemnością, codzienną rzeczywistością a magią Kupalnicki, której urok rósł z każdą ciągnącą się wiecznie chwilą.

Żadne z nich nie kontrolowało już tego, co się z nimi działo. Ciała reagowały instynktownie, w najstarszym ze wszystkich odruchów. Smukłe palce same wbiły się w uwolnione od mokrej koszuli szerokie plecy. Odzienie dziewczyny gdzieś zniknęło, nie wiedziała kiedy ani gdzie – tak zatraciła się w marzeniach i w...

– Och, Jaśko! – tym razem jęknęła z całą mocą. – Jaśko! Jaśko!

Jaśko nie odpowiedział, zbyt zajęty odnalezionym właśnie kwiatem paproci.

\* \* \*

Tomila nerwowo poruszała się od stołu do stołu, wypatrując Jaśka. Kręciła się po całym uczcie, czas mijał, a nie mogła nigdzie dostrzec swojego wybranka, pomimo że wszyscy inni chłopcy dawno już wrócili.

– Tu jesteś! – Mściśław wyrósł przed nią jakby znikąd. – Mam twój wianek.

– To nie mój! – pisnęła dziewczyna.

– Nawet na niego nie spojrziałaś! Przypatrz się dobrze! – powiedział, podsuwając jej go przed twarz. – Wiem dobrze, że twój, bo na niego właśnie żem polował!

Tomila spuściła wzrok na mokre kwiaty, przygryzła wargę.

– Wcale że nie mój! Ktoś mi powiedział, że mój wyłowił Jaśko!

– Jaśko Niemowa?! – zarechotał junak. – Juści! Nawet jeśli, to lepiej chyba ci powiedzieć, że ten jest twój?

Tomila nie odpowiedziała.

– No chyba że ty byś Jaśka chciała, co, Tomiło? Chciałabyś go? Może za męża od razu?

Dziewczyna nadal milczała jak zaklęta, zastanawiając się gorączkowo, co ma zrobić i powiedzieć, kiedy nagle z opresji wybawiła ją przyjaciółka.

– A ja coś wiem! – krzyknęła Ścibora i czknęła głośno. – Wiem i nie powiem!

Zachwiała się i złapała sukni przyjaciółki.

– Co wiesz? Gadaj – parsknął w jej stronę Mściśław.

Dziewczyna energicznie pokręciła głową i zacięła usta.

– No gadaj!

– Mówże, Ściboro – ponagliła ją Tomiła, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

Na ten wspólny front podchmielona dziewczucha zabezpiezała jak koza.

– Widziałam, jak Jaśko z Mileną w chruśniak umknęli! A obłapiali się przy tym, aż miło! – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu i znów ryknęła śmiechem.

Chłopak stojący naprzeciwko zawtórował jej nieśmiało.

– Nie przywidziało ci się, co?

– Nie! – krzyknęła niepotrzebnie głośno. – Jak tylko puściłam wianek, to pogałam zobaczyć, kto go wyłowił. Ale po drodze mi się zachciało... to poszłam w krzaki i wszyscyście akurat wracali. To pomyślałam, że poczekam, aż przejdziecie. Jaśko snuł się na końcu i tam go Milena zdybała, a potem już... – Dziewczyna wykonała serię cmoknięć i siorbnięć, po czym raz jeszcze zaczęła rechotać.

Dla Tomiły to było za wiele. Odepchnęła przyjaciółkę, przemknęła obok Mściśława, przebiegła pomiędzy stołami i w pełnym pędzie wpadła w ciemny las. Wróciła jednak niedługo, w czasie krótszym niż potrzeba, by wypić kubek miodu. Przed nią zaś wróciła Milena.

Pulchna blondyneczka wypadła z lasu, jakby ją biesy ścigały. Włosy miała potargane, suknię obleczoną tył na przód, ale pędziła ze wszystkich sił. Tomiła była tylko kilka kroków za nią. W biegu łapała ze stołów dzbany, misy, talerze, wszystko, co było pod ręką, i ciskała za umykającą dziewczyną wraz ze stekiem przekleństw, które znać mogła tylko córka szewca. Gawiedź, z początku zszokowana, szybko powitała nową atrakcję, tupiąc, klaszcząc i skandując imiona – część ścigającej, część uciekającej.

W końcu Milena przewróciła się o rąbek własnej sukni i Tomiła wylądowała prosto na niej. Dziewki chwyciły się za włosy, targaly za ubrania, drapały, syczały i kopały niczym dwie kotki. Gdzieś zawiął się rąbek sukni – błysnęły blade udo i kawałek pośladka. Opadło ramiączko, uwalniając z uścisku pełną pierś. Tłum chłopców zawył w zachwycie, dziewczęta zapiszczały, a dwie dziewczki prały się dalej, nie zważając na nic.

Na to wszystko przyszedł Jaśko. Stał w środku całego rozgardiaszu, ręce rozkrzyżował, głowę rozdziawił i... tak stał bez ruchu, aż w końcu ktoś go dostrzegł.

– Patrzenie go! – zaczęła zawodzić Ścibora. – Jaśko Niemowa! To o niego się biją! Swatać się z nim będą!

Cała młodzież na nabrzeżu ryknęła gromkim śmiechem. Walczące dziewczęta skamieniały w jednej chwili, a Jaśko dalej ni ręką, ni nogą nie ruszył, jeno stał i gębę na zmianę zamykał i rozdziawiał.

– No powiedz co, Jaśko! – zakpił Mścisław. – Którą chcesz na żonę? Tomiłę czy Milenę?!  
Palcem nam chociaż pokaż, zaraz wam swaćbę urządzimy.

Na te słowa obie wymienione z imienia dziewczęta skoczyły na równe nogi i pędem puściły się do wioski, w biegu poprawiając odzienie. Jaśko stał tam natomiast tylko chwilę dłużej, nim pojał, co się stało, i czmychnął w drugą stronę – hen, w ciemny las.

\* \* \*

Mijały tygodnie. Chociaż we wsi rzadko widywano któreś z trójki młodych ludzi, nie schodzili oni z języków wszystkich mieszkańców. Ich historia z nocy Kupały miesiącami była źródłem wesołości przy każdym większym spotkaniu, powtarzana już aż do znudzenia. Jednak od lat nic równie ciekawego ani zabawnego nie stało się w okolicy, więc ludziska żyli przypadkiem Tomiły, Mileny i Jaśka, jeszcze kiedy lato ustąpiło już jesieni, a dni zaczęły być coraz krótsze i chłodniejsze.

Ślota na dobre zagościła w opolu, gdy pewnego wieczora Milena pojawiła się na progu chatki stojącej pod lasem, daleko od wszelkich innych zabudowań. Z wahaniem kilka razy uniosła pięść i kiedy już miała odwrócić się i odejść, wreszcie zebrała się na odwagę, trzykrotnie uderzając w drzwi.

– Kto tam? – rozległ się ze środka mocny, kobiecy głos.

– Milena – odparła słabo.

W środku nastąpiło poruszenie. Coś zaszeleściło. Coś spadło, ktoś syknął:

– Nie wpuszczaj jej... murwy jednej!

– Tomiła?! – Milena poczuła, jak krew się w niej gotuje, a wcześniejsza nieśmiałość pryska w jednej chwili. – To ty, ładaczniczo?!

Drzwi otworzyły się nagle. Stała w nich kobieta – nie stara, nie młoda, nie brzydka, nie ładna, nie wysoka i nie niska – byłaby przeciętna nad miarę, gdyby nie strój pozszywany z przypadkowych skórek, rozczochrane włosy, przetykane tu i ówdzie przedwczesną siwizną, oraz poskręcany kostur w dłoni.

– Wiedząca... – szepnęła Milena, spuszczać wzrok.

– Spokój ma być – odszczeknęła kobieta zdecydowanie. – Jak mi się za łby weźmiecie, obie na zbity pysk wyrzucę. Zrozumiano?

Milena kiwnęła głową, Tomiła chrząknęła gdzieś za jej plecami.

– Zrozumiano?! – powtórzyła wiedźma jeszcze ostrzej.

– Tak, Wiedząca... – odparły obie dziewczyny.

Kilka chwil później siedziały obok siebie na chybotałej ławie, sącząc gorący napar i rzucając sobie nawzajem kose spojrzenia.

– Mówcie zatem – zniecierpliwiła się w końcu kobieta. – Czego chcecie?

Dziewczęta zerknęły jedna na drugą, żadna jednak nie przemówiła.

– Nuże! Nie mam ochoty siedzieć z wami w milczeniu całą noc.

Wiedząca trzasnęła glinianym kubkiem o stół. Wyraźnie była bardziej nie w sosie niż zazwyczaj.

- Chcę tego, coś mi już wcześniej obiecała! - odezwała się śmielsza Tomiła, również zamasyżuje odstawiając naczynie z naparem. - To, za com już zapłaciła.

- Ja również! - zawtórowała jej Milena.

Obie w nagłej chwili zrozumienia obróciły się ku sobie, zaskoczone.

- Czy ty...?

- A ty...?

- Tak, tak - przerwała im kobieta. - Obie chciałyście tego samego. Obie przyszłyście do mnie przed Kupałnocką, bym rzuciła czary na waszego Jaśka, tak by był wasz. No i był. Obu! - Wiedząca zachichotała parszywie.

- Ale ja go chciałam na zawsze, nie na raz! - zaprotestowała Tomiła.

- Jako i ja! - zawtórowała jej Milena.

- O tym mowy nie było! - sprzeciwiła się Wiedząca. - Każda go chciała, każda go miała! Co wam więcej trzeba?

- Korzec owsa wam za niego dałam, tuzin suszonych ryb i pół garści soli! Drogo jak na raz! - zaprotestowała Tomiła.

- A ja dwa pudy miodu i owieczkę! Drogo jak na raz! - poskarżyła się Milena.

Wiedźma zerwała się z zydła, twarz miała zacięta, nabiegłą krwią.

- Niech wam będzie! Niech będzie, że drogo! Tak go chcecie?! To macie!

Podeszła wartko do kotary, za którą stało łoże. Odsunęła ją szybkim ruchem, ukazując oczom dziewczyn stojącego tam, struchlałego Jaśka.

- Jaśko! - krzyknęły obie panny.

Jaśko wbił wzrok w ziemię. Ręce schował za plecami. Dziewczyny dopadły go w dwóch susach. Każda chwyciła za ramię i zaczęły gadać jedna przez drugą.

- Jaśko, tęskniłam...

- Jaśko, jak mogłeś...

- Jaśko, potrzebuję cię...

- Jaśko, musimy...

- Jaśko!

- Jaśko!

- Cisza! - zawyla Wiedząca. - Cisza, bo zmysły postradam. Powiedz im, Jaśko! Powiedz, zanim cię na pół rozedrą! Niech im prawda trochę krew ostudzi.

Panny spojrzały na siebie, potem na Jaśka, a na końcu na wiedźmę.

- Jak on ma nam co powiedzieć?

- Przecie Jaśko mówić nie umie.

- Umie, umie... Gadaj no. Nuże, Jaśko!

Chłopak poczerwieniał na gębie jak burak, rozdziawił usta, nabrał tchu, aż mu wydęło bebecch...

- Ja... ja... ja... chcia... chcia... chcia...



– O Bogowie! – pisnęła Tomiła. – On wcale nie jest niemowa!

– Gorzej! – wrzasnęła Milena. – Jąkała!

– Jaśko Jąkała! – krzyknęły obie i go puściły.

Jaśko tylko spuścił głowę, a jego jasne loki litościwie opadły mu na czerwoną twarz.

– To ja wam powiem, co by na jąkanie czasu nie trawić – odezwała się po chwili ciszy Wiedząca. – Nie wydawało wam się nigdy dziwne, że żadna z was nie chciała Jaśka aż do tej Kupalnocki? Żeście go wcześniej unikały, a w tym roku zapragnęły?

Obie wyprostowały się nagle, a ich oczy rozszerzyły się niespodziewanie.

– Jaśko odwiedził mnie na parę dni przed wami – podjęła kobieta. – Nie przyszedł prosić o to, bym rzuciła czar na konkretną dziewczkę, ale o to, by go zechciała jakaś, jakakolwiek. No i widać padło na was obydwie.

Dziewczyny spojrzały znów po sobie, ich oddechy przyspieszyły. Ręce zaczęły się pocić. Nagle jednak Tomiła odwróciła się raptownie.

– Bzdura! – krzyknęła. – Drogie są twoje czary, a wszyscy wiedzą, że Jaśko to gołodupiec. Czym ci niby zapłacił?!

Wiedząca uśmiechnęła się pod nosem, wspierając dłoń na biodrze.

– Ja też jestem kobietą... Mam swoje zachcianki – mruknęła. – Dał mi jedyne, co miał.

– Wiedząca... – wtrąciła się bojaźliwie Milena. – Co Jaśko tu w ogóle robi?

Kobieta podeszła do całej trójki. Coś się jednak zmieniło – szła wolno, kołysząc biodrami, nie spuszczając oczu z chłopaka. Zatrzymała się przy nim na wyciągnięcie ręki. Odgarnęła mu włosy z twarzy.

– Jak już chłop raz zakosztuje tego miodu, to zawsze jest go głodny – odpowiedziała, dalej nie patrząc na dziewczętą. – Jaśko przychodzi tu do mnie dość często. Czasem go przegonię, a czasem wpuszczę.

Przez długi czas w chacie słychać było tylko trzeszczenie starych desek i wiatr na zewnątrz.

– To bez znaczenia! – Tomiła tupnęła nogą. – On mi jest potrzebny!

Dziewczyna jedną ręką znowu złapała Jaśka za ramię, a drugą przycisnęła do brzucha.

– Mnie bardziej! – krzyknęła Milena, naśladując jej gesty.

Teraz dopiero można było dostrzec pod materiałem luźnych sukni dwa wyraźnie zaokrąglone brzuszki. Na ten widok Jaśkowa szczęka opadła, tak że mało nie walnęła o podłogę. Chłopak targnął się nagle, kierując spłoszony wzrok na Wiedzącą.

– Cóż, siostry... – odrzekła kobieta, również kładąc dłoń pod sercem. – Wychodzi na to, że Jaśko wszystkim nam jest tak samo potrzebny.

\* \* \*

Zima przeleciała nie wiadomo kiedy. Ludziska schowali się przed nią w ciepłe chałupy i nie wyściubiali nosów poza progi, chyba że było to absolutnie konieczne. Zresztą miało ich tego roku co zabawiać w długie, mroźne noce. Godzinami snuli domysły, co dzieje się za drzwiami małej chatki na brzegu lasu, gdzie mieszkały cztery osoby. Trzy okrągłutkie panny i jeden chłop.

Wiosna przybyła wcześniej i wszyscy wrócili do życia, chociaż każdy, kto znalazł się na północnym kraju opola, rzucał ciekawe spojrzenia w stronę chybotliwej budowli, mając nadzieję uchwycić jakiś ruch, cień choćby jednego z domowników. Mieszkańcy wsi nie chodzili tam jednak. Nie pytali, nie zadawali się z nikim z małego domku. Jedynie patrzyli z daleka i szeptali po kątach.

Wiosna ustąpiła miejsca dla lata, chociaż noce wciąż bywały chłodne. Po raz kolejny wolno zbliżała się Kupałnocka. Jaśko stał przed chałupką i rąbał drewno. Niewiele zostało z jego potężnych mięśni. Skóra wisiała na wystających kościach jak stara koszula na strachu na wróble. Oczy – niegdyś błękitne i bystre – były podkrążone i przekrwione od nieprzespanych nocy.

– Jaśko! – Tomiła wyszła przed chałupę, trzaskając drzwiami. – Gdzie to drewno?! Maluchy marzną!

Jaśko uciekł wzrokiem na bok. Tam jednak z małej obórki wychynęła nagle Milena, niosąc kurę na rękach.

– Jaśko! – krzyknęła na jego widok. – Miałeś naprawić zagrodę! Kury pouciekały!

– Jaśko! – wrzasnęła Wiedząca, która wychynęła zza węgła. – Miałeś mi przyjść pomóc! Co się tak guzdrzesz?!

– Jaśko! – pisnęła znowu Tomiła. – Najpierw drewno.

– Nie, Jaśko! Kury – zawtórowała jej Milena.

– Chodźże już mi pomóż, Jaśko!

Jaśko tylko strzelał w kółko oczami od jednej do drugiej, do trzeciej, aż mu się zakręciło w głowie. Wtedy cisnął siekierą o ziemię, obrócił się na pięcie i puścił biegiem w bór.

– Jaśko!

– Jaśko!

– Jaśko!

Krzyczały za nim, ale Jaśko już ich nie słuchał. Biegł, biegł i biegł, aż przestał je słyszeć nawet w pamięci.



## JACEK PELCZAR



To niespokojny duch, który przez całe życie szuka swojego miejsca na świecie. Były kierowca ciężarówki, tłumacz, drwał, agent ubezpieczeniowy, barman, mechanik, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny, operator sprzętu ciężkiego, opiekun zwierząt, klucznik garderoby szkoły wiedźminów, urzędnik. W całym wirze życia nie zmieniły się u niego tylko pasja do historii Słowian i wikingów, która tkwi w nim od czasów liceum, gdy zaangażował się w ruch rekonstrukcji historycznej, oraz miłość do literatury. Oba te koniki idą ze sobą ramię w ramię od lat studiów na kierunku filologii słowiańskiej i tak już chyba zostanie, bo Jacek nie potrafi przestać pisać. Publikował wcześniej w zinach SOFA, Biały Kruk, Histeria, magazynie „Gniazdo – rodzima wiara i kultura”, oraz antologiach: „Słowiański Horror”, „Tabu2”, „24.02.2022”, „Tryzna”.

**Graham Masterton, Karolina Mogielska - Pan  
Nikt**



GRAHAM MASTERTON    KAROLINA MOGIELSKA

# PAN NIKT

- VII -

Dopiero kiedy dziób ich łódki uderzył w pływającą kłodę, do Marcina i Bogusława dotarło, że to wcale nie kłoda, a ludzkie zwłoki dryfujące twarzą w dół.

– Słodki Jezu! – zawołał Bogusław, zwijając linkę na kołowrotek z gniewnym brzęczeniem. Marcin wysunął wiosła z toni i ułożył je na siedziskach. Następnie wyciągnął ramię, by chwycić przesiąkniętą szarą marynarkę i przetoczył topielca na plecy. Mężczyzna był tak napuchnięty, że podskakiwał na powierzchni jak gumowy ponton.

Widok jego twarzy wywołał w Bogusławie torsje. Przycisnął dłoń do ust. Oczodoły trupa były wypełnione wodą, skóra na policzkach zaś wzdęła się niczym placek z kruchego ciasta.

Nawet gdyby znali tego człowieka od dzieciństwa, i tak by go nie zidentyfikowali. Większość jego nosa i warg pożarły szczupaki i sumy licznie żyjące w bodzentyńskim stawie – uszy zresztą też – przez co jego twarz przypominała odrażającą halloweenową maskę.

– Jak myślisz, kto to? – zapytał Bogusław. Ledwo przeciskał słowa przez ściśnięte gardło.

Marcin wolno pokręcił głową.

– Pojęcia nie mam, Bogusławie. Zielonego. Ale na pewno ktoś.

\* \* \*

– No? To kim jest ta bździągwa? – zażądała Anna głosem piskliwym z niedowierzania. Wyrwała wtyczkę ładowarki z telefonu męża i rzuciła go z trzaskiem na stół. – Co to za gówniara?! – Odważyła się powtórzyć pytanie, mimo że serce waliło jej boleśnie w piersi, a podłoga zdawała się usuwać spod stóp. – Ile ma lat, szesnaście? Naprawdę tak nisko upadłeś, że zacząłeś flirtować z nastolatkami?!

Paweł ledwo co wszedł do salonu, niosąc pudełko pizzy z podwójnym serem i salami oraz puszkę tyśkiego. Zamarł, po czym rzucił swój obiad na stół, spoglądając na telefon, na Annę i z powrotem.

Przez kilka sekund się nie odezwał. Od pół roku związek Pawła z Anną staczał się po równi pochyłej, więc jego normalną reakcją było odwarknąć coś, gwałtownie i agresywnie. Nie tym razem. Tym razem, sądząc po jego wahaniu oraz tym, że unikał jej wzroku, Anna przysięgłaby, że nie tyle się rozgniewał, co przeraził. Jak gdyby odsłoniła jego mroczną stronę i obawiał się konsekwencji.

– A zatem? – domagała się, choć prawie zabrakło jej tchu.

– Wychodzę na pięć minut, a ty już przetrzepujesz mi telefon – odparował Paweł. – Jakim, kurwa, prawem? Zobaczyłaś tam coś podejrzanego, okej, ale to nie to, co myślisz. Wkręcasz sobie po prostu tę samą fazę, co kiedyś, nie? I ty się dziwisz, że nie szanuję cię ani ociupinkę! Zgadnij czemu? Bo nie zasługujesz na szacunek, Anno! Jesteś nikiem! Dociera? Niczym, kochanie! Nikim!

– Ojej, to nie to, co myślę? – odgryzła się Anna. – Czyli nie napisałeś jej, że ten zadarty nosk jest słodziutki? I że podnieciłeś się, kiedy twerkowała na imprezie swojej siostry! Boże Przenajświętszy, Paweł, obiecałeś zabrać ją na piwo! Masz trzydzieści osiem lat! Ty obleśny zbroczeniu! Zbiera mi się na wymioty, jak na ciebie patrzę!

Paweł spuścił wzrok na podłogę, jakby podejmował decyzję, po czym podszedł do niej i bez słowa dzielił z liścia, mocno, niemal ją obalając. Ognista eksplozja omiotła lewy

policzek Anny i przez koszmarnych parę sekund nie potrafiła uwierzyć w to, co zaszło. W jednej chwili wrzeszczała na Pawła o jego próbie uwiedzenia nastolatki, w następnej stała pośrodku salonu, przyciskając dłoń do twarzy, czując pulsujący ból.

– Może teraz zamkniesz ryja! – warknęła na nią Paweł. – Od tej pory wara od mojego telefonu, jasne? Chyba że oboje mamy bawić się w tę gierkę i zaraz to ja przejrzę twoją komórkę i twój e-mail. Chciałabyś? Zaufaj mi, kotku, lepiej dla ciebie, żebyś mnie nie oceniała, skoro tak przeceniasz siebie. Dość!

Anna nie odpowiedziała. Widziała po sposobie, w jaki dreptał w miejscu – skomplikowany mały taniec – że wstyd mu za to, co zrobił; nie dlatego, że nie zamierzał jej skrzywdzić, ale dlatego, że w jego mniemaniu nie była warta wysiłku. Niestety, upokorzyła go, odkrywając tamte wiadomości i zasłużyła sobie na to.

Samotna Iza ześlizgnęła się po jej policzku, mimo że usilnie starała się nie rozplakać. Gdyby to zrobiła, dałaby mu do zrozumienia, że boi się jego ciosów. Nie bała się. Zamiast tego targały nią bezradność i duszność, i kompromitacja.

Drżała i patrzyła z niedowierzaniem, jak Paweł uwała się na podniszczonej kanapie obitej skajem, z butem na purpurowej poduszce, której poszewkę Anna wyszyła własnoręcznie. Skierował pilot na odbiornik i włączył telewizor, po czym otworzył piwo, pociągnął łyk i zaczął rozrywać pizzę zębami niczym głodny wilk.

Anna zastanowiła się, jaki normalny mężczyzna, po uderzeniu kobiety w ten sposób, potrafiłby jeść i oglądać telewizję, jak gdyby nic nie zaszło?

Ta oraz setki jeszcze bardziej oszałamiających myśli krążyły jej po głowie, kiedy otworzyły się drzwi frontowe i matka Pawła, Halina, wkuśtykała do środka – bez zapowiedzi i bez pukania, czyli norma.

– Przyniesłam ci piwka, Pawełku! – zaskrzeczała, unosząc czteropak żubra. – Hej, coście się nasrożyli, co? Nie mówta mi, żeśta się znowu poprzytkali! Ha, wim o co! Franca znowu nie poprała gaciów, co? Czy koszul nie odprasowała? Śmierdzący leń, całymi dniami siedzi z gałami w telefonie!

Przysadzista kobiecina zerknęła na Annę z kpiącym uśmieszkiem, jednym okiem, usiłując ją sprowokować, by się bronila. Z niedbałym szarym kokiem przywodzącym na myśl drucianą szczotkę oraz podartą chustą na ramionach przypominała Annie wiedźmę z baśni braci Grimm. W przeciwieństwie jednak do czarownicy z *Jasia i Małgosi*, od czekoladek i pierników wołała wódkę.

– Stul pysk, durna krowo, i wypieprzaj stąd, mamol! – odciął się Paweł z pełnymi ustami. Zazwyczaj zapraszał matkę, żeby usiadła i napiła się z nim kielona czy pięc, lecz dzisiaj najwyraźniej nie był w nastroju.

Przez chwilę Annę obmyła fala ulgi, jak dawniej, gdy wstawał się za nią, na początku znajomości. Halina prychnęła z pogardą, owinęła się mocniej chustą i wykuśtykała z domu, zatraskując za sobą drzwi. Kiedy wyszła, Anna zastanowiła się nad tym, jak nisko upadła. Serio poczuła wdzięczność do Pawła, że zwyzywał własną matkę, tylko dlatego, że ona wyzywała ją dzień w dzień?

Nie po raz pierwszy uznała, że najlepiej będzie się wyprowadzić. Ale dokąd by się udało w ten wczesnoletni wieczór? Do hotelu? Kilka noclegów uszczupliłoby do zera jej mizerne



oszczędności, przetrzebione po tym, jak pomogła Pawłowi spłacić długi. Do przyjaciółki, Oli? Ola oczekiwałaby, że Anna powierzy jej wszelkie swoje tajemnice, a nie czuła się na siłach, by przyznać, jak tragiczną pomyłkę popełniła, wychodząc za Pawła. A nie potrafiła znieść myśli o tym, że wkrótce owinie swoje życie folią bąbelkową i zapakuje je do kartonowych pudeł, próbując udawać, że przeszłość się nie wydarzyła.

Pawła poznała mniej niż dwa lata temu. Leczyła właśnie złamane serce po swojej pierwszej prawdziwej miłości do Krzysztofa, która trwała przez dwanaście lat i skończyła się nagle i wybuchowo. Na wczesnym etapie związku Krzysztof wydawał się ideałem. Pracował jako wykładowca. Oczytany, obyty i dowcipny. Niestety, cechował go krótki lont. Z czasem jego napady gniewu stały się coraz częstsze i coraz mniej rzeczowe.

Któregoś razu strącił ze ściany zabytkowy zegar z kukułką, gdyż drewniany ptaszek ośmielił się zastać go w paskudnym nastroju. Wydzierał się na sąsiada za palenie na klatce, a raz nawet na kasjerkę, która wydała mu o dwa złote za mało. Wystarczyła iskierka i już się odpałał.

Krzysztof nigdy nie uderzył Anny, ale Anna zawsze była spontaniczna i nieco chaotyczna, więc jakiegokolwiek oznaki bałaganiarstwa równały się kłótni. Jego niekontrolowane ataki i ciągle warczenie na prawo i lewo doprowadziły do tego, że pewnej nocy obudziła się z sercem w gardle. Zawał stanowiłby znakomitą kulminację schorzeń: chronicznego braku apetytu i wrzodów na żołądku. Spakowała więc dwanaście lat wspólnego życia do dwóch tanich toreb podróżnych, wojskowego plecaka i dwóch worków na śmieci i zostawiła go.

Jej znajome zauważyły, że podczas związku z Krzysztofem Anna utraciła blask w swych zielonych oczach barwy perydotytu. Łatwo się rozpraszała, strzelała na boki oczami i często przygryzała wargę. Straciła niemal doszczętnie duszę artystki, poczucie humoru oraz własnej wartości. Rysowała kiedyś zabawne kreskówki z udziałem Królika Wojtka, lecz od lat nie pojawiły się nowe. To nic śmiesznego – egzystować w ciągłym strachu przed tym, kiedy ktoś znów na ciebie krzyknie.

Po opuszczeniu Krzysztofa Anna wprowadziła się do wolnego pokoju u rodziców i spędzała większość wolnego czasu oglądając programy w telewizji albo czytając. Zdarzało się, że wpatrywała się w jedno miejsce w książce przez pół godziny. W któryś weekend koleżanki wyciągnęły ją na miasto. Spotkały się w ulubionej restauracji, Słonecznej Werandzie, gdzie zamówiły gigantyczną hawajską pizzę i parę butelek lokalnego wina zwanego Emeryk XVI.

Po trzech czy czterech lampkach Annie wrócił dobry humor, zwłaszcza że przebywała wśród przyjaciółek. Rzadko tyle piła do posiłku, niemniej ten wieczór okazał się dużą ulgą od czytania, telewizora i samotności. Zaczęła opowiadać kawały, wybuchała śmiechem raz po raz, a do toalety ruszyła wręcz tanecznym krokiem.

Jej zachowanie dosyć szybko przykuło uwagę mężczyzny w znoszonej szarej marynarce pijącego piwo przy barze. Uśmiechał się za każdym razem, gdy ona się uśmiechała i ewidentnie fascynował go sposób, w jaki potrząsała swoimi złocistymi lokami, kiedy się śmiała. Obserwował znad obrzeża kufła, jak tańczy do toalety i z powrotem, lecz nie podjął się wtrącania pomiędzy rozchichotane dziewczęta. Później powiedział jej, że kiedy ją

pierwszy raz zobaczył, przypominała mu niegrzecznego aniołka. Nie wierzył, że taka kobieta zerknęłaby choć kątem oka na faceta jego pokroju.

Dlatego właśnie dopił piwo i wyszedł z restauracji nie odwracając się, by na nią spojrzeć.

\* \* \*

Dwa dni później Annę obudził dźwięk powiadomienia na Facebooku. Zmarszczyła brwi. Otrzymała wiadomość od Pawła Maciuszka, którego nie знаła. Napisał: „Często wpadasz do Słonecznej Werandy? Może wybralibyśmy się tam razem któregoś wieczoru? Trochę smętnie się pije i je w pojedynkę, nie zlitujesz się?”.

Anna zazwyczaj nie odpowiadała na podobne zaczepki, mimo że dostawała je często. Ustawiła sobie dosyć prowokujące zdjęcie profilowe. Zrobiono je o zachodzie słońca na polu w Węgrzynie. Wiatr igrał w jej loczkach, a sweter odsłaniał ramię – i przy okazji ramiączko stanika.

Jednak, odkąd odeszła od Krzysztofa, doskwierały jej samotność, znużenie i żal do siebie. Zaproszenie tego całego Pawła brzmiało intrygująco. Słowo „smętnie” poruszyło w niej aż nazbyt znajomą nutę. W związku z czym odpisała mu.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy w restauracji, Anna natychmiast spostrzegła, iż Paweł jest nią urzeczony. Nie odrywał od niej wzroku i bez przerwy się uśmiechał, jak gdyby właśnie wygrał na loterii. Zaskoczyło ją, jak bardzo ją pociągał i traciła dech na myśl o tym, że los zesłał jej takiego mężczyznę.

Był przystojny, acz szorstko i niedbale – bądź co bądź pracował na budowie. Lecz co najbardziej zaskakujące, mówił wszystko, co pragnęła usłyszeć. Równie dobrze mógłby chować się od lat w jej sypialni i słuchać, jak gada przez sen, gdyż zdawał się jej bratnią duszą, bliźniakiem z innej matki, stworzonym dla niej facetem, najlepszym, jakiego potrafiła sobie wymarzyć!

Po tamtej schadzce spotykali się niemal codziennie. Paweł obiecywał jej gruszki na wierzbie. Dom z ogrodem pełnym kwiecica, dwójkę dzieci, chłopczyka i dziewczynkę. Piękne sukienki i egzotyczne wakacje. Przyjaciółkom gały powypadają z zazdrości.

Lato mijało, a do Anny dotarło, że zakochała się bez pamięci. Jego przysięgi przepelniały ją taką ekscytacją i oczekiwaniem, że kumpele zauważyły, że powrócił jej blask. Dawno nie widziały jej równie szczęśliwej. Wprowadzili się z Pawłem do mieszkania na trzecim piętrze przy Armii Krajowej, które udekorowała własnymi obrazami oraz figurkami wrózek, które zbierała.

– Anka, na rany Chrystusa! – piekliła się jej matka. – Paweł to budowlaniec, zwykły robot bez ambicji! Co cię, dziecko, opętało?! Chce się z tobą ożenić? A ty chcesz za niego wyjść? O czym ty do mnie rozmawiasz? Co to za małżeństwo? Ledwo chłopca poznałaś! Wróć, w ogóle go nie znasz! Pasujecie do siebie jak pięść do nosa! Zobaczysz, nie minie miesiąc, zaczniesz się za niego wstydzić! Będziesz próbowała dyskutować z nim o poezji i psychologii, podczas gdy ten twój Pawełek... wątpię, że ogarnie, co się działo w ostatnim odcinku *Świata według Kiepskich*.

– Mamo, przestań, on mnie kocha – upierała się Anna. – Szczerze i prawdziwie. Dbą o mnie i szanuje mnie. Nic złego mi się przy nim nie stanie. Co, wolałabyś Krzyśka? In-te-li-

gen-ta? – wyartykułowała sardonicznie i z manierą. – Tyle lat razem i zobacz, co z niego wyszło. Wolę budowlanica, który traktuje mnie jak księżniczkę, od wykładowcy, który traktuje mnie jak gówna!

Matka Anny szarpnęła za szufladę ze sztućcami z takim impetem, że deszcz noży i widelców zadzwonił o podłogę.

– Anka, to pospolity fizol! Co ty o nim wiesz? Jakim mężczyzną jest, z jakiej rodziny pochodzi! Po co ten pośpiech? Zaciążyłaś czy co?

– Mamo, wiem wystarczająco. To dobry człowiek. Na litość boską, przecież jestem psychologiem! Co niby przede mną ukrywa, według ciebie? Mieszkamy razem! Zauważyłabym, gdyby działo się cokolwiek niepokojącego!

– Mieszkasz od dwóch miesięcy! Anka, ty słyszysz samą siebie? To cham z budowy, ile można ci to wbijać do łba?! Robol! Fizol! Śmierdzący proletariusz!

– Nie waż się tak o nim mówić! – pisnęła na nią Anna. Łzy napłynęły jej do oczu. Wymaszerowała z mieszkania rodziców, nie zamykając za sobą drzwi i zostawiając na wieszaku płaszcz przeciwdeszczowy. Nie dbała o to, że jest końcówka listopada, ciemno, a lodowata mżawka moczyła ulicę, gdzie zaparkowała swego rozgruchotanego peugeota 406.

Zanim ruszyła do auta, zatrzymała się w deszczu, owinięta we włochaty szary sweter.

– Przynajmniej mnie szanuje, mamo. I nie skrzywdziłby muchy.

Ale szept nie dotarł do uszu adresatki. Krople deszczu spływały po policzkach Anny. Choć możliwe, że były to łzy.

\* \* \*

– Anka, idź się leczyć! – zawołał Krzysztof, wspinając się po piwnicznych schodach z pudłem pełnym świątecznych dekoracji. – Zastanów się, kim ty jesteś, a kim on. Budowlaniec? Przerwę obiadową spędza pewnie z kolegami na zerowaniu małpek i wysłuchiowaniu historyjek o tym, kto ile razy obrócił czyją żonę.

Zaledwie poprzedniego dnia pokłóciła się z matką. Krzysztof zaprosił ją do siebie na kawę, żeby pozabierała bombki i inne bożonarodzeniowe szpargały zbierające kurz, które przez lata kolekcjonowała z miłością, a które porzuciła wraz z nim. Oświadczył, że już nigdy nie ubierze choinki bez niej.

– I tak robiłem to tylko dla ciebie.

Nie minęło pięć minut wizyty i kłócili się jak stare małżeństwo.

– To kompletnie żałosne, rozwalić związek dla jakiegoś brudasa kręcącego betoniarą!

– Krzysiek, przecież rozstaliśmy się wcześniej! A on przynajmniej nie wybucha tak jak ty! Paweł pracuje na budowie, owszem, ale to nie czyni go gorszym człowiekiem czy mężczyzną! Obiecał mi, że będę najszczęśliwszą kobietą pod słońcem!

– Doprawdy?

– Doprawdy! Ciekawi go wszystko, co dla mnie ważne, chociażby te świąteczne dekoracje! Kocha moje rysunki, moją muzykę, nawet moje skrzydlate figurki! Co rano przygotowuje mi śniadanie do łóżka, żebym dłużej sobie poleżała i zawsze pamięta, że

słodzę kawę miodem! Mówi, że jestem jego słoneczkiem i moje promyczki ogrzewają jego serce!

– Rób, jak uważasz, Anno! Przekonamy się, czy twój Pawełek pozostanie słodkim misiem-pysiem, kiedy będzie musiał znosić twoje dziecinady przez rok czy dłużej! Lepszej lekcji życie cię nie nauczy! Pewnego pięknego dnia nie pozmywasz po obiedzie i zarobisz od niego w papę. Wtedy się przekonasz, przed czym cię chronilem.

Anna dźwignęła pudło i sarknęła:

– Wiesz co, Krzysiek? Pocałuj mnie w dupę! Na pożegnanie! Bo więcej na nią nie spojrzysz!

Po czym wyszła; kolejne niezamknięte drzwi za nią.

– Wykształcenie – mamrotała do siebie. – Na co komu szkoły i kursy, skoro jest się wrednym gnomem? Wolę mojego Pawła. Książek może zbyt wielu nie przeczytał, ale przynajmniej uważa mnie za królową.

\* \* \*

– Dzieńdoberek, kotku! Niespodzianka!

Paweł wrócił wcześniej z budowy i wmaszerował do mieszkania, znacząc błotem i zaprawą korytarz, w tym nowy kwiecisty dywanik, który Anna kupiła ledwo w zeszłym tygodniu.

– Co tam pichcisz, pierogi? Pierdutnij te gary! Zabieram cię na przejażdżkę! Nie, nie powiem dokąd!

Pojechali nad staw w Bodzentynie samochodem, który Paweł pożyczył od ojca. Niebo zasnuło się ciemnoniebieską płachtą wyszywaną skłębionymi obłokami, które przesuwały się wolno niby wspomnienia Anny, ściśnięte i dryfujące w dal. Paweł zabrał ze sobą papierową torbę pełną czerstwego chleba, żeby nakarmić kaczki i łabędzie.

– Romantycznie, co? – zapytał, rzucając ostatnie okruszki utykającej krzyżówce. Przcisnął się do Anny.

– Piłeś? – zapytała, wyczuwając odpowiedź w jego oddechu.

– Ano, dzisiaj Maćka urodziny, nie dało rady odmówić łyeczka czy dwóch. Cud, że to zwęszyłaś! Zazwyczaj kupujemy cytrynowkę, żeby nie wypalić kierownikowi nosa czystą. Albo jakiś inny owoc, poza jabłkową! Ta smakuje jak woda z klozetu!

Wzmógł się wiatr i Anna zdrząła. Wrócili do auta ojca Pawła i pojechali do Słonecznej Werandy, gdzie zamówili steki z łososia i sałatki. Paweł zaklął, kiedy zobaczył cenę szampana, lecz mimo to go zamówił.

– Szampan się należy, bo dziś wyjątkowy dzień – oznajmił.

Wręczył jej czerwone, aksamitne puzderko, na oczach rozbawionej kelnerki.

– Przyznaję się bez bicia, to nie diament. Nie stać mnie jeszcze na diamenty. Ale... czy wyjdiesz za mnie? Maciek wcale nie miał urodzin... musiałem się napić, żeby dodać sobie kurażu.

Serce Anny waliło jak młotem. Okej, Paweł gołnął sobie dwa czy trzy drinki, niemniej po powadze w jego rysach poznała, że się nie wstawił i chociaż siłą rzeczy przypomniła sobie

słowa Krzysztofa – „Przerwę obiadową spędza pewnie z kolegami na zerowaniu małpek i wysłuchiwaniu historyjek o tym, kto ile razy obrócił czyją żonę” – usiłowała wcisnąć wątpliwość w najciemniejszy kąt umysłu. Gadał tak z zazdrości i tyle.

Jednak kiedy wsuwała na palec srebrny pierścionek z cyrkoniami, przypomniały jej się słowa Krzysztofa. O tym, że jeśli mężczyzna kocha szczerze, obsypuje swoją kobietę diamentami. I faktycznie, podarował jej prawdziwy diament, symbol jego czystej, niezachwianej miłości, i co z tego wyniknęło? Cały związek do kosza.

Zastanawiając się nad tym, wyjrzała przez okno. Zaczynało padać, krople lśniły na szkle, coraz bardziej i bardziej przypominając jej diamenty.

– Anka, słuchasz mnie? – zagaił Paweł. – Wiem, kotku, że z ledwością wierzysz w swoje szczęście, ale to nie koniec niespodzianek! Zbudujemy dla siebie dom! Wciąż jest na wczesnym etapie rozwoju, rozrysowałem plany ołówkiem, ale bez obaw, skarbie, wkrótce zabieram je do architekta i uczynię wszystko, by marzenia stały się rzeczywistością! Nówka chałupka! Zastługujesz na to, co najlepsze, słońce moje! Dama mego serca otrzyma, co tylko sobie wyśni!

\* \* \*

– Ja, Paweł... biorę sobie ciebie, Anno, za żonę... i ślubuję ci miłość, wierność... i uczciwość małżeńską...

Paweł ze łzami w oczach wsunął obrączkę na palec Anny. Wybierali je wspólnie i zdecydowali się na mieszankę białego i żółtego złota z wygrawerowanymi słowami Jana Pawła II: „Dotąd dwoje, choć jeszcze nie jedno. Odtąd jedno, choć nadal dwoje”.

\* \* \*

Teraz, mniej niż rok później, Anna stała pośrodku zatęchłego pokoju, nadal z dłonią przyciśniętą do policzka, obserwując, jak Paweł żuje pizzę z otwartymi ustami i skupia pełnię swej uwagi na Andżeli z *Lombardu*.

Zaledwie trzy miesiące po ślubie przeprowadzili się z mieszkania do bliźniaka obok matki i ojca Pawła. Częściowo dlatego, że na Armii Krajowej młodemu małżeństwu przestało wystarczać na czynsz, ale głównie dlatego, że to właśnie na tej działce powstać miał wymarzony dom, którym Paweł przechwalał się przed Anią. Bliźniaki były ciasne i zagrzybione. Podwórko zawałyła śmieci rodziców Pawła. Odkąd dotarło do niej, że Paweł nigdy nie zarobi wystarczająco pieniędzy na wizytę u architekta, wyśnione ognisko domowe pozostawało pogniecionym rysunkiem w kuchennej szufladzie.

Jezu, nie minął nawet rok. Rok, a Annie w pamięci zacierały się wspomnienia tych romantycznych wieczorów z lampką słodkiego czerwonego wina na rzecz conocnego tankowania wody, kopcenia fajek i ślepienia w telewizor, z teściową przychodzącą bez zapowiedzi i zajmującą jej miejsce na sofie. Skoro o tym mowa, to kiedy Halina przestała mówić „Aniu, kochanie, spróbuj, jakie pyszne pierogi z jagodami mi dzisiaj wyszły”, a zaczęła skrzeczeć, że synowa nie powinna tak fikać i że „prawdziwa kobieta pozwala swojemu chłopu pić do upadłego i wpuszcza go do łóżka, kiedy tylko mężczyznę najdzie ochota”.

Na dokładkę, niespodziewanie dowiedziała się o długach Pawła, które domagały się spłaty – ratach i ostatnich ponagleniach, choć pojęcia nie miała, na co je wziął. Chodził wiecznie splukany, więc spłacała należności za niego, mimo że jako psycholog w domu dziecka zarabiała krajowe minimum. Zaprotestowała, dopiero kiedy okazało się, że łoży forszę za nowy zestaw RTV dla jego rodzicielki.

– No i czego histeryzujesz? – warknął na nią. – Co z tego? Matka potrzebowała nowińskiego telewizora, przecież nie kupiłbym jej byle gówna, c’nie? Co, ty jedna potrzebujesz w życiu przyjemności? Zawalasz chałupę tymi swoimi książkami! Porównujesz moje fajki i wódkę do tej beużytecznej makulatury? To niech do ciebie dotrze, że ty masz swoje standardy, a ja mam swoje!

Przypomniała sobie wówczas, jak jej matka kręciła głową i mówiła „jak pięść do nosa”.

Zawsze podejrzewała, że Pawła ciągnie do atrakcyjnych trzpiotek, ale w życiu nie podejrzewałaby, że zdradzi ją z nastoletnią córką pijaczków z końca ulicy. Prawda, jego „kochania” i „skarby”, i „złotka” z biegiem miesięcy przemieniły się w „idiotki” i „dziwki”, i „zrzędy”. Ale bycie nazywaną idiotką to i tak lepsze niż bycie nazywaną nikim. Kiedy ktoś mówi o tobie „nikt”, to jakbyś nie istniała.

Podeszła do sofy.

– Paweł, właśnie mnie uderzyłeś! Jak możesz siedzieć, gapić się w telewizor i żreć pizzę, jak gdyby nic się nie stało? Po tym, co dla ciebie zrobiłam! Po tym, co mi obiecałeś! To nie fair! Nie dbasz już o mnie wcale?

Paweł pociągnął kolejny łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

– Wciąż do ciebie nie dociera, że mam w czarnej dupie, co do mnie mówisz, co?

– Jak śmiesz się tak do mnie odzywać?

– Bo nie potrafisz złuzować cipy ani na sekundę. Dobra, niech ci będzie, nie powinienem cię łać. Przepraszam, czasem to silniejsze ode mnie. Ale to nie jest wyłącznie moja wina! Przewalasz mi telefon, czytasz wiadomości i zakładasz, że oznaczają coś złego. Przecież z Kingą tylko się tak droczę. Jej stary mówił mi, że laska cierpi na poważne problemy z zachowaniem i nauką, więc próbowałem jej pomóc. Zagadać w tym młodzieżowym slangu, żeby do niej dotrzeć, nalać oleju do łba. A ty oczywiście obracasz to na głowie. Nie wspominając o tym, że próbujesz mnie kontrolować. Nie jestem twoją własnością, Anka! Tym bardziej niewolnikiem! Kiedy się w tobie zakochałem, nie robiłaś mi pod górę! Zmieniłaś się!

– Paweł...

– Morda w kubeł! Skończyłem. Nie rozmawiam z Panią Nikt.

Wgryzł się ze złością w pizzę. Anna stała u boku sofy, ale nie obejrzał się na nią.

– Pawełku, ja... ja strasznie przepraszam, ja... po prostu przestraszyłam się, gdy to zobaczyłam, to... to wszystko! Nie próbowałam cię kontrolować, w życiu! Twój telefon leżał po prostu na stole... a wtedy... przyszła nowa wiadomość i zerknęłam na nią. Nic bym nie zrobiła, gdybym nie zobaczyła jej zdjęcia, nie mogłam się powstrzymać...

Paweł nadal ją ignorował. Czekala parę sekund z dłońmi zplecionymi jak u modlącej się figury. Kiedy się nie odwrócił ani nic nie powiedział, okręciła się na pięcie i wróciła do

kuchni.

Otworzyła lodówkę i wyciągnęła opróżnioną do połowy butelkę Białej Żubrówki. Na początek przycisnęła lodowate szkło do policzka, by ulżyć sobie w bólu. Zerknęła na magnesik z aniołkiem, którego przywiozła Pawłowi z Bieszczad, żeby go chronił. Do oczu napływały jej łzy. Czuła się winna, nawet kiedy wiedziała, że Paweł kłamał. Może to jej wina, że małżeństwo układało się źle i jakimś cudem stała się jadowitą suką, za jaką mieli ją Paweł i Halina.

Lubiła saczyć owocowe trunki, ale zazwyczaj nie piła czystej wódki. Nie lubiła smaku. Mimo to odkręciła butelkę żubrówki i pociągnęła osiem łyčzków. Odniosła wrażenie, że aniołek przygląda się jej smutno. Z początku zimny płyn palił ją w gardło, lecz z czasem przyjemne ciepłko rozlało się po żołądku. Na dokładkę złagodziło to ból, strach, niepokój i gniew, niemal jak wino przy świętej komunii.

Obok aniołka wisiało zdjęcie Wielkiej Niedźwiedzicy, które zrobiła trzy lata temu, podczas wakacji spędzonych w domu babki Janki. Ach, magiczne chwile. Wieczorami siedziały przy ognisku, popijały jeżynówkę i jadły kiełbaski, podczas gdy staruszka opowiadała im straszne historie.

Babka Janka dobiegała dziewięćdziesiątki, ale nie brakowało jej mrozących krew w żyłach historii o rusałkach, złośliwych wiedźmach znad wód; strzygach, wapierniach i innych straszylach. Przytoczyła Annie historię o wysokim, tajemniczym jegomościu w czarnym garniturze i kapeluszu, który błąkał się bez powodu po okolicznych cmentarzach. Nikt nie potrafił zgadnąć, skąd się wziął. Wspominała też o diabłach, które przebierały się za małych chłopców i wiodły miejscowych na manowce, tak że wpadali do odkrytych studni albo tonęli na bagnach, również w trakcie pozornie nieszkodliwego grzybobrania.

Anna golnęła sobie jeszcze raz, nim zakręciła prawie opróżnioną butelkę i odłożyła ją do lodówki.

Kiedyś tętniła we mnie pewność siebie. Optywałam w marzenia. Lśniłam jaśniej od życia i rozkręcałam najnudniejsze imprezy. Tutaj stałam się bezużyteczna. Tutaj jestem niczym. Oto moja odpowiedź. Powinam udać się na wieś do babki Janki i odpocząć. Opowiedzieć jej o tym. Babka Janka zawsze wynajduje lekarstwa na choroby duszy. Może zdoła przywrócić mi moje sny.

\* \* \*

– Ania, *zjdz* trochę, *dzicko* – zachęcała babka Janka. – Choćby ociupinkę. Zaparzę ci kawy. Widzę, że coś się dzieje. Babcine serce wyczuwa takie rzeczy!

Anna grzebała smętnie w swoim mielonym z tłuczonymi ziemniakami i buraczkami, który postawiła przed nią babcia na ćmielowskim talerzu, malowanym ręcznie, w kolorowe maleńkie kwiatuszki.

– *Zostow* już te zimne *ziemnioki*. Dam je Cyganowi. Usmażę ci jajecznicę z grzybami, chcesz? Nazbierałam rano kozaków, znalazł się też i rydz! Idealne na jajeczniczkę!

Anna nie odpowiedziała. Upuściła widelec na talerz i zaczęła cicho lkać. Babka Janka podeszła do niej i schowała zapłakaną twarz wnuczki w swoim bawełnianym fartuchu, pachnącym jak zwykle mlekiem i masłem.

Pogładziła niesforne loki Anny i wyszeptała:

– Aniu, możemy napić się trochę mojej jeżynówki, którą tak lubisz. To cię uspokoi. Ale musisz *pierwej* coś zjeść! Nie można pić alkoholu na pusty żołądek, a czuję, że mały kieliszczyk dobrze zrobi nam obu. Zaniosę *obiót* psu, a ty w tym czasie umyj buzię. Ja *zaro* wróce, to nastawię wodę na kawę, zrobię ci *ty jajecnicy*.

– Babciu, babciu... on... on mnie krzywdzi! – wybuchnęła Anna, ocierając łzy palcami.

– ...i *tedy* możemy się poczęstować kieliszkiem *cy* dwoma... – Babcia Janka uśmiechnęła się, owijając wokół palca jeden z Aninych kosmyków, jak gdyby w ogóle nie usłyszała tego, co właśnie powiedziała wnuczka. Po chwili jej umysł zarejestrował sens słów i spojrzała na Annę z niedowierzaniem.

– Paweł? Paweł cię krzywdzi? *Dzicko*, co ty mówisz, co on ci zrobił? Czemuś od razu nie rzekła?

– Babciu, jak ja mogłam się tak pomylić? On mnie uderzył, a do tego zdradził! Z jakąś bzdziągwą! Ciągłe chleje, zaciąga długi, jego matka mną poniewiera, jego eks bez przerwy do mnie wypisuje, wyzywając od dziwek! Nie wytrzymam dłużej! Nie wytrzymam!

Pod koniec niemal krzyczała. Babcia trzymała dłoń na jej ramieniu bez słowa. Kiedy Anna uniosła na nią wzrok, dostrzegła wyraźnie szok staruszki, a także oburzenie. Pod tą pozornie kruchą, pomarszczoną skorupką zwieńczoną pióropuszem białych włosów kryła się ponura determinacja. Błyszczała w jej oczach. Jakby decydowała właśnie, w jaki sposób ukarze Pawła za to, czego się dopuścił.

– Zaraz wracam – oznajmiła. – Przejdę się do składziku po nalewkę sliwkową. Wytrzymaj buzię i nie zamartwiaj się. W okolicznych lasach drzemią potężne siły, które my kobiety możemy poprosić o wstawiennictwo, a które sprawiają, że nawet najwięksi twardziele uciekają jak wystraszone dzieciaki.

Wyrzekłszy to, wyszła z kuchni, zostawiając za sobą Cygana – swojego białego owczarka podhalańskiego – który wgapiał się w drzwi, jak gdyby Janka zniknęła za sprawą czarodziejskiej sztuczki.

\* \* \*

Anna wstała ze zdezelowanego taboreciku i podeszła do Cygana, by poklepać go i podrapać uspokajająco za uszami.

– Nie martw się, chłopie, ona niedługo wróci. Wiem, że źle znosisz, kiedy nie pilnujesz jej przed niebezpieczeństwem choćby przez minutę.

Rozejrzała się po skromnej babcinej chatce. Babka Janka nie biedowała, jednak czas się dla niej zatrzymał. Chałupka podzielona została na dwie spore izby – kuchnię oraz pokój dzienny, w których stały po dwa łóżka, chociaż babcia mieszkała samotnie, odkąd dziadek Heniek zmarł przed dziesięcioma laty. Bielone wapniem ściany pomalowano na bladoniebieski kolor, a w okienkach wisiały świeże śnieżnobiałe firaneczki z koronkami.

Każdy parapet zapchany był doniczkami z pachnącymi pelargoniami, które staruszka hodowała nie tylko ze względu na ich niesamowity zapach, ale przede wszystkim dlatego, że leczyła nimi natrętny ból uszu, wypychając liście bezpośrednio w kanały słuchowe.



Maleńkie bukieciki suszonego dziurawca zwisały z górnych ram okiennych. Ziele babka Janka wykorzystywała do sporządzania nalewki na ból żołądka.

Podłogi z masywnych surowych desek lśniły czystością, wypolerowane, a w kominku niemal zawsze trzaskały wesoło płonące drewnienka, które mimo wieku staruszka rąbała i przynosiła do domu.

Anna otworzyła drzwi do babcinej spiżarni. W nozdrza uderzyła ją ostra mieszanka estragonu, rozmarynu i mięty. Drewniane półki wypełniały słoiki z ogórkami, domowymi przetworami i konfiturami. Na tyłach babcia poupychała mnóstwo nadgryzionych zębem czasu drobiazgów, których nie miała serca wyrzucić: połamane wiklinowe kosze i parasolki z dziurami, część końskiej uprzęży, stępione kosy, wąż od czołgu z drugiej wojny światowej. Dziadek Heniek pracował jako grabarz, jego łopata stała oparta o róg spiżarenki.

Anna zaciągnęła się zapachami dzieciństwa, nim wróciła do kuchni. Łóżko dziadka Heńka nadal było na miejscu, zaścielone puchową pierzyną w biało-czarne pasy, a na parapacie obok okna spoczywała maszynka do golenia z resztkami jego włosów.

Po drugiej stronie izby stało babcine łóżko z pierzyną ozdobioną puszystymi chmurkami i dziećmi leżącymi na łabędziach. Nad nim wisiał wielki ciemny obraz w złożonej ramie, przedstawiający Matkę Boską. Maryja dzierżyła potężne serce udekorowane kwiatami i ziołami oraz gromnicę. Tę świętą świecę umieszczano w rękach umierających, by zapewnić im lokum w niebie, lecz chroniła ona również przed uderzeniami piorunów i wilkami. Wokół postaci rosło zatrzęsienie kwiatów dzikiej róży, jabłoni, dziurawca oraz bylicy.

Maryja zdawała się spozierać z obrazu, ale nie na Annę. Jej nieodgadnione wejrzenie oraz lekki uśmiech przywodziły na myśl Mona Lisę.

Anna dotąd nie przyglądała się obrazowi z uwagą. Teraz je dostrzegła – parę żółtych ślepi. Wyzierały z gąszczu dzikiej róży i dla odmiany wgapiały się prosto w nią.

Mój Boże, pomyślała, przecież to wilk! Jego oczy lśniły tak realistycznie, jak gdyby malarz dopiero co odjął pędzel od płótna, mimo że obraz liczył sobie dobre siedemdziesiąt lat.

Serce Anny biło jak oszalałe. Dlaczego wcześniej go nie wypatrzyła? Opierając się kolanami o wypchane poduszki, zaczęła dokładniej badać wzrokiem malowidło. Dzięki temu odkryła kolejne wilki. Do tego dnia sądziła, iż ciemniejsze plamy w tle to krzewy jeżyn. Okazało się, że to basiory, pięć lub sześć sztuk. Dwa z nich wpatrywały się w rozgwieżdżone niebo, a pozostałe pochylały łby do przodu, toteż żaden nie był równie przerażający, co ten na pierwszym planie.

Anna ostrożnie dotknęła każdego z nich opuszkami palców, po czym uniosła spojrzenie na Maryję z jej gromnicą, zupełnie jakby spodziewała się uzyskać odpowiedź, dlaczego gromadzą się wokół niej leśni drapieżcy. Uśmiech Matki Bożej dawał wątłe ukojenie, lecz nie podpowiedział jej nic.

Anna spojrzała na pierwszego wilka. Patrzyła na obraz z zupełnie innej perspektywy, ale basior zdawał się nadal wpatrywać tylko w nią.

Poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Wolno zeszła z łóżka i wycofała się, w momencie, w którym do kuchni weszła babcia Janka, tak że prawie na siebie wpadły. Seniorka trzymała dwie zakurzone szklane flaszki, ale zdążyła je unieść, zanim Anna nieopatrnie je wytrąciła.

– Ania! Ostrożnie, *dzicko!*

– Babciu, tam są wilki! – wyduśliła Ania głosem ściśniętym przez strach. – Wilki są na obrazie! Nigdy wcześniej ich nie widziałam, a ten... patrzy prosto na mnie!

Babcia uniosła brwi, zupełnie nie pojmując zachowania wnuczki.

– To wszystko? Oczywiście, że tam są wilki! To obraz Matki Boskiej Gromnicznej! Przecież doskonale wiadomo, że Maryja chroni domostwa przed złem, grzmotami oraz wilkami.

Anna obejrzała się na malowidło.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, nie... nie miałam pojęcia.

– Och tak. Kiedyś wilki *były* postrzegane jako słudzy *diobła*, *abo*, jak to niektórzy *godają* same *boły diobłami*. Ale Matka Boska, mądra i szczodra, by ochronić nas przed *niemi*, wzięła je jako swoich poddanych. Nie musiała używać *sięły* ani *stroszyć* ich, ale dała im *należyto* opiekę i szacunek, dlatego one przeszły pod jej skrzydła. Spójrz, moje *dzicko*, *piyrszy* wilk ukryty jest wśród *kwiotków dziekiej róży*, które są atrybutem Najświętszej Paniienki... ach, *pozwól mie no odstawić te flasecki*.

Babcia wytarła zakurzone butelki fartuchem i napełniła różowym płynem dwa kryształowe kieliszeczki. Swój opróżniła niemal natychmiast, otarła usta wierzchem dłoni, po czym nalała sobie ponownie.

– Naleweczka śliwkowa! Trzymała ja *jo* na specjalną okazję. Pyszna i zdrowa. Jeżynówkę *tyz mom*, niestety na strychu, a tam po *cimoku* nie będę *właziła*, bo deski to stare próchno jak ja, *jeszcze bem* wpadła do *chołpy* prosto tyłkiem do *wioderka*, jak gdzieś nie tak stanę.

Zachichotała, chrumknęła i w jednej chwili Anna ujrzała, jakim psotnym urwisem musiała za młodu być jej babcia.

– *Ino pierwej*, Aniu, trza ci coś zjeść. Człowiek jest już stary jak *grzib*, to mnie lichy nie *wyźmie*, ale ty *jeżeś młodo*, nie możesz pić na pusty *żołąd*. Chodź, odgrzeję ci zalewajki. I ja też się kuszę na trochę.

Postawiła ciężki gar na piecu i podała Ani chochlę, żeby zamieszała zupę. Podeszła do kredensu i wyjęła świeżo upieczony chleb, odkroiła dwie spore pajdy, które następnie posmarowała grubo swojskim masłem. Sięgnęła również po makowiec i ukroiła dwa kawałki.

Z oddali dochodziły odgłosy zbliżającej się burzy, więc babcia Janka wyjęła z kuchennej szuflady gromnicę, wsadziła ją niedbale do szklanej podstawki, tak że stała krzywo, po czym zapaliła. Zasiadły do stołu, by przez następnych dziesięć minut jeść w milczeniu zalewajkę, odrywając kawałeczki chleba i wrzucając je do gorącej zupy.

Gdy babcia wytarła skórka reszki dania i oblizała palce, zaczęła mówić, cichutko i odrobinę smutno.

– *Wiyisz, dzicko*, zanim pokochałam twojego *dziodka*, leczyłam serce z pierwszej miłości. Lizałam rany. Rozkochał mnie w sobie starszy ode mnie młodzieniec... Tadeusz miał na imię... Obiecał, że się ze mną ożeni, *medlił* mi oczy wizją domu na wsi, kochającej rodziny, *dziciaków*. Głupia byłam i naiwna, jak to młode dziewczęta *bywajo* i uległam mu. *Wisz*, co mam na myśli?

Anna przytaknęła.

– Nie mówiłaś mi o tym, babciu.

– Ano, nie *chciałam* ja, żeby twój *dziodek* się o tym *dowiedział*. Wierzyłam we wszystko, co *gadał* mnie Tadeusz i poszłam z nim „na całość”, jak to młodzi *mówio*. Zaciążyłam. Kłopot w *tem*, że on równolegle spotykał się z rudą z sąsiedniej wsi. Jadwiga *beta* to *niedobro* dziewczucha i córka wysoko postawionego jak na tamte czasy *gospodorza*. *Wiedziola* o mnie i nie dbała o to. Ale gdy jej rodzina poznała prawdę o romansie, aby za wszelką cenę uniknąć skandalu, zmusili Tadeusza do ożenku z nią.

Babka Janka nalała sobie kolejny kieliszek nalewki śliwkowej i wypila go. Anna sięgnęła nad stołem i położyła współczująco rękę na grzbiecie jej pomarszczonej dłoni.

– Tadeusz podarował pierścioneł zaręczynowy. Z prawdziwego złota, co wonczas nie zdarzało się często. Ale może bardziej skusił go majątek Jadwigi ode mnie? Albo jej *wilkie* cyce? Albo płomienne kosmyki? Kto to *wi*. Fakt faktem, że zdradził mnie i zostałam z brzuchem... oraz poczuciem, że oto utraciłam bezpowrotnie miłość swojego życia. Ale tak *naprawdę* *Najświntszo* Panienska usunęła z mojego życia gnijącego wrzoda. Tadeusz nie zasługiwał na *mojo* miłość. Wykorzystał niewinność, *odebroł* mi młodość i czystość. Czulał, że straciłam tożsamość. Jadwiga wtedy triumfalnie wyrzuciła mi w twarz, że jestem nic nieznaczącą łajzą i nigdy nie będę damą, za jaką ona się *uważoła*. *Powiedziola* mi wtedy, że taka rozpustnica jak ja nie zasługuje na to, żeby żyć, ponieważ jestem nikim. „Słyszałaś!? JESTEŚ NIKIM!”. A teraz to samo dzieje się z tobą, Aniuś, i moje serce krwawi nad twoją *krzywdo*.

– Byłaś w ciąży i porzucona, więc co zrobiłaś? – zapytała ją Anna.

– Na *scynście* nikt nie *wiedziol*, że się *spodziewom* *dzicka* Tadeusza. Ale po tym, jak mi *powiedziol*, że zamierza poślubić właśnie ja, *chciałam* umrzeć. Mimo że nosiłam dzieciątko pod sercem, wizja śmierci jawiła mi się słodką jak plaster miodu.

– Naprawdę rozważałaś samobójstwo?

Babka Janka spojrzała Annie prosto w oczy po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła swoją historię.

– Tak. *Przeszłam* do tego głębokiego jeziora w lesie – *wisz* którego. Staw Umarlaka, jak je nazywają. Wspięłam się na najwyższe urwisko i *stałam* tam dość długo. W myślach wyrzekłam to zdanie, które zawsze kochałam: „Najświętsza Panienko, przybądź choć w jednym pantofelku!”. A potem: „Pod Twoją obronę”. Może przez chwilę żywiłam nadzieję, że Maryja mnie uratuje. Ale potem pomyślałam o Tadeuszu, który mnie zdradził, o Jadwidze, która powiedziała mi, że jestem nikim, i wskoczyłam do wody. Czy mówiłam ci, że nie umiem pływać?

Babcia Janka nalała ostatnią porcję nalewki śliwkowej, dzieląc ją po równo. Pociągnęła łyk, jakby potrzebowała jeszcze kolejki, żeby opowiedzieć Annie, co się z nią dalej działo.

– Zimna woda wywołała taki szok, że wstrzymywałam oddech, gdy się zanurzałam. Na początku miałam zamknięte oczy, ale potem zdałam sobie sprawę, że pod powierzchnią świeci jasne światło, tak jasne, że widziałam je nawet przez powieki, i otworzyłam je. Zobaczyłam coś zupełnie niespodziewanego i cudownego. Do dziś nie potrafię stwierdzić, czy to było prawdziwe, czy tylko złudzenie. Wydawało mi się, że widzę kobietę unoszącą się przede mną, z szeroko otwartymi ramionami. Uśmiechała się do mnie z taką czułością i

miłosierdziem, otoczona kwiatami. Trzymała gromnicę, zapaloną, mimo że znajdowałyśmy się pod wodą. Usłyszałam jej głos szepczący wewnątrz mojej głowy. „Twoja miłość i twoja dobroć cię ocaliły”. Halucynacje? Pewnie tak. Ale czasem zastanawiam się, czy to nie Najświętsza Maryja Panna odpowiedziała na moją modlitwę. Wtedy właśnie rozległ się słodki dźwięk dzwonka jak niebiańska pieśń, ale śpiewana z bardzo daleka. Nie wiedziałam, czy to Maryja śpiewa do mnie, czy też jest to dźwięk, który słyszy się, gdy się umiera. Światło zaczynało słabnąć, ale tuż przed tym, jak zrobiło się zupełnie ciemno, przysięgam, że ujrzałam cztery piękne młode kobiety, gołe. Podpłynęły i otoczyły mnie. Chwyciły mnie za ramiona, objęły w pasie i uniosły z powrotem na powierzchnię, z powrotem do życia. Zemdląłam. Świat oblała czerni.

– One istnieją naprawdę, te młode kobiety? – zapytała Anna.

– Jeśli nie istniały, to jak inaczej została uratowana? Kiedy się obudziłam, leżałam w wysokiej trawie niedaleko jeziora. Przemoczona, ale żywa. I wdzięczna za to, że żyję, choć nadal niedowierzająca. Ruszyłam do domu, przez całą drogę płakałam.

Na zewnątrz nadal grzmiała burza, lecz coś powstrzymywało ją przed zbliżeniem się. Może gromnica trzymała żywioł na dystans.

Babka Janka wstała, napełniła czajnik wodą i postawiła go na fajerce. Wsypała dwie czubate łyżki świeżo zmielonej kawy do żeliwnych kubków, część wysypała na blat i schyliła się, żeby zdmuchnąć pył. Potem podeszła do szafki i wróciła z puszką herbatników. Otworzyła ją i postawiła na stole.

– Mówię ci, Anno, trudno zapomnieć o tym, kiedy tajemnicza siła ratuje cię po tym, jak wskoczysz do jeziora. Codziennie tam wracałam, siadałam na brzegu i modliłam się do Matki Boskiej Gromnicznej, dziękując jej za uratowanie mnie. Równocześnie moje serce wciąż zatruwały żal i gorycz, jakie czułam do Tadeusza, ponieważ naprawdę go kochałam i ufałam i o mało nie zapłacałam za to najwyższej ceny. Nasze nienarodzone dziecko również.

Anna patrzyła, jak staruszka nalewa wrzątku do kubków z kawą. Wtedy dotarło do niej, że gdyby te cztery młode kobiety nie uratowały babki Janki przed utonięciem, to jej matka Regina by się nie urodziła, a ona nie siedziałaby tutaj słuchając tej historii. Odniosła wrażenie, że chata się przechyliła. Nigdy by nie zaistniała. Ten stary stołek nadal by tu stał, ale nikt by na nim nie siedział. W każdym razie nie ona.

Babcia wsypała po łyżce cukru do kubków z kawą i zamieszała. Jej wzrok zasnęła mgłą przeszłości.

– Pewnego popołudnia, kiedy przyszedłam nad jezioro, nie dowierzałam własnym oczom. Zobaczyłam je ponownie, te cztery młode kobiety. Na przeciwległym brzegu jeziora, gdzie rosły brzozy. Dwie z nich, zupełnie nagie, stały w płytkiej wodzie po kolana. Prały ubrania. Trzecia zdawała się szukać czegoś w wysokiej trawie. Czwarta patrzyła prosto na mnie. Rozneglizowana, piękna, o długich jasnych włosach. Jedną ręką zakrywała piersi, a drugą osłaniała oczy przed słońcem.

– Nie zawstydziły cię tym, że nie nosiły ubrań?

– Oczywiście, że nie. W tamtych czasach? Ludzie nie mieli prawie żadnych funduszy na ubrania, codziennie nosili to samo, najlepsze ciuchy trzymali na specjalne okazje. Prało się

w stawach, jeziorach lub rzekach. A już na pewno nie było takich rzeczy jak kostiumy kąpielowe. Dziewczęta pływały nago.

– Ale jeśli tam prały, to musiały mieszkać w pobliżu tego jeziora. Jak to się stało, że przedtem ich nie spotkałaś?

– To jest punkt zwrotny w tej historii, Anno. „W pobliżu” nie wypatrzyłabyś pół dachówki. Jeno gęsty las, taki jak dzisiaj.

– Więc co? Poszłaś z nimi porozmawiać?

Babka Janka siorbnęła kawę, mlasnęła, znów zasiorbała. Zmarszczyła brwi i wsypała sobie jeszcze dwie łyżki cukru.

– Tak – rzekła, gdy upewniła się, że kawa jest wystarczająco słodka. – Przedzierałam się przez gałęzie brzoź i wierzb, które wkręcały mi się we włosy. Moje policzki płonęły z podniecenia. Czułam, że to będzie ważny moment w moim życiu, choć nie rozumiałam dlaczego. W lewej ręce ściscałam srebrny medalik Najświętszej Pani, który dała mi babcia. Znów wypowiedziałam te słowa: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko”. Torowałam sobie drogi przez chaszczę, aż dotarłam do polany obok jeziora, gdzie kobiety prały swoje ubrania – długie białe giezła, jak koszule nocne. Piękna młoda blondynka wpatrywała się we mnie, jakby zastanawiała się, czego chcę. Mimo że naga, spuściła ręce do boków, a jej prawica spoczęła na szyi dużego pręgowanego psa. Praczki nie zwróciły na mnie uwagi, podobnie dziewczyna w wysokiej trawie. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że zbiera zioła i polne kwiaty. Na ramieniu niosła całą wiązkę.

– Zbliżyłam się, choć nadal nie wiedziałam, czego się spodziewać. Blondynka patrzyła na mnie w bardzo wymowny sposób i uśmiechała się. W jej oczach kryło się coś wilczego. Bo ja *wim*... Takie gwiazdziste i jasne. Ale i przebiegłe, jak u wilka.

– I nie bałaś się, babciu? Ani ociupinę?

– Prawdę mówiąc, chyba zbyt mało mnie oczarowały, żebym się bała. Nie mogłam się ruszyć i nie mogłam mówić. Blondynka podeszła do mnie, z psem obok, tak blisko, że doleciała do mnie piżmowa woń jej perfum. Zapytała: „Czy wiesz, dlaczego cię uratowaliśmy? Uratowaliśmy cię, bo jesteś jedną z nas. Jesteś córką naszej królowej, twoje serce jest jasne i czyste. Co więcej, masz moc silniejszą, niż myślisz i dlatego jesteś bezpieczna”. Odpowiedziałam: „Jaką moc? Niczego nie posiadam. Słaba, biedna dziewczucha”. Powiedziałam ci, Anno, po tym, jak potraktował mnie Tadeusz, opuściły mnie wszelkie chęci, wszelki animusz. Stałam się nikim i niczym. Bywają zjawy silniejsze ode mnie. Ale blondynka nalegała: „Twój dar to mowa roślin, język kwiatów i ziół. Jeśli zapragniesz, uczynisz je swoimi wiernymi sługami. Natura to harmonia. Dobro równoważy zło. Zostałaś skrzywdzona, rozumiemy, dlatego próbowałaś zakończyć żywot. Proponujemy, byś miast tego użyła talentów, aby ukarać tych, którzy cię skrzywdzili”. Oczywiście nie pojmowałam, w czym rzecz. Ale ona wyjaśniła: „Za siedem dni Noc Świętojańska. Wówczas zbieraj dziurawiec oraz kwiecie dziewanny. Dodaj trochę rumianku, ziaren jałowca, pestek dyni, owoców głogu, bylicy – tak zwanego ziela zapomnienia – owoców cisu oraz soku z dziurawca, który niektórzy zwą krwią Chrystusa, inni zaś Bożą męką. Na koniec, i co najważniejsze, dodaj włos ukochanego, który cię skrzywdził. Następnie wymieszaj wszystko z bimbrem i odstaw, aby się przeżarło. Po trzech dniach podaj kochankowi do wypicia.

Obiecuję, że zgryzoty twe rozmyją się jak słońce wschodzące zimą, a ty otrzymasz zupełnie nowe życie, szczęśliwe, odmienne. I znów poczujesz się silna”.

Babka Janka wzięła z puszek ciasteczko i przełamała je na pół.

– Zamknęłam oczy, Anno, i w myślach powtórzyłam sobie to, co powiedziała mi ta tajemnicza kobieta, po trzykroć, żeby mieć pewność, że nie zapomnę o żadnym z ziół i przypraw do mikstury. Pamiętam je do dziś, jak widzisz. Przez chwilę zastanawiałam się, czy wydarzenia ostatnich dni nie doprowadziły mnie do szaleństwa. Co wstrząsnęło mną jeszcze mocniej, gdy ponownie otworzyłam oczy, kobiety oraz ich pies zniknęli bez śladu. Bez szmeru, jakby wcale nie odeszli, a wsiąknęli w ziemię.

– Nie wyobrażałaś sobie ich czasem? Taka dawka stresu, jaką przeżyłaś...

– Zastanawiałam się nad tym. Ale jeśli je sobie wyobraziłam, to skąd wiedziałam, jakie zioła i przyprawy dodać do mikstury? Zabrałam się za jej przygotowanie niemal od razu. Wprawdzie niektóre zioła aktualnie nie kwitły, ale moja mama przechowywała w spiżarni wszelkie rośliny i suszone owoce, jakie dusza zapragnie.

Babka Janka zrobiła pauzę. Wgryzła się w herbatnik i w zamyśleniu chrupała go źle spasowanymi zębami.

– Zapytałam mamę, czy przypadkiem nie zna kogoś, kto mieszka w pobliżu jeziora. Oczywiście nie wspomniałam jej, co się naprawdę stało. Przebaknęłam *ino*, że kiedy tam spacerowałam, dobiegły mnie dziewczęce śmiechy i śpiewy. Mama spojrzała na mnie dziwnie, niemal przerażona. Odparła, że jedyna osoba, która przychodzi jej do głowy, to dziwna, samotna młódka, która okupuje rozpadającą się chatę daleko za drzewami wraz z trzema lub czterema szarawymi psami. Ludzie *godali*, że to *beła* wiedźma. Ale nie tylko z tego powodu się tam nie zapuszczano – mawiali, że widywane tam *beły* wilki, chociaż nasze ziemie wtedy z nich nie sływały. I nie *kończyło* się na wilkach i wiedźmach! Matka *opowiodała*, że kiedyś jeden chłop poszedł na *grzyby* i *dostół* do głowy, nie wiedzieć czemu, zdrowy *chop!* *Mówiel*, że *spotkoł diobła!* W każdym razie zaczęłam zbierać składniki do eliksiru, choć nadal nękała mnie myśl, że to wyśniłam. Potrzebowałam spotkać się z Tadeuszem dwukrotnie: żeby wyrwać mu włos i żeby dać mu miksturę do wypicia. Nie wydawał się specjalnie zachwycony. Obawiał się, że jego przyszły teść dowie się o tym i da mu popalić, ale przekonałam Tadeusza, że chodzi o to, ażeby oddać mu obrączkę. Oświadczyłam, że w pełni akceptuję jego wybór i że życzę sobie zostawić przeszłość za sobą. Kiedy się jednak zobaczyliśmy, wcisnął mi pierścionek z powrotem do ręki i polecił go zatrzymać, „na znak naszej miłości”.

Babka Janka nie próbowała nawet kryć goryczy w głosie. Wzięła kolejny ostry kęs herbatnika.

– Tak czy inaczej – podjęła, gdy już przeżuła – przekonałam go, że chciałabym się z nim spotkać po raz ostatni, przekazać prezent ślubny, napój na uczczenie nowego życia. Musiały się ze mną spotkać przed ceremonią, bez świadków, żeby uniknąć wstydu. Zgodził się, więc objęłam go ramionami i przytuliłam czule. Udało mi się dzięki temu wyrwać mu włos, tak że nic nie poczuł. Zebrałam składniki, w tym liście dziewanny i kosmyk Tadeusza. Włożyłam je do matczynej karafki i zalałam bimbrem, który warzył kolega z sąsiedztwa. Na koniec dodałam dziurawiec, który zerwałam w pobliżu Łysej Góry. Moja mama powtarzała,

że chroni on przed złem, toteż zachowałam kilka liści, ususzyłam je i cóż, jeśli kiedykolwiek zastanawiałas się, co noszę w tym płóciennym woreczku na szyi, to właśnie to. Wiedziałam, że należy odczekać trzy dni, ale coś mi podpowiadało, aby zejść się z Tadeuszem jeszcze tej nocy. Kiedy przybył, wyczułam w nim smutek. W tamtych czasach, wierz mi lub nie, byłam bardzo ładna i szczerze? Chyba przekonał go majątek teścia, nie uroda Jadwigi. Podałam mu karafkę i kazałam skosztować napoju, który sporządziłam specjalnie dla niego. Odbiłam jego słowa jak lustro. To „dowód naszej miłości”. Dodałam przy tym, że moja miłość jest silniejsza niż gorycz i dlatego pragnęłam ofiarować mu specjalny prezent na poczet szczęśliwego życia z Jadwigą. Tadeusz odkorkował karafkę i pociągnął solidny łyk mojej mikstury. Pocałowałam go krótko, po czym odeszłam. Zawołał za mną: „Janka!”, ale nie odwróciłam się, choć słyszałam bodaj jego płacz.

Babcia wzięła głęboki wdech. Anna dostrzegła, że jej rzęsy załśniły od łez.

– Co się stało potem, babciu?

– Następnego dnia rano... następnego dnia rano obudziła mnie matka, krzycząc: „Janka, Janka! Tadeusz... Tadeusz nie żyje!”. W jednej sekundzie smacznie spałam, a w następnej mama rozsuwała zasłony i raziło mnie słońce. W głównej izbie słyszałam sąsiadów. Przyszli przekazać jej wiadomość. „Na miłość boską, jak on umarł?”, krzyknęłam na matkę, chociaż gula w gardle ledwo pozwalała mi wykrztusić słowo. Oczywiście natychmiast pomyślałam: to mój eliksir go otrul. *Mawiajo, że się grzybów trujoków nojod, bo pierwej wymiotował i majaceł całom noc, a potym oszałeł, mówił, że nie wie, kim jest i koniecznie musi wyjść z chołpy i iść do lasu. Nikt nie zdołał go powstrzymieć. Poszoł i zaro nad brzegiem stawka, zaro koło lasa brzożowego znodli go niżywego.* Nie wiadomo, czy sie utopieł cy mu serce stanęło.

Babka Janka przerwała, by otrzeć zażawione oczy haftowaną chusteczką. Anna czekała w milczeniu, aż starowinka odzyska spokój.

Wreszcie dokończyła:

– Ale wiedziałam, że to przeze mnie i przez moją miksturę, uwarzoną podług przepisu tajemniczych kobiet znad jeziora.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, babciu? – zapytała łagodnie Anna.

– Z czego tu być dumnym, kochanie? Z zabicia człowieka, którego się kochało?

– Babciu, przecież nie otrulaś Tadka, prawda? A przynajmniej nie specjalnie! Nie zrobiłaśbyś czegoś tak okrutnego. Jesteś do rany przyłoż, znam cię przecież!

– Nie wydurniaj się, Anka. Oczywiście, że nie! Ta nalewka, co ją *sporządzielam* nie była trująca, mogła co najwyżej spowodować konwulsje, wymioty i sprawić, że Tadeusz widział rzeczy, które nie istniały. Jasne, wyglądam teraz jak stara wiedźma w typie Baby Jagi, ale żadna ze mnie morderczyni, na litość boską! Śmiertelna mikstura? Z dziurawca? Podejrzywałam, że rozstroi mu brzuch i sprawi, że zacznie majaczyć, ale to tyle. Oczywiście zdrada mnie bolała, i owszem, chciałem go za to ukarać. Ale nie chciałam, żeby zginął...

Znów przerwała. Burza na zewnątrz jęknęła głośno, jakby wyczuła jej ból.

– Długo *żem nie potrafiela* dojść do siebie, tak *żem się obwiniola*. Ale *potym wyrzucielam* to z pamięci, zwłaszcza że jak *pamiętosz, spodziewołam* się dzieciątka, a *tyz i sypko poznołam* twojego *dziodka*. Matka Boska Gromniczna uśmiechnęła się do mnie. Henryk był ucieleśnieniem moich marzeń. Czuły, pracowity, dobry, z serduchem *pełnem* ciepła. Twoja

matka urodziła się w styczniu. Pamiętam, że tego dnia padał gęsty śnieg. Do końca życia Henryk nie podejrzewał, że Reginka nie jest jego córką. Ubóstwiał ją, jak i ja. Zawsze żyła blisko natury. Już od najmłodszych lat uwielbiała kwiaty, zioła i kapięle w stawach. Często zastanawiałam się, czy wpłynęły na to pewne młode kobiety... czy nie została również ich dzieckiem, jak i moim. Bądź co bądź, uratowały nam życie. Ale nękała mnie wizja Tadeusza pijącego mój eliksir. I z biegiem lat poczucie winy nie malało. Wciąż słyszałam jego płacz. Modliłam się każdego ranka i każdego wieczoru do mojej ukochanej Matki Boskiej Gromnicznej, ale krwawiąca rana na wieczność miała już ziać w mojej duszy. Pewnego ranka w kolejce przed wiejską piekarnią spotkałam naszego nowego księdza, ojca Antoniego Pachucego. Dawny proboszcz, Paweł, był bardzo surowy i staromodny, ale ksiądz Antoni okazał się ojcowski i przyjazny. Zwęszył, iż coś mnie trapi. Przekonywał, że jeśli kiedykolwiek najdzie mnie na rozmowy, powinnam go odwiedzić. Że to jak pogawędka z samym Bogiem. Dwa dni później uznałam, że czas przyjąć jego ofertę i przyznać się do błędu. Poszłam do jego chaty i zapukałam. Kiedy otworzył, nie wydawał się wcale zaskoczony moim widokiem. Zaprosił mnie do malutkiej izby, pomniejszonej jeszcze zatrzesieniem mebli i świętych obrazków. Zapytał mnie, czy napiję się kawy, a kiedy udał się do kuchni, obejrzałam sobie jego malowidła. Profil Najświętszej Maryi Panny z wiankiem z maków, chabrów i rumianków we włosach. Obok: obraz pięknej kobiety-wojownika, z łukiem i strzałami, z wilkami spoczywającymi u jej stóp. A dalej Matka Boska Gromniczna, prawie identyczna z tą, która przyprawiła cię o dreszcze. Kiedy ojciec Antoni wrócił z dwiema filiżankami kawy, wspomniałam mu, że mam w domu bliźniaczy obraz. Znow się nie zdumiał. Matka Boska Gromniczna, powiedział, to opiekunka ziem świętokrzyskich. Chroni przed ludźmi, którzy dopuszczają się występków, przed burzami, jak ta burza, która wciąż szaleje na zewnątrz, i przed wilkami. Uspokojona, opowiedziałam mu o Tadeuszu i o naszej nieszczęśliwej miłości. O tym, że próbowałam się utopić i że te dziwne kobiety mnie uratowały, zanim przekazały mi przepis na eliksir. O tym, że nadal obwiniam się o śmierć Tadeusza, chociaż życzyłam sobie go tylko ukarać, nie zabić. Ksiądz Antoni stwierdził, że śmierć Tadeusza to nie moja wina i że czas na przebaczenie sobie. Wykonał nade mną znak krzyża i wymamrotał formułkę: „Rozgzeszam cię, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Przyniosło mi to niewyobrażalną ulgę.

– Nie uznał tego za złe, że próbowałam ukarać Tadeusza? Czy nie mamy przebaczyć tym, którzy zawinili wobec nas?

– Spytałam go o to i otrzymałam dziwną odpowiedź. Oznajmił, że czasem ta boska istota, która chroni lud świętokrzyski, sprawia, iż ten, kto skrzywdzi jej córy, zapłaci za to słono. Tamte tajemnicze kobiety? One także nazwały mnie córą ich królowej.

Babka Janka dokończyła herbatę i strzepała okruchy ciastek z sukienki.

– Myślę, że dobrze ci zrobi, jeśli opowiesz ojcu Antoniemu o swoim problemie z Pawłem – powiedziała, wstając. – O tym, jak zdradził cię z tą bzdziągwą. I przekonała się, co jego zdaniem należy uczynić.

– Naprawdę? Z problemami w związku do księdza?

– Aniu... uważam, że należy ukarać Pawła, podobnie jak ukarany został Tadeusz. Nie zabijając go, oczywiście, lecz sprowadzając na niego chorobę. Choćby i na dzień. Pokazać, że



nie jest nic warty, tak jak on dał odczuć tobie. Ale nie uśmiecha mi się, żebyś cierpiała i popełniała moje błędy. Ksiądz Antoni udzieli ci rozgrzeszenia, zanim podejmiesz kroki.

\* \* \*

Gdy szły do chaty księdza Antoniego, w oddali grzmiało, a nad górami błyskały pioruny. Na szczęście nie zaczęło jeszcze padać.

Zapukały do drzwi, a proboszcz otworzył niemal natychmiast, jakby się ich spodziewał.

– Janeczko... Anno... zachodźcie! Co za burzliwa noc się szykuje!

Weszły do sieni, przepychając się obok ciemnoszarej zjawy płaszcz przeciwdeszczowego. Drzwi do maleńkiej kuchni stały otworem. Na blacie leżały pokrojone w grube plastry jałowcowa kiełbasa, dwie obrane cebule oraz trzy imponujących rozmiarów pomidory.

– Nie chcemy przeszkadzać, wielebny – zaznaczyła babcia Janka. – Możemy wrócić rano.

– Nie, nie, jesteście zawsze mile widziane. Strawa zaczeka. Nieczęsto cieszę się wieczorami towarzystwem innym niż towarzystwo Naszego Pana, a choć wielbię go całym sercem, przyznaję, słaby z Niego czasem rozmówca. Zasiądźcie, proszę. Herbaty z cytryną? Czy lepiej kieliszek wiśnióweczki?

– Herbaty – odparła babka Janka. – Przynajmniej do czasu, kiedy usłyszysz, z czym przychodzi Anna.

Podczas gdy ojciec Antoni udał się do kuchni zaparzyć trzy kubki herbaty z cytryną, Anna rozejrzała się po wspomnianych przez babcię malowidłach. Jezus, Maryja oraz pełna gama świętych, wszyscy z odległym, duchowym wejrzeniem.

– A oto ten obraz-bliźniak. Matka Boska Gromniczna, z wilkami.

– W istocie – potwierdziła babka Janka. – Obrończyni świętokrzyskiego.

Skinęła głową w stronę dużej świecy palącej się w kącie; jej płomień od czasu do czasu kołysał się w przeciagu.

– Jest i gromnica, dziecko. Zupełnie jak w domu, by chronić przed pierunami.

Ojciec Antoni przyniósł herbatę i rozsiadł się w swoim kwiecistym fotelu. Kiedy podciągnął spodnie, zobaczyły, że nosi cudaczne skarpety: jedną beżową, drugą fioletową.

– Zakładam, że to nie wizyta towarzyska, Janeczko? Przyszłaś, bo coś was trapi. Cóż, taka moja praca.

– Aniu, opowiedz wielebnemu o Pawle – zachęciła babcia Janeczka. – O tym, jaka z niego świnka. Nie, zaraz, nie obrażajmy świni. Ropucha. Mała, przyszczata ropucha.

Powoli, z wahaniem, Anna wyjaśniła, jak rozpadło się jej małżeństwo z Pawłem, głównie z powodu jego pijaństwa, lecz także dlatego, że doszła do przekonania, iż tak naprawdę nigdy jej nie kochał. Ożenił się z nią, ponieważ kręciła go seksualnie i pragnął popisać się przed kolegami z pracy oraz utrzcę nosa byłej dziewczynie.

Ksiądz Antoni słuchał z założonymi rękami, jakby już zaczął modlić się za Annę. Kiedy skończyła, oznajmił:

– Nie do końca wiem, co mogę ci zaoferować, moje dziecko, oprócz współczucia.

– Pawła należałoby ukarać – wtrąciła babka Janka. – Liczymy, że jeśli zobaczy na własne oczy, jak to jest, kiedy ukochana osoba traktuje cię jak nic, to się nawróci. Uratuje małżeństwo? Ostatecznie, to ty, ojczu, udzieliłeś im ślubu. „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

– Chyba nie nadażam, Janeczko. Co to za kara?

– Taka sama, jak ta, która spotkała Tadeusza. Napój od kobiet znad jeziora. Kobiet, które uratowały mnie przed zabiciem siebie i przed zabiciem matki Anny, kiedy nosiłam ją pod sercem. Gdyby nie one, nie siedziałybyśmy teraz przed tobą. Zachowałam przepis, pamiętam zioła i przyprawę, które wchodzi w jego skład.

Ksiądz Antoni upił herbaty i milczał przez dłuższą chwilę.

– Czy wiesz, kim są te kobiety? – zapytał w końcu. – Nie rozwijałem tematu, kiedy przytoczyłaś mi swoją opowieść. Ludzie powiadają bowiem, że jeśli ktoś zdradzi jej tajemnice, ona wpada w furję i daje ci popalić. Nawet jeśli co najwyżej się potkniesz i skręcisz kostkę albo oblejesz wrzątkiem. – Wzruszył ramionami. – Może to nie więcej jak mit, ale lepiej dmuchać na zimne. Niż kuleć. Albo leczyć poparzenia.

Uniósł wzrok na Matkę Boską Gromniczną, na jej obstawę żółtookich wilków. Kiedy wspomniał o furii, nie wypowiedział jej imienia.

– Kiedy przyjechałem do Bodzentyna jako młody ksiądz, prędko uświadomiłem sobie, że czają się tu inne duchowe byty, zupełnie poza wpływem Boga. Uświadomiłem sobie, podkreślam, bardzo dobitnie. Zauważyłem dziesiątki drewnianych krzyży ozdobionych kwiatami. Nie tylko na podwórkach kościelnych, ale i na początku i końcu wsi, na skrzyżowaniach. Latem na tutejszych grobach bujnie rośnie dziewanna. Zapewne znacie opowieści o ogromnej liczbie zwłok, które pojawiają się w okolicznych lasach, w tym młodych osób. O ich śmierci mówi się krótko: słabe serca. Ale co w takim razie z tymi, którzy potopili się w miejscowych stawach, strumieniach? W fontannach! Nie zdziwiłbym się, gdyby pewnego dnia ktoś utopił się w łyżce wody, jak to się mawia. Jako wysłannik Boga, za punkt honoru wziąłem sobie odkrycie, czym właściwie jest ta obca aura. Co do tego, że istnieje naprawdę i że stanowi zagrożenie, nie żywiłem bowiem wątpliwości. Ze starych ksiąg dowiedziałem się, że od tysiącleci ta część świętokrzyskiego znajduje się pod władaniem jednego z najpotężniejszych i najbardziej prymitywnych bóstw, jakie ta ziemia kiedykolwiek nosiła.

Nachylił się ku nim i zniżył głos do szeptu.

– To była... i nadal jest... Dziewanna, zwana też władczynią dzikiej zwierzyny i panią łowów. Mówi się, że to bogini o dwóch twarzach: życia oraz śmierci. Krążą historie o tym, jak nie spodobała się Bogu i Pan zniszczył jej wspaniałą białą pałac na szczycie Łysej Góry. Lecz chociaż rozszelony, Bóg rozumiał, że na tym pustkowiu istnieje cienka granica między dobrem a złem, między tym, co słuszne, a tym, co występne. Zdawał sobie sprawę, że Dziewanny boi się i szanuje ją każdy człowiek i każde stworzenie w świętokrzyskim, od wilków po mrówki, i dlatego pozwolił jej dalej nad nimi panować, w Jego imieniu. Warunkiem Boga było, aby chroniła Jego lud przed złem i przed wilkami, i przed burzami, dlatego stała się znana jako Matka Boska Gromniczna. Wzniosła skromniejszy pałac na szczycie góry, gdzie dziś stoi klasztor, ale nadal rozkazywała faunie i florze, jak okiem

sięgnąć, ze szczytu Łysej Góry. Na dokładkę sprawowała pieczę nad świętokrzyskimi straszidłami, zarówno dobrymi, jak i złymi, nad istotami magicznymi, czarownicami, rusałkami. I pozostaje ich panią, aż po dziś dzień. Biada temu, kto w nią nie wierzy.

Ojciec Antoni oparł się na powrót, przeciągając palcami po siwych włosach, sterczących mu jak po porażeniu prądem. Oblizwał nerwowo wargi. Annie przyszło na myśl, że wypowiedzenie tych słów nie przyszło mu łatwo.

– Janeczko, powiedziałaś mi, że zanim wskoczyłaś do jeziora, zawołałaś „Pod Twoją obronę”, aby poprosić Matkę Boską o ochronę. Istnieje natomiast wiele dowodów wskazujących na to, że tej modlitwy używano ponad trzy i pół wieku przed narodzeniem Chrystusa czy Maryi. Nieświadomie przywołałaś Dziewannę. Nie wypada mówić tego chrześcijańskiemu kapłanowi, niemniej tak przedstawia się prawda. To nie Matka Boska cię uratowała, a Dziewanna. Wysłała rusałki, żeby wyciągnęły cię z wody. I to Dziewanna poprzez swoje służebnice podpowiedziała ci, jak zemścić się na Tadeuszu.

Ksiądz Antoni wstał.

– Jeszcze herbatki, Janeczko? Czy już czas na wiśnióweczkę? Zapowiada się niezła burza.

Zanim Anna i babcia Janka zdążyły odpowiedzieć, rozległ się ogłuszający ryk grzmotu, który wstrząsnął całą chatą. Pogasły lampy, wejście otworzyło się z trzaskiem, a do środka wpadł ostry wiatr. Jedyne źródło światła stanowiła gromnica, której płomień kolebał się w wietrze, rzucając na ściany cienie tańczących demonów.

Ojciec Antoni poszedł zamknąć drzwi, lecz zanim dotarł do sieni, zatrzymał się i postąpił krok w tył, a potem kolejny. Przeżegnał się i zakrzyknął:

– Jezu!

Z powolnością nieuchronnego fatum, z mroku korytarza wyłonił się ogromny wilk o szarym futrze. Jego pazury szorowały po drewnianej podłodze, żółte zaś oczy wpatrywały się w księdza Antoniego z nienawiścią.

Babka Janka wrzasnęła ochryple i poderwała się.

– Matko Boska! Chroń nas! Chroń nas! Pod twoją opiekę się uciekamy!

Pojawienie się wilka sparaliżowało Annę. Każdy nerw w jej ciele zwinął się w osobny kłębek.

Wilk zawarczał, kapiąc śliną z kłów. Wkroczył do izby, nie spuszczając ślepiów z wielebnego, który cofał się i cofał, aż wpadł na swój fotel.

– Janeczko – wykrztusił – twoje zioło, Janeczko! Twój dziurawiec! Aniu, gromnica!

Tyle zdążył z siebie wyrzucić, nim wilk skoczył na niego z połowy pomieszczenia. Upadł plecami na siedzisko, po czym przewalił się do boku. Bestia przycisnęła go do ziemi. Proboszcz wydał z siebie zduszony okrzyk, gdy zębiska chwyciły go za koszulę i jęły dobierać się do kołnierza.

Babka Janka wysuwała z dekoltu płócienny woreczek, rozerwała go i wysypała suszony dziurawiec na dłoń. Następnie podniosła rąbek sukni i uklękła niezręcznie obok księdza Antoniego. Szamotał się gorączkowo, aby powstrzymać wilka przed ugryzieniem go w szyję. Staruszka lewą ręką zdołała ucapić włochate ucho i mocno je przekręcić.

– Jego oczy, Janka! – krzyczał ojciec Antoni. – Janka! Na miłość boską! Janka! Rzuć mu to w oczy!

Wilk parsknął i odwrócił łeb, by zobaczyć, kto przeszkodził mu w uczcie. Babka Janka bez wahania uraczyła go garścią dziurawca prosto w patrzalki.

Zwierzę wrzasnęło, a brzmiało to niemal jak wrzask człowieka. Zatrząsł się i odstąpił od księdza Antoniego, usiłując gorączkowo usunąć pył z oczu łapą.

Z bocznego stolika Anna dźwignęła gromnicę. Mimo że drżała, powoli podeszła do wilka, trzymając w górze świecę z palcami osłaniającymi płomyk, aby wiatr z sieni go nie zdmuchnął.

Ksiądz Antoni wyprostował się. Przód koszuli zwiślał mu w czarnych strzępach. Stanął obok Anny, zrobił znak krzyża i krzyknął:

– *In Dei nomine, quicquid es, abi et nunquam redi!* W imię Boga, kimkolwiek jesteś, idź i nigdy nie wracaj!

Na zewnątrz rozległ się kolejny grzmot. Wilk zawył, udręczony. Potrząsał łbem z boku na bok i targały nim konwulsje.

Anna postąpiła w jego stronę, tak blisko, że gromnica odbiła się w żółtych ślepiach. Naraz basior odwrócił się, dobiegł do ściany, po czym wyskoczył przez okno, rozbijając szybę na tysiące roziskrzonych fragmentów. Połknęła go ciemność. Gromy znów zadudniły, jeszcze gniewniejsze, jakby hałas obudził samego diabła.

Przez kilka chwil Anna z babką Janką i księdzem Antonim stali wpatrzeni w noc w absolutnym szoku. Zaczęło padać i krople deszczu zadzwoniły o parapet.

– Powiniennem się przebrać – skwitował ksiądz Antoni. Ręce mu drżały, gdy przesunął nimi po zniszczonym ubraniu. – I chyba muszę się napić. Myślę, że wszyscy tego potrzebujemy. Dziękuję wam obu z całego serca za ocalenie mnie. Wam oraz Matce Boskiej, rzecz jasna.

Telepał się z szoku. Jego głos przypominał głos małego dziecka. Kiedy Anna go minęła, aby odstawić gromnicę, ujrzała lzy spływające mu po policzkach.

– To nie jest normalne, żeby wilk wdarł się do domu i zaatakował czelaka... prawda? – Janka dukała równie roztrzęsionym głosem. – Bożesz ty mój, może łon *miot jako* wścieklizna!

– Obawiam się, że to nie był wilk, Janeczko. Jestem prawie pewny, że to ostrzeżenie od Dziewanny. Oczywiście nie osobiście, ale od jednego z jej demonicznych sług.

– Ksiądz tak na poważnie? – zdumiała się Anna. – Ale jeśli tak, to dlaczego?

– Dowiedziała się jakimś pokątnym sposobem, że mnie odwiedziłaś. I że zdradzam ci prawdę o tym, jak ona i jej rusalki uratowały twoją babcię. Wierz mi, moje dziecko, w przeszłości wiele razy pokazała, jak silne są jej wpływy w tym regionie i jak dotkliwie bierze to do siebie, kiedy ktoś rozpowiada jej sekrety. Dziś wieczorem zademonstrowała to ponownie.

Przeżegnał się dwukrotnie, a potem rzekł:

– Dajcie mi się przebrać i przynieść nam coś do picia.

Poszedł najpierw do sypialni, następnie do kuchni. Wrócił do salonu w zielonym swetrze z dzianiny, z grubym szarym kocem przewieszonym przez ramię. Niósł też karafkę nalewki.

Kiedy postawił ją na stole, zbliżył się do okna, wspiął na podnózek i powiesił koc na karniszu.

– No i proszę. Pewnie nie ochroni to nas przed demonami Dziewanny, ale przynajmniej uszczelni przeciąg i nie zmoczy nas deszcz.

Z narożnej szafki wyjął trzy kieliszki, odkorkował karafkę i nalał im hojnie. Z okrzykiem „Na zdrowie!” od razu wysuszył swoje szkło. Wzdrygnął się, jakby ktoś przeszedł nad jego grobem i nalał sobie drugą porcję.

– Choć ziemie te należą do Boga, każde zdarzenie w tych wsiach i lasach obserwuje Dziewanna i nic nie dzieje się bez jej aprobaty. Dziś w nocy może i przegoniliśmy jej sługusa, lecz to wcale a wcale nie znaczy, że mi przebaczyła i że jutro będę bezpieczny.

Przełknął trunek, zakaszał i zerknął niespokojnie na koc w oknie, który wyrzucił się na wietrze.

– Pomodlimy się za ciebie, ojcie Pachucy, żeby cię *wzięta* pod *swojo* opiekę – obiecała babka Janka.

– Cóż, dziękuję ci, Janeczko, będę zobowiązany. To oczywiste, że łączy cię z nią szczególna więź, niemalże więź krwi, matki i córki. A tutaj to ona decyduje o życiu lub śmierci. Jednakże pamiętajmy: same modlitwy nie wystarczą. Przydadzą się również zioła, takie jak dziewanna i dziurawiec.

Kiedy polewał sobie trzeci kieliszek, ręce nadal mu się trzęsły.

– Jej rusałki dały ci przepis, ale to Dziewanna nasyciła eliksir mocą ukarania Tadeusza za zdradę. Jeśli Dziewanna ma dać do wiwatu mężowi Anny, musicie znaleźć sposób na ponowne nawiązanie z nią kontaktu. Osobiście lub poprzez jej wysłannice. Receptura nie zadziała bez jej magii. Nikt nie zostaje poddany sądowi bez jej poparcia. Jeśli więc jakimś cudem zdołasz do niej dotrzeć i poprosić o jedno, poproś i o drugie. I niechże mi wybaczy, co?

Anna upiła zaledwie łyżeczek alkoholu. Smak zbyt mocno przypominał jej oddech Pawła; przypominał o tym, po co przybyły do chaty księdza Antoniego; o tym, jak czuła się zgorzkniała i oszukana.

Przysłuchując się radom księdza, zastanawiała się, dlaczego ojciec Antoni z taką gotowością zaakceptował jej plan wydania wyroku na Pawła. Wtem nagły podmuch wiatru pchnął koc i rozległ się świst, sprawiając wrażenie, że jakieś nieporadne stworzonko próbuje wepchnąć się do środka. Proboszcz podskoczył nerwowo i oblał się nalewką. Wówczas Anna zrozumiała, że znacznie bardziej niż o los Pawła duchowny obawia się o własny. Może i był sługą Bożym, ale Dziewanna przerażała go nie na żarty.

\* \* \*

Anna spędziła noc w chacie babki Janki, skulona pod kocem na kanapie. Spała głęboko, lecz nie śniło jej się nic. Nie usłyszała nawet koguta piejącego na podwórku sąsiada, gdy zaczęło robić się jasno.

Tuż po siódmej babcia potrząsnęła ją za ramię

– Ania, *dzicko, wstowej!* Zrobięłam nam *śniodanie, jajecznicę z grzybami, zaparzęłam kawę!* Wstowej, nim to *łostygnie!*

Anna związała włosy w kucyk i zasiadła do stołu.

Babka Janka obserwowała ją przy jedzeniu. Wreszcie przemówiła:

– Ania, *dzicko*, jesteś *pewno*, że chcesz ukarać Pawła? Dużo o tym myślałam w nocy, on cię *skrzywdził*. I uważam, że nigdy tak *naprowda* na ciebie nie *zastugiwoł*, tak jak Tadeusz na mnie.

Anna przytaknęła.

– Tyle mi naobiecował, babciu. Myślałam, że będziemy wiedli najwspanialsze życie, jakie można sobie wyobrazić. Piękny dom, synek i córeczka, wspólne szczęśliwe wieczory. A co dostałam? Pijaństwo i wyzwiska, i zdrady z nastolatką. Co najgorsze, w kółko powtarzał mi, że jestem nikim, nic niewarta. Zniszczył mi życie, babciu. Wydrążył jak wiśnię. Jestem pusta. Bo on wyrwał mi duszę.

Babka Janka dołała kawy.

– Jeśli to właśnie planujesz, moje *dzicko*, *mogam uwarzić* napój Dziewanny. Oczywiście, żeby to zadziało, trza nam odszukać źródło jej mocy. Ale tak sobie dumalam, czy aby ta kobiecina nadal nie mieszka w chacie za drzewami... ta, o której *godali*, że czarownica. Ze starości się nie rozpadła, jeśli faktycznie jest czarownicą. Powinna wiedzieć, jak skontaktować się z Dziewanną. Najpotrzebniejsze zioła i przyprawy mam w szafce, dziurawca nabieramy na świeżo. Problemem jest włos z głowy tego twojego Pawła.

Anna odłożyła widelec i sięgnęła do torebki leżącej na sofie. Wydobyła z niej szczotkę do włosów. Większość pasemek, tych blond, należało do niej, lecz znalazły się też dwa czy trzy ciemnobrązowe.

– Nasze ostatnie wspólne wyjście do pubu U Ryśka. Na zewnątrz strasznie wiało i zanim weszliśmy do środka, Paweł pożyczył moją szczotkę do włosów. Jeszcze jej nie wyczyściłam.

– W takim razie, kochanie, mamy wszystko, czego potrzebujemy. Dokończ śniadanie i ruszajmy upolować panią łowów!

\* \* \*

Na początek udały się nad Staw Umarlaka, na wypadek gdyby akurat baraszkowały tam ruszałki, lecz nie zastały nikogo. W tafli wody odbijały się jeno chmury oraz brzozy.

Przez paprocie i jarzębinę przedarły się w głąb lasu. Między drzewami panowała ponura, duszna atmosfera. Nie śpiewały ptaki. Ani śladu wilków, wiewiórek czy innych stworzeń Bożych. Jeśli nie liczyć szeleszczących jodeł, Anna słyszała tylko babkę Jankę, która powtarzała: „Pod Twoją obronę, moja Pani”.

Po niemal godzinie zmęczenie dało się Annie we znaki.

– Babciu – odezwała się. – Chyba się zgubiłyśmy! Już raz mijaliśmy to drzewo! Jestem pewna, rośnie na nim grzyb, który przypomina misia koalę.

Babcia Janka z uśmiechem popukała się w czoło.

– Myślisz, żem ocipiała na starość, co? Nie dostrzegłaś omenów. Zbłądziłyśmy, bo Dziewanna chce, cobyśmy zbłądziły. Sprowadza na manowce każdego, dopóki nie jest pewna jego czy jej intencji. Wierzę wszak, że wyczuwa więź między tobą a mną, albowiem mijamy

roz po roz rośliny, które wskazują na jej obecność. Tam, widzisz? Krzew jałowca. Lada moment natkniemy się na kwitnące dziewanny.

Nie pomyliła się. Niecałe sto metrów dalej otworzyła się przed nimi oświetlona słońcem polana. Pośrodku stała drewniana chatka otoczona morzem dziewanny i bylicy, a z komina unosił się dym.

– Jakim cudem nie wypatrzyłyśmy jej wcześniej? – zapytała Anna. Zdarzenie oszołomiło ją, ale i dziwnie podekscytowało. Konstrukcja przypominała jej baśnie braci Grimm. Na rozpadającym się ganku spał potężny szary pies. Anna rozpoznała w nim podobnego do wilka wilczaka czechosłowackiego, lojalną rasę, która rzadko bywa agresywna.

Gdy podeszły bliżej, w krzaku jałowca obok domu wypatrzyła drugiego wilczura. Ten, obudzony i czujny, obserwował je uważnie.

Stały u stopni ganku. Śpiące psisko poruszyło się. W tej samej chwili drzwi wejściowe majtnęły na zawiasach i w progu pojawiła się drobna staruszka z koszykiem czerwonych jabłek.

Długie siwe włosy seniorka związała w kok. Na szyi nosiła białą chustę z motywem słowików i truskawek; długa brązowa suknia okrywała ciało. Jednak to jej oczy najbardziej przykuły uwagę Anny. Mieszkała w nich wilcza szarość, mieniły się w słońcu i chociaż staruszka uśmiechała się szeroko, za tymi tęczęwkami czaiła się drapieżność.

– No, no! – powiedziała. – Znow się widzimy, Janeczko, po tylu latach! Czy przyszedł do nas z jakiegoś szczególnego powodu? Nie to, żebyśmy się nie cieszyły, moja droga, bez względu na powód twych nawiedzin.

Anna niemalże uwierzyła, że znalazła się w bajce. Twarz starszej pani ciągle wirowała i zmieniała się, jakby osnuwał ją hologram. W jednej chwili wyglądała jak dobrotliwa staruszka, która nie zdeptałaby najmniejszego pająka, w następnej zaś rozplywała się w gębę złośliwej czarownicy o głodnych oczach, wydłużonym pysku i jamie pełnej spiczastych zębów. Jak u psychodelicznej wersji wilka z *Czerwonego Kapturka*.

Babka Janka wkroczyła na stopień. Jej głos brzmiał cienko i sucho. Anna zrazu poznała w niej zdenerwowanie.

– Wiem, że wszechmocna Dziewanna udzieliła mi ongiś przysługi, inaczej nie żyłabym dzisiaj. Teraz muszę prosić o kolejną.

– A dlaczego by nie, moja droga? – odparła starowinka, nadal uśmiechając się wilczo. Zdziaczył pies wyłonił się spod krzaka jałowca i przycupnął obok niej jak stróż. Położyła mu rękę na karku.

– To moja wnuczka, Anna – przedstawiła babka Janka. – Została skrzywdzona przez człowieka, w którym się zakochała, jak i ja, lata temu. Wprowadził ją w błąd, okłamał i wykorzystywał, odkąd się spotkali. Nie dochował wierności, posunął się do przemocy. I nadal nie okazuje wyrzutów sumienia. Trzeba go ukarać.

– A jakże byś go ukarała? – zainteresowała się staruszka.

– Wciąż pamiętam przepis na miksturę, który mi podarowałaś, aby ukarać mojego Tadeusza. Większość potrzebnych ziół znajduje się w mojej spiżarni. Anna zdobyła również

włos swojego męża, Pawła. Brakuje nam jedynie twojego błogosławieństwa, ażeby nadać miksturze moc.

– I to właśnie poradził wam ten księżulek.

Babka Janka otwierała i zamykała usta, lecz nie dobyteła głosu. Spojrzała na Annę i zeszała ze stopnia, mnąc w dłoniach chustę. W jaki sposób ta kobieta dowiedziała się, co powiedział im ksiądz Antoni? Odpowiedź nasuwała się sama.

Naraz oba wilczaki warknęły i naprężyły się. Z boku chaty wyloniła się młoda kobieta – piękna, o kręconych blond włosach jak u Anny, ubrana w krótką zieloną sukienkę oraz sandały. Gdy podeszła do nich, uśmiechnęła się identycznie jak staruszka. Anna rozpoznała wilczo-szare oczy i ostre białe zęby.

– Wiki! – zawołała do niej siwulka. – Pamiętasz ty naszą Janeczkę?

– Naturalnie! – Młoda kobieta ukloniła się przyjaźnie babce Jance i Annie, zamiatając lokami.

Babka Janka przyciskała chustę do gardła.

– Wyglądasz... tak bardzo mi przypominasz... ale nie, to niepodobna. Przepraszam. To głupoty. Dawne dzieje, co to nie przebrzmiały na dobre w łepetynie.

Starowinka przytaknęła.

– Zajdźże do mnie ponownie, Janko, za pięć dni. To będzie piętnasty dzień sierpnia, Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny, kiedy promienie słońca nabierają rumieńców. Przynies ze sobą eliksir.

– Tak – odpowiedziała babka Janka. – Dziękuję. Dziękuję serdecznie.

Kobiety nie wyrzekły nic więcej, choć nadal się do nich uśmiechały. Babcia chwyciła Annę za rękę i wspólnie opuściły polanę. Szły z powrotem przez las, nie odwracając się. Anna odnosiła wrażenie, że gdyby obejrzała się przez ramię, chata rozmyłaby się niby sen.

– Kogo przypominała ci ta dziewczyna, babciu? – zapytała, gdy wyszły z lasu i zaczęły wracać kamienistą ścieżką wiodącą do domu babki Janki.

– To bez znaczenia, kochanie. Chyba mój mózg zamienił się w zgniętego *grziba*.

\* \* \*

Anna została u babki Janki przez następnych pięć dni, pożyczając kilka sukienek, które znalazła z tyłu szafy. Babcia najwyraźniej nie nosiła ich, odkąd zmarł dziadek Henryk, gdy woniało od nich nieświeżymi perfumami.

Babka Janka postawiła na piecu żelazny gar i zabrała się do warzenia mikstury Dziewanny. Chata szybko wypełniła się mocnym ziołowym aromatem, który wprawił Annę w niezwykłą lekkość. Zapach towarzyszył jej przez kolejne dni, a w nocy przynosił najdziwniejsze sny. W jednym z nich pływała w ciemnym jeziorze z czterema nagimi dziewczynami i słyszała ćwierkającą muzykę fletu.

Gdy eliksir był gotowy, babka Janka przelała go do litrowej szklanej butelki. Mimo że ziołowy, odznaczał się bładokarminową barwą. Babcia ostrożnie wrzuciła do niego włos Pawła, zakorkowała i ustawiła na półce pod obrazem Matki Boskiej Gromnicznej, aby rytuałom stało się zadość.



Anna co jakiś czas zezowała na butelkę i zastanawiała się, czy słusznie czyni, mszcząc się na Pawle. Ale potem przypomniała sobie lubieżne sugestie Pawła skierowane do nastolatki z końca ulicy i o tym, jak mocno uderzył w twarz ją, własną żonę, nie czując z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Zasłużył na to, żeby wyrzucić swoje wnętrze, pomyślała, i żeby stracić swoją nieznośną swawolę, choćby na noc. Nie żeby kiedykolwiek do niego wróciła, nawet jeśli wyciągnąłby wnioski.

Piętnastego sierpnia, po śniadaniu, Anna wyszła do zarośniętego ogrodu babki Janki, żeby zerwać hiacyntowce, złocenie i bławatki. W ogrodzie roilo się od motyli; w większości pawików, ciemnoczerwonych z plamkami na skrzydłach, które wyglądały jak ludzkie oczy. Rusalek pawików nie spotykało się zwykle w chmarach, niemniej wiedziała, że czasem trzepotały one nad głową Dziewanny, jak żywa korona czy aureola.

Wyciągnęła rękę i motyl osiadł na opuszcze jej palca. Plamki zdawały się wpatrywać w nią, jakby wiedziały, kim jest. Właśnie wtedy babcia Janka otworzyła okno w kuchni i zawołała:

– Chodź, Aniu. Dziś jest ten dzień! Musimy iść!

Motyl odleciał, a wraz z nim zerwała się cała reszta. Anna stała przez chwilę, patrząc jak ostatni znika w oddali. Jedyne, co teraz słyszała, to monotonną muzykę świerszczy. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że brzmia niespokojnie, lecz ten niepokój najpewniej należał do niej.

\* \* \*

Anna i babka Janka ponownie pokonały drogę przez las. Tym razem udało im się dojść bezpośrednio do polany. Kiedy jednak zbliżyły się do chaty, babcia chwyciła Annę za rękaw i powiedziała:

– Poczekaj, kochanie. Popatrz. To nie są te same wilczaki.

Na ganku czuwały dwa szare pręgowane psiska o błyszczących żółtych oczach. Dyszały, wywiesiwszy języki na południowy upał.

Drzwi chaty otworzyły się i ukazał się trzeci wilk. Tuż za nim podążała nie staruszka z koszem jabłek, a wysoka młódka z zaplecionymi blond włosami. Uderzająco piękna, o wysokich kościach policzkowych i skośnych szarych oczach, nosiła krótką, przylegającą do ciała sukienkę z jasnej irchy, z futrem wokół kołnierza i rąbka.

– Dziewanna – sapnęła babka Janka i padła na kolana. – Pod twoją obronę.

Anna położyła ręce na ramionach babci. Nie dowierzała, że to, co widzi, dzieje się naprawdę.

Uśmiechając się, młoda kobieta zesłała po schodach, wraz z nią zaś trzy dyszące wilczury. W tym czasie dziewczyna o imieniu Wiki wyłoniła się zza chaty z dwiema towarzyszkami, obiema równie ładnymi, jedną rudowłosą, drugą o dziko falujących włosach koloru orzechów laskowych.

– Powstań, proszę – poprosiła Dziewanna, wyciągając rękę, by pomóc babci Jance. – Jesteś córą mą, Janeczko. Ty, twoje córki i córki twych córek zawsze mogą liczyć na naszą opiekę.

– Pamiętasz nas, Janeczko? – zapytała Wiki.

Babka Janka przytaknęła bez słowa. Anna, zszokowana, wpatrywała się w młode kobiety. Czy to naprawdę te rusałki, które uratowały jej babcię przed utonięciem? Jakim cudem? Niewytłumaczalnie, czuła, że to jej kompanki od lat. Odległe kuzynki, które wpadły z wizytą.

– Przyniosłaś miksturę? – zapytała Dziewanna.

Babka Janka wyjęła butelkę z płóciennej torby na zakupy. Podała ją Dziewannie. Ta opłotła szkło palcami obu dłoni. Uniosła je, tak by przez płyn prześwitywało słońce, po czym zamknęła oczy i przycisnęła powierzchnię do czoła.

– Niechże spożywając ów eliksir, Paweł nauczy się, czym jest niezwykła potęga kobiecości – zaintonowała na wzór modlitwy. – Niechże opuści go arogancja, niby szczury umykające w ciemność. I niechże żaden mąż li niewiasta nie rozpoznają go, jak i on nie rozpoznał kobiety, którą zdradził.

Oddała butelkę babce Jance. Ucałowała koniuszki palców i posłała buziaka Annie, równie delikatnego, co ów pawik rusałka. Anna otworzyła usta, by zapytać, skąd bogini wyciągnęła imię Pawła, lecz nim zdążyła się odezwać, Dziewanna odwróciła się i weszła z powrotem na werandę, w obstawie trojga wilczaków.

Wiki i dziewczęta uśmiechnęły się, pomachały im i odeszły. Anna i babka Janka zostały same.

– Czy ja na pewno się obudziłam? – szepnęła babcia. Wyciągnęła z torebki butelkę z eliksirem, przyjrzała się jej, po czym odłożyła z powrotem. – Nic się w nim nie zmieniło. Ale wiesz, co należy teraz zrobić, prawda, Anno?

\* \* \*

Anna wybrała numer Pawła. O 11:30, a doskonale pamiętała, że przerwę ma dopiero za pół godziny.

– Anka? Pracuję. Jestem zajęty, do jasnej cholery! Nie pamiętasz, że moja godzina obiadowa jest o dwunastej? Coś nie tak? Stało się coś? Kiedy wracasz?

Annie słowa przychodziły z trudem. Zdołała jednak wykrztusić:

– Tak. Jutro rano.

– No i gitara. Ale słuchaj... nie mogę teraz rozmawiać, jasne? Oddzwonię, jak skończę jeść. Nie pisałem do ciebie wcześniej, bo chciałem, żebyś się dobrze bawiła z babcią, a poza tym nie chciałem, żebyś znowu wierciła mi pierdolone dziury w brzuchu. Ty zawsze wiesz najlepiej, co? Zadzwoń później. No, może; pod warunkiem, że przestaniesz doprowadzać mnie do szału.

Z tymi słowami Paweł się rozłączył, bez pożegnania.

On się nigdy nie zmieni, pomyślała Anna. Serce biło jej tak szybko, że można by pomyśleć, iż właśnie przebiegła stadion. Babka Janka stanęła za nią i delikatnie położyła jej rękę na ramieniu. Szkoda słów.

\* \* \*

Anna czekała, ale Paweł oddzwonił dopiero po 14:00. Brzmiał radośniej, ale mówił niewyraźnie i domyśliła się, że tradycyjnie wyłopał minimum trzy puszki tyskiego i poprawił cytrynową małąpką.

– No witaj, skarbieńku! Tak mi przykro, że zapomniałem do ciebie oddzwonić. Cieszę się, że wracasz do domu. Tęskniłem za tobą, kochanie, wiesz? Brakowało mi twojej słodkiej cipki! Wróć jutro koło dwunastej, dobra? Zastanów się, co ugotujesz nam na obiad. Słuchaj, muszę kończyć. Do juturka. Upewnij się, że jesteś gotowa... jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Anna odłożyła telefon. Ręce jej drżały. Wszelkie wahania, jakie odczuwała w kwestii ukarania Pawła, całkowicie rozwiął jego pijacki bełkot oraz sposób, w jaki odnosił się do niej, jakby była dla niego niczym i nikim.

\* \* \*

Wróciła do domu wcześniej następnego ranka, przed 8:00. Weszła dzięki kluczom ukrytym pod kamieniem. Na progu powiał ją znajomy zapach wilgoci i pleśni. Od czasu jej nieobecności, Paweł nie posprzątał ani centymetra domu. Zostawił dwa tłuste pudełka po pizzy na kanapie i pół tuzina zgniecionych puszek po piwie na stoliku kawowym.

Położył gładzie w salonie i pociągnął je farbą podkładową, ale nie zabezpieczył niczego folią. Gęsty gipsowy pył pokrył jej biureczko, laptopa, nowiutką drukarkę i książki, które kochała. Podłoga chrupała od drobinek, w kominku zaś stało do połowy opróżnione wiadro w bladej żółtej farbie, w którym sterczał zastygły wałek.

W kuchni Paweł porzucił w zlewie kubek po kawie. Zero brudnych naczyń; domyśliła się, iż odżywił się wyłącznie pizzą i żarciem z McDonald'sa. W łazience puszyste turkusowe ręczniki, które rodzice podarowali jej na urodziny, wisiały umazane błotem i olejem. Ostatni, zwinięty w kulkę pod kiblem, cuchnął wymiocinami.

Anna przeszła do kuchni, otworzyła torbę z zakupami i zaczęła przygotowywać obiad: gulasz z szynki z sosem grzybowym i purée ziemniaczane. Kusiło ją, żeby ruszyć do pucowania, lecz oparła się pokusie. Wróciła tu przecież tylko po to, żeby zabrać ubrania i rzeczy osobiste. Pozbierała co najwyżej z kanapy pudełka po pizzy i wyrzuciła je do kosza wraz z puszkami po piwie.

Tuż po południu drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wszedł Paweł, potykając się o wycieraczkę.

– Cześć, skarbie! – zawołał i przeszedł do kuchni, gdzie Anna kroiłła ogórka. – Co na obiadek? Umieram z głodu!

Zaszedł ją od tyłu i ścisnął jej prawy pośladek, dysząc alkoholem i papierosowym dymem.

– Paweł, nie mów mi, że wróciłeś tu autem! Przecież jesteś zalany! A zresztą, zabrali ci prawo jazdy!

– No i, kurwa, wróciła! – wymamrotał, robiąc dwa niepewne kroki w tył. – Zawsze wszystko spieprzysz, na samym wejściu! Normalna kobieta całuje męża na powitanie! A ty? Twierdzisz, że mnie kochasz? Dlaczego nie możesz być jak inne kobiety? Ciągłe narzekasz! Ciągłe się czepiasz! Anka wszechmogąca!

Anna wzięła głęboki wdech. Musiała mu nieco odpuścić. Przyszła tu w jednym, jednym celu. Odwróciła się, dotknęła jego ramienia i obdarzyła go pojedynczym uśmiechem, choć nie potrafiła się przemóc, by go pocałować. W oczach czerwieniły mu się pajęczce żyłki, gęba straszyla popękanyimi wargami i nieogolonymi policzkami.

– Tak, Paweł, racja. Zbyttno cię krytykuję. Pewnie odziedziczyłam to po babci. Ale zobacz, przywiozłam ci coś od niej, coś naprawdę pysznego. To jej domowy likierek. Próbowałeś już kiedyś jej wyrobów, prawda? Pamiętasz tę jeżynówkę, którą nam dała?

– Zajebście! To polej na rozgrzeweczkę. Są zapasy, jest butelka soplicy i trochę czerwonego wina, mnóstwo piwa, więc z pragnienia nie padniemy! Ale dajże mi najpierw odcedzić kartofelki.

Zataczając się, wyszedł z kuchni i udał się do łazienki. Zostawił drzwi otwarte, żeby Anna słyszała, jak głośno oddaje mocz.

Wyjęła dwie szklanki. Pierwszą napełniła sokiem malinowym, który rozcieńczyła wodą. Drugą – bladokarminowym eliksirem Dziewanny.

– Trzymaj – zachęciła, gdy Paweł wrócił do środka, walcząc z rozporkiem. – Wypijmy toast za nas! A potem, po obiedzie, może pójdziemy na romantyczny spacer nad rzekę?

– Anka, jesteś cudowna! – oświadczył Paweł. – Wypijmy za naszą miłość! – Uniósł szklankę i uderzył nią o szklankę Anny. – Brzdęk! – Po czym gołnął eliksir na raz.

Po przełknięciu oblizła wargi i spuścił wzrok na puste szkło.

– Co to za smak? W życiu czegoś takiego nie próbowałem. Trochę gorzki... Wiesz, co mi się przypomina? Jak w szkole paliliśmy liście bylicy, żeby się naćpać.

Anna podała obiad. Paweł pochylał się nad talerzem, szuflując gulasz do ust tak, że sos sływał mu po brodzie. Mówił niewiele, tak jakby sprawy między nimi wróciły do normy. Jakby wcale nie odkryła, że ją zdradził. Jakby jej nie uderzył.

Nalał im po lampce czerwonego wina. Anna upiła tylko łyk swojego. Zanim Paweł wsunął ostatnią łyżkę purée, dwukrotnie uzupełnił własny kieliszek.

Odchylił się w krześle i beknął.

– Dziwnie się czuję. Naprawdę. Cały pokój jeździ w górę i w dół. Wyjdźmy na ten spacer, co? Wezmę ze sobą soplęcę. Chyba księżnej pannie nie przeszkadza picie z gwinta?

Opuścili dom i wędrowali przez pola, aż dotarli do ścieżki obok rzeki, gdzie Paweł czasem chodził na ryby (choć rzadko udawało mu się cokolwiek złapać). Mężczyzna zatrzymał się raz czy dwa, kołysząc lekko. Potrząsnął jednak głową i poszedł dalej.

– Nic ci nie jest? – zapytała Anna.

– Cholera wie. Mówiłem, czuję się dziwnie. – Pociągnął łyk wódki z butelki i znów odbeknął.

Gdy dotarli na skraj lasu, pochylił się, wsparty o brzozę.

– Zaczekaj, kochanie. Żle mi. Co twoja babcia dodała do tej różowej berbeluchy? Ty też się napiłaś, prawda? Nie mieni ci się przed oczami?

Ania zmilczała. Czekwała z pozorów cierpliwie, ale serce biło jej wściekle, jak małemu ptaszкови złapanemu przez kota.

Po chwili Paweł stanął prosto.

– Dobrze, dobrze. Już mi lepiej. Wpadłem na pomysł. Zamiast błąkać się po lesie, chodźmy do Ryska i zrobmy imprezę. Prawie nigdzie nie chodzimy razem. Tam są drinki i muzyka, i tańce. A później zamówimy pizzę.

- Tak, chodźmy - zgodziła się Anna. - Ale spójrz na mnie, Paweł. Dżinsy i stary, niechlujny sweter. To będzie okazja, prawda? Więc chcę wyglądać wyjątkowo. Idź przodem, a ja skoczę do domu i przebiorę się w coś ładniejszego.

- Jasne, kochanie. Dobry pomysł. Pójdę ogrzać nam miejsca i zamówię parę drinków. Zobaczymy się później.

Anna zawróciła brzoową alejką nad rzekę. Odwróciła się po kilku metrach. Paweł zataczał się w połowie drogi przez pochyłe pole, które prowadziło do pubu Ryśka. Zamiast iść dalej, przedarła się przez krzaki dzikiej róży, a potem wkroczyła między brzozy, omijając ich gałęzie. Doszła do przewalonej kłody i usiadła, żeby dać mu czas.

- Pod twoją obronę - wyszeptwała, a pokrzywnica odpowiedziała jej wysokim ćwierkaniem.

\* \* \*

Zaraz po wejściu do pubu U Ryśka, Paweł uderzył do baru i zamówił piwo.

- Tyskie, ale lane! Jakoś kręci mnie w brzuchu. - Skrzywił się i przyłożył rękę do ust, żeby stłumić beknięcie. - Żoneczka poczęstowała mnie sosem grzybowym i chyba próbowała mnie otruć jakimś sromotnikiem. Jezu, co za breja.

- Biedaczynko - zamruczała młoda kobieta za barem, z teatralną troską. - Lepiej w takim razie napij się gorącej herbaty.

Paweł zdołał powstrzymać żołądkowe sensacje. Nigdy przedtem nie widział tej laski U Ryśka. Olśniewała pięknem, miała kręcone blond włosy i psotne szare oczy, a do tego wystroiła się w przylegającą do ciała zieloną sukienkę.

- Koteczku - zamruczał, sadzając tyłek na hokerze. - Rysiek nie wspominał, że zatrudnił taki smakowity kąsek! Dla ciebie zacznę tu przychodzić choćby i codziennie, przysięgam na honor!

Kolejna piękność podeszła do Pawła i zawadiacko przyglądała kołnierz jego dżinsowej kurtki. Z włosami koloru miodu i błyszczącą brzoową sukienką nie ustępowała urodą tej za kontuarem.

- Wiki, podaj mu wódki z pieprzem, to przeżre wszelkie paskudztwa. W tym muchomorzy.

Niemal natychmiast dołączyła do niej ruda, o identycznych szarych, wilczych oczach i z konstelacją piegów na zadartym nosku.

- Dajmy mu nalewki z dziurawca! - Zachichotała. - To powinno go wyleczyć na dobre!

Paweł obracał się wkoło, zarówno oczarowany, jak i zdezorientowany ich niewiarygodną atrakcyjnością. Ale gdy właśnie kombinował, czy zdoła je przekonać do czworokaćku, męski głos zawołał:

- Hej, ty! Tak, ty! To nie darmodajnia dla ubogich! To elegancki pub! Nie wchodzi się tu, jeśli się cuchnie jak kocie rzygi!

Paweł obejrzał się na krzykacza i, zszokowany, rozpoznał w nim Marka, sąsiada z ulicy. Kumpłowali się od co najmniej pięciu lat, często chodzili na ryby. Teraz mężczyzna wpatrywał się w Pawła jak w obcego.

- No, dalej, wynoś się stąd, do cholery! - wrzasnął Marek. - Stleń się, zanim zjawi się Rysiek, dobrze radzę!

Paweł zsunął się ze stołka, żeby rozmówić się z Markiem. Omal nie wpadł na wysoką pannę z mocnymi hennowymi brwiami. Machnęła na niego ręką i krzyknęła:

- Nie waż się mnie tykać, brudny włóczęgo! Nawet się do mnie nie zbliżaj! Śmierdzisz! Absolutnie śmierdzisz!

Trzej nastoletni chłopcy przy stoliku obok wystawiali do Pawła języki i udawali zeza.

- Hej, frajer-zbiebie! - zawołał prowodyr. - Zoba, tak właśnie wyglądasz! Zero absolutne!

Strzelając naokoło oczami, Paweł zidentyfikował sześcioro czy siedmioro bywalców pubu, dobrych znajomków. Każda osoba wpatrywała się w niego z nieukrywanym wstrętem, jakby nie miała pojęcia, kim jest, i uważała go za niemytego menela. Nie potrafił tego zrozumieć. Czyżby robili sobie z niego bolesny żart? Odwrócił się, żeby zapytać o to trio młodych ślicznotek, lecz one wycofały się za bar i szeptały między sobą w konspiracyjny sposób.

Drzwi za barem otworzyły się, ujawniając zaalarmowanego wrzaskami właściciela lokalu, Ryszarda Krzyczka. Paweł znał się również dobrze z nim, dłużej niż z Markiem. Odkąd Rysiek otworzył lokal, Paweł wpadał do niego prawie co wieczór w drodze do domu, na jedno czy dwa piwka.

- Co tu się dzieje? - zapytał Ryszard.

Zobaczył Pawła stojącego przy barze. Podeszedł do niego i przyciszonym głosem mruknął:

- Człowieku, popatrz na siebie. Sorry, ale psujesz w tym momencie wizerunek mojego pubu. Ponieważ jesteśmy w towarzystwie dam, poproszę cię uprzejmie o opuszczenie lokalu. Rozumiemy się? Jeśli potrzebujesz pomocy, dygaj do schroniska dla bezdomnych i na dobry początek weź tam prysznic. Zaufaj mi.

Skinął na tysego, szerokiego w barach gościa siedzącego na przeciwległym końcu baru.

- Adi, pomóż panu trafić do drzwi, zgoda?

Adi dźwignął się ze stołka i zbliżył się do Pawła chodem orangutana. Chwycił go za lewe ramię tak gwałtownie, że Paweł obawiał się, iż złamie mu kość na pół.

- Chodź, koleżko, obejrzyj sobie podwórko.

- Adi, na litość boską, to ja!

- Oczywiście, że tak. Ty to ty, a ja to ja.

Adi zaczął ciągnąć Pawła do wyjścia. Wtem zza baru wystąpiła Wiki i chwyciła Pawła za wolne przedramię, szarpiąc delikatnie, acz zaborczo. Jej przyjaciółki dołączyły do niej.

- Puść go - rozkazała. Uśmiechała się, ale w wilczo-szarych oczach kryło się nieprzejednanie. - On jest z nami. Zajmiemy się nim.

Adi obejrzał się na Ryszarda, który wzruszył ramionami. Paweł został wyzwolony. Grupka trzpiotek odprowadziła go do drzwi, odwracając się tylko raz, by obdarzyć Ryszarda triumfalnymi grymasami.

Kiedy trzasnęły za nimi drzwi, Adi zapytał:

- Kto to, kurwa, był?

Ryszard potrząsnął głową.

- Bóg jeden wie. W życiu nie widziałem ich na oczy.

\* \* \*

Młode kobiety, wesoło gawędząc, odprowadziły Pawła z powrotem w dół pola, ku rzece, wzdłuż brzozonej alei, którą szedł wraz z Anną. Dwie z nich musiały go podtrzymywać, bo coraz silniej się chwiały, a gdy doszedł do ścieżki, prawie się przewrócił.

- Ochlapać ci twarz chłodną wodą? - zasugerowała Wiki.

Paweł przytaknął. Mocno zaciskał usta. Nagle, bez ostrzeżenia, trysnął gęstą fontanną wymiocin. Osunął się na kolana, po czym znowu zwymiotował, gętowatą falą na wpół strawionego gulaszu z szynki. Przewalił się na bok, na trawę, skulił i leżał tak z zamkniętymi oczami, drżąc jak w malignie.

- Coś naprawdę, naprawdę ci zaszkodziło, prawda, kochaneczku? - zapytała Wiki. W jej głosie pobrzmiwała ewidentna drwina. - Czyżbyś zjadł coś trującego? Nie, chyba nie zjadł. Połóż się tu na momencik, najdroższy, zaraz ci przejdzie, hm?

Nachyliła się, by pocałować go w czoło. Wyprostowała się i spojrzała na krzak dzikiej róży, za którym ukrywała się Anna. Przez piętnaście sekund ani mrugnęła. Następnie skinęła na swoje towarzyszki i odeszły we trzy.

Anna wygramoliła się z chaszczy. Wszystko widziała i słyszała. Spojrzała wzdłuż ścieżki, żeby sprawdzić, czy Wiki i jej przyjaciółki są jeszcze w zasięgu słuchu, aby im podziękować, lecz one zniknęły.

Stała nad Pawłem leżącym w wysokich źdźbłach, zwiniętym w bolesnych konwulsjach. Oczy trzymał szczerze zamknięte, toteż nie dostrzegł ani jej, ani wyrazu jej twarzy. Wyrazu wcale nie pełnego nienawiści ani triumfu, a spokoju i satysfakcji. Jak u sędziego, który właśnie wydał sprawiedliwy wyrok na zbrodniarza.

Upuściła obok niego na wpół opróżnioną butelkę po wódce. Potem przeżegnała się i odeszła, porzucając go w rowie.

\* \* \*

Przez całą noc Paweł wymiotował, trząsł się i cierpiał na rozdzierające bóle brzucha, a do tego nawiedzały go koszmarne wizje: wrzeszczące szczeciniaste cienie, przemykające mu po twarzy. Jak długo leżał w trawie? Kiedy słońce wzeszło za brzożami, wreszcie zdołał usiąść. Kręciło mu się w głowie, w ustach ziała pustynia, a ubranie zeszytniało od zaschniętych rzygowin.

Dłuższą chwilę zajęło mu wstanie niepewnie na nogi. Szurając, ruszył ścieżką obok rzeki, choć nadal oszołomiony, nie do końca rozumiał, dokąd niosą go stopy. Próbował sobie przypomnieć, kim jest, gdzie mieszka. Bezskutecznie.

Kiedy kuśtykał wzdłuż zakola rzeki, zobaczył piątkę znajomych, w tym swojego najlepszego kumpla Rękasa. Udali się na poranne wędkowanie. Śmiali się, palili fajki i jedli kanapki. Pawła zalała ulga. Podszedł do nich z uniesionymi rękami, jak kapitulujący żołnierz.

- Hej, chłopaki! Jak się cieszę, że was widzę! Czy ktoś mógłby mnie podrzucić do domu, proszę? Jestem bardzo, bardzo chory!

Rękas cofnął się z obrzydzeniem, jakby nie tylko odpychał go wygląd Pawła, ale jakby w ogóle go nie rozpoznał.

– Spierdalać, żulu! Nie będę nigdzie podrzucał śmierzących jak dupa ćpunów! Nawet mnie nie dotykaj!

– Proszę, panowie, inaczej umrę. Muszę wrócić do domu.

– Powiedziałem: spierdalać! Nie czaisz po polsku? Dla takich jak ty jest przytułek!

Drugi z jego przyjaciół, Kevin, zacisnął palcami skrzydełka nosa.

– Jezu Chryste! Ależ ty capisz, człowieku! Powaliłbyś pierdolonego słonia!

– Taaa, wynocha – wtrącił Piotr. – Odstraszasz ryby!

Paweł chwycił wędrowkę. Odrzucenie przez przyjaciół złamało mu serce, a kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył, że wciąż się na niego gapią. Piotr pożegnał go środkowym palcem. Żołądek Pawła wydawał się ciasno zawiązany; każdy mięsień i kość w ciele – poobijane. Nie potrafił zrozumieć, co się z nim stało i dlaczego nikt nie chciał mu pomóc.

Zataczał się dalej, gdy naraz kolejny bolesny spazm zgiął go wpół. Uklęknął na brzegu rzeki i charczał w torsjach, raz za razem, lecz w trzewiach nie zostało już nic, czym mógłby zwymiotować.

Kiedy mu przeszło, spuścił wzrok na swoje oblicze odbijające się w tafli wody. Zdziwił się. Kto to taki? Odwrócił się, by zobaczyć, czy nieznajomy nie stoi za nim. Nikogo tam nie było. Kumple wrócili do łowienia. Wgapił się w odbicie, tym razem intensywniej. Kto to taki? Czemu widzę jego twarz w wodzie?

Naraz w jego umyśle, znikąd, szepnął głos młodej kobiety. Z początku niewyraźny, wątpy, lecz wkrótce zdołał przyswoić poszczególne słowa.

– To nikt.

Tak, pomyślał, to prawda.

Pochylił się nad powierzchnią i powtórzył głośno:

– Słyszysz? Jesteś nikim! Oto prawda o tobie! Pan Nikt!

– Urodziłeś się jako nikt – ciągnął głos. Miękki, tajemniczy i dziwnie płynny. Rozpoznał go, ale skąd? Serce waliło mu coraz mocniej, aż do bólu. – Otrzymałeś szansę stać się kimś, ale ją zmarnowałeś, nieprawdaż? Teraz na zawsze będziesz nikim.

Nadal nie docierało do niego, że mówi o nim; nadal wpatrywał się pogardliwie w Pana Nikt. Naraz zauważył, że oczy odbicia zaczęły łagodnie zmieniać kształt, stały się skośne. W kilka sekund przemieniły się w kobiece, wilcze ślepie, szare i błyszczące. Następnie cała jego twarz się rozplynęła. Patrzył na piękność, którą spotkał U Ryśka, tę ze splątanymi blond włosami, które falowały wokół niej. To Wiki z za baru pływała pod powierzchnią wody, szyderczo się do niego uśmiechając. Wyszczrzyła spiczaste białe zęby. Przerażony Paweł próbował podnieść się z kolan.

Za późno. Wiki wynurzyła się z gwałtownym rozbryzgiem i ucapiła go obiema rękami za gardło. Błyskawicznie wciągnęła go w odmęty.

Paweł zacharczał:

– Niiieee! Arrrrgh!



Wiki okazała się jednak zbyt silna. Zanurzali się coraz głębiej i głębiej, aż do koryta rzeki. Paweł szarpał się w skazanej na porażkę próbie zaczerpnięcia powietrza, lecz po pół minucie zabrakło mu tchu, a płuca zalała zimna, mętna toń rzeki.

Wkrótce powierzchnia cieku powróciła do delikatnego falowania. Świerszcze cykały w trawie ku chwale słonecznego popołudnia, a pokrzywnice nadal ćwierkały, jakby świat wcale a wcale nie zauważył, że zgasło ludzkie życie. Bądź co bądź, chodziło o życie niczyje.

\* \* \*

Z głośnym skrzyknięciem Anna otworzyła zardzewiałą furtkę przed domem Maciuszków. Matka Pawła zdejmowała akurat pranie w swoim zagraconym ogródku.

– Anna! Gdzieś ty się szwendała, do kurwy nędzy? Do nikogo gęby otworzyć w tym domu, oprócz dziadka! – Z jakiegoś powodu nazywała swojego męża, Stefana, dziadkiem.

Niedbale złożyła wilgotne prześcieradła i wcisnęła je do koszyka.

– Więc? Gdzie jest Paweł? – zapytała.

Anna udała się za Haliną do jej części bliźniaka.

– Poszedł kupić wino i parę butelek wódki. Pomyślałam, że moglibyśmy urządzić dziś wieczorem małego grilla, żeby uczcić nasze pojednanie. Naprawdę, powinnam była lepiej cię słuchać!

– Ach, Anno, Anno... takaś niby wykształcona i takaś cholernie mądra, ale przez większość czasu głupia jak cielę! Nic dziwnego, że ludzie uważają cię za nikogo. Mówiłam ci, że Paweł to dobry chłopak, prawda? Jeśli tylko dasz mu w spokoju pić, twoje życie stanie się równie szczęśliwe, co moje!

Przerwała, a potem zawołała:

– Dziadku! Dziadek! Gdzie się, kurwa, podział ten stary kretyn? Stefan! Przynies-no wódkę z zamrażarki, będziemy świętować!

Anna posłała jej uśmiech:

– Nie kłopotz się, Halino. Mam tu coś lepszego. Przywiozłam wam specjalny napój. Mocny i unikatowy. Wyjątkowy prezent dla wyjątkowych osób.

Stefan pojawił się w drzwiach kuchni, pociągając nosem i drapiąc się po brzuchu.

– Przynies trzy szklanki, dziadku – warknęła Halina. – Jeno nie upuść ich, do nędzy, jak w zesłym tygodniu.

Anna wyciągnęła z zamszowej torby butelkę karminowego trunku i nalała im sowicie.

– Na zdrowie! – zaintonowała i patrzyła, jak Stefan i Halina opróżniają swoje szkło.

– Trochę kwaśne, ale smaczne! – ocenił Stefan, wycierając usta w rękaw.

Anna nalała im na drugą nóżkę, ale sama nie tknęła napitku. Halina zaniósła kosz z praniem do kuchni, a Stefan poszedł za nią. Wówczas ostrożnie wlała swoją porcję z powrotem do butelki.

– Zabieram się za przygotowanie grilla! – zawołała. – Do zobaczenia później!

Mroczna satysfakcja ogarnęła ją na myśl, że Dziewanna ukarze rodziców Pawła za to, że ją obrażali, przeklinali i traktowali jak nikogo, ale ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było zostać

i patrzeć, jak brudzą podłogę wymiocinami. Wyszła z domu, zamykając za sobą łuszczące się od farby drzwi frontowe. Kroki skierowała do mieszkania swoich rodziców.

\* \* \*

Trzy dni później dwoje policjantów, mężczyzna i kobieta, zadzwoniło do mieszkania jej rodziców. Anna siekała właśnie kapustę w kuchni na obiad.

– Anno! – zawołał ją ojciec. – Pytają o ciebie.

– Pani Maciuszek? – zapytała funkcjonariuszka. – Możemy wejść? Obawiam się, że przynosimy złe wieści.

Ściągnęły czapki. Anna zaprosiła ich do salonu. Gdy tylko usiedli, policjant zapytał ją:

– Proszę mi powiedzieć, kiedy widziała pani męża?

– Pawła? Trzy dni temu. Obiecał się ze mną spotkać na drinka w pubie U Ryśka, ale kiedy tam dotarłam, powiedzieli mi, że wyglądał na zalanego w trupa i że wyszedł z trzema młodymi kobietami. Od tego czasu ani go nie widziałam, ani nie odzywał się do mnie.

– Z przykrością informuję, że jego ciało znaleziono w stawie rybnym w Bodzentynie. Zidentyfikowaliśmy go na podstawie e-dowodu osobistego w telefonie komórkowym. Obawiam się, że jest za wcześnie, aby dokładnie określić przyczynę śmierci. Jednak na tym złe wieści się nie kończą.

Zszokowana Anna przycisnęła dłoń do ust. Jej oczy napelniły się łzami. Policjantka sięgnęła pod stołem i poklepała ją pocieszająco po kolanie.

– Zanim tu przyjechaliśmy, pani Maciuszek, próbowaliśmy odnaleźć panią pod adresem, który zajmowała pani z mężem wraz z jego rodzicami. Proszę przyjąć moje najszersze kondolencje: oni również nie żyją, oboje. Choć będziemy musieli poczekać na sekcję zwłok przeprowadzoną przez lekarza sądowego, zdaje się, iż Stefan Maciuszek utopił się w wannie. Prawdopodobnie spożył znaczną ilość alkoholu. Jego żona, Halina, wezwała pogotowie, lecz gdy operator zapytał, kim jest i gdzie mieszka, stwierdziła, że nie wie. Zanim udało się namierzyć wezwanie i wysłać karetkę, była już martwa. Poszła do ogrodu i podcięła sobie gardło kawałkiem szkła, po czym wylądowała twarzą w beczce na deszczówkę.

– Utopiła się w deszczówce? Jakim cudem?

Rysy funkcjonariusza ściągnęły się.

– Wie pani, co mawiają. Utopić się w łyżce wody, itepe.

Jeszcze długo po wyjściu policjantów Anna siedziała w salonie z matką i milczała. Na zewnątrz zaczęło się ściemniać i dobiegło ich pohukiwanie sowy.

Rozumiała teraz, jak czuła się babcia, gdy nad Stawem Umarłaka odkryto zwłoki Tadeusza. Nie odpowiadała bezpośrednio za śmierć Pawła i jego rodziców. Owszem, chciała ich ukarać, ale to Dziewanna ich zabiła. Gdyby zrozumiała przestrogi babki Janki! O tym, że karą Dziewanny dla tych, którzy krzywdzą jej córy, jest coś więcej niż choroba i nieistnienie. Że pani łowów na łowy wysyła swe rusalki.

Nie ponosiła winy za to, kogo i jak potopiły Wiki i jej kompanki. Niemniej w przedziwny sposób poczuwała się do tego. Ponieważ stała się jedną z nich.

\* \* \*

W sobotę Anna jadła śniadanie w kuchni rodziców, kiedy zobaczyła w lokalnej telewizji, że ksiądz Antoni Pachucy został znaleziony martwy w lesie we Włoszczowie. Rzecznik policji poinformował, że ślady pazurów na szczątkach kleryka oraz jego podarte ubranie wskazywały niemal w stu procentach na atak wilków.

Po posiłku Anna udała się do babki Janki, żeby dowiedzieć się więcej. Staruszka przyjaźniła się z miejscowym lekarzem, a to właśnie jego wezwała policja na wstępne oględziny.

– Dziewanna i jej rusalki w końcu się zemściły – skwitowała babka Janka, mieszając herbatę.

Podobno ojciec Antoni grał późnym wieczorem w szachy z innym księdzem, kiedy nagle wstał i oznajmił, że musi iść do lasu nazbierać dziurawca. Towarzysz próbował go odwieść od tego zamiaru, lecz proboszcz wymamrotał coś o czarownicach i walce z diabłem i zniknął w ciemności, choć miał na sobie zaledwie szlafrok i piżamę.

Na jego ciało wczesnym rankiem natknęli się grzybiarze. Choć leżał w lesie maksymalnie od północy, otaczały go pędy dziewanny. Niektóre łodygi przebiły nawet piżamę. W jego dłoni odkryto srebrny wisiołek z wypisaną na nim łacińską modlitwą.

– *Sub tuum praesidium* – powiedziała smutno babcia Janka. – Pod twoją obronę.

Anna uniosła wzrok na obraz Matki Boskiej Gromnicznej i wiedziała już, gdzie leży jej przeznaczenie.

\* \* \*

Późnym popołudniem, kiedy słońce ucałowało w pożegnaniu szczyty szeleszczących jodeł, Anna dotarła poprzez wysoką trawę do Stawu Umarlaka. Cienie kryły niewzruszone wody, więc wyglądały one jak bezdenna czarna dziura wiodąca do podziemnych królestw.

Anna włożyła tego dnia prostą białą sukienkę; jej włosy opadały luźno na ramiona. Przedzierając się przez brzozy na brzegu jeziora, dostrzegła Wiki oraz jej dwie przyjaciółki. Nurzając się w toni, Wiki rozczesywała blond włosy i śpiewała. Towarzyszki prały ubrania. Wszystkie były nagie.

Anna zdjęła sandały i rzuciła je w krzaki. Następnie ściągnęła sukienkę przez głowę i również odrzuciła ją na bok. Pod spodem miała tylko białe majtki. One również pofrunęły na bok, lądując na liściach dziewanny.

Kiedy zbliżyła się do trzech młodych kobiet, natychmiast przerwały swe czynności. Odwróciły się ku niej i powitały ją rozanielonymi uśmiechami.

Wyciągnęły ręce i cała trójka objęła Annę, przycisnęła usta do jej ust. Ich chłodna, śliska skóra i twardość zeszytywniałych sutków podnieciły Annę. Wiki zaczęła śpiewać. Stały tak we czwórkę, aż okoliczne drzewa pochłonęły ostatni blask słońca, a świat pogrążył się w ciemności.



## GRAHAM MASTERTON



Graham Masterton to zarówno popularny autor horrorów, jak i płodny twórca thrillerów, powieści katastroficznych i historycznych, a także uznanych na świecie poradników seksualnych. W wieku 17 lat został dziennikarzem w lokalnej gazecie, a wieku 24 lat – redaktorem magazynu Penthouse. Jego pierwsza powieść, „Manitou”, doczekała się filmowej adaptacji z Tonym Curtisem w roli głównej, a trzy opowiadania sfilmowano w serialu TV The Hunger stworzonym przez Tony’ego Scotta. Dwadzieścia lat temu Graham podjął się napisania kryminału „Białe kości”, z akcją osadzoną w Irlandii, stały się e-bookowym fenomenem, sprzedając 100 tysięcy kopii w miesiąc. Najnowsza powieść z bestsellerowej serii o naczelniczce Katie Maguire to „Do ostatniej kropli krwi”.

W 2019 roku Graham otrzymał nagrodę za całokształt twórczości od Horror Writers Association. Rokrocznie we Francji przyznawane jest Le Prix Graham Masterton dla najlepszych horrorów, w Polsce zaś Nagroda Grahama Mastertona „W Więzieniu Pisane” trafia do twórców opowiadań osadzonych w zakładach karnych. Aktualnie Graham pracuje nad nowymi książkami z gatunku horroru i kryminału. Odwiedźcie go na [www.grahammasterton.co.uk](http://www.grahammasterton.co.uk).

KAROLINA MOGIELSKA



Jest psychologiem z wieloletnim stażem i doświadczeniem, obecnie mieszka w Nysie i pracuje w zawodzie, pomagając interwencyjnie w placówkach opiekuńczo-wychowawczych, a także w przedszkolach. Niesienie ludziom pomocy, szczególnie dzieciom i nastolatkom, którzy są ofiarami poczynań dorosłych, daje mnóstwo satysfakcji, chociaż ze względu na sposób działania polskiego systemu pomocowego często spotyka się z wieloma trudnymi emocjonalnie sytuacjami. Pisanie daje możliwość „przekraczania” pewnych granic, również tych, które są tabu, dlatego ma nadzieję, że przyniesie ono ludziom coś więcej aniżeli rozrywkę. Szlifowanie warsztatu pisarskiego pod skrzydłami Grahama Mastertona traktuje jako motywację i wielki zaszczyt, i chciałaby z tych lekcji wyciągnąć jak najwięcej, po to aby móc to wszystko, czego się nauczy, rozsyłać dalej w świat. Wspólnie z Grahamem pracują nad kolejnymi projektami, z których niektóre doczekały się już publikacji. Zanim poznała Grahama, nie myślała, aby pisać zawodowo, chociaż ma w swoim dorobku artykuły naukowe dotyczące samooceny młodzieży niedostosowanej społecznie i zagrożonej tym zjawiskiem. Chciałaby, aby jej chęć niesienia pomocy znalazła się w połowie drogi z zapalem pisarskim.

**Małgorzata Lewandowska - 1990**



MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

1990

- VIII -



## Postanowienie

Miały po piętnaście lat i postanowienie, by pokazać całemu światu, co myślą o tych wszystkich normach społecznych. Co prawda „cały świat” ograniczał się do stołówki w małym ośrodku wypoczynkowym na jakimś zadupiu oraz wypełniających tę stołówkę uczestników kolonii i dwóch pań kucharek, ale dla Kaśki i Izy nie miało to żadnego znaczenia. Przedostatniego dnia obozu odbywał się wieczór talentów i dziewczyny planowały wreszcie ujawnić kim są, albo raczej po prostu tego nie ukrywać. A czy ktoś się domyśli? To już nie zależało od nich.

Kiedy zapowiadano wykonywany przez nie numer taneczny, stojącą z boku sceny Kaśkę ogarnął strach. Jednak potem spojrzała na Izę, obdarzoną delikatną urodą drobną blondynkę, która siedziała w pierwszym rzędzie. Zobaczyła jej pokrzepiający, ciepły uśmiech. Przyjaciółka puściła do niej oko, poprawiła jasną sukienkę i niczym prawdziwa tancerka wstała z wysoko uniesioną głową; bez wahania wyszła na środek zaimprovizowanej sceny, gdzie czekała na partnerkę, niczym Jennifer Grey na Patricka Swayze w *Dirty Dancing*.

Sala zamilkła w skupieniu. Odrapana olejna lamperia odbiła światło reflektora.

Ubrana na czarno Kaśka wiedziała, że nie chce i nie może zawieść. Wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie. Uśmiechnęła się, próbując wyglądać pewnie. Jednocześnie otarła nerwowo dłonie o spodnie. Didżej, którym był jeden z opiekunów kolonii, spojrzał na nią wyczekująco. Dała znak, aby zaczynał. Pomieszczenie wypełniły pierwsze dźwięki *The Time of My Life*, według dziewczyn najważniejszej piosenki w całym filmie o sekretnej miłości i potrzebie zmian konwenansów.

Później Kaśka nie pamiętała już prawie nic. Najpierw zbyt przejęta, że się pomyli, później zbyt wpatrzona w Izę, by cokolwiek innego się liczyło. I nie było ważne, że nie miały całego zastępu tancerzy ani że jej skok z krzesła, zamiast tak jak w pierwowzorze, ze znajdującej się ponad głowami widzów sceny, nie był tak spektakularny jak w filmie. Nie miało też znaczenia, że zamiast podniesienia partnerki, które notorycznie im nie wychodziło, tylko wygięła Izę do tyłu. Kiedy kręcone blond włosy, obcięte na wzór Jennifer Grey, dotknęły podłogi, publiczność oszalała niczym w prawdziwym filmie.

No prawie oszalała. Ekspresja entuzjazmu ograniczyła się bowiem do głośnych oklasków, raczej związanych z tym, że ktoś wreszcie przerwał ciąg niewprawnie śpiewanych coverów. Dla dziewczyn ten aplauz był jednak wystarczający. W tym jednym momencie czuły, że mogą zmienić cały świat, że nie muszą się ukrywać i udawać. Pod wpływem chwili, niczym w filmie, na oczach wszystkich Iza objęła szyję Kaśki i pocałowała ją w policzek. Nie ćwiczyły tego. Miały tylko złapać się za ręce i uklonić wspólnie. Jednak teraz wcześniejsze ustalenia nie miały znaczenia. Świat ciemnowłosej dziewczyny rozpałił się kolorami i żarem uniesienia. Wypełniło ją przeświadczenie, że razem z Izą mogą wszystko! Tak jak w piosence, do której tańczyły, a której tekst przetłumaczyły razem: Kaśka nigdy wcześniej nie czuła się tak jak teraz!

Ze stanu euforii wyrwał ją dopiero głośny pisk dobywający się z głośników. Chwilę później didżej, szurając obfitym wąsem po mikrofonie trzymany zbytnio blisko ust, tubalnym głosem przeprosił za te nieoczekiwane efekty dźwiękowe, podziękował za dynamiczny numer taneczny, a następnie zapowiedział kolejnego uczestnika konkursu. Kaśka poczuła, że Iza łapie ją za rękę i ciągnie ku drzwiom stołówki. Po drodze inni uczestnicy kolonii gratulowali im występu. Nawet jedna z pań kucharek uśmiechnęła się do nich serdecznie, ocierając kącik oka chusteczką trzymaną w spracowanej dłoni.

Najpiękniejszy wieczór w dotychczasowym życiu dziewczyn trwał.

## Po twoich śladach

Następnego dnia umówiły się z Izą nad jeziorem, w miejscu, które odkryły niedługo po przyjeździe na obóz. Dzika plaża częściowo osłonięta przez tatarak, a częściowo przez wzniesienie i leżący u jego stóp narzutowy głaz, pozwalała im na moment oddechu od niedającej szansy na samotność kolonijnej rutyny.

Z reguły dziewczyny starały się przychodzić na „swoje miejsce” osobno. Tym razem to Iza była pierwszą. Idąc wąską, najprawdopodobniej wydeptaną przez zwierzęta ścieżką znalazła się na niewielkiej łące płynnie przechodzącej w złocistą plażę. Zdjęła buty, zrzuciła plecak i rozłożyła duży ręcznik. Położyła się wygodnie i sięgnęła po książkę.

Najczęściej druga z nich przychodziła kilka minut później. Niestety dzisiaj, kiedy Iza opuszczała pokój, który zajmowały z innymi dziewczynami, do środka weszła opiekunka grupy i powiedziała, że do Kaśki zadzwonili rodzice. Słyszac te słowa, Iza odwróciła się zaniepokojona. Nie wiedziała, czy powinna zostać, czy postąpić zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. W oczach Kaśki czała się obawa, jednak niewerbalnie zasygnalizowała, aby Iza nie czekała tu na nią, tylko poszła na plażę.

Co takiego mogło się stać? Mam nadzieję, że nikt nie zachorował, albo jeszcze gorzej... – rozważała teraz Iza, kolejny raz przesuwając spojrzeniem po tej samej linijce. Rodzice Kaśki po prostu nigdy, ale to nigdy, nie dzwonili do niej na wyjazdach. Wyglądało to tak, jakby w momencie, w którym dziewczyna wchodziła do wycieczkowego autokaru, przestawała dla nich istnieć. Dlatego, mimo że Iza próbowała skupić się na lekturze, jej myśli ciągle wracały do przyjaciółki. Wreszcie westchnęła i zrezygnowała z dalszego czytania.

Przez chwilę leżała nieruchomo, po czym usiadła. Odniosła dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Przeczesała spojrzeniem otoczenie, jednak nie zauważyła nikogo. Tylko tatarak leniwie kotywał się na wietrze, a woda wtórowała mu cichym, kojącym szeptem, rozpraszającym ciemne chmury obaw. Dziewczyna przesłała im w podziękowaniu uśmiech i spojrzała na refleksy światła ślizgające się po powierzchni w przesmyku między smukłymi roślinami. Zamarła. Mogłaby przysiąc, że pod wodą kłębi się jakiś dziwny kształt, przypominający... Skupiła wzrok i uklękła, by zmienić kąt obserwacji... lecz niepokojąca rzecz, porwana kolejną falą, okazała się jedynie kłębem wodorostów. Iza pokręciła głową, łajając się w myślach za nerwowość i nadmierną wyobraźnię. Opadła na ręcznik i rozluźniona na powrót wsłuchiwała się w cichą melodię jeziora.

Trwała tak, jakby zatopiona w czasie, gdy nagle zerwał się chłodny wiatr. Otarł policzki, szarpnął za włosy. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz. Tymczasem podmuch zawirował wśród tataraku i odleciał, porywając za sobą kropelki wody i błyszczące ważki. Wychowana na blokowisku Iza niepewnie uniosła brew w zdziwieniu, nie bardzo wiedząc, czy takie podmuchy przechodzące w coś na kształt mini trąby powietrznej są tu normalne, czy nie. Zamiast znowu dzielić włos na czworo, skwitowała zdarzenie wzruszeniem ramion i położyła się na plecach. Przymknęła powieki. Wiatr nie powrócił, za to słońce przyjemnie rozgrzewało, jeszcze nie parząc. Przeciągnęła się i spod gęstych rzęs spojrziała w nasycone błękitem niebo. Wróciło do niej wspomnienie wczorajszego wieczoru; leżały w tym miejscu razem z Kasią, patrzyły w obsypany gwiazdami nieboskłon i po prostu cieszyły się chwilą: łagodnym, nocnym powietrzem, melodyjnym nawoływaniem fal i miriadami świetlików, które postanowiły ozdobić właśnie wybraną przez dziewczyny plażę.

Przypomniała sobie dotyk ust przyjaciółki i zarumieniła się. Może uda im się przyjść tutaj także dzisiaj wieczorem? Chociaż to pewnie będzie zależało od tego, czego chcieli rodzice Kaśki. *Właśnie*. Ciekawe, czemu zadzwonili i czego mogli od niej chcieć?

Westchnęła, ponownie usiadła i zaczęła zdejmować ubrania, pod którymi miała kostium kąpielowy. Pomyślała, że skoro nie mogła skupić się na czytaniu, ani na czymś innym niż myślenie o przyjaciółce, to się chociaż poopala.

Gdy przeciągała bluzkę przez głowę, zdała sobie sprawę, że zapomniała rozpiąć guziki pod szyją. Prychnęła i zaczęła siłować się z tkaniną, chcąc zdjąć ją mimo wszystko. Jej uszy wypełniło szuranie opornego materiału. Już prawie, prawie jej się udało, gdy ktoś złapał ją za rękę i ostro pociągnął do tyłu. Równocześnie coś unieruchomiło nogi.

– Trzymaj ją! – rozkazał ktoś nad jej głową.

Odruchowo próbowała się wyrwać. Coś szarpnęło. Barki zaprotestowały bólem, gardło odpowiedziało krzykiem.

– Ucisz ją!

– Jak?! – Piskliwy głos zawibrował w powietrzu, przebijając wypełniające uszy Izy pulsowanie krwi i szum materiału.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze. Coś przygniotło ją do ziemi. W nos uderzył kwaśny zapach potu. Poczula pod sobą ruch. Naciągnięty ręcznik zakrył twarz i wszystko ściemniało. Czyjaś dłoń próbowała wepchnąć gruby materiał do jej ust.

– Nie naciągaj jej bluzki! Nie mogę wcisnąć ręcznika!

Uścisk na rękach zelżał. Ponownie spróbowała się wyrwać. Już prawie oswobodziła przedramiona... Coś rąbnęło ją w głowę.

– Mówiłem, żebyś ją trzymał!

Czaszka eksplodowała bólem. Chciała krzyknąć! Lecz ktoś głębiej wcisnął materiał w jej gardło. Zakrył nos. Zaczęła się szarpać ogarnięta paniką, że zaraz się udusi.

– Przestań się rzucać! Bo ci jeszcze dołożę, suko! Trzymaj ją mocniej!

– Nie mogę! Sam ją trzymaj!

Poczula zaciskane na szyi szorstkie ręce.

– Co ty robisz?! – krzyknął łamiący się falset. – Przestań! Przestań! Bo ją puszcze!

Nie była już sobą, a czystym przerażeniem.

– Nie puszczać! Wiem, co robię! Jak kogoś podduszisz, to się przestaje rzucać! Tata mi to pokazał!

Traciła siły.

– Przestań! – przerażony, piskliwy krzyk przebił ogarniające ją otępienie. – Przestań! – Falset zawibrował ostatni raz i nagle poczuła, że ma wolne ręce. Instynktownie sięgnęła do tego, co nie pozwalało jej oddychać.

– Co robisz, debil! Wracaj tu! Trzymaj ją! – krzyczał ktoś nad jej głową – Słyszysz! Wracaj!!!!...

Huk, pchnięcie, odgłosy szamotania...

Przygniatający ją ciężar puścił. Momentalnie zgięła się wpool i zaczęła szarpać materiał zasłaniający twarz.

Trzasnęła pękająca tkanina, coś opadło na ziemię. Dziewczyna nagle mogła oddychać i widzieć. Rozerwana bluzka odsłoniła dwie szamoczące się osoby. Iza zamrugła gwałtownie, starając się odzyskać ostrość widzenia. Przez łzy zobaczyła, jak jakiś czarny kształt przygniatał do ziemi inny.

– Kasia! – Chciała krzyknąć, lecz z jej ust dobiegł tylko chrapliwy jęk.

W tym momencie chłopak, z którym szarpała się jej przyjaciółka, zdołał ją odepchnąć. Kaśka upadła obok Izy, jednak momentalnie się podniosła. Iza chciała stanąć koło przyjaciółki, ale dała radę tylko uklęknąć na drżących nogach.

Chłopak także się podniósł. Poznała go. Był to jeden z trochę starszych od nich uczestników kolonii, którego kojarzyła z rodzinnego miasta. Jednak nawet nie wiedziała, jak ma na imię. Teraz mierzył ją i Kaśkę nienawistnym spojrzeniem. Splunął w ich stronę i odbiegł w kierunku ścieżki. Dopiero w bezpiecznej odległości, tuż przed zakrętem zatrzymał się i krzyknął:

– Myślicie, że nie wiem, co robiliście tutaj wczoraj? Widziałem wszystko! Pieprzone zboki! Lesby! Homo... homo... homoniewiadomo! Jeśli tylko powiecie komuś, co się stało, powiem wszystkim! Zniszczę was! – zagroził i zniknął za wzniesieniem.

## Zmiana

Antek oddalał się od dzikiej plaży.

Był przestraszony i zły.

Zły na siebie, na Kaśkę, która przyszła niewczas, na głupią Izę, która wcale nie była taka słaba, jak zakładał, i na Sławka. Tak, szczególnie na tego ostatniego. Sławka, który zamiast pomóc, uciekł jak jakiś zwykły tchórz bez jaj.

– Pieprzona ciota – wymruczał półgłosem Antek, kopiąc kamień. Jakoś od razu mu ulżyło.

Tak – to zdecydowanie była wina Sławka i tej głupiej Izy. A przecież trafili na taki świetny moment! Gdyby młodszy chłopak nie trząsł portkami ze strachu i lepiej trzymał Izkę, nie

szarpałaby się, byłaby bardziej uległa. A tak trzeba ją było uderzyć i podduścić... A przecież miało być zupełnie inaczej! W sumie nie chciał jej krzywdzić. Chciał ją tylko trochę nastraszyć. I może... może, jak ledwie ośmielił się przyznać przed samym sobą, zobaczyć, czy mimo tego, co robiła z Kaśką, jest taka, jak normalne dziewczyny.

Na samą myśl o sprawdzeniu co miała pod kostiumem, poczuł, jak w dole brzucha gromadzi się towarzyszące mu coraz częściej niechciane, krępujące napięcie. Znał Izę z sąsiedniego osiedla i już jakiś czas temu wpadła mu w oko. Kiedy zobaczył ją w kolonijnym autobusie, pomyślał, że to może być jego szansa. Od początku obozu szukał z nią kontaktu, lecz dziewczyna kompletnie go ignorowała; nie reagowała na zaczepki, nie chciała z nim tańczyć na dyskotekach, a kiedy próbował zwrócić na siebie jej uwagę na kąpielisku, po prostu wstała z mołu i sobie poszła! Takie zachowanie podziało na niego jak płachta na byka. Zaczął ją śledzić i wkrótce odkrył, że czasami Izka znika gdzieś z Kaśką. Myślały, że są sprytnie, lecz Antek i tak odnalazł miejsce ich spotkań. A potem zobaczył to, co robiły wczoraj. Myślał, że na scenie tylko się wyglupiają, jak to dziewczyny, ale ich zachowanie na plaży, to było coś innego. Wywołało w nim mieszkankę odczuć, które w końcu zdominował gniew i poczucie niesprawiedliwości. Nie mógł zrozumieć, czemu dziewczyna, która mu się podoba, woli jakąś walniętą chłopczyce.

Gdy tego ranka zauważył, jak Izka kieruje się z plecakiem w stronę tylnego wyjścia z ośrodka, a potem jedna z opiekunek prowadzi Kaśkę do biura, momentalnie zrozumiał, że okazja sama się trafia i nie może tego zmarnować. Wiedział, dokąd idzie Izka. Musiał tylko wziąć kogoś do pomocy, żeby cała akcja przebiegła szybko i sprawnie. Zamiast tego najpierw nie mógł znaleźć Sławka, który i tak okazał się trzęsidupą, a potem przyszła Kaśka, ten walnięty babochłop.

– Kaśka, walnięty babochłop – powiedział. Posmakowały mu te słowa.

Postanowił, że od teraz będzie tak wołał na tę dziewczynę. Oczywiście zacznie też opowiadać o wszystkim, co widział wieczorem na plaży. Ale nie robi tego od razu. Nie na kolonii. Jeszcze brakowało, żeby w zamian Izka z Kaśką przysporzyły mu kłopotów, mówiąc opiekunom o zajściu nad jeziorem i pokazując siniaki na dowód, że nie zmyślają.

W końcu *zemsta smakuje najlepiej na zimno*, czy jak to tam było – pomyślał, mgliście przypominając sobie jedną ze scen z *Ojca Chrzestnego*. Postanowił, że poczeka i może za miesiąc, za dwa zniszczy te dziewczuchy. Zacznie opowiadać, co widział, być może lekko ubarwiając historię na podobieństwo scen z filmów, które znajdował na kasetach wideo ukrytych przez rodziców.

Zaklął w myślach. Na wspomnienie scen z produkcji dla dorosłych i pocałunku dziewczyn poczuł wzrastające napięcie w dole brzucha. Rozejrzał się nerwowo. Nie lubił wrażeń, że traci kontrolę nad swoim ciałem. Przypomniał sobie rady, żeby w takim momencie wyobrazić sobie coś obrzydliwego. I naprawdę chciał tak zrobić, ale jego myśli ciągle zbaczały w kierunku filmów i Izy. Tego jak wiła się pod nim. Jak czuł dotyk jej nagiej, delikatnej skóry, widział zarysowane pod górą kostiumu sutki i wdychał zapach rozgrzanego ciała oraz otulającego ją strachu...

Aż jęknął pod wpływem potężnej fali podniecenia. Zatrzymał się, głośno wciągnął powietrze i zaklął. Nie chciał, aby ktoś go zobaczył w takim stanie. Błyskawicznie ocenił

otoczenie: był na wąskiej, na szczęście pustej drodze. Po jej jednej stronie leżało zaniedbane pole, za którym w dali rysował się las; po drugiej łąka i jezioro z brzegiem porośniętym jakimiś roślinami, które nazwał zbiorczo chaszczami, chociaż trudno im było pretendować do tego tytułu. Decyzja nie była trudna. Skręcił ku wodzie, by znaleźć tak potrzebne mu odosobnienie za starym, powykęcany drzewem.

\* \* \*

Już po wszystkim, kiedy obmywał dłoń w jeziorze, nawet zdziwił się trochę, że zamiast wstydu, który zawsze momentalnie kruszył poczucie ulgi i szczęścia, wypełnia go tylko błogość. Błogość rozlewająca się po ciele i niczym ta woda, zmywająca wszelkie niechciane rzeczy.

Pomyślał, że to jezioro jest faktycznie niczego sobie. Nigdy nie był specjalnie wrażliwy na uroki natury, chociaż w tym miejscu i chwili poczuł, jakby połykająca tafla wołała go. Zapraszała w skrywane pod sobą kojące orzeźwienie. Nawet wiatr popychał go delikatnie w plecy, zachęcając, aby wszedł w błękitne wody. Nie namyślając się dłużej, Antek zrzucił ubranie i z uśmiechem uległ szepczącym głosom wiatru i fal.

Odpląnął daleko od brzegu, przekreślił się na plecy i przymknął powieki. Leżąc w chłodnym jeziorze, twarzą ku słońcu, opadły z niego wszelkie troski i zmartwienia.

Nie zdawał sobie sprawy, że nagle przemknął pod nim wydłużony kształt ani że chwilę później woda dookoła niego ściemniała, jakby coś powstawało ku powierzchni. Ocknął się dopiero, gdy niespodziewanie, w trakcie jednego uderzenia serca, coś oplotło mu kończyny. Otworzył wypełnione paniką oczy i napiął mięśnie, próbując się wyrwać. Za późno. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy woda spoiła nad nim błyszczące sklepienie.

Coś ciągnęło go w dół. Instynktownie spał mięśnie, jeszcze raz próbując wyrwać się ku powierzchni. Obca siła zdawała się nawet nie zauważać jego wysiłków. Określiła go w groteskowej parodii tańca. Coś chrupnęło. Poczul przeszywający ramię ból. Bezmyślnie krzyknął, tracąc drogocenne powietrze. Chciał je pochwycić, odchylił głowę, lecz coś chwyciło jego włosy. Przygięło kark. Zmusiło, by patrzył w głębię. Zobaczył wypływającą z niej kobietę. Jej trupio bladą skórę i długie zielonkawe włosy falujące niczym wodorosty. Ogarnięty zwierzęcym strachem chciał błagać o pomoc. I wtedy zobaczył grymas wykrzywający jej twarz na podobieństwo wilczego uśmiechu. Uderzenie serca później wbijała się w jego usta szeregiem zębów zbyt ostrych i długich jak na człowieka.

## Za zasłoną deszczu i mgieł

– Nie powinnaś była tego robić – powiedziała z wyrzutem stojąca przy brzegu jasnowłosa piękność.

Jej rozmówczyni, zanurzona do połowy w wodzie, zaśmiała się gorzko, ukazując szereg ostrych i długich zębów; unoszące się na wodzie zielonkawe włosy zafalowały niczym wodorosty.

– Powinnam to zacząć robić dużo wcześniej! – odpowiedziała.

– Tak! Tu się z tobą zgodzę – przytaknęła brzeginka. – Jeśli już chciałaś kogoś utopić, to wcześniej, przed przesileniem!

– Nie chodziło mi o wcześniej, czyli wiosną, tylko o wcześniej, czyli lata temu.

– Wiem przecież! Ale przesilenie jest nadal przesileniem. Nie mogłaś tego uszanować?

Odpowiedziało jej prychnięcie.

– Ty mi tu nie pryčaj! – skarciła ją pięknilica. – Jak się o tym dowie Słoneczny, a na pewno się dowie, w końcu na niebie nie było ani chmurki! To wszyscy poniesiemy konsekwencje! Nie tylko ty! Pamiętasz prawa? Reguły? Żadnego topienia po Kupale!

– Niemożliwe, że w to jeszcze wierzysz!

Stojącą na brzegu aż zatkało na moment.

– Ciii... – wyszeptała wreszcie, przykładając palec do ust i odruchowo spojrzała w kierunku nieba.

Jej towarzyszka roześmiała się głośno.

– Nie będę cicho! Mam dosyć! Mam dosyć reguł świata, który już nie istnieje!

– Rdestko, przecież istnieje – wyszeptała brzeginka miękko, jakby mówiła do niezbyt rozgarniętego dziecka. – Rozejrzyj się dookoła. Niebo, woda, wiatr, Ziemia, my... – wskazała na siebie i towarzyszkę.

– Tak – przyznała Rdestka po chwili zastanowienia. – Istnieje. Ale i nie istnieje. Mam wrażenie, że stary świat istnieje dla nas, ale nie dla ziemców. Nie wiem dlaczego. Czy zapomnieli? Czy po prostu nie widzą go już tak samo jak my?... Właściwie nie rozpoznają magii i nazywają ją anomalią. Opowieści z dawnego świata, które mówią o nas, o mocach i o Bogach nazywają bajkami dla dzieci albo co najwyżej poetycką metaforą... Czy metaforą? – zastanowiła się. – No wiesz, tą... przerośniętą! Jak tam to nazywali ci z kółka dyskusyjnego literatów, co tu kiedyś przyjechali. – Przerwała, jakby do głowy wpadł jej nowy pomysł i wskazując głową w kierunku ośrodka wczasowego, zapytała: – Kiedy ostatni raz widziałaś, żeby dziękowali lub prosili Słonecznego o cokolwiek? Kiedy w ogóle czułaś jego obecność dookoła tych ziemców?

Brzeginka wzruszyła ramionami.

– No właśnie – podjęła Rdestka. – Myślisz, że Słoneczny się jeszcze o nich troszczy? Jeśli oni mają go w d... – przerwała pod ostrym spojrzeniem rozmówczyni. – No... wiesz? – dokończyła.

– Nie wiem, nie jestem nim!

– No właśnie! Nie jesteś. Więc skąd wiesz, czy utopienie tego gówniarza nie było mu na rękę? O ile w ogóle Słoneczny tam jeszcze jest. – Machnęła w kierunku nieba. – Może to tylko...

– Przestań! – wyszczała brzeginka. – Bo jeszcze bardziej zwrócisz na siebie jego uwagę!

– I dobrze! – rzuciła z mocą Rdestka, a jej przypominające wodorosty włosy poruszyły się gniewnie, jakby obdarzone własnym życiem. – Może wreszcie coś by się zmieniło! Mielibyśmy jakiś dowód, że to nie pusta wydmuszka! Może wreszcie wróciłyby dawne?

Czasy, zanim przyszli głosiciele jedyne boga, zanim to, kim byłem kiedyś i kim są te dziewczyny, zostało określone jako wynaturzenie! Pamiętasz to jeszcze?

Brzeginka wykonała głową nieokreślony ruch. Tymczasem Rdestka kontynuowała:

– Nowe prawa, nowa moralność... Jak Bogowie mogli do tego w ogóle dopuścić!? Jak mogli oddać te ziemie i swoich wiernych? No jak?! Pamiętasz, jak rzeki spływały krwią i wypełniały się okrzykami tych, którzy nie chcieli się poddać nowemu bogu? Pamiętasz posągi wrzucane na dno rzek i jezior? Rąbane siekierami, rozrywane, wleczone końmi! Pamiętasz, Lubko?

Zapytana nie odpowiedziała.

– Byłam tylko dzieckiem – kontynuowała cicho Rdestka – kiedy pierwszy głosiciel ukrzyżowanego przyszedł do naszej osady. Mówił o miłości, wiesz? Część z nas mu uwierzyła! Część myślała: jeden bóg więcej, jeden mniej, co za różnica? Część naiwnie twierdziła, że to dobry człek, jeno na umyśle słabowity i lekce go sobie ważyła. Jeno żerca ostrzegał... Kiedy miałam piętnaście wiosen, wyznawcy ukrzyżowanego ścieli nasz święty gaj i nic! Nic ich nie poraziło ani piorunem, ani chorobą; żaden z naszych Bogów nie objawił swej mocy. Dwa lata później skatowali moją najmilszą tylko za to, że była taka jak ja. Przyłapali nas razem, ale uciekłam. Uciekłam, bo mi pomogła: ukryła, a ich odciągnęła i zajęła sobą... – Przerwała, a jej twarz na mgnienie oka okryło cierpienie. Zalała ją fala obrazów z przeszłości. Zawładnął ją ból, jakby to wszystko wydarzyło się ledwie co; we wspomnieniach znowu biegła, mimo tego, że w oddali słyszała krzyki lubej; czuła przerażenie pompujące resztki sił w zmęczone członki, gdy tropili jej ukochaną jak jakiego dzikiego zwierza, i wreszcie dogonili ją samą blisko brzegu jeziora.

– Kiedy toń brała mnie w swoje objęcia – dodała zmienionym głosem – myślałam, że nadszedł koniec i poddałam się. Nie miałam już nadziei. Czułam ulgę, że nie muszę już walczyć. A potem... Potem, jakby los sobie zadzwiał, obudziłam się dla wody. Zostałam przyjęta do jej plemienia i zaczęłam się zmieniać. Stare prawa zadziały w stosunku do mnie! Ale nie wtedy, gdy niszczone nasz święty gaj. Kiedy zabijano wiernych. Kiedy żerca wołał pomsty i gdy mordowali moją najmilejszą, tylko dlatego, że nie pasowała do nowych zasad! Dlaczego? Dlaczego?!... Czemu ta przeklęta zmiana religii musiała się trafić akurat nam?! – Wiatr i fale poniosły pytania w dal.

Brzeginka wyciągnęła dłoń, by dotknąć przyjaciółki, ale ta cofnęła się o krok i kontynuowała:

– Na początku wmawiałam sobie, że może moja przemiana coś znaczy. Że widocznie Bogowie nie odeszli na zawsze, nie zapomnieli. Tylko na chwilę odwrócili spojrzenie. A gdy powrócą, staną w naszej obronie i znowu będzie tak jak kiedyś. Ja, topielica, czekałam aż Słoneczny i reszta Świetlistych wypalą swoją mocą tych, którzy głosili, że nie istnieją! Czekałam, aż wrócą dawne czasy. Ale nic się nie stało! Lata za latami, wieki za wiekami... Wiesz, co się zmieniło?

Odpowiedziała jej cisza, jakby nawet fale wstrzymały oddech.

– Wielkość tego jeziora, bo rzeka zaczęła sezonowo wysychać! Do tego zamiast wioski postawili ośrodek i w końcu trzciny wyparł tatarak! Tylko tyle się zmieniło! – Zrezygnowana opuściła głowę. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam te dziewczyny – dodała, unosząc twarz –



myślałam, że wreszcie nadeszło odrodzenie. Że to znak, jaskółka zwiastująca wiosnę! – zawiesiła na chwilę głos. – A potem stało się to, co się stało. Ci gówniarze udowodnili, że świat się nie zmienił. Nadal jest tak jak wtedy, gdy głosiciele jedyne boga przyszli po mnie i moją miłą. Tylko teraz takich jak ja nazywają inaczej. Z odmienca, szatańskiej dupodajki i okrytego sromem pomiotu złego, który trza wyrugować, stałam się pieprzonym zbokiem i lesbą.

Przyjaciółka spojrzała na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy i poprosiła:

– Nie mów tak.

– Jak?

– Jak oni. Jak ci, co cię prześladowali i ten, którego utopiłaś „odmienicy, lesby, pieprzone zboki”. Nie mów tak.

– Dlaczego nie? Ciągłe uczymy się zmian języka ziemców, więc czemu nie te słowa?

– Bo te określenia nie powinny nigdy powstać. A czasem jak je wymawiasz, brzmi jakbyś wraz z przyswajaniem słów, przejmowała narzucony przez nie sposób patrzenia na świat i na samą siebie.

Topielica pokręciła głową. Chciała odpowiedzieć, lecz nagle woda koło brzegu zburzyła się mocno. Chwilę później obok zielonowłosej pojawiła się pokryta łuskami, zgarbiona wiekiem męska postać. Na oczach wodnic skóra nowo przybyłego zaczęła tracić rybi wygląd, a okrywające głowę włosy wydłużyły się, by wkrótce okryć całą sylwetkę.

– Wodmirze – przywitała go zielonowłosa.

– Brzeginio! – Wodnik skłonił lekko głowę, po czym zwrócił się w stronę Rdestki i rzekł, od razu przechodząc do sedna sprawy:

– Twój wybryk może przykuć uwagę nie tylko Słonecznego, ale i ziemców. Czy ty – wskazał na topielicę ostrym pazurem – w ogóle o tym pomyślałaś?

Nie odpowiedziała.

– Jak oni ich nazywają, noo... – Wodmir pstryknął długimi palcami, pomiędzy którymi wyrastała błona pławna. – Płetwonurkowie! Płetwonurkowie, żołnierze i milicja, czy jak oni to tam teraz zwą. Myślałaś o tym, że mogą zacząć szukać ciała w jeziorze? Przecież słyszałaś opowieści z innych miejsc. Pomyślałaś, co będzie, jak zapuszczą się na samo dno? Ha?! Na razie posłałem wieści do planetników i może uda im się kupić nam trochę czasu, żeby zająć się ciałem tego ziemca. Co ty w ogóle z nim zrobiłaś? I z jego rzeczami?

Topielica milczała, chociaż było widać, że napięta mięśnie ramion i zacisnęła mocno pięści.

Wodnik kontynuował:

– Nagle odebrało ci głos? Czy ty w ogóle myślisz o czymś innym niż o sobie samej? Ha? Zdajesz sobie sprawę – zatoczył dookoła szponiastą łapą – że to jest nasz wspólny dom! A nie twój prywatny folwark! Czy jak go topiłaś, w ogóle myślałaś o konsekwencjach? Masz ty li coś w tej głowie? „Tylko tyle się zmieniło!” – przedrzeźnił ją. – Wszystko się zmieniło – dodał już swoim głosem. – Ziemcy mają teraz technologie, o których nie śniło się nikomu w naszych czasach! Mogą niszczyć, zatruwać, zaglądać na dno rzek i jezior, osuszać je i tworzyć nowe. I

ty chcesz zwrócić ich srogą uwagę na nas? Na nasz dom? Masz ty rozum jaki? Jak po tylu stuleciach możesz być tak bezdennie głupia? Ha?!

Rdestka zgrzytnęła zębami, jednocześnie otwierając i zaciskając pięści. Wodorosty na jej głowie zafalowały, a blada skóra przybrała szary odcień.

Tymczasem wodnik nie ustawał:

– Ilu ich chcesz jeszcze utopić? Bo nagle zebrało ci się na zemstę! Ha?! Jestże jakaś liczba? Topielica otworzyła usta, by mgnienie oka później je zamknąć.

– No ilu?

Jakby na umówiony sygnał, po stronie Wodmira zaczęli wynurzać się kolejni nieumarli mieszkańcy jeziora. Jednocześnie brzeg spowiła gęsta mgła. Mleczny opar dawał złudzenie, jakby linia wody była granicą tego, co rzeczywiste.

Rdestka spojrzała w twarze nowo przybyłych. Szukała wsparcia. Lecz poza pełnym współczuciem spojrzeniem Lubki znalazła tylko nagane, smutek i strach. Podjęła decyzję.

– Odpynę, gdy tylko rzeka wypełni się wodą – oświadczyła i odwróciwszy się od wszystkich, zniknęła pod powierzchnią.

## Powrót

Kaśka odwróciła wzrok od nieba, które szybko zasnuwało się chmurami.

– Powinnyśmy już iść – powiedziała, delikatnie gładząc plecy Izy. – Chyba zaraz lunie. Poza tym ta mgła... Widziałaś? Jakby rozlewała się z przeciwnego brzegu jeziora.

Iza nie zareagowała.

– Może lepiej już chodźmy, dobrze? – powtórzyła propozycję Kaśka. – Chyba że nie chcesz? Jeśli nie chcesz, możemy tu zostać.

Tym razem przyjaciółka odpowiedziała:

– Nieee... – Jej głos był cichy i lekko zachrypnięty. – Nie... nie możemy zostać... Będą nas szukać.

Zaczęła się podnosić. Kaśka, która zdążyła już wstać, chciała jej pomóc, lecz Iza zignorowała wyciągniętą dłoń. Nie wiedziała czemu, ale chciała i musiała to zrobić sama.

Kaśka, wyczuwając myśli przyjaciółki, cofnęła się o krok.

Iza wstała powoli, jak gdyby nie ufała własnym nogom. Następnie ruszyła ku ścieżce.

– Kochanie, poczekaj! – rzuciła za nią dziewczyna. – Twoje rzeczy i... i nie możesz tak wrócić. Chyba... chyba że chcesz powiedzieć o tym opiekunom? Chcesz?

Iza zatrzymała się i powoli odwróciła w stronę przyjaciółki. Stała przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie coś do niej dotarło, bo spojrzała w dół, na siebie. Na rozdarta i wymięta bluzkę z plamą krwi; ramiona i nogi, na których zaczęły zakwitać siniaki. Ślady obtarć. Brak butów.

– Muszę włożyć buty – powiedziała w końcu słabym, bezosobowym głosem. – Gdzie są moje buty?

- Tu są - odpowiedziała Kaśka, podając jej parę cheszek. - Wszystko jest. Książka, ręcznik, plecak... Iza, kochanie, chcesz komuś powiedzieć o tym ataku?

Iza skrzywiła się.

- Nieee. Nie wiem. Nieee wiem teraz - wyjąkała. Po czym automatycznym ruchem wzięła i założyła podane jej obuwie. Chyba nadal nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, jak wygląda, gdyż odwróciła się i ponownie skierowała ku ścieżce.

- Poczekaj! - Kaśka doskoczyła do niej. - W takim razie nie możesz tak wrócić! Nie w tej bluzce!

Iza zatrzymała się i skuliła w sobie.

- Przepraszam, nie powinnam krzyczeć - dodała miękkiem, skruszonym głosem przyjaciółki.

Iza milczała.

- Możesz zdjąć bluzkę? Masz pod spodem kostium, tak? - zapytała Kaśka, chociaż znała odpowiedź.

- Tak - odparła Iza. - Tylko muszę... muszę rozpiąć guziki. - Spróbowała podnieść rękę, aby to zrobić i jęknęła z bólu.

Kaśka, chcąc pomóc, szybko sięgnęła w stronę szyi przyjaciółki. Ta momentalnie cofnęła się. Na jej twarzy wypisane było przerażenie. Kaśka opuściła rękę i także się cofnęła.

- Przepraszam - powiedziała Iza, przełamując ciszę. W jej oczach zaszklily się łzy. - Przepraszam, po... po prostu... to wszystko... za szybko... i...

- Kochanie, to ja przepraszam - odpowiedziała pełnym poczucia winy tonem Kaśka. - Nie pomyślałam. Przepraszam. Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie wiem, czy mogę... podnieść rękę - odpowiedziała powoli przyjaciółka.

- Ooo... Hymmm... - Kaśka zagryzła wargę. Oświadczenie Izy trochę zbiło ją z tropu. Jednak po chwili w jej głowie zaczął się rodzić nowy plan. - Mam pomysł. Hymmm... Może okryję cię teraz ręcznikiem? Co ty na to? Tak nawet byłoby lepiej, bo zasłoni rękę? - zapytała i spojrzała na Izę, szukając aprobaty. - A potem... A potem jak wejdziemy do naszego pawilonu, to ty pójdziesz do łazienki. Dobrze? Nie do pokoju, tylko do łazienki. Ja pójdę do pokoju. Wezmę dla ciebie jakieś długie spodnie albo tę twoją spódnice. Mam koszulę z długim rękawem, więc nie będziesz musiała podnosić rąk... A tę bluzkę, hym... Można rozciąć? - zawiesiła głos, czekając na reakcję przyjaciółki. Wiatr smagnał chłodem. Dziewczynę przebiegł dreszcz i jednocześnie w głowie pojawiła się kolejna myśl. - Po deszczu pewnie zrobi się chłodniej, to się nawet nikt nie zdziwi, że się przebrałaś.

Iza bardzo powoli i nieznacznie przytaknęła głową. Na delikatnej skórze jej szyi ślady niedawnych zająć były szczególnie widoczne.

- Boli cię? - zapytała Kaśka i natychmiast znalazła potwierdzenie w oczach przyjaciółki. - Może... może... Wiem! Przepraszam - dodała szybko, widząc grymas przebiegający przez twarz swojej dziewczyny. - Miałam nie krzyczeć. Ale zostawiłam w pokoju bandanę. Przyniosę ci ją z ciuchami. Zasłonimy nią szyję, gdyby koszula nie wystarczyła. Dobrze? A z brodą - wskazała na coraz wyraźniejszy okrągły ślad zakwitający na skórze - może powiem, że się przewróciłaś? Ale tylko jeśli ktoś zapyta?

Wiatr przybrał na sile, jak gdyby chciał ponaglić dziewczyny, by już sobie poszły. Zaczął ciągnąć za bluzki. Szarpał włosy. Odsłonił zakrytą do tej pory lokami opuchniętą ranę na czole Izy. Kaśka powstrzymała odruch klęcia i pomyślała, że trzeba będzie z tym iść do pielęgniarki. Jeśli Iza nie będzie chciała mówić o ataku, to może powiedzą, że uderzyła się o szafkę? Natychmiast odsunęła jednak ten problem na później i powiedziała:

– Kochanie, teraz powoli okryję cię ręcznikiem, dobrze? Mogę ci zakryć głowę?

Odpowiedziało jej pełne przerażenia spojrzenie.

– Dobrze, tylko ramiona! – zapewniła szybko Kaśka – I może zrobię tu taką jakby stójkę? Żeby zakryć szyję? Możesz to tak trzymać? – zapytała, podając jej brzegi ręcznika.

Iza chwyciła materiał. Pod wpływem charakterystycznej faktury frotte przeszedł ją dreszcz, a oczy ponownie się zaszklily. Jednak nie puściła grubej tkaniny i ruszyła w stronę ścieżki.

Kaśka podążyła za nią.

Zaczęło robić się ciemno.

Gdy znalazły się blisko ośrodka, z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Kasia uniosła twarz, słone łzy skryły się wśród chłodnych kropeł.

Przy bramie ośrodka dziewczyny spotkały jednego z wychowawców. Zrugał je za nieodpowiedzialność i kazał natychmiast udać się do pawilonu. Gdy odchodziły, stanął pod daszkiem i nerwowo zapalił papierosa. Zaciągnął się i zaklął na głupie maolaty, które szwendają się nie wiadomo gdzie.

Trzy zaciągnięcia dymem później rzucił niedopałek w niewielką kałużę i poszedł zawiadomić resztę kadry, że chociaż te dwie idiotki się znalazły.

\* \* \*

Zanim Kaśka wzięła się za przecinanie pomiętej i zakrwawionej bluzki, zapytała jeszcze raz, czy przyjaciółka jest pewna, że nie chce od razu zgłosić tego, co się stało. Iza zdawała się jednak coraz bardziej nieobecna, odrętwiała. Przestała reagować na pytania, tylko patrzyła pustym wzrokiem w przestrzeń. Kasia zakłęła w myślach i przyznała przed samą sobą, że boi się podjąć decyzję za przyjaciółkę. Drżącą ręką rozcięła bluzkę i schowała ją do foliowej torebki w plecaku.

Właśnie wychodziły z łazienki, kiedy na ich drodze stanęła Aneta, wychowawczyni grupy.

– Tu jesteście! – rzuciła. – Rozumiem, że to przedostatni dzień kolonii i że dałam wam więcej luzu, ale to nie jest powód, żeby tak po prostu zniknąć na kilka godzin!

Kaśka stanęła pomiędzy Izą a wychowawczynią i spuściła wzrok.

– Przepraszamy, to się już więcej nie powtórzy – odpowiedziała za siebie i przyjaciółkę.

– Wiem, że się nie powtórzy, bo już na to nie pozwolę – stwierdziła Aneta ostro. – Czy ktoś jest w łazience?

– Neeee – odpowiedziała Kaśka, zdziwiona nagłym obrotem sprawy.

Wychowawczyni przyjrzała się jej podejrzliwie i zapytała:

– Wychodzicie gdzieś?

– Nie.

- To dobrze. Idźcie do pokoju, zamknijcie drzwi i nie wychodźcie z budynku, dopóki do was nie przyjdę. Pogadamy o waszym zachowaniu później. - Aneta położyła nacisk na ostatnie słowo, po czym minęła dziewczyny i weszła do łazienki. Kaśka spojrziała za wychowawczynią. Przez otwarte drzwi zobaczyła, że ta kolejno zagląda do kabin.

Dziewczyna zdziwiła się trochę, ale nie chcąc, by wychowawczyni znowu zaczęła je o coś pytać i podejrzewać, pociągnęła Izę w stronę zajmowanego z innymi dziewczynami pokoju.

- Coś się stało? Czy Aneta wam coś powiedziała? - zapytała jedna z nich, gdy weszły do środka.

Kaśka wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi. Na szczęście miały z Izą łóżko koło siebie, także podprowadziła przyjaciółkę do jej miejsca, a potem usiadła na swoim materacu.

- Myślicie, że to przez tę ulewę ten cały cyrk? - zapytała piegowata Mirka.

- Nie, na pewno nie! Musiało się coś stać! Coś poważnego! Mówię wam! Przecież normalnie był taki luz, a tu nagle każą nam siedzieć w pokoju, sprawdzają co mamy pod łózkami i zaglądają do szaf! - odpowiedziała z ożywieniem Julka, której łóżko znajdowało się na końcu pokoju.

- Ale czego szukają? - zapytała siedząca koło niej rudowłosa, pulchna Bianka.

- Wódki i fajek? - rzuciła obcięta na jeża szatynka stojąca koło okna.

- A ty tylko o jednym... - skomentowała Mirka.

- Cicho! - wyszeptwała dramatycznie blondynka siedząca na łóżku najbliżej wyjścia z pokoju. - Ktoś wszedł do pawilonu! - Wstała i na palcach podkradła się do drzwi, zza których zaczęły dochodzić odgłosy przytłumionej rozmowy. Przyłożyła ucho do pokrytej farbą olejną powierzchni. W pokoju na pół minuty faktycznie zapadło milczenie.

- I co?! - wyrwało się Biance, która nie była znana z nadmiaru cierpliwości.

- Zamknij się! - uciszyła ją szatynka.

- Sama się zamknij! - odpowiedziała jej wojowniczo siedząca koło Bianki Julka.

Podsluchująca pod drzwiami blondynka spiorunowała je wzrokiem. W pokoju ponownie zapadła cisza.

- Chyba kogoś szukają! - powiedziała wreszcie blondynka, odsuwając się od drzwi.

- Szukają?

- Jak to szukają?

- Kogo!?

- Ktoś zaginął?

- Co usłyszałaś?

- Kto to był?

Przestrzeń wypełnił potok pytań, a dziewczyna przy drzwiach uśmiechnęła się jak kot, który właśnie zjadł bardzo smakowity kawałek kurczaka.

- A więc... - zaczęła, a jej oczy rozbłysły. - To była kierownicza.

- Iii...? - zapytała Bianka, która wyszła na środek pokoju, by znaleźć się bliżej źródła wiadomości.

- ...i rozmawiała z Anetą - powiedziała blondynka, cedząc słowa.

- No i? Powiedz wreszcie! - ponagliła ją Mirka.

- Hym... - Blondynka przewróciła oczami, dając w ten sposób znak, co myśli o niecierpliwości współlokatorek. - A więc... Szukają kogoś! - wyrzuciła z siebie podekscytowanym głosem.

- Powiesz coś nowego? - rzuciła szatynka.

- Kogo? - zapytała Julka, podchodząc do Bianki.

- Chyba jednego ze starszych chłopaków. Ale nie jestem pewna którego. Kierowniczką pytała, czy ukrył się w naszym pawilonie.

- U nas? Po co? - zapytała młodsza od innych Bianka.

- Ale ty jesteś głupia - wysyczała szatynka, otwierając okno. Chwilę później wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i zmiętego papierosa.

- A ta znowu będzie smrodzić! - rzuciła dramatycznie dziewczyna znajdująca się w centrum uwagi i szybko wróciła do wcześniejszego tematu: - A więc szukają kogoś. Ciekawe... kogo?... Hym... Kto to może być? Jak myślicie? Uważam, że to musi być...

Kaśka przestała przysłuchiwać się rozmowie i zapytała siedzącej na łóżku Izy:

- Jak się czujesz? Może się położysz? - zaproponowała cicho.

Iza nie odpowiedziała. Jednak propozycja chyba do niej dotarła, bo dziewczyna zaczęła się powoli układać na materacu.

Kaśka sprawdziła, czy koleżanki nadal są zajęte obmawianiem jakiegoś chłopaka, po czym zdjęła buty przyjaciółce, okryła ją troskliwie i usiadła na swoim łóżku. Przymknęła oczy i schowała twarz w dłoniach. Trwała tak przez kilka uderzeń serca, po czym, chyba pod wpływem nagłego podmuchu wiatru, uniosła wzrok. Mała rudowłosa Bianka otworzyła okno i stanęła w nim, cicho narzekając na zapach papierosów. Kaśka wróciła do poprzedniej pozycji, a Bianka wreszcie przestała marudzić, wzięła głęboki wdech i spojrzała na niebo widoczne nad sąsiednim budynkiem. Wypełnił ją niemy, jeszcze dziecięcy zachwyt nad widowiskiem rozgrywającym się przed jej oczami; hipnotyzujące kaskady deszczu oraz gwałtowne zmiany kształtów i kolorów skłębionych mas chmur. Przez jej głowę przemknęła myśl, że to wszystko wygląda jak bitwa olbrzymów.

I wtem ich zobaczyła.

Potężne sylwetki utkane z szaro-granatowych obłoków.

Zamrugła, będąc pewną, że to złudzenie, ale mocarne postacie nie zniknęły. Zmrużyła oczy, by lepiej im się przyjrzeć. Dotarło do niej, że nie walczyli ze sobą, lecz jakby wspólnie rozkazywali chmurom?

Aż podskoczyła, gdy myślała, że jeden z nich ją dostrzegł. Szybko zamknęła okno i nerwowo rozejrzała się dookoła. Tak chciała o tym komuś powiedzieć! Niestety Iza, którą bardzo lubiła, wyglądała jakby spała. Siedząca obok Kaśka ukrywała twarz w dłoniach i Bianka trochę bała się jej przeszkadzać. Reszta dziewczyn była całkowicie pochłonięta obgadaniem chłopaków, jakby to była najbardziej interesująca rzecz na świecie! Nawet Julka, jej najlepsza kolonijna przyjaciółka, dołączyła do plotkującego grona.

Bianka westchnęła z rezygnacją. Pewnie gdyby powiedziała dziewczynom, i tak by jej nie uwierzyły. Raczej by ją wyśmiały. Zresztą, czy naprawdę zobaczyła to, co zobaczyła?

Wiedziona wątpliwościami postanowiła sprawdzić jeszcze raz, czy to wszystko jej się nie przywidziało.

Wróciła do okna.

Potężne sylwetki przeciągające chmury nadal tam były. Bianka przetarła oczy, ale nie pomogło.

– Ciekawe, czy Sławek też to widzi? – wyszeptala i postanowiła, że skoro nie może pogadać z nikim w pokoju, to może chociaż jej bliźniak się do tego nada. Nie martwiła się, że zaginał. Po pierwsze dziewczyny mówiły o jakimś starszym chłopaku, a po drugie Sławek był według niej zdecydowanie zbyt spokojny na takie akcje.

## Inny świat

– ...odnaleźliśmy jego ciało i rzeczy tam, gdzie pokazałaś... – Brzeginka przerwała, aby zdjąć zablakany wodorost z ramienia Rdestki i wróciła do składania relacji. – Wynieśliśmy je poza jezioro. Był niezłe poharatany. – Pokiwała głową z uznaniem i uśmiechnęła się promiennie. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak cię poniosło! W trakcie wojny, jak Niemcy tu przyszli?

Topielica skinęła głową.

– No właśnie. W każdym razie wilki nie chciały tego teraz wziąć na siebie, więc rozłożyliśmy jego resztki na polu, jakby był ofiarą kultystów. Nawet nie wiedziałam wcześniej, że coś takiego istnieje. Dzięki Bogom za planetników! Zgodzili się zrobić nadprogramową ulewę. I to jaka! Było tak mokro, że bez żadnego problemu opuściłam pobliże jeziora i mogłam wziąć udział w pracach. Wiesz, kiedy tak się wszyscy krzątaлиśmy, miałam wrażenie, że razem moglibyśmy zrobić o wiele więcej. Może nawet... Ech... – zamilkła, jakby rozważała coś w myślach, po czym potrząsnęła głową i powróciła do tematu. – Ziemia się poukrywała i mogliśmy na spokojnie zająć się sprawą, nie czekając na noc. Właściwie wszyscy pomagali. Cicha też... To jednak dobre dziecko. Ale najbardziej pomógł nam znajomy Wodmira. Kłobuk Mściśław. Mówił co i gdzie kłaść, i na koniec wyszło ponoć bardzo satanistycznie.

– Jeśli każdy z nas tak ukrywa swoją obecność, to nic dziwnego, że ziemce o nas zapomnieli – wymruczała pod nosem Rdestka.

– Co?

– Nic, nieważne.

Brzeginka rzuciła przyjaciółce niepewne spojrzenie, po czym podjęła:

– Wodmir złagodniał, kiedy zobaczył, jak to wygląda i porozmawiał z Mściśławem. Już się tak na ciebie nie gniewa. Nawet się trochę ucieszył, że taki „atak satanistów” może na jakiś czas wypłoszyć letników. Może... może spróbujesz się z nim dogadać? – zapytała z nadzieją w głosie. – Jeśli go przeprosisz i obiecasz, że to już się nie powtórzy, może wszystko się jakoś ułoży? Nie chcę, żebyś odchodziła.

– Wiem. Ale nie mogę tu zostać. – Rdestka uśmiechnęła się ze smutkiem.

Przyjaciółka spojrzała na nią oczami wypełnionymi przecuciem straty.

– A gdybyś odeszła ze mną? – spytała topielica. – Razem mogłybyśmy trochę namieszać.

Brzeginka pokręciła przecząco, odwzajemniła smutny uśmiech i odwróciła wzrok w stronę lasu po drugiej stronie jeziora.

– Gdzie popłyniesz?

Rdestka wzruszyła ramionami.

Lubka widocznie wyczuła gest, gdyż potrząsnęła głową, jakby coś rozważała. Następnie roześmiała się melodyjnie, ukrywając ból i zapytała:

– Gdzieś, gdzie będziesz mogła topić bez problemów takich chłystków jak ten ostatni?

Topielica tylko wyszczerzyła zęby.

– Aha i najważniejsze – dodała brzeginka. – Te twoje dziewczyny dotarły bezpiecznie do ośrodka.

Rdestka nie odpowiedziała słowami. Przytuliła przyjaciółkę i wtuliła twarz w jej pachnące tatarakiem włosy.





## MAŁGORZATA LEWANDOWSKA



Z wykształcenia biologka, po godzinach również ilustratorka, pisarka i okazjonalnie poetka. Użycza głosu w słuchowiskach radia Studio Grozy.

Zakochana w Słowiańszczyźnie: często tworzy grafiki i opowieści czerpiące z jej bogactwa. Publikowała m.in. w magazynie Histeria, Białym Kruku, Gnieździe, antologii „Tryzna”, „Wenus”, „Czarcie runo” oraz Warchlakach, Darmozinie, AKT i „Niegrzecznej Antologii”.

Jej twórczość można znaleźć na stronie [www.facebook.com/ArtByGoria](https://www.facebook.com/ArtByGoria) lub pod @artbygoria, oraz na blogu poTworzenie Gorii.

**Grzegorz Gajek - Wurdalak**



GRZEGORZ GAJEK

**WURDAŁAK**

- IX -

Cracovia, 27 Novembris mensis, A.D. 1517

Marcus Monescius ad suum patrem Iulium<sup>1</sup>

Czcigodny Ojcze,

wielce jestem wdzięczny za księgę, którą przesłaliście, ale bardziej jeszcze za dołączony do niej list. Niesamowita natura zawartej w nim opowieści ośmiela mnie do opisanego pełnego przebiegu zdarzeń towarzyszących memu wypadkowi i napełnia nadzieją, że nie weźmiecie tej relacji za owoc szaleństwa bądź delirium. Wybaczcie tylko, jeśli moim słowom zbraknie cyceroniańskiej gracji Waszego pióra. Bliższą była mi zawsze cezariańska zwięzłość, a i historia moja tak jest dziwna i niepokojąca, że jedynie suche przedstawienie faktów może mnie uchronić przed zwątpieniem w świadectwo własnych zmysłów.

Jak wiecie, pan mój, Ludwik, z Bożej Łaski król Węgier i Czech, nieledwie jeszcze pacholeciem jest odumartym zeszłej zimy przez ojca. Do opieki nad nim zobowiązało się dwóch wielkich mężów, jako to Maksymilian, cesarz rzymski, oraz Zygmunt, król Polski, a Ludwika stryj. Celem umocnienia rodzinnej zażyłości pan mój z początkiem lata tego roku został zaproszony na dwór Zygmunta. Ryzykując posądzenie o próżność, napomknę, że i ja w owym zaproszeniu byłem imiennie wymieniony, gdyż polski król wielką atencją darzy Italię. Chodzą pogłoski, że poszukuje żony spośród naszych wielmożów, może nawet z Medicich.

Pod koniec czerwca stanęliśmy na zamku w Krakowie. Król podjął nas godnie, nie szczędząc pieniędzy na uczyty, żonglerów i śpiewaków. Ochoczo używałem wszelkich krotochwil, najmilsze okazało się jednak odkrycie pokrewnego mi umysłu w osobie pana Wawrzyńca Choroszewskiego herbu Jastrzębiec. (Osobliwe jego imię, jak mi eksplikował, bliskie jest naszemu Lorenzo i należy je kojarzyć z laurowymi wiencami poetów; nazwiska po dziś dzień nie potrafię wymówić).

Ów Wawrzyńiec to młodzieniec nader urodziwy, o włosach tej szczególnej złotej barwy, jaką spotyka się bodaj jedynie pośród Polaków. Jako miłośnik wszelkiego piękna zachwyciłem się powabem jego ruchów, smukłością członków, zielenią i bystrością ócz. Niemniej zapewniam Was, ojczy, wbrew temu, co mogą mówić złośliwi, że połączyła nas najczystsza przyjaźń, jaką znają tylko młodzi, ciekawi świata mężczyźni. W jego osobie zyskałem niezrównanego przewodnika i pomocnika w studiach nad wschodnimi krajami, zarówno w materii ich fauny i flory, jak i obyczajów i wierzeń. Rychło zresztą zyskaliśmy możliwość prowadzenia obserwacji w terenie.

Z końcem lipca królowi zbrzydło bowiem ucztowanie i udaliśmy się ku przepastnym borom przy wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej – na łowy. Przy okazji stryj mego pana chciał mi pokazać siedliska polskiego wołu leśnego, którego w miejscowej mowie zwą „żubr”. Zwierzęta te zrobiły na mnie wielkie wrażenie ze względu na swe rozmiary i siłę. Z zaciekawieniem przyjąłem również wiadomość, że są one chronione królewskim nakazem i nie wolno nikomu na nie polować pod karą gardłową. Szersze ich opisanie zamieszczę w traktacie, nad którym pracuję, tymczasem wracam do opowieści.

W pierwszych dniach sierpnia dotarliśmy do miejscowości Krukowizna, należącej do zamieszkałego w odległości kilku stająd Hieronima Czarnokruka herbu Sulima. Król z większą częścią dworu osiedlił w pobliskim pałacyku myśliwskim, reszta musiała się

rozlokować po *tabernach*<sup>2</sup>. Dotyczyło to także mnie i pana Wawrzyńca, nie boleliśmy jednak, gdyż zamiarowaliśmy przed udaniem się na łowy rozpytać wśród szlacheckiej drobicy i chłopstwa o miejscowe wierzenia.

*Aborigini*<sup>2</sup> nie przyjęli nas życzliwie. Łatwo było zmiarkować, że tameczny lud jest ponury i radziej trzyma sam ze sobą niżli z obcymi. Przechadzając się od osady do osady i od *taberny* do *taberny*, zauważyliśmy też, że jakowys niepokój wisi nad chałupami jakby cień bluźnierczej tajemnicy. Kto miał okiennice, trzymał je zatrzęsnięte, a na wielu drzewiach wisiały krzyże.

Aby wyjaśnić to zjawisko, zaszliśmy do farny. Proboszcz powiedział nam, że zeszłej zimy do wsi zawiała zaraza, a wygłodniali wilcy mnóstwo bydła poszarпали. Gołota, chłopstwo i insza ciemnota, eksplikował, boi się, że i tego roku się to powtórzy.

Człowiek ten nie pojmował prawdziwej istoty goszczącego wśród prostego ludu strachu, czego mieliśmy się wkrótce dowiedzieć. Polak, choćby nie wiadomo jak skryty w sobie, to urodzony gawędziarz, trzeba mu tylko półgarnca miodu lub kwatery wódki. Mając to na uwadze, wróciliśmy do jednej z *tabern* i powtórzyliśmy swoje zapytania, hojnie sięgając do kiesy. Okazało się, iż zdaniem wielu *aboriginów* za zarazę i straty wśród bydła i trzody winny jest stwór zwany *vurdalacus*.

Ów *vurdalacus*, pół człowiek, pół bestia, to upiór zrodzony z kazirodczego związku, pożywiający się ludzką krwią lub mięsem, duszący dzieciątka w kołyskach, przynoszący ze sobą mór i nieurodzaj. Jeden czy drugi chłop, podochociwszy sobie więcej, niżby wypadało, przebąkiwał, że stworem takim jest pan miejscowy, Hieronim Czarnokruk, insi jednak zaraz ich uciszali. Zapewne bali się gniewu pana.

Parobcze gadanie, rzekł nam karczmarz, młody żydowin. Później jął tłumaczyć, że może pan Czarnokruk i dusi dzieci, ale podatkami, a krowy porywa jako daninę. Surowy ów pan nie cieszył się wielką miłością, gdyż nie bacząc na urodzaj czy nieurodzaj, egzekwował zawsze każdą należność co do ziarenka, a przy tym wielki był oryginał i odludek. O tym, jak wielki, miałem się wkrótce przekonać. Oraz o tym, ile jest prawdy w gadaniu prostaczków. Tymczasem jednak oburzała mnie napotkana ciemnota.

Następnego ranka ruszyliśmy wreszcie na łowy.

Przez trzy dni musiałem znosić niewygodę spania na twardej ziemi i przyglądać się, jak młódz rycerska ciska oszczepem lub strzela z łuku, choć radziej zaszyłbym się z księgą w przytulnej komorze. Za to pan mój, Ludwik, bawił się znakomicie. Trzeba Wam wiedzieć, Ojczu, że od kołyski nieomal zdradzał ciągoty ku sprawom rycerskim, choć jako dziecko był słabego zdrowia. Stryj jego, mimo iż posunięty wiekiem i tuszą, również wielką przyjemność znajdował w myślistwie. Sam byłem świadkiem, jak przy pomocy włóczni powalił sporego dzika.

Mnie, podobnie jak pana Wawrzyńca, nudziło to śmiertelnie. Kiedy tylko mogliśmy, wymykaliśmy się nad rzekę albo na pewną urokliwą polanę, gdzie dyskutowaliśmy traktaty starożytnych filozofów bądź czytaliśmy sobie nawzajem poezje, pierwiej Katulla i Horacego, których Wy, Ojczu, nauczyliście mnie kochać, potem własne nieśmiałe próby. Wawrzyniec doskonale władał łaciną i ucho miał czułe na rytmikę.

Te nasze wypadki rychło ściągnęły nam na głowę kpinę. Pozostali myśliwcy zaczęli wołać za mną „la! la!”, co brzmieć może niby jaki okrzyk bachiczny, lecz wśród Polaków równa się niemalże z przewaniem kogoś mężolubcem. Głupcy robili sobie żarty, ja zaś zląkłem się, że za ich krotochwilę przyjdzie mi zapłacić gardłem. Prawo Rzeczypospolitej przewiduje bowiem za sodomie karę nie mniej surową niż prawo rzymskie, choć dla czelaka uczonego, zaznajomionego z traktatami starożytnych, musi się to wydawać nadmiarem okrucieństwa. Tak czy owak, aby pokazać, że bynajmniej nieobce mi są męskie rozrywki, dałem się namówić na udział w nagonce na knura.

I to właśnie stało się zaczynem nieszczęścia.

Knur uciekał nam przez większą część dnia, klucząc po bagnach, gdzie konie nie mogły pewnie stąpać. Zwodził nas, drażnił, raz nawet napadł na naganiacza i śmiertelnie poharatał dwa psy. Ściemniało się już, gdyśmy go zagnali w jar, z którego nie miał wyjścia.

Pamiętając, jaki los spotkał nieszczęsne zwierzęta, co weszły onemu bydlęciu w drogę, nie rwałem się podążać za nim. Przodem ruszył pan Deciusz herbu Topór, człek o krwi gorącej, prędko w działaniu. Prawdopodobnie, nieświadom, oddał za mnie życie.

Z jaru wypadła na nas jakaś bestia. Czy był to ów dzik, którego tropiliśmy? Nie wiem. Usłyszałem kwik koni, krzyk. Uderzył mnie ohydny smród, którego nie potrafię nazwać inaczej niż smrodem śmierci. Kojarzył mi się z gnijącym mięsem, krwią i mokrą sierścią. Potem mój koń upadł, a ja straciłem zmysły.

Co zaszło czy raczej zająć mogło, wiem jeno z mętnych opowieści. Wedle nich dzik, wyjątkowo potężna bestia, wypadł z jaru, powalił pana Deciusza, tratując go śmiertelnie, a potem uderzył kłami mego wierzchowca, rozpruwając mu brzuch i wywlekając wnętrzności. Konie reszty naszego towarzystwa popłoszyły się tak, jakby sam diabeł na nie napadł, mało kto widział więc, co się dzieje. Zanim udało się jako taki ład zaprowadzić, bestia znikła. Mnie zaś znaleźli nieprzytomnego, ze strzaskaną nogą, przygniecionego końskim truchłem. Pan Wawrzyniec pono na własnych rękach zaniósł mnie do królewskiego obozu, gdzie cyrulik stwierdził, że potrzeba mi wygodnego łoża, gorącej wody, czystych opatrunków – słowem wszelkich wygód, jakich nie zazna się w głuszy.

Najbliższym dworem w okolicy okazały się Czarnewice, sadyba pana Czarnokruka herbu Sulima.

Ocknałem się dopiero po tygodniu, wychudły i blady. Złamanie udało się nastawić, choć wyglądało paskudnie; jeśli wierzyć moim towarzyszom, pęknięta kość poszarpała dokumentnie mięśnie i przebiła skórę. Z tego co słyszałem, cyrulik bał się, że zabierze mnie zakażenie krwi. Gorączka długo nie ustępowała. Ostatniego dnia byli pewni, że nie wyżyję, ale po przesileniu przyszła poprawa. Rankiem – otworzyłem oczy.

I nadal wzdrygam się na wspomnienie człowieka, którego wówczas ujrzałem.

Zdawało mi się, że ciągle majaczę. W komorze panowała duchota, śmierdziało stara krwią i przepoconą pościelą. Moich przyjaciół nie było w pobliżu. Tylko on jeden odcinał się czarną plamą na tle roziskrzonych od słońca bielonych ścian, bardziej cień niż człowiek. Mój gospodarz.

Sam jego wygląd budził niepokój. Niewysoki, chudy, żółtawy, miał w sobie coś chorobliwego, jakby dawno nie oglądał słońca. Głowę okalał mu włos rzadki, kruczoczarny.

W odróżnieniu od innych Polaków nie nosił wąsów, nic więc nie kryło przesadnej mięsistości jego ust. Oszczędny w ruchach, zawsze mówił cichym głosem. Jeśli, jak powiadają, oczy są zwierciadłem duszy, to człowiek ów najwyraźniej duszy nie posiadał, gdyż patrzył wkoło siebie wzrokiem martwym, nieruchomym.

Tamtego pierwszego dnia nie zamieniliśmy ani słowa. Pan Czarnokruk przypatrywał mi się dłuższą chwilę, jak gdyby z cieniem uśmiechu przyczajonym w kąciku ust. Potem wyszedł, a ja poczułem się tak, jakbym dopiero teraz obudził się z koszmaru.

W następnej chwili do komory zajrzał pan Wawrzyniec. Na mą prośbę roztworzył wszystkie okna. Chłód poranka, wesoły głos przyjaciela i wrychle podane wino przepędziły cienie z mojej duszy.

Niestety Wawrzyniec nie mógł zostać przy mnie zbyt długo; i tak zaniedbał już dworskich obowiązków i nazajutrz musiał koniecznie wracać do króla. Do tego czasu jednak sił mi wróciło na tyle, że byłem w stanie wcześniejsze niepokoje zrzucić na karb choroby i zasłyszanych w *tabernie* bająć pijanego chłopstwa. Nie powiem, żeby przymusowa gościna widziała mi się miłą, ale sądziłem, że ani się obejrzę, jak przeleci.

Naiwna okazała się to wiara. Sen męczył mnie więcej, niż odprężał, ból i nawracająca czasami gorączka przynosiły koszmary. Budziłem się późno, z piekącymi oczyma i sztywnym karkiem, tylko po to by ujrzeć mojego ponurego gospodarza i ponownie nie zamienić z nim słowa. Dni spędzałem w łożu, bez ruchu, z utęsknieniem wyglądając wizyt cyrulika lub przynoszącego mi jedzenie olbrzymiego, gburowatego sługi. Były to jedyne okazje do tego, by z kimś słowo zamienić i przerwać nieznośną nudę. Wiadomość, że mogę spróbować stanąć na nogi, przyjąłem jak błogosławieństwo.

W dniu, w którym wreszcie opuściłem łożo, zostałem poproszony na wieczerzę do państwa. Przy długim stole w sali bawialnej poza samym gospodarzem zastałem również jakąś damę. W pierwszej chwili założyłem, że musi to być jego siostra. Po pierwsze dlatego, że pan Czarnokruk nie wyglądał na mężczyznę podatnego na niewieście powaby. Po drugie dlatego, że dama poza jedną posiadała wszystkie te same co on cechy urody, jako to kruczoczarne włosy, kontrastujące z nimi jasne oczy, bladą cerę i drobną budowę kości. Różniło ich to, że, podczas gdy mój gospodarz straszyl odrażającą wręcz szpetotą, ona zachwycała rzadkim, delikatnym pięknem.

Pan Czarnokruk nie spieszył się z prezentacją, przedstawiłem się zatem sam i w zamian dowiedziałem, że dama – wbrew temu, com sądził – jest w istocie jego żoną. Katarzyna Czarnokruk, tak się nazywała.

Siedliśmy. Służba wniosła dania.

Ku memu zdziwieniu, zostałem usadzony na jednym końcu długiego stołu z panią Katarzyną po prawicy, podczas gdy pan Czarnokruk zasiadł na końcu przeciwnym – samotny. Nie powiem, żebym nie cieszył się tym stanem rzeczy. Żona gospodarza okazała się o wiele lepszym kompanem do rozmów niżli on sam. Szybko zmiarkowałem, że jest to dama wielkiej ogłady i do tego uczona. Łaciną władała z pełną swobodą. Choć nie światowa, z lektur wiele wiedziała o obcych krajach i zachęcała mnie, abym opowiadał o osobliwościach Italii. Intelktualna ekscytacja, jak i – nie ukrywam – kilka kielichów wina sprawiły, że poczułem się na tyle kontent, aby popróbować konwersacji również z panem



Czarnokrukiem. Uderzyło mnie, że, podczas gdy ja i jego małżonka zajadamy w najlepsze, on tylko obraca w palcach kielich z winem i przygląda nam się, samemu nie tykając potraw. Zagadnałem go o to.

Nie odpowiadał tak długo, że przyszło mi do głowy, iż mnie nie dosłyszał lub zignorował. Zmieszany, nie powtarzałem zapytania. On jednak po jakimś czasie drgnął, jakby dopiero co się przecknął. Popatrzył na mnie. Zaśmiał się, zakrywając dłonią usta. Wreszcie rzekł: Miły panie, proszę o wybaczenie, jadam tylko specjalnie przygotowane potrawy. Później zapatrzył się na swój kielich. Myślałem, że jego zainteresowanie moim pytaniem już minęło, lecz myliłem się ponownie. Nie odrywając wzroku od kielicha, zaczął mówić cichym, aksamitnym głosem.

Rozwodził się szeroko nad starym zranieniem, które otrzymał podczas wojny moskiewskiej. Belt z kuszy, powiedział, ugodził go prosto w wątpia. Cudem wyżył, ale organy jego dotąd nie odzyskały dawnej sprawności, dlatego jadął jedynie delikatne, długo gotowane mięsiwa. Z jakiego zwierzęcia, nie powiem, skwitował. A na zakończenie, ku mej najwyższej odrazie, wdał się w rozważania nad trudnościami wydalniczymi, które miewał.

Do tego czasu żałowałem już, że się w ogóle do niego zwrócił. Spróbowałem wymówić się bólem w nodze, który zresztą naprawdę od jakiegoś czasu mi doskwierał, ale pan Czarnokruk upierał się, żebym poczekał, aż wniosą jego danie. Chciał mi pokazać owo cudo, które z taką łatwością przechodziło przez jego jelita.

Rad nierad musiałem wytrwać. Odrobinę pociechy odnalazłem w tym, że gospodarz umilkł, pozwalając żonie zabawiać mnie dalej rozmową. Pomimo bólu i spowodowanego wzburzeniem nawrotu gorączki odpowiadałem grzecznie, starając się wykrzesać z siebie wcześniejszy entuzjazm.

Nareszcie wniesiono danie pana Czarnokruka. Nie wyglądało imponująco. Ot, podługowaty kawał szarego mięsa. Najwyraźniej gotowany. Bez sosu. Nie zwróciło wówczas mej uwagi, że wcale nie wydaje się delikatny, odpowiedni dla kogoś cierpiącego na wątpliwe schorzenia. Nie zastanowiłem się też, pomimo wcześniejszej uwagi pana Czarnokruka, z jakiego może być zwierzęcia. Radowałem się tylko, że dane mi będzie wreszcie oddalić się do swej komory.

Wstałem. Zakreśliło mi się nieco w głowie. Pani Katarzyna przyzywała znanego mi już potężnego sługę, aby mnie podtrzymał i odprowadził. Przeprosiła, że tak długo mnie trzymali, a potem zaczęła chwalić mą ogładę.

Wtem pan Czarnokruk ponownie się odezwał, nie patrząc na nas, nie odrywając się od posiłku, całkiem jakby mówił do siebie. Jego słowa wprawiły mnie w osłupienie i zażenowanie tak wielkie, że spłonilem się niby panna. Zachwycał się bowiem mą urodą, chwając zwłaszcza me wyraźnie silne – achillejskie, jak rzekł – łydki oraz kształtne uda. Przyszło mi na myśl, że naigrawa się w ten sposób z mej zażyłości z panem Wawrzyńcem. Ogarnęła mnie też pewność, że o ile inni myśliwcy nie mieli intencji gorszych niż wykpiwanie miłości, jaką darzyłem przyjaciela, o tyle jemu mógł przyświecać zamysł znacznie mroczniejszy.

Położywszy się, długo nie mogłem zasnąć. Rozboliła mnie głowa i czułem się słabo. Noga dawała mi się we znaki nie mniej niż pierwszego dnia po przebudzeniu. Wypełniała mnie

odraza wobec dworu, w którym byłem uwięziony, i siedzącego na nim pana. Zastanawiałem się, ile jeszcze będę musiał czekać, nim ktoś mnie stamtąd zabierze. Współczułem też biednej damie, która w tym ponurym miejscu spędziła pewnikiem większą część życia.

Zdarza się tak czasem, że gdy intensywnie o kimś myślimy, samą siłą umysłu sprowadzamy tego kogoś do siebie. Dla mnie pewnie lepiej by było, gdyby wtenczas tym kimś okazał się pan Wawrzyniec, miast niego jednak jeszcze tej samej nocy do drzwi mojej komory zapukala pani Katarzyna.

Jej wizyta nie wydała mi się niczym niestosownym, tym bardziej że przyszła w towarzystwie sługi. Nie ma zresztą nic zdrożnego w tym, aby dama odwiedzała mężczyznę, gdy ten leży zmożony chorobą. Ponadto godzina nie była wcale późna, albowiem, zmęczony wieczorą, szybko się położyłem. I proszę, Ojcze, nie myślcie, że się Wam tłumaczę, jak to czynią winni – niech nie myślą tak też ci, przez których niepowołane ręce może przejść to pismo. Daleko mi do tego, by ukrywać swoje grzechy. Pani Katarzyna, choć podziwiałem jej urodę, nie wzbudzała we mnie zdrożnych ciągót. Nie spotkaliśmy się tamtej nocy w grzesznych intencjach albo przynajmniej ja ich nie byłem świadomy.

Przyszła przeprosić, jeśli poczułem się dotknięty zachowaniem jej męża. Nalegała, abym mu wybaczył, gdyż ze względu na słabe zdrowie stał się zgorzkniały i nieraz nie całkiem władał nad swymi czynami i słowy. Przyniosła mi też księgę, abym miał czym się zająć w ciągu następnego dnia rekonwalescencji.

Od tamtej chwili widywaliśmy się często. Przychodziła miast cyrulika zmieniać mi opatrunki, a czasami po prostu zobaczyć, jak się miewam. Wieczeraliśmy razem każdego dnia, rozmawiając przy tym z sobą i unikając uwagi pana Czarnokruka. Przy ładniejszej pogodzie prowadziła mnie po podwórku, choć z konieczności spacerów te musiały być krótkie. Kiedy skończyłem księżkę, którą mi dała, przyniosła następną. Nie było to nic warte wspomnienia, ale pozwalało wypełnić czymś nudę chwil spędzanych bez niej.

Przez jakiś czas rosłem w siłę, ale potem pogoda się zmieniła. Nadszedł okres słotny, zapowiedź coraz bliższej jesieni. Wraz ze wzburzeniem żywiołów najwyraźniej wzburzyły się również humory w moim ciele. Ból w nodze stał się silniejszy, coraz częściej cierpiałem na nawroty gorączki.

W tym okresie pani Katarzyna jeszcze czulszą mnie otoczyła opieką i jeszcze więcej czasu spędzaliśmy wspólnie. Działo się wówczas we mnie coś, czego nie całkiem zdolny jestem pojąć. Ckniło mi się osobliwie za panem Wawrzyńcem, a jednocześnie zły o to byłem na siebie i przypominały mi się co rusz przewrotne aluzje pana Czarnokruka. Zapragnąłem pomścić się na nim w pewien sposób albo dowieść samemu sobie męskości – tak jak wcześniej, gdym wdał się w nagonkę na dzika. W każdym razie pewnej nocy pani Katarzyna nawiedziła mnie w łożnicy, a ja ją przyjąłem, choć jej powaby dalej zdawały mi się raczej cudem natury niż obiektem pożądania. Ból i gorączka zamiast ostudzić mój zapal tylko go zwiększyły.

Piszę Wam o tym, Ojcze, zanim powierzę grzechy Bogu przez spowiedź, gdyż wiem, że mnie nie potępicie, a potrzebuję z kimś podzielić się brzemieniem, by lepiej zrozumieć szaleństwo własnej natury. Odrzą napawa mnie to, co uczyniłem, ale nie tak wielką jak to, co nastąpiło potem.

Przez dwa albo trzy dni unikaliśmy się jak gdyby z moją gospodynią, a rzadkie nasze kontakty cechowały się pewną niezręcznością. Nie czułem się jednak winny. Przeciwnie, jakaś głupia duma mnie rozparła. Dlatego, kiedy pani Katarzyna przyszła znowu nocą, przyjąłem ją ochoczo. Dopiero gdyśmy się zbliżyli, spostrzegłem, że w jakiś czas po niej do komory wkradł się pan Czarnokruk. Byłem wstrząśnięty, bałem się, że przyłapał nas i zareaguje w jedyny możliwy dla mężczyzny sposób – sięgając po żelazo. Tymczasem on siedział tylko i przyglądał się nam tymi swoimi nieludzkimi, wylupiastymi oczyma.

Pani Katarzyna wyczuła moją nagłą drętwotę. Rozejrzała się po pokoju, a ujrzawszy męża, roześmiała się w sposób wyuzdany. Miał przerwać, zachęcała mnie do dalszych igraszek. Lecz ja straciłem po temu wszelką ochotę. Obrzydzone, odepchnąłem ją od siebie. Krzyknęła coś po polsku, po czym wyszła w stanie najwyższego oburzenia. Pozostałem sam na sam z panem Czarnokrukiem.

Wtenczas zaczęła mnie ogarniać prawdziwa zgroza. Znalazłem się w okolicznościach tak groteskowych i sprzecznych z naturalnym porządkiem rzeczy, że zdało mi się – po raz kolejny – iż trwam w sennym koszmarze. Oto ja, w ciemnej komorze, w łożu splamionym grzeszną rozpustą, a naprzeciw mnie para pustych zwierzęcych oczu.

Jeśli przeżyję tę noc, wyjadę – postanowiłem sobie.

Pan Czarnokruk po dłuższym czasie poruszył się wreszcie. Wstał i podszedł do mnie. Wyciągnął dłoń. Cofnąłem się odruchowo. Coś głęboko we mnie podpowiadało mi, że jego dotyk jest nieczysty. Jednak jak długie jest łożo? Nie miałem gdzie uciekać.

Dotknął mnie. Delikatnie musnął palcami mój policzek. Uśmiechał się przy tym. Potem, równie delikatnie, musnął moją usztywnioną, obandażowaną nogę. Zakuło lekko. Wyszedł.

Tę noc spędziłem bezsennie, a o pierwszym brzasku zabrałem się za wykonanie swego postanowienia. Sprawa okazała się trudna. O jeździe konnej nie było mowy, zaczępiłem więc parobka z wozowni. Ten nie dość, że najwyraźniej nie rozumiał łaciny, to jeszcze okazał się niemową. Próbowałem wabić go obietnicami zapłaty, pokazując mu sakiewkę i powtarzając nazwę wsi Krukowizna. On pokazał tylko, jak jego but grzęźnie w błocie i wzruszył ramionami. Zrozumiałem.

Myśl o spędzeniu kolejnego dnia w tym bluźnierczym dworze wydała mi się wstrętną, w odruchu desperacji postanowiłem więc skonfrontować mego gospodarza. Przyjął mnie życzliwie, jakby nic nigdy nie zaszło. Wiadomość o planowanym przeze mnie wyjeździe zbył machnięciem ręki. Nastawał, abym dokończył kuracji. Lękał się o moje zdrowie.

Nie uspokoiła mnie ta rozmowa. Resztę dnia spędziłem na gorączkowych modłach o poprawę pogody, a nocą nie kładłem się spać pomimo znużenia.

Niewiele to zmieniło. Tym razem odwiedził mnie gospodarz wraz z samsonowatym sługą. Z początku, podobnie jak poprzednio, obaj siedzieli tylko i mi się przyglądali. Próbowałem ich zagadywać, ale mnie ignorowali. Później pan Czarnokruk wstał, podszedł do mnie i spróbował znowu dotknąć mojej twarzy. Odtrąciłem jego rękę i w gniewie chciałem zerwać się z łożka i wynieść choćbym miał kusztykać całą drogę przez las, lecz nim zdążyłem się podnieść, dopadł do mnie sługa i oburącz przycisnął do łoża. Zaczęliśmy się szamotać. Uderzyłem wielkoluda w twarz, z siłą, jakiej sam się po sobie nie spodziewałem, na tyle dużą, że krew mu poszła z nosa i cofnął się zmieszany, becząc niby koźle. Już, już

zrywałem się do nieporadnej ucieczki, gdy nagła eksplozja bólu osadziła mnie na miejscu. Pan Czarnokruk otwartą dłoń uderzył mnie w zranioną nogę.

Zakreśliło mi się w głowie, żółć podeszła do ust. Zrozumiałem, że w obecnym stanie jestem całkowicie bezradny, zdany na łaskę zwyrodnialca, który przyjął mnie w gościnę. Sługa otarł krew z twarzy i ponownie skrepuwał mi ramiona.

Pan Czarnokruk się uśmiechnął. Jego spojrzenie wyraźnie padło na moje wstydlive części. Wyciągnął dłoń i dotknął ich. Później powoli powiodł palcami wzdłuż uda aż do pękniętej piszczeli. Nacisnął na nią lekko. Ponownie zakreśliło mi się w głowie. Krzyknąłem.

Spoliczkował mnie.

Potem wyszedł, nie uroniwszy ani słowa, a sługa podążył za nim. Zostałem sam. Obrzydzenie i strach przelały się przeze mnie obezwładniającą falą i musiałem dać im upust, kalając podłogę podle łoża. Humory uszły ze mnie z taką gwałtownością, że straciłem zmysły i na kilka godzin popadłem w gorączkowe majaczenia.

Ocknąłem się nad ranem; osłabiony, lecz zdeterminowany opuścić to obłąkane miejsce.

Pomyślałem o wymknięciu się oknem, lecz po bliższych oględzinach zorientowałem się, że w moim stanie byłoby to po pierwsze niebezpieczne, po drugie – hałaśliwe. Podszedłem zatem do drzwi. Na poły spodziewałem się, że będą zamknięte. Nacisnąłem klamkę – ustąpiły bez oporu. Wyrząłem do izby. Pusto.

Ostrożnie ruszyłem do wyjścia na podwórzec. Niestety po obejściu kręcił się już ten sam potężny parobek, który nawiedził mnie w nocy. Gdyby nie moja noga pewnością dałbym radę przemknąć się kole niego, póki był zajęty. Chętnie zaryzykowałbym nawet kradzież koni, byle tylko się wydostać. Tymczasem byłem więźniem, choć nikt nie trzymał nade mną straży.

Cofnąłem się do izby. Powoli dochodziło do mnie, że jeśli mam się uratować, to tylko jednym sposobem, i choć jestem mężem pióra i kałamarza, a nie miecza, gotowałem się do walki.

Na początek trzeba mi było znaleźć broń. Fechtunek nie wchodził w grę, zacząłem się więc rozglądać za pistoletami. Polacy mają w zwyczaju trzymać mnóstwo wszelakiego oręża pod ręką, gdyż w razie wojny król mocny jest wszystkich ich powołać do wojska. Gromadzą także liczne trofea jako znak dawnych wojennych przewag. Ku memu zdziwieniu nie udało mi się jednak niczego znaleźć ani w sieni, ani w izbie, ani w wieczerniku. Nie natknąłem się też na nikogo ze służby. Dwór wydawał się dziwnie cichy i wyludniony; jedynie z kuchni dochodziły odgłosy jakiejś krzątany.

Przyparty do muru, a jednocześnie ośmielony dotychczasowym brakiem przeszkód, postanowiłem się zakraść do prywatnej komory pana Czarnokruka. Nasłuchiwałem chwilę pod drzwiami, a upewniwszy się, że gospodarza nie ma, wszedłem do środka.

Zabrałem się za przeszukiwanie sekretarzyka. Znalazłem tam mnóstwo papierów, ale niczego, co mogłoby mi być pomocnym w ucieczce. Już miałem porzucić bezowocne wysiłki, kiedy spojrzenie moje padło na potężny, oprawny w skórę wolumen, spoczywający w jednej z szuflad. Na obwolucie widniał elegancki, choć nieco już zatarty, inkrustowany napis: *Silva Rerum*<sup>4</sup>.

W tym miejscu pozwolę sobie na krótką dygresję, gdyż owe *Silvae Rerum* są ciekawą osobliwością polskiego obyczaju, którą przyszło mi poznać już wcześniej za sprawą pana Wawrzyńca, a która zupełnie jest nieznaną w naszych stronach. Polscy panowie prowadzą księgi, w których spisują rozmaite wydarzenia swojego żywota jako i kurioza, na które zdarza im się natrafić. Wśród ich notatek znaleźć można wersety poezyj, opisy podróży, wspomnienia z wojen, przepisy na smakowite potrawy, a także informacje o narodzinach, chrzcinach, ślubach, zgonach i innych codziennych sprawach. Księgi takie przekazuje się z pokolenia na pokolenie, niektóre z nich sięgają nawet czasów piastowskich.

Gdy natrafił na *Silva Rerum* pana Czarnokruka, wielka i zgubna zdjęła mnie ciekawość. Niebaczny na niebezpieczeństwo, zacząłem czytać, licząc na to, że znajdę wzmianki, które pozwolą mi lepiej zrozumieć zwyrodniałą naturę mego gospodarza.

Notatki czynione jego własną ręką były nieliczne i mało czytelne, jakby cierpiał na jakowyś niedowład, łacina wulgarna. Kryły się w nich sugestie najmroczniejszej natury. Niektóre zdania wryły mi się w pamięć tak silnie, że pewnie do końca życia będę zmuszony odczytywać je znów i znów w najgorszych koszmarach.

*Słabuję, upuszczanie krwi na nic, potrzeba mi żywota...*

*Dziewka jest mi wstrętną, odesłałbym ją, żeby nie krew, nie wola ojca.*

*Znów porodziła martwe...*

*Porodziła szkaradztwo, żywota nie stało w nim na nic.*

*Słabuję, ciągle słabuję.*

*Żywot bydłęcy na nic.*

*Przekłeta dziewczka, jej łono chyba już uszło ze wszystkim. Trzeba je wzmocnić, tylko nie wiem jak. Pije krwi i wywar z wątroby, ale to na nic.*

*Płuco i serce, i srom, z różnych... Części męskie i kobiece. Bez krwi. Nie tak jak radził ojciec.*

*Porodziła. Tym razem żyło dłużej, ale było wątłem i odrażającym.*

*Pomarło.*

*Słabuję. Upuszczanie krwi i żywot w odpowiednich proporcjach. Płuco i serce, i srom. Tak.*

Czytając, zdałem sobie sprawę, że pan Czarnokruk nie tylko ulega osobliwym chuciom, znajdując cielesną przyjemność w podglądactwie i bólu, ale zaprzedał się również sztuce alchemicznej i mrocznym praktykom. Jego perwersje bynajmniej na tym się nie kończyły. W pisanych pewniejszą ręką jego ojca notatkach natrafiłem bowiem na zapis, który rzucił cień ohydnego plugastwa na łożo małżeńskie mego gospodarza.

*Żona moja porodziła znów, pisał starszy Czarnokruk, tym razem dziecko żywie, ale przyszło przed czasem i bardzo słabym jest i ułomnym. Pewnikiem nie wyżyje. Daliśmy mu Hieronim. A potem: Porodziła córkę. Ta jest silna. Damy jej Katarzyna.*

Dalej przerzucałem kartki, nie mogąc zapanować nad zdrożną ciekawością, mimo iż zgroza rosła we mnie z każdą chwilą. W gorączkowych poszukiwaniach natrafiłem na kolejne sugestie kazirodczego spółkowania, wiele pokoleń wstecz. Ród Czarnokruków stary jest, herb Sulima jeszcze piastowscy królowie mu nadali. Od jak wielu wieków krzyżowali się tylko sami z sobą, boję się myśleć. Deformacje i inne zesłane przez Boga znamiona bluźnierczych związków dotykały ich przynajmniej od czasów króla Kazimierza, dziada

mego pana Ludwika. Obecnie wyglądało na to, że sama natura postanowiła przeciwdziałać ich dalszemu rozmnażaniu, wyjaławiając lono pani Katarzyny.

Pochłonięty niesamowitą jakąś, gorączkową fascynacją musiałem spędzić na czytaniu przynajmniej godzinę, gdyż na dworze rozedniało już w pełni. Dopiero gdy poczułem słońce na skórze, otrząsałem się i zamknąłem księgę, ale wtenczas było już za późno, straciłem szansę na to, by się niepostrzeżenie wymknąć i zapomnieć o całej sprawie, jakby była zaledwie snem dusznym wariata.

Pan Czarnokruk stał o dwa kroki ode mnie.

Musiał zakraść się swoim zwyczajem, korzystając z mojej nieuwagi. Choć mikrej postury, zajął mi drogę do drzwi. Jego mięsiste wargi rozciągał bezmyślny uśmiech, a blade, wyłupiaste oczy wpatrywały się we mnie. Albo może raczej w jakiś punkt tuż nad moim ramieniem, bo miałem wrażenie, że wcale mnie nie widzi.

Chwilę trwaliliśmy w milczeniu i bezruchu. W końcu on zapytał, co robię w jego prywatnej komorze. Zupełnie jakby nic dziwnego między nami nie zaszło, tylko to może, że przylapał mnie, jak – nadużywając jego gościny – myszkuję po domu. Wtenczas coś we mnie pękło. Poczułem, że gotują się we mnie krew i żółć, sprowadzając bachiczne szaleństwo. Cisnąłem w niego księgę.

Próbował się zasłonić, lecz nie zdołał. Ciężki wolumen uderzył go w twarz i powalił, zalanego krwią, na podłogę. Zaczął wyc. Był to niezwykle wysoki, nieludzi wrzask przypominający po trosze skowyt psa, a po trosze zawođenje dziecka. Nie próbował zatamować krwotoku. Wpatrywał się tylko w swe zbroczone dłonie i wyl.

Nie wiem czemu, ale ten jego krzyk rozwścieczył mnie jeszcze bardziej. Pomyślałem, że chcę, aby się zamknął, choćbym miał go do tego zmusić, wtlaczając mu jego własne zęby do gardła. Nie panując nad buzującymi w żyłach humorami, pochwyliłem swe kule i, podskoczywszy na jednej nodze do pana Czarnokruka, z całych sił uderzyłem go w głowę.

Padł i ucichł. Byłem pewien, że go zabiłem.

Przeskoczyłem ciało i ruszyłem do kuchni. Słyszałem, że sługa rzucił to, co robił w podwórku i wpadł już był do sieni, chciałem więc stawić mu czoła choćby z nożem kucharskim w dłoni. Nie przewidziałem tylko, że kto inny stanie mi na drodze – pani Katarzyna.

Wpadłem na nią, przekraczając próg. Dźgnęła mnie kilka razy na oślep, raniąc w ramię i plecy, ale potem krótkie ostrze ugrzęzło w fałdach mego grubego kubraka. Mimo dezorientacji udało mi się chwycić ją nieporadnie. Razem upadliśmy i przetoczyliśmy się w poprzek kuchni. Od uderzenia straszliwy ból przeszył mą nogę i poczułem, że krew na nowo pocięła z rany. Nie zdołałem utrzymać chwytu. Pani Katarzyna wpadła na ceglany piec, przewracając garnki. Zalała ją wrząca woda. Krzyknęła krótko, przejmująco, a potem z bólu omdlała.

Ja tymczasem rzuciłem się, aby chwycić nóż, który upuściła. Dopadłem go i spróbowałem się podnieść, balansując na zdrowej nodze. Wtedy ujrzałem, co poza wodą wydoszło się z garnka. Pod moimi stopami leżała na poły obgotowana z mięsa ludzka głowa.

Odkrycie to tak mną wstrząsnęło, że nie zdążyłem się przygotować na wejście parobka, który rzucił się na mnie, szybko wyłuskał mi nóż z dłoni i przygniótł mnie do ziemi.

Tymczasem pan Czarnokruk musiał się być ocknąć, bo wszedł wrychle do kuchni. Był jeszcze bledszy niż zazwyczaj, a krew okryła jego twarz ponurą maską, upodabniając go do jakiegoś nieludzkiego stworu. Trzymał się za głowę i stapał nieco chwiejnie, lecz poza tym zdawało się, że doszedł już do zmysłów. Bezczułym wzrokiem obrzucił pomieszczenie, po czym nakazał parobkowi mnie spętać, a następnie zając się panią Katarzyną. Uczyniwszy to, na kolejne polecenie swego pana, sługa wyniósł mnie do stajni, gdzie osiodłał trzy konie. Usadzono mnie w wysokim, damskim siodle tak, abym mógł wystawić na boku usztywnioną łubkami nogę, i przywiązano postronkiem, bym nie spadł. Pojechaliśmy w las.

Z naszej trasy pamiętam niewiele, gdyż mroczyło mi się w głowie z bólu i gorączki. Gdyśmy później z panem Wawrzyńcem i ludźmi króla jegomości próbowali odnaleźć miejsce, do którego mnie wywieziono – Bóg mi świadkiem! – nie dałem rady go wskazać. Pamiętam tyle, że znajdowało się ono w jakiejś starej części lasu, gdzie drzewa były grube i pokryte wiekowym mchem. Stał tam krąg zgrubnie ciosanych kamieni, w jego środku zaś jak gdyby małe chatka pod strzechą, z trzema jedynie ścianami, a w niej baba kamienna o zatartych rysach i oltarz splamiony zbrazowiałą krwią bluźnierczych ofiar. Na nim właśnie mnie złożono.

Powiadają filozofowie, że spojrzeć w oko śmierci i nie zadrzeć jest największą cnotą. Księża nauczają, że nie będzie wydany na zatracenie ten, którego pogańska ręka powali. A kto ochoczo zbędzie żywota w imię Pana Naszego i Zbawcy, Jezusa Chrystusa, sławiąc je w głos w ostatnich swych chwilach, temu nawet czyścicowe męki będą oszczędzone. Ja jednak, patrząc w pustkę oczu dobywającego noża pana Czarnokruka, zdobyłem się na szloch zaledwie. Jeśli modliłem się do Boga, to o to tylko, aby wybawił moje grzeszne ciało z niebezpieczeństwa.

Myszę czasem, że modły te zostały wysłuchane. Drzę jednak na samo ich wspomnienie, gdyż, jeśli tak się stało, ryzykując bluźnierstwem, muszę zapytać: przez kogo? A jeśli nie przez litościwego Pana, to cóż uczyniłem ze swą duszą w tamtej chwili tchórzostwa?

Pozostaje mi tylko wierzyć, że strach i ból sprowadziły na mnie pomieszanie zmysłów, a świadectwo mych oczu jest fałszywe.

Pan Czarnokruk kazał parobkowi mnie przytrzymać, podczas gdy on sam miał zadać śmiertelny cios. Nim ten jednak padł, krew zbroczyła mą twarz. Usłyszałem krótkie chrząknięcie. Z brzucha potężnego sługi wyrósł długi, pokryty śliską czerwienią róg. Zaraz potem zwałisty mąż padł martwy, a mnie ukazało się stworzenie bardziej przerażające niż podobizny diabłów z dzieł flamandzkich mistrzów.

Róg wyrastał z podbródka niemal ludzkiej twarzy osadzonej na nienaturalnie długiej szyi wyrastającej spomiędzy łopatek bestii o kształcie dzika, ale rozmiarach żubra. Paradoksalnie twarz ta wyglądała całkiem łagodnie, miała duże oczy o kształcie migdałów, brwi ciemne, wygięte w subtelne łuki, usta delikatne. Zawisła na chwilę nade mną. Potem stwór wyciągnął szyję i zbliżył swe oblicze ku zmartwialemu z przerażenia panu Czarnokrukowi.

Tamten zdążył wyrzec tylko jedno słowo. Nie dosłyszałem dobrze, lecz zdało mi się, że było to polskie słowo „ojcze”.

Gdy się odezwał, twarz stwora rozwarła się niemal na pół, odsłaniając garnitur wilczych kłów. Jednym kłapięciem bestia zerwała głowę pana Czarnokruka z ramion.

Bryznęła na mnie posoka. Krzyknąłem. Spróbowałem rzucić się do ucieczki, ale udało mi się tylko stoczyć z ołtarza. Uderzyłem nogą o kamień. Po krótkim przeblýsku bólu ogarnęła mnie dobrotliwa ciemność.

Ocknąłem się w jakiś czas potem. Ciało pana Czarnokruka i jego sługi nie było nigdzie w pobliżu. Tylko świeża krew plamiąca ołtarz pozostała jako świadectwo ich gwałtownej śmierci. Martwe były też ich konie – martwe i na poły pożarte. Mój za to ocalał. Pasł się spokojnie nieopodal, choć dawno powinien spłoszyć go smród śmierci.

Wspiąwszy się z trudem na siodło, odjechałem, byle dalej od tamtego plugawego miejsca.

W dwa dni później odnaleźli mnie osłabłego pan Wawrzyniec i królewscy myśliwcy. Niczym przez mgłę pamiętam, jaka radość tętniła mi w piersi, jak w uniesieniu całowałem dłonie i lico mego umiłowanego przyjaciela.

Zabrali mnie do obozu, gdzie mogłem wypocząć. Z ich opowieści dowiedziałem się, że pojechali po mnie na dwór pana Czarnokruka, sądząc, że dość już nabrałem sił, bym mógł dołączyć do reszty towarzystwa, dom i gospodarstwo zastali jednak opustoszałym. Całe szczęście ogary odnalazły mnie bez trudu. Jak się okazało, koń mój, gdym w przeblýskach przytomności nie próbował zwrócić go gdzie indziej, do rodzimej zawracał stajni.

W zamian opowiedziałem im historię mej przymusowej niewoli, nie szczędząc przy tym opisów perwersyj gospodarza. Zarzut czarnoksięstwa i kazirodztwa nie mniej ciężkim jest w Rzeczypospolitej niż w Rzymie, wróciwszy jednak na miejsce, nie znaleźliśmy żadnych śladów mogących potwierdzić moją historię. Znikła nawet *Silva Rerum* Czarnokruków.

Od tego czasu powstała na dworze pewna nieufność wobec mnie. Nikt nie miał wątpliwości, że jakoweś mroczne sprawy zaszły na Czarnewicach, ale jaką rolę w nich odegrałem – nikt nie był pewien. Zauważyłem, że dworacy unikają kontaktów ze mną, a niejeden odzęgnuje się od złego po spotkaniu. Poprosiłem zatem pana mego o zwolnienie z obowiązków na czas rekonwalescencji i wróciłem z panem Wawrzyńcem do Krakowa. Przez jakiś czas radowałem się, że chociaż ten jeden przyjaciel pozostał mi wiernym, ale z czasem spostrzegłem, że i on odwiedza mnie coraz rzadziej i zdaje się jakby zakłopotany.

W tym mniej więcej czasie wysłałem Ci mój poprzedni list. Obecnie czuję się już dużo silniejszym, choć nadal kuleję i ból mi dokucza. Niemniej za kilka dni ruszam śladami króla Ludwika z powrotem do Budy, coby zdążyć przed nadejściem najsroższych mrozów.

Ostatnią tylko rzecz chciałbym Ci jeszcze opowiedzieć, nim zapieczętuje ten list. Kiedy przechadzam się czasami po rynku, zdaje mi się, że widuję okutaną wielkim szalem kobietę, która mi się przypatruje. Roi mi się, że jest ciężarna, choć pod szatami ledwo można dostrzec okrąg brzucha. Kilka razy chciałem przyjrzeć się dokładniej, ale zawsze niknie mi w tłumie, nim zdążę na dobre rozróżnić rysy jej twarzy. Zeszłej nocy śniłem, że zachodzi do mojej komory. Obudziłem się z przeczuciem, że ujrzę pana Czarnokruka, jak siedzi w kącie i wlepia we mnie swoje dziwne oczy. Oczywiście nic takiego nie zaszło.

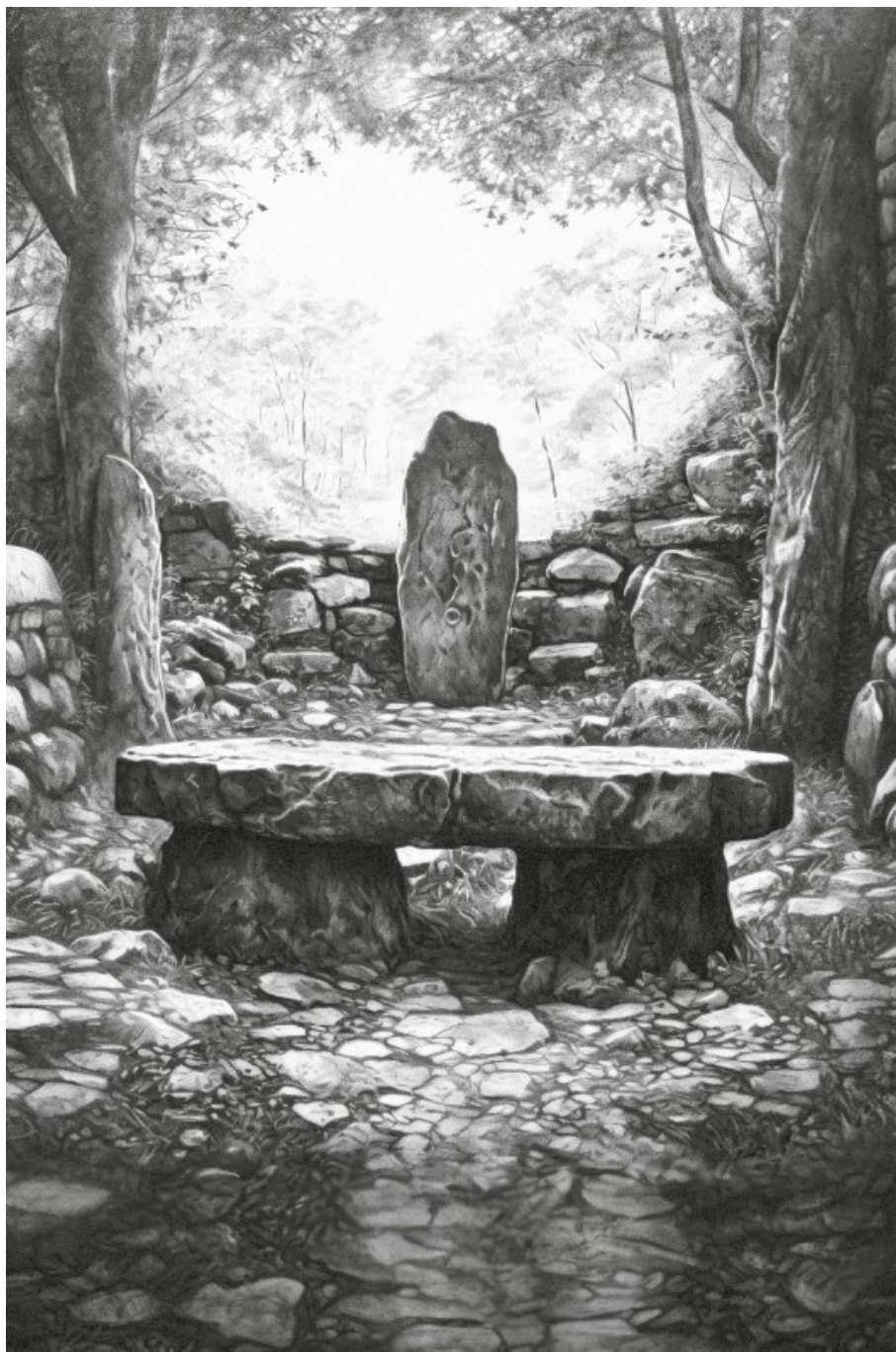
Czy sądzisz, że to z napięcia nerwów? Myślisz, że może i ta kobieta mi się przywiduje?

Cura ut valeas<sup>5</sup>

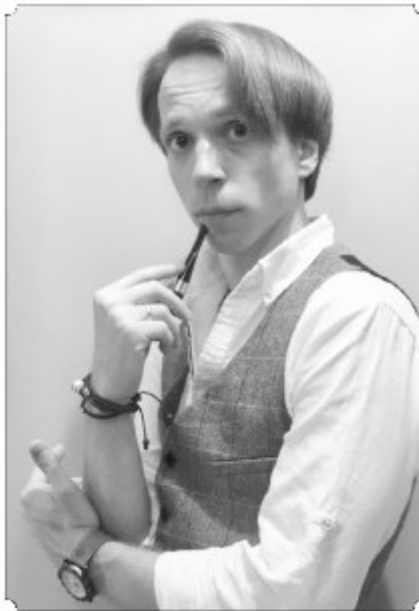
Marco



*Z archiwum Świętego Oficjum w Watykanie*



## GRZEGORZ GAJEK



Życie według Grega Gajka zaczyna się latem 1987 roku. I jest proste. Co warto? Warto czasem wypalić fajkę na balkonie, warto napić się wina z przyjaciółmi wieczorem, warto poopowiadać głupoty przy ognisku, warto wleźć na jakąś górę i zgubić się w lesie, i pętać po uliczkach w obcym mieście. Warto też mieć książki. Czytać je, pisać, tłumaczyć. Tym właśnie Greg zajmuje się od dziesięciu lat. Pisze horrory („Szaleństwo przychodzi nocą”, „Ciemna strona księżycy”, „Ziemia nieświęta”) i powieści słowiańskie („Piast”, „Bolko”, „Tofa. Księżniczka Słowian”). Tłumaczy beletrystykę, reportaże i opowiadania. Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce.

Media:

<https://www.facebook.com/GajekAutor/>

<https://twitter.com/GajekGreg>

<https://www.instagram.com/gajek.greg/>

<https://gajekgreg.wordpress.com/>

**Agnieszka Kuchmister - Tak pachnie noc**



AGNIESZKA KUCHMISTER

**TAK PACHNIE NOC**

- X -

*(...) Chodź ty do mnie przeklęta  
ja nie eunuchów żak  
Jesteś dla nich zakłębem  
pełna czaru, odmienna i zła  
Masz w ciele swój szalony  
wiatr, amoralność, dar pełen  
burz, wodosпадów, ryku rzek  
W wężowej pościeli  
ołtarzem jesteś mi  
(...)*

R. Kostrzewski, KAT

Nic nie poradzę na to, że moje włosy pachną trochę mchem. Mchem i wilgotną, rozkopaną ziemią. Lasem, a może i świeżym grobem. Tak pachnie noc. Potrafię ukryć ten dziki zapach, jednak czasami to, co ulatnia się porami skóry, zdradza mnie. Czy się tego obawiam? Nie, bo nawet jeśli ktoś wyczuje tę dziwną, ziemistą woń to weźmie ją za jedną z kolekcji moich dziwacznych zapachów. Od wielu lat zbieram perfumy. Ustawiam je na toaletce tak, że szklane flakony odbijają się w lustrze. Lubię na nie patrzeć. Mam pokazny zbiór starych pachnideł, które wcale nie były takie retro, kiedy je kupowałam. Oczywiście ciekawskim mówię, że zamawiam je przez internet od innych kolekcjonerów, że wymieniam się z nimi cennymi buteleczkami. Najbardziej lubię mocne, piżmowe zapachy z lat trzydziestych. Zwierzęce i zmysłowe. Takie najlepiej przykrywają mój zapach, nie maskują go, tylko upiększają w dziwny, jakby alchemiczny sposób. Odkąd przed kilku laty wybuchła moda na perfumy niszowe, jest mi dużo łatwiej, bo kiedy zaczynam pachnieć sobą, zawsze mogę powiedzieć, że to jakieś nowe dziwactwo od Seance, czy I hate perfumes. Zresztą, bardzo lubię ich palone klonowe liście, szczególnie późną jesienią. Przypominają mi o dymie i mgle, o czerni pradawnych lasów. O domu.

Kiedyś, kiedy chodziłam naga między drzewami, kiedy spałam w cienistych pieczarach, mój zapach odstraszał małe zwierzęta. Przychodziły do mnie tylko wilki i szarawe lisy, czarnoskrzydłe wrony zlatywały ze swoich kryjówek w koronach drzew. Pachniałam jak noc. Byłam nocą. Ciemnością, tajemnicą, czymś wiecznym, czymś wykraczającym poza śmierć. Potem lasy zaczęły rzednąć, a ja już nie czułam się w nich bezpieczna tak jak kiedyś. Wtedy wiele z moich sióstr, kobiet takich jak ja, zginęło. Dlatego postanowiłam ukryć się między zwykłymi ludźmi, nawet jeśli miałyby to być wbrew regułom. Poza tym muszę przyznać, że cały czas mam słabość do ludzi, do ludzkich samców. Lubię ich mieć blisko siebie.

Prawie zawsze jestem głodna i prawie zawsze czuję to gorące pulsowanie w głębi ciała. Tam, gdzie jest środek człowieka, pod samym brzuchem. Tak było zawsze, dlatego zawarłam pakt z *tym, który wyszedł z ciemności* i od tamtej pory jestem tym, kim jestem. Jestem wolna, jestem dzika, jestem grzeszna w oczach tych, dla których grzech istnieje.

\* \* \*

Wieczorami lubię chodzić po zatłoczonych ulicach miast, dlatego wybrałam zajęcie, dzięki któremu mogę dużo podróżować. Lubię przyglądać się ludziom, wyłuskiwać z tłumu tych najbardziej interesujących. Lubię zabierać pięknych obcych mężczyzn do hotelowych pokoi, lubię, kiedy ich skóra wydziela tę subtelną woń pożądania. To mój ulubiony zapach. Kiedy wychodzą, jeszcze tej samej nocy otulam się kołdrą, w którą wsiąkł ich pot, ich nasienie. *Jutro rano mam pociąg*, mówię do nich, a oni rozumieją i chyba też wolą wyjść od razu, nie czekać do rana, nie udawać, że jeszcze kiedyś się spotkamy. *Przeczytam twoją książkę*, mówią najczęściej oni, a ja wiem, że sięgną po coś, co napisałam tylko przez wzgląd na siebie. Z bezsensownego zadowolenia, że spali ze znaną pisarką, że kiedy ktoś zapyta o okładkę książki, którą położą przed sobą podczas przerwy w pracy, udając, że zabierają się za czytanie, to odpowiedzą: *czytam to, bo wiesz, poznałem ją* i uśmiechną się niby nieznacząco, ale tak, żeby nie pozostawić złudzeń co do rodzaju znajomości. Niektórzy z nich znajdują mnie potem w internecie, wyślą e-mail przez moją oficjalną stronę, będą pytać, czy przyjadę jeszcze do Wrocławia, Gdańska, Poznania, czy zjawię się na krakowskich Targach Książki, bo tak się składa, że oni też będą. Przelotem, przypadkiem, na chwilę. Niektórzy będą wysyłać mi zdjęcia swoich członków we wzwodzie (rozczulają mnie ci niedorośli, mali chłopcy, tacy dumni ze swoich dużych penisów). Przyzwyczaiałam się do tego. Nie oceniam ich i się nie dziwię. Mnie naprawdę jest bardzo trudno zapomnieć.

Znów przypominam sobie tamten dzień, który tyle zmienił. To przez tę pogodę, wtedy jesień zaczynała się tak samo. W powietrzu unoszą się pajęczyny, światło słońca nabrało złotego odcienia i kładzie się ciepło na chodnikach i ścianach kamienic. Słodki wrzesień, preludeum jesieni, całego tego mroku, który dopiero ma nadejść wraz z chłodniejszymi miesiącami. Jestem w mieście, ale tęsknię za lasem, za drzewami i ciszą, jaka zastyga w miejscach, w których zazwyczaj nie ma ludzi. Chodzę parkowymi alejkami, z papierowego kubka piję kawę o smaku karmelu i wystawiam twarz do słońca. W środku drzę z głodu i z jakiejś tęsknoty, która rozlewa się tuż pod skórą. Ale jesień zawsze tak na mnie działała, nawet wtedy, kiedy byłam jeszcze zwyczajną dziewczyną. Kiedy siedzę tak na parkowej ławce, grzejąc się w późnopołudniowym słońcu, otwiera się we mnie to wspomnienie. Wyblakłe, zatarte tyloma latami, wszystkimi życiorysami, które przeżyłam od tamtej pory. Pochylałam się nad nieruchomą taflą wody i przyglądałam swojemu odbiciu. Na powierzchni unosiły się kremowe nenufary, między nimi moja twarz, też jasna, prawie biała. Nie miałam więcej niż siedemnaście lat, jednak na tamte czasy byłam już dojrzała na tyle, żeby opuścić rodzinny dom. Miałam już wybranego męża, młynarza ze wsi obok. Nienawidziłam go z całego serca. Czy wtedy naprawdę chciałam wskoczyć między te białe lilie i utonąć? Chyba tylko przez chwilę.

Kiedy siedziałam tak pogrążona w rozpacz, zobaczyłam, że obok mojego rozmytego odbicia jest jeszcze jedno. Chłopiec stał za mną i się przyglądał. Kiedy się odwróciłam, był równie speszony jak ja. To wtedy po raz pierwszy to poczułam. Fala gorąca przysłoniła smutek, zapomniałam o starym młynarzu, o niechcianych zaślubinach, o mającym nadejść końcu mojej młodości. Wstałam i podeszłam bliżej, chłopiec nie ruszył się, chociaż zauważyłam, że jego oddech stał się głębszy i szybszy. Mój złoty chłopiec o włosach w

kolorze wrześnieowego słońca. Nie wiem, czy wtedy ktoś nas zauważył, ale na pewno widzieli nas potem wiele razy, bo nawet nie próbowałam się kryć.

Chciałam, żeby nas widzieli, żeby wiedział o nas stary młynarz. Spotykałam się z moim pięknym chłopcem nad stawem, za cmentarzem, w lesie, za gospodą. Wszędzie, gdzie mogliśmy być choć na chwilę sami. Kiedy nie byłam z nim, myślałam o jego twardym, płaskim brzuchu, silnych ramionach, jasnej twarzy, która wyglądała jakby zdjęta z kościelnego obrazu – tego, na którym złoty, potężny archanioł opada z nieba na ziemię. Zawsze szczególnie lubiłam to malowidło w bocznej nawie wiejskiego kościoła. Wyobrażałam sobie, co archanioł ma pod szatą i trochę wstydyłam się tych myśli. Zastanawiałam się, czy anioły też mają takie same ruchliwe twarde węże jak mój piękny złoty chłopiec. Im bardziej myślałam o nim, w tym większą rozpacz wpadałam na myśl o zgrzybiałym, bezzębnym młynarzu. Cieszyłam się, kiedy nas wreszcie nakryli i nazwali mnie kurwą. Myślałam, że to ocali mnie od małżeństwa, jednak się myliłam. Młynarz nadal chciał się żenić, ale teraz moja rodzina musiała zapłacić większy posag. Ojciec sprzął mnie tak, że przez dwa dni leżałam, nie mogąc się ruszyć. Potem uciekłam i błąkałam się długo po lasach. Zostawiłam mojego złotego chłopca, któremu na pewno pękło serce. Doszłam do miejsc, które wyglądały inaczej niż znane mi swojskie polany i zagajniki. Przystałam rozpoznawać ścieżki, drzewa zrobiły się wyższe, bardziej strzeliste. Przy naszej wsi nie było aż tyle świerków. To tam, w półmroku tego obcego lasu po raz pierwszy zobaczyłam *tego, który wyszedł z ciemności*. To on mnie zmienił.

Demony mieszkają w powietrzu, drzewach i wodzie, i tak było zawsze. Potrafią przybrać postać człowieka, wilka i ryby. Potrafią zmieniać bieg wiatrów, prądy rzek, niektóre umieją sprawić, że rozstępuje się ziemia. Często przemierzają świat jako zwierzęta i coraz rzadziej zdarza się, że pokazują swoje oblicze. Ja widziałam prawdziwą twarz demona, *który wyszedł z ciemności* tylko raz, wtedy kiedy mnie przemienił. Wcześniej chodził za mną zakłęty w ciele chudego lisa, patrzył na mnie z góry oczami czarnych wron. Podpływał w cielsku tłustego suma, kiedy kąpałam się nad brzegiem jeziora, ocierał się o mnie śliskim ogonem, a mi nie przeszkadzało to wcale. Chyba dlatego wybrał mnie, wyczuł, że jest we mnie sporo ze zwierzęcia, że moja dusza, choć ludzka, jest dzika niczym dusza małego jelenka. W nocy przychodził do mnie jako borsuk albo sowa. Czasami kładł się tak blisko, że czułam jego zapach, zapach bestii. Nie odsuwałam się. Kiedy przyszedł jako on, jako *ten, który wychodzi z ciemności*, powietrze pachniało szaławą i tym, co paruje z ciała, kiedy jest gorąco. Leżałam na wilgotnym mchu i czułam, jak w moim brzuchu zapala się ogień. Nie był jak mój złoty chłopiec o jasnych oczach i miękkich dłoniach. Wdarł się we mnie jak bydlę, a to co miał między kudłatymi nogami, w ogóle nie przypominało twardego różowego węża mojego chłopca. Od tamtej pory nie mogłam przestać myśleć o nim, o mojej ukochanej bestii. Obudził we mnie głód, którego nie potrafię zaspokoić do tej pory.

Potem, kiedy wędrowałam prastarą puszcza, spotkałam kilka kobiet podobnych do mnie. To one nauczyły mnie tego, kim jestem, pokazały, jak wykorzystać dar ofiarowany przez *tego, który wyszedł z ciemności*. Potrafiłam wywoływać deszcz i rozumiałam mowę małych, leśnych stworzeń. Umiałam zamienić się w mgłę i wnikać między szpary. Pokazały mi jak unosić się



w powietrzu na ułamanej bukowej gałęzi i odtąd prawie każdą noc spędzałam obserwując z wysoka świat. Do tej pory bardzo lubię przypatrywać się ludziom.

Zdarza się, że związuję się z kimś na dłużej, jednak nie lubię tego. Nie chcę się do nikogo przyzwyczajać, poza tym to zbyt ryzykowne. Takie jak ja żyją w ukryciu, to, że obracam się między ludźmi, samo w sobie jest wielką zuchwałością. Wiem, że nie podoba się to niektórym z moich sióstr. Z Miłozsem związałam się chyba dlatego, że bardzo przypominał mi mojego złotego chłopca z zamierzchłych czasów, kiedy jeszcze byłam zwyczajną dziewczyną. Był tak samo jasny i delikatny, młody i świeży jak tamten. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że jedyne co w nim lubię to właśnie fizyczne podobieństwo. Minęły już trzy lata od naszego rozstania, które swoją drogą było ohydne, a ja od tamtego czasu bardziej się pilnuję. Niestety, przez to, że Miłozs też jest pisarzem, nieuniknione jest to, że czasami zdarza nam się spotkać. Dla żadnego z nas nie jest to miłe doświadczenie. Myślę, że on ma na moim punkcie dziwną obsesję, jest zawieszony gdzieś między miłością a nienawiścią.

Poza tym wstydzi się tego, jak zachowywał się pod koniec; całej tej zazdrości o innych mężczyzn, o przeszłość, o której nie chciałam opowiadać, o to, że moje książki od razu wskakiwały na listę bestsellerów Empiku. Do tego ta sprawa ze *Słodkimi grzechami*. Nie chciałam wywlekać tego na wierzch, byłam nawet gotowa zacisnąć usta i nic nie mówić, bo nie lubię, kiedy mówi się o mnie w kontekście innym niż książkowy. Każdy skandal sprawia, że zwrócone są na mnie oczy wszystkich, także tych z moich sióstr, które nie życzą mi dobrze. Ale to mój wydawca wygrzebał stare e-maile, to on udowodnił, że tekst *Słodkich grzechów* powstał na długo przed tym, jak w nieco zmienionej formie opublikował go Miłozs Gardocki. Tak, taka nieprzyjemna sprawa. Nie odpowiedziałam na żaden z jego pełnych fałszywej skruchy e-maili, w których chciał się pojednać, a tak naprawdę chciał, żebym zaprzeczyła temu, że to ja jestem autorką fabuły. Chciał, żebym przyznała, że pomysł był wspólny. Nic dziwnego, że kiedy teraz spotykamy się na jakichś targach, wernisażach i przyjęciach, to Miłozs chowa się przed moim wzrokiem, ucieka z kąta w kąt, mając nadzieję, że uda nam się uniknąć konfrontacji. Ja nawet już nie jestem zła, szkoda mi go, bo ten skradziony tekst był jego najlepszą książką. *(Oświadczam, że to ja jestem autorem tekstu powieści, choć nie da się ukryć, że podczas związku z panią Elżbietą Roszkowską odbyliśmy wiele rozmów na tematy poruszane w książce, roztrząsaliśmy idee i pomysły, i przyznaję, że tak naprawdę trudno teraz stwierdzić, w czyjej głowie te pomysły naprawdę się narodziły)*. Od tamtej pory nikt nie chce go wydawać, więc zrezygnowałam z osobistej zemsty, a przecież mogłam go zrzucić z dachu albo zamienić we wróbla czy zaskronca.

Nikt nie wie o tym, że *Słodkie grzechy* początkowo miały być filmem. Uległam małej obsesji kinematograficznej, zaraz po tym jak powstał *Powrót birbanta* i *Powrót dorożkarza*. W tamtych czasach, na początku poprzedniego wieku, ruchome obrazy wydawały się prawdziwą magią. Podejrzywałam nawet, że stoją za nimi tacy jak ja, zakreśliłam się więc wokół kilku osób związanych z dopiero rozwijającą się filmografią. Poznałam Apolonię i Tolę, przez pewien czas byłyśmy nierozłączne. One stały się wielkimi aktorkami, ja chciałam tworzyć dla nich wspaniałe role. To wtedy powstał scenariusz *Słodkich grzechów*, w którym opisałam, jak żyło mi się w Warszawie końca XIX wieku. Chwalono mnie za niezwykłą

wyobraźnię, a ja po prostu opisywałam to, co mi się przydarzyło. Robię tak do tej pory, nawet historyczne powieści, które wydaję teraz pod nazwiskiem Roszkowska (co kilkadziesiąt lat zmieniam nazwisko, ale zawsze zostawiam swoje prawdziwe imię) to w większości moje wspomnienia. Moja najlepsza powieść – ta, dzięki której zaczęło być o mnie głośniej w literackim świecie – to opowieść o tym, jak żyłam z siostrami w pradawnej puszczy, jak uczyłam się być tym, kim jestem. Teraz nazywają to historyczną literaturą słowiańską.

Lubię Dolny Śląsk jesienią, zazwyczaj zatrzymuję się na kilka dni nieopodal gór albo we Wrocławiu, blisko swojego wydawnictwa. Najczęściej wybieram jeden z tych niedawno odnowionych hoteli w okolicach rynku. Spędzam w nich czas do pierwszych śniegów. Czasami są ze mną różni mężczyźni, innym razem umawiam się z Agatą. Tylko ona została mi ze starego życia.

Jak zwykle po kolacji wracam do pokoju, biorę szybki prysznic i włączam telewizor. Łączę się z internetem i na ulubionej stronie ze starymi filmami odpalam *Niewolnicę zmysłów*. Pamiętam Polę z tamtego okresu, była taka młoda, uparta i pełna ambicji. Pomagałam jej przy tym scenariuszu, choć nikt o tym nie wie. Pamiętam też pierwszą projekcję tego filmu w 1914, tuż przed ofensywą państw centralnych na Królestwo Polskie. Po tamtej wojnie wiele się zmieniło. Nie mam na myśli tylko tego, że kraj został rozgrabiony i zniszczony przez Niemców i Rosjan, że w końcu powstała II Rzeczpospolita, właściwie cień tego, co kiedyś było Polską. Dużo zmieniło się dla mnie, przez jakiś czas nie mogłam żyć między ludźmi. Musiałam opuścić Warszawę i zaszyć się w Puszczy. Niektóre z moich siostr, a wtedy nie było nas wiele, miały do mnie pretensje, że tak bezmyślnie dałam się przyłapać. A zaczęło się od tego, że na ulicy zobaczył mnie pewien rosyjski oficer. Każdy wie, jak zachowują się na wojnach Rosjanie. Biorą wszystko bez pytania, jak źle wychowane małe dzieci, zachłanne i pazerne, myślące, że nie obowiązują ich żadne zasady. Tak było w przypadku tego wąsatego jegomościa, który zaciągnął mnie do maleńkiej kawiarenki, żeby *prosto pit' chay s takoy krasivoy damoy*<sup>1</sup>. Niewielkie pomieszczenie wypełniali jego kamraci. Wśród rozgardiaszu i smrodu niemytych ciał słyszałam ich zachrypnięte głosy, czułam wódczane oddechy. Było tam jeszcze kilka kobiet, które siedziały wystraszone. Jedna, wyglądająca jak dziewczynka, cichutko pochlipywała, reszta sztywno siedziała przy stolikach, na których stały tylko butelki i kieliszki.

W którymś momencie ledwie trzymający się na nogach żołnierz złapał jedną z dziewcząt i rzuciwszy nią o stół, zadarł do góry spódnicę. Rozległy się gwizdy i oklaski, wokół niego zebrała się reszta wojaków. Pochlipująca dziewczyna wpadła w histerię, zaczęła głośno płakać i wtedy któryś z nich uderzył ją tak mocno w twarz, że zemdląca. Pozostałe dwie kobiety przytuliły się do siebie, czułam wyraźnie ich strach, przesiąknęło nim powietrze. Od tego zapachu (bo zapach strachu jest bardzo nieprzyjemny) i od widoku tych czerwonych zapitych gęb wezbrała we mnie furia. Nie ma na świecie rzeczy, której nienawidziłabym bardziej niż bezmyślnej chuci agresywnych samców. Mogłam zmienić się w mgłę i wylecieć przez okienne szpary, jednak szkoda było mi tych kobiet. *Mozhet ty ostavish' etu malyshku i poprobuyesh' svoi sily v nastoyashchey zhenshchine?*<sup>2</sup>, rzuciłam w stronę siłującego się z rozporkiem oficera. Na moment wszyscy umilkli, po czym wokół rozległy się śmiechy.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na mnie. W jego oczach rozpoznałam nienawiść. *Yesli ty takoy mudryy, posmotrim, smozhesh' li ty sdelat' eto dlya vsekh nas*<sup>8</sup>, wyseplenil i rzucił się w moją stronę. Za nim poszli inni.

Kiedy zdzierali ze mnie ubranie, byłam spokojna, choć krew pulsowała we mnie jak wrzątek. Któryś pociągnął mnie za włosy, inny ścisnął pierś tak mocno, że zasyczałam z bólu. To nic. Zmrużyłam oczy i zachowałam spokój. Kiedy moja suknia leżała na ziemi, a ich brudne łapska rozpruwały bieliznę, ten najbardziej pijany uderzył mnie w twarz. *Ne smotri na menya, pol'skaya shlyukha*<sup>2</sup>, wyszczał. Spuściłam wzrok, ale tylko na chwilę, bo w momencie, w którym wsadził we mnie swojego lekko sflaczałego członka, podniosłam oczy i spojrzałam wprost na jego obleśną twarz. Przez chwilę nie wiedział, dlaczego tak szeroko się uśmiecham. Dopiero po kilku sekundach zawył jak zarzynane zwierzę, osmarkał się i opluł. Jego towarzysze zamilkli i teraz było słychać już tylko jego skowyt i mój śmiech, bo śmiałam się wtedy jak obłąkana. Nie mogłam przestać, tak rozśmieszył mnie ten żalony ruski gwałciciel dzieci. Rozłożyłam szerzej nogi, żeby tamci widzieli. Po udach spływała mi krew, a żołnierz wciąż krzyczał i wił się w niewyobrażalnym bólu. Odepchnęłam go po chwili. Upadając, uderzył głową w stół. Leżał tam ze zsuniętymi gaciami i wielką plamą czerwieni w miejscu, w którym do tej pory miał swojego kacapskiego kutasa.

Patrząc na resztę żołnierzy, wyparłam z siebie ten marny kawałek jego ciała. Oderwany penis upadł z plaśnięciem na podłogę jak kawał martwego mięsa. Niczym innym nie był w istocie. Pozwoliłam, aby reszta z nich najadła się strachu, zanim przemieniłam ich w karaluchy. Niestety jeden, najtrzeźwiejszy, zdążył uciec i to był powód, że musiałam ulotnić się i na powrót ukryć w Puszczy. Dziś nikt nie byłby skory uwierzyć opowieściom wystraszonego żołnierza o wiedźmie, która pozbawia mężczyzn penisów i zamienia ich w karaluchy, ale musicie wiedzieć, że w tamtych czasach wiara w nadprzyrodzone była o wiele silniejsza. Zdarzało się, szczególnie na wsi, że kobiety takie jak ja, lub mi podobne, spotykał nieciekawych los.

Popijam wino i rozmyślam o tych wszystkich mężczyznach, którzy przewinęli się przez moje życie. O niektórych, jak o tych ruskich żołnierzach, wolę nie myśleć. Za niektórymi nawet tęsknię. Do innych, jak do Miłosza, czuję coś na kształt pogardy. Żadnego nie wspominam tak, jak mojego złotego chłopca, chyba tylko jego kochałam. Teraz potrafię jedynie ich pożądać, moje ciało jest gorące, jednak serce pozostaje zimne. Serce wiemy to kawał surowego mięsa.

W hotelu panuje cisza. Coraz rzadziej docierają do mnie pojedyncze głosy z baru na dole, dźwięk kieliszków, urywany śmiech. Wieczór niepostrzeżenie przechodzi w noc, bardzo lubię tę porę. Mężczyźni w delegacji dopili już ostatnie drinki i udają się teraz do swoich pokoi, niektórzy w towarzystwie kobiet, które tak samo jak oni porzuciły na czas wyjazdu pamięć o życiu, które prowadzą na co dzień. Kelnerzy zbierają szklanki i talerze, z niechęcią przyglądają się ludziom, którzy jeszcze siedzą przy stolikach. Ktoś pali oparty o murek, z ulicy dobiega śmiech pijanej kobiety, klakson samochodu, jakieś kroki. Zatrząskują się drzwi na korytarzu. Siedzę w ciemności i patrzę, jak noc gęstnieje. Rośnie we mnie to miękkie uczucie, które czasami pojawia się, kiedy nic nie robię. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu, ale to tylko ta lekkość, która ogarnia mnie w chwilach spokoju. Jestem wszystkim

i niczym. Zamykam oczy, żeby odpłynąć myślami dalej i głębiej, ale z tego stanu wyrwa mnie dźwięk wiadomości. Sięgam po telefon. Mogłabym to zignorować, ale trochę ciekawi mnie, kto pisze do mnie o tak późnej porze. Myślę o Agacie, mojej jedynej siostrze-przyjaciółce (nie widziałam jej od tygodni, a miałyśmy spotkać się właśnie tutaj, we Wrocławiu) i to rzeczywiście ona. Na ekranie jej numer i krótka wiadomość: Jestem na dole w barze, zejdź.

Niedaleko bramy stoi latarnia i to dzięki niej najpierw widzę długi cień rozciągnięty na chodniku i dopiero potem ją. Moją siostrę. Agata stoi z rękami wbitymi głęboko w kieszenie, włosy opadają jej na oczy. Na mój widok podchodzi i całuje mnie w usta. Pachnie Narcotic V. od Nosomatto, które podarowałam jej w tamtym roku, jako prezent z okazji przeprowadzki. Agata to jedyna kobieta taka jak ja, o której wiem, że też żyje między ludźmi. Prowadzi sklep internetowy, w którym sprzedaje różne badziewie dla nastolatków myślących, że są czarownicami.

– Nie wiedziałam, że już jesteś we Wrocławiu, dlaczego wcześniej się nie odezwałaś? – pytam.

– Byłam zajęta – odpowiada, ale nie patrzy na mnie, jej wzrok błędzi po wilgotnym murze i poronionej kałużami nawierzchni.

– Zajęta? Czym byłaś zajęta, żeby nie wysłać choćby wiadomości?

– Tym, co zawsze. – Próbuje się uśmiechnąć, jednak jej próba rozbawienia samej siebie nie udaje się. Agata nabiera powietrza, wyciąga z wewnętrznej kieszeni paczkę śmiesznie wyglądających papierosów, zapala. Powietrze nabiera słodkości goździków. – Chyba trochę przesadziłam, siostra. – Agata patrzy na mnie, a ja widzę, że wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Ma na sobie wymiętą bluzę i niepasujący do niej długi płaszcz, z prawego ramienia zwisa sportowy plecak z zepsutym zamkiem. Jej makijaż jest rozmazany, może w ogóle nie zmywała go od wczoraj. Wcale nie przypomina tej zahartowanej kobiety, którą poznałam, kiedy wieki temu przemierzałyśmy Wielką Puszczę, uciekając przed ogniem stosów.

– Co się stało? – pytam.

– Nie tu. Napijmy się czegoś.

Idziemy do knajpy na rogu, bo hotelowy bar jest już zamknięty. Tam zaszywamy się przy stoliku przy ścianie, z dala od sceny, na której zawodzi jakaś niezupełnie trzeźwa dziewczyna o fioletowych włosach. Przez chwilę patrzymy na wijącą się przy mikrofonie wokalistkę, która na przemian krzyczy, warczy i piszczy. Na jej udzie wije się wytatuowany wąż. Zamawiamy dwa piwa. Mają belgijskie Trappist i szkockie IPA, stwierdzam, że dla dobrego piwa przemęcę się przy tych jękach na scenie.

– Mów. – Pociągam pierwszy łyk i patrzę na Agatę. Domyślam się, że chodzi o jakiegoś mężczyznę. Agata odczuwa ten sam głód, co ja, jednak ona nie potrafi zaspokoić się jedną czy dwiema upojnymi nocami. Ma z facetami niemały problem.

– Przyjechałam kilka dni temu, jeszcze przed tobą. Trochę mi się nudziło, więc umówiłam się z gościem z Tindera. – Unoszę brwi, nic nie mówiąc. – Tak, tak, wiem, ale nie potrzebuję teraz oceniania.

– Nie oceniam.

– Uniosłaś brwi.

Ręką wykonuję gest, żeby mówiła dalej.

– Spędziliśmy kilka dni u mnie, w hotelu. Pierwszego dnia w ogóle nie wychodziliśmy z łóżka. – Agata zamyśla się, a jej oczy przez moment rozbłyskują na zielono. – Gdybyś tylko widziała...

– Przestań. Nie muszę widzieć, mogę sobie wyobrazić, co cię tak zachwycało.

– Ela, tym razem to było naprawdę coś szczególnego – mówię z naciskiem na moje imię zawsze, kiedy chce, żebym traktowała ją poważnie. Próbuję więc i słucham dalej. – Rozmawialiśmy, piliśmy wino i pieprzyliśmy się. Pierwszy raz od czasu... od czasu wiesz kogo... pierwszy raz poczułam się jak prawdziwa kobieta, nie musiałam czarować. Byłam sobą, wiesz, o czym mówię?

– Tak, wiem. – Wzdycham i czuję lekką pogardę wymieszaną z litością, na co nie mogę nic poradzić. Agata czasami bywa naiwna, to chyba zostało jej z poprzedniego wcielenia.

– Chciałam, żeby było wyjątkowo. Naprawdę wyjątkowo. Tak, żeby chciał ze mną zostać. Wzięliśmy grzyby...

– Co? – Prawie krztuszę się Chimay'em. Dziewczyna na scenie wyje coraz bardziej pijana, musi podpijać coś między kawalkami. Teraz śpiewa jakiś cover Sisters of Mercy, a ja między słowami piosenki próbuję wylapać te, którymi mówi do mnie Agata.

– Zobaczyl mnie – przyznaje się, a ja rozumiem wszystko.

(*And the devil in black dress watches over*). Muzyka dudni nie tylko w sali, teraz wypełnia moją głowę. Patrzę na siostrę i mam ochotę spoliczkować ją, wytarmosić za te rozczochrane kudły. Zamiast tego łapię ją za rękę i mocno ściskam. Jest kilka rzeczy, których nie możemy robić przy śmiertelnych, jeżeli chcemy pozostać niezauważone. Nie możemy brać psychodelików. Nie możemy jeść ze śmiertelnymi pieprzonych grzybów, bo pod ich wpływem i w naszym towarzystwie oni zaczynają widzieć więcej. Widzą nas takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Nie zawsze jest to przyjemny widok. Rozumiem, że jest to kuszące w przypadku, kiedy chcemy z kimś związać nasze dusze – jeżeli zobaczą nas i się nie wystraszą, będą nasi na wieczność. Ale to się nie zdarza. (*Life is short and love is always over in the morning*).

– Gdzie on jest? – pytam.

– W pokoju.

– Zostawiłaś go?! – Unoszę głos, prawie przekrzykując dziewczynę na scenie.

– Nie krzycz. – Agata wypija jednym haustem swoje piwo i głośno beka (cały czas nosi w sobie tę wiejską dziewczkę z mazurskiej chaty krytej strzechą). – Na razie nic się nie stanie. Zamieniłam go w chomika. (*And the temple of love is falling down*)<sup>10</sup>.

Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby rozpoznał nas ktokolwiek ze śmiertelnych. Nie możemy również sprowadzać na siebie żadnych podejrzeń, dlatego pozostawienie Mirka (Mirek80, 185 cm wzrostu, strażak, nie jestem facetem, za którego wyjdiesz, ale jestem facetem, o którym będziesz myśleć, udając orgazmy ze swoim przyszłym mężem) w ciele gryzonia nie byłoby rozsądne, biorąc pod uwagę to, że łatwo byłoby dociec, z kim się spotkał, sprawdzając jego konto na Tinderze.

– Wpadł w taki szal, że nie wiedziałam, co mam zrobić. – Agata miętosi między palcami papierosa. Jest zła na to, że od lat nie można palić w pubach i na to, że ten wymuskany facet z Tindera omal nie zwariował, kiedy nafaszerowała go grzybkami i odkryła się przed nim. – Spanikowałam, dlatego go zamieniłam.

– Wiesz, że jeżeli go odmienisz, to on i tak wszystko będzie pamiętał?

– Wiem. Dlatego jeszcze go nie odmieniłam.

– To ile on tak... – Nie kończę pytania, bo Agata przerywa mi:

– To już trzy dni. Jak go dzisiaj nie odmienię, to dupa. Zostanie chomikiem. A do mnie zjadą się policjanci z pytaniami, bo na pewno dojdą do tego, że to mnie widział ostatnią. Zresztą policję mogę omamić, ale jeśli dowiedzą się o tym te z Puszczy... A wiesz, że one zawsze się dowiadują. Zawsze.

– Przestań – ucinam. – Co widział?

– Widział mnie, widział, jak się unoszę. Być może trochę widział, jak zniekształcam przestrzeń... I być może pozwoliłam mu zajrzeć w swoje wspomnienia.

– Tak, siostry nie będą zadowolone, jak to wyjdzie.

– Wiesz – Agata bawi się podkładką pod kufel – myślałam, że może pojedziemy gdzieś daleko za miasto i tam pomożesz mi go odmienić. Możemy zostawić go w lesie albo przy jeziorze.

– To nie sprawi, że zapomni o tym, co się stało.

– Ale kiedy obudzi się w obcym miejscu, może po prostu pomyśli, że ciężko zabalował?

– Wiesz, że tak się nie stanie.

– Ela. Nie wiem, co mam zrobić. Jak te staruchy zwęszą, że pokazałam się śmiertelnemu... Wiesz, co one mogą mi zrobić?

– Naprawimy to – mówię i dotykam jej dłoni. Jest ciepła i miękka.

– Ale jak? Żeby odczynić urok musiałybyśmy być trzy. *Tres magicae*.

Agata spuszcza wzrok na swój pusty już kufel i recytuje: – Trzy pory dnia, trzy kwarki, trzy dni do zmartwychwstania, trzy stany skupienia...

– Nie potrzebujemy trzeciej siostry. – Patrę ponad jej ramieniem i zaczynam się uśmiechać. – Potrzebujemy po prostu trzeciej kobiety. – Wbijam wzrok w fioletowowłosą dziewczynę z wężem na udzie.

Spieszę się, bo czas mamy tylko do wschodu słońca, jeżeli nie zdążymy, Mirek na zawsze pozostanie chomikiem (nie najgorszy los, moim zdaniem), a ludzie zaczną węszyć i zadawać pytania. Koncert jeszcze trwa, łapię Agatę za rękę i ciągnę ku wyjściu.

– Przykro mi to mówić, ale teraz nie możesz wyglądać jak kloszard.

– Chyba kloszardka?

Wzruszam ramionami i wychodzimy, mijając grupki mężczyzn pochłoniętych pijackimi rozmowami. Rzucam Agacie kilka rzeczy ze swojej nierozpakowanej jeszcze walizki. Sama przebieram się, pociągam usta szminką, rozświetlam twarz, maluję rzęsy. Rozglądam się po łazience w poszukiwaniu flakoników perfum, zawsze zabieram ze sobą kilka, bo nie wiem, jaki będę miała nastrój. Na taką okazję potrzebuję czegoś wyjątkowego, sięgam więc po Marescialłę. W pokoju unosi się ciężki, trumniany zapach.

– Pachniesz śmiercią – stwierdza Agata.

– Pachnę wiecznością – odpowiadam i już wychodzimy, trzaskając drzwiami, całe w czerni, z księżycowymi twarzami. Kiedy teraz wchodzimy do klubu, prawie wszyscy się oglądają, mierzą nas z góry na dół, ale nie podchodzą. Do takich jak my nie podchodzi się w klubie. Agata musiała użyć czarów, bo wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą. Zniknęło zmęczenie i cienie pod oczami. Zamawiamy drinki i siadamy bliżej sceny. Wpatruję się w dziewczynę przy mikrofonie, po kilku chwilach łapię z nią kontakt wzrokowy. Kiedy na mnie patrzy, nie odwracam wzroku, tylko lekko unoszę kąciki ust. Podnoszę kieliszek i upijam łyk, patrząc w jej oczy. Od tego momentu co chwilę wraca do mnie spojrzeniem. Agata dotyka mojej dłoni, która spoczywa na stoliku. Czekamy na koniec koncertu, po czym podchodzimy do fioletowowłosej.

– Chciałybyśmy postawić ci drinka – mówię, a ona, choć zdziwiona, przytakuje i daje znak, że dołączy do nas za chwilę. Jest już pijana, to dobrze. W barze zamawiam absynt dla nas wszystkich.

– Piękny występ – zagaja Agata.

Dziewczyna ma na imię Natalia, ale woli, żeby mówić do niej Mojmira. *To pseudonim sceniczny, wyjaśnia, stare słowiańskie imię.* Znałam kiedyś jednego Mojmira, ale nigdy nie spotkałam się z kobietą noszącą to imię. Po kilku kolejnych kieliszkach w nasze głowy wlewa się błogie zielone światło.

Taksówka wysadza nas daleko poza centrum, tuż przy dużym zdziczałym parku i wylotówce na autostradę. Idziemy chwiejnym krokiem do wynajętego przez Agatę apartamentu. Trzymam za rękę Mojmirę, której płaczą się nogi. Zbliżam do niej twarz, pachnie świeżym potem, papierosami i słodkimi perfumami, których nie rozpoznaję. Potem rozsiadamy się na siedziskach, Agata włącza muzykę. *Czego posłuchamy, pyta, przeglądając Spotify, może twojego zespołu? Jak się nazywa? Black Seprents. Dobrze. Play.* Muzyka jest ciężka, prosta, toporne riffy drażnią mnie trochę, choć i tak brzmi lepiej niż na żywo. Mojmira śmieje się, słysząc własny głos w głośnikach, zaczyna śpiewać, podnosi się i tańczy. *Gdzie jest łazienka?, pyta i kiedy wychodzi, otwieramy wino, do którego wpuszczamy kilka kropli naszej krwi.* To po to, żeby była po naszej stronie. Kiedy zasmakuje naszej krwi, nie będzie się bać.

– Na pewno to robimy? – pyta Agata.

– Ona się nadaje – odpowiadam i nalewam wina w kieliszki. Potem szykuję skręta, na którego widok Mojmira wpada w ekstazę. Po kilku minutach siedzimy w półmroku, w oparach dymu i mdłym blasku świec stojących na parapetach. Zmieniamy muzykę i dopijamy wino. Widzę, jak żarzą się oczy Mojmiry. Jest gotowa. Siadam koło niej, a ona przysuwa się. Zbliża nos do moich włosów i szyi, wacha mnie.

– Co tak pachnie? – pyta. – Tak dziwnie?

– To ja tak pachnę.

– Jak ziemia, drewno, zimne piwnice... – Jest bardzo upalona, mój zapach przykryty ciężką Meresciallą sprawia, że wszystko musi jej się wydawać bardzo nierealne. Ja też to czuję. – Jak więdnące kwiaty w kościele...

Całuję ją w usta, od razu oddaje pocałunek. *Jak dziwnie, mówi, wszystko jest takie dziwne.* Dotykam jej włosów, są suche i szorstkie od farby, ale pod moimi palcami nabierają gładkości i połysku, mienia się purpurową poświatą. Zauważa to.

– Jak to zrobiłaś? – pyta, a ja przeciągam dłonią po jej udzie. Tatuaż węża zaczyna się widać. Uśmiecham się. – Czy to była zwykła trawka? – Jej oczy otwierają się coraz szerzej. – Nieźle!

– Chcesz stać się taka jak my? – pyta Agata. – Tylko na tę noc?

– Takie jak wy? – Po raz pierwszy przygląda się nam naprawdę i zaczyna rozumieć. – Chcę – odpowiada krótko.

Zamykamy ją między swoimi ramionami i szepczemy zaklęcie. Czuję, jak pulsuje w niej krew, jak jej skóra robi się coraz bardziej gorąca. Kiedy zaczyna wydzielać zapach ziemi, odsuwamy się. Dajemy jej chwilę, żeby nacieszyła się swoją mocą, która – choć nie dorównuje naszym – to i tak jest spektakularna.

– Rób jak ja. – Agata odwraca się do niej i rozplywa w zielonkawej poświacie. Po kilku chwilach wszystkie jesteśmy mgłą i szybujemy ponad rozświetlonym miastem, tuż pod zimnymi, skłębionymi chmurami. Z góry oglądamy wstęgi dróg, strzeliste kościelne wieże, połacie czarnych lasów. Miniaturowy świat. Niebo przesiąka białawym księżycowym światłem. Patrzymy na rozwijający się horyzont. Nieskończoność.

Kiedy wracamy do apartamentu i do swoich postaci, jest już głęboka noc. Nie zostało za wiele czasu. *Pomożesz nam w czymś,* mówię do Mojmiry, a ona tylko się uśmiecha.

Żeby odczynić zwykły urok czy zaklęcie, zazwyczaj potrzebne jest po prostu antyzaklęcie. W przypadku przemiany kogoś, kto pod wpływem innego stanu świadomości wejrział w umysł więdźmy, to nie wystarczy. Żeby odebrać mu pamięć, trzeba stworzyć wspomnienia, które zastąpią to, co widział i robił tuż przed przemianą. Najłatwiej uczynić to łącząc moce w świętą trójcę. Dlatego podarowałyśmy Mojmirze część naszej mocy na tę noc. Ale potrzebowałyśmy jej także do czegoś innego, do wypełnienia pustych wspomnień, które zamierzałyśmy wykraść.

\* \* \*

Agata wyjęła chomika z kartonowego pudełka.

– Chyba nie chcecie... – Mojmira przynosi wzrok z gryzonia na nas. – Chyba nie chcecie mu nic zrobić?

– Nie – przewracam oczami – mamy zamiar go uratować. To ukochany Agaty – dodaję, na co moja siostra szczypliwie mnie w ramię. Dostaję boleśnie.

– Usiądźmy w kręgu. – Agata jest poważna i skupiona. Siadamy i łapiemy się za ręce. Zaczyna szeptać. To ona jest gospodynią tego kręgu. Tępą pinezką nakuwa nasze palce, krew brudzi futerko chomika, który jest tak wystraszony, że w ogóle się nie rusza. Kolejne krople trafiają do kieliszka, w którym jest wino. Kiedy Agata szepcze dalej, Mojmira przynymka na chwilę oczy. Widzę, jaka jest zdziwiona, kiedy otwierając je na powrót, widzi, że za oknem szaleje burza, a pioruny próbują wdrzeć się do środka. Łapię mocniej jej dłoni, dając znak, że nie musi się niczego obawiać. Szyby trzeszczą, jakby miały za chwilę popękać. Grzmoty zagłuszają głos Agaty, chomik zaczyna kręcić się w kółko. Czuję, jak nasze dłonie stają się gorące – żywy ogień. Nie możemy przerwać kręgu. Lekki ból przepływa od



rozgrzanych palców po całym ciele. Nagle w powietrzu wyczuwam ostry zapach siarki i deszczu. Wydaje się, że burza jednak wdara się do środka, grzmoty słychać tak głośno, jakby dobiegały z wnętrza głowy. Jasne światło razi tak mocno, że nawet kiedy zamykam oczy, nie widzę nic prócz pulsującej bieli. Kiedy na powrót otwieram je, przez moment nie widzę nic. Już nie trzymamy się za ręce. Siedzimy na podłodze, a między nami leży nagi mężczyzna. *Wino, szybko*, Agata bierze ode mnie kieliszek i podsuwa go pod usta mężczyzny. Ten podnosi się i siada, krzyżując nogi. Teraz jest pusty, jak wydmuszka, którą trzeba czymś wypełnić.

– Gdzie jest chomik? – pyta Mojmira.

\* \* \*

Agata usypia ją pocałunkiem. Kładziemy ich koło siebie i znów tworzymy krąg, tym razem z naszych dłoni wokół ich śpiących ciał. Nasz szept przybiera kształt seledynowego światła, które wlewa się w dziurki od nosa śpiących ludzi między nami. Bajamy ich wspomnienia, wymyślamy tę noc na nowo. Kiedy zasypiają na dobre otuleni zielonkawą mgłą, zabieramy wszystkie rzeczy Agaty. Zostawiamy wino, skręta i kilka grzybków. Mamy nadzieję, że wspomnienie koncertu i upojnej nocy zakrapianej alkoholem i innymi używkami wystarczy.

\* \* \*

Burza oczyściła niebo, wychodzimy w noc roziskrzoną gwiazdami. Jestem tak zmęczona, że nie odzywam się, tylko co chwilę spoglądam na moją siostrę. Idziemy uśpionym miastem, między mdłym światłem latarni. Pod stopami szeleszczą liście.

– Uwielbiam jesień – mówię. – Pachnie jak obietnica czegoś cudownego.

– Jestem zbyt zmęczona. – odzywa się Agata i widzę, jak powoli zaczynają rozmywać się jej kontury. Sama też przemieniam się w mgłę i zaczynamy unosić się w stronę mojego hotelu. Kiedy przeciskamy się przez okienne szpary i wracamy do swoich postaci, w przyciemnionym pokoju słyszymy jakiś urwany krzyk, coś się przewraca. Chwilę zajmuje nam dojscie do siebie, w półmroku widzę, jak ktoś na czworaka sunie w stronę drzwi.

– Co do... – Głos grzęźnie mi w gardle. *Czyżbyśmy pomyliły pokoje*, myślę. Zapalam światło, choć przecież potrafię też widzieć w ciemności. Skanuję przestrzeń, wszystko jest na swoim miejscu. Moja piżama na łóżku, porozrzucane ubrania z walizki, w powietrzu wciąż unosi się cień zapachu Marescialli. Agata łapie mnie za ramię i głową wskazuje na kąt pod drzwiami. Ktoś tam siedzi. Kiedy zbliżamy się, zaczyna wykrzykiwać coś, cofa się, jednak nie ma dokąd. Podchodzę bliżej i nie wierzę własnym oczom. Pod ścianą siedzi Miłosz Gardocki.

– Co to ma być, do kurwy! – Jego głos jest piskliwy, nie brzmi jak głos mężczyzny. – Odsuńcie się! Odsuńcie się, pieprzone wariatki, wiedźmy!

– Co tu robisz? – Przysuwam się bliżej. – Co robisz w moim pokoju?

– Jebane czarownice, zawsze wiedziałem, że byłaś jakaś pojebana! – Miłosz śmieje się i płacze naraz, nie potrafię go uspokoić, choć tak naprawdę mam ochotę przyłożyć mu. – Co do kurwy...

– Powiedz mu, żeby się zamknął! – krzyczy Agata.

- Zamknij się! - krzyczę, ale to nie pomaga, mój były kochanek dostał ataku paniki i hysterii, najpewniej kiedy zobaczył, jak wlałyśmy się do wewnątrz przez szpary w oknach.

- Ela, zrób z nim coś, przecież zaraz zejdzie się tu cały hotel!

- Widzisz, że próbuję! - syczę i nachylam się nad nim, a on odsuwa się i zaczyna wydawać z siebie jakieś dziwne odgłosy. - Mów, co tu robisz, bo inaczej utnę ci jaja - zwracam się do niego.

- Widziałem was w klubie... - Szlocha, po czym zaczyna się śmiać. - Wyczułem cię, cha, cha! Wyczułem smród tych perfum, którymi się oblewasz! Szedłem za tobą, chciałem porozmawiać. Zostawiłyście otwarte drzwi, więc wszedłem do środka, żeby na ciebie zaczekać. - Nie mogę go słuchać.

- Po co tu przyszedłeś?! - mówię trochę zbyt głośno.

- Chciałem porozmawiać... kiedy cię zobaczyłem, zrozumiałem, że nie chcę, żeby tak było.

- Chciałeś przeprosić?

- Przeprosić? - W jego głosie słyszę zdziwienie. - Tak... przeprosić. Nie mogę wznowić wydania książki, dopóki ty...

- Co? Chcesz wznowić wydanie, złodzieju?! - krzyczę, a on znów zaczyna się histerycznie śmiać.

- Zawsze wiedziałem, że coś z tobą nie tak! Wiedźma, dziwka szatana! Pizda, nie pisarka! Cha, Cha! - Rozkręca się coraz bardziej, a ja zbliżam się, żeby pacnąć go w twarz. Na uspokojenie. Jednak nie udaje mi się tego zrobić, bo widzę tylko jakiś cień koło mnie. Agata. Na moment gaśnie światło, a kiedy znów się zapala, Miłosza nie ma. Pod ścianą siedzi skulony szarawy kociak.

- Co ty znowu zrobiłaś? - Odwracam się do niej.

- Przepraszam! Spanikowałam.

Tej nocy kładziemy się razem w moim łóżku. Kociak zasypia między nami, słodko mrucząc, za to my długo nie możemy zmruczyć oka.

- Będziemy znów musiały znaleźć jakąś trzecią - słyszę głos mojej siostry.

- Niekoniecznie. Bardzo podoba mi się ten kociak. Każda czarownica powinna mieć kota. Nikt go ze mną nie widział. Mamy jeszcze trzy dni, żeby się zastanowić - odpowiadam i odpływam w sen.

Wstajemy późno, w hotelu nie podają już śniadania, idziemy więc na naleśniki do knajpki na rogu. Siadamy przy oknie, zamawiamy kawę, kot zwija się w kłębek na moich kolanach. Za szybą jesienniej świat, lekki wiatr podrywa opadłe liście. Ludzie chowają twarze za szalikami, mijają się na chodniku, nie patrząc na siebie. Przyglądam się im tak, jak zawsze. Spieszący się mężczyźni, staruszki w chustach na głowie, stukające obcasami kobiety, przytulona zakochana para. Dziewczyna, mijając nasze okno, przez moment spogląda mi w oczy, po czym odwraca się. Wiatr bawi się jej fioletowymi włosami.



## AGNIESZKA KUCHMISTER



*Autorka zdjęcia: Renata Śmiech*

Absolwentka polonistyki, dziennikarstwa i PR. Copywriterka i specjalistka od Digital Marketing. Powieściopisarka, blogerka i ilustratorka. Założycielka Three Witches Skincare. Propagatorka praw zwierząt, pasjonatka ziołarstwa, psychologii, samorozwoju i życia blisko natury.

Debiutowała w roku 2020 zbiorem opowiadań „Listopad”.

W twórczości często nawiązuje do folkloru i słowiańskich wierzeń. Przedstawicielka słowiańskiego realizmu magicznego.

[www.kuchmister.com](http://www.kuchmister.com)

# Tadeusz Oszubski - Za łązami Goplany



TADEUSZ OSZUBSKI  
**ZA ŁZAMI GOPLANY**

(mikropowieść grozy na motywach legendy z Kruszwicy)

- XI -

## Rozdział 1

Lustro wody zafalowało, coś wypłynęło na powierzchnię. Samemu będąc niemal niewidocznym, obserwowało okolicę. Było czujne, ale nie z ostrożności, jaką przejawiają potencjalne ofiary. Skupiło uwagę, wypatrywało celu, jak przystało na łowcę.

W głębinach niejedno mieszka, ale tu lustro wody przebił najgroźniejszy z drapieżników. Był tajemny, trochę z tego świata, a trochę z innego. Szczególnie niebezpieczny, jako że miał naturę i powierzchowność podstępna. Bo to co brzydkie nas odpycha, wzbudza odrazę, ale w pięknie dopatrujemy się dobroci, szlachetności, a nawet wzniosłości. I właśnie uroda, doskonałe kształty były tego stwora kamuflażem, od stuleci nader pomocnym w polowaniu. Po co nagonka, wymyślne uzbrojenie, gdy wystarczy apetyczna przynęta?

Istota rozejrzała się po świecie śmiertelników rozciągającym się ponad srebrzystobłękitną taflą i wokół niej. Piękny potwór miał skórę błyszczącą niczym złoto, lecz pod tą powłoką skrywał się lód, a w nim zatopione było serce z kamienia.

Przestwór wodny, z którego wychynęła bestia, do dziś nazywany jest Gopłem. Rozciąga się on na południe od Kruszwicy. To jezioro wielkie i głębokie, na którego dnie, w pałacu z muszli i błyszczących kamyków, mieszka władczyni. Goplana, od której imienia nazwano akwen. Niektórzy mówią, że to nimfa, inni zwą ją wodnicą. Wszyscy są jednak zgodni, iż Goplana włada Gopłem od tysiącleci, i że z niej piękna istota, urodziwsza od panien ludzkiego rodzaju. Poddanymi jej są ryby i wszystkie stworzenia żyjące w toni. Czasem ktoś ze strachem w głosie doda, że na usługach królowej jeziora są też topielcy, a możliwe, że i jakieś szkaradne stwory z innych światów.

Goplanę podobno niegdyś często spotykano. Dlaczego jednak to uległo zmianie? W Kruszwicy wielu zapewnia, że od dawna nikt tej wodnicy nie widział. Jednak ulotne ślady jej bytności wciąż są wskazywane.

Otóż czasem, gdy wiatr silniej zawieje, z fal odrywają się krople. Drobiny wody, niesione ponad tonią, osiadają niczym rosa na drzewach, trawach, kwieciu. Ludzie mówią, że to łzy Goplany. Z jakiej przyczyny wodnica wciąż płacze? Jedni zapewniają, że dlatego, iż to smutne królowanie. Pani jeziora jest nieszczęśliwa. Inni jednak twierdzą, że tak się dzieje, bo nikt, kto ma do czynienia z pięknym potworem, nie jest szczęśliwy. I rosę tworzą łzy ofiar, a nie wodnicy. Jak więc jest ze łzami i Goplaną w istocie?!

## Rozdział 2

Dziewczęta włosy czesały, w warkoczce je zaplatały, wianki z kwiatów na głowy wkładały. Suknie z najcieńszego lnu przywdziewały. Na święto się stroiły. Rytuał szczególny, bo mógł im los zmienić na całe życie.

Miła też ubrała się pięknie. Szatę barwioną na zielono przepasała rzemienną plecionką z wypolerowanymi na błysk paciorkami ze srebra. Przytroczyła sakwę z tym, co niezbędne:

lusterkiem z brązu, małym nożykiem do wszystkiego, grzebieniem, glinianym pudzermiem z pachnidłem z olejku kwiatowego.

Dziewczyna przejrzała się jak w zwierciadle w wodzie nalanej do cebrzyka. Miała włosy koloru zardzewiałego noża, a skórę barwy twarogu. Wysła z domu i oczami jasnoszarymi, jak kłęb pajęczyny, zaczęła wypatrywać ukochanego. On jej miłości jeszcze nie zaznał, nawet nie wiedział, że rozgorzała. Właśnie szedł ulicą wraz z innymi młodzieńcami. Zmierza nad jezioro. Miła odprowadziła go wzrokiem.

Na polanie u brzegu Gopła chłopcy i młodzi mężczyźni zgromadzili stopy drewna. Gdy zapadnie zmrok, ognie będą palić. Płomienie rozświetlą ciemności, bo to Noc Kupały, przesilenie letnie.

Czas wszystkim, nie tylko Miłej, popłynął tego dnia szybko. Wieczorem żerycy odprawili pradawne obrządki. Błogosławili roślinom, zwierzętom, ludziom. Szczególnie pannom i kawalerom, co w dorosłość wkraczali. Gdy zapadną ciemności, one i oni będą mogli wprost mówić, że kogoś pokochali. Będą mogli swą miłość okazywać i nią się dzielić bez skrupowania. Nawet jeśli będzie to tylko zakochanie krótkie, jak jedna noc.

Muzycy siedli na przyniesionej im ławie. Rozbrzmiały gęśle, fujarki, bębny. Kilka starszych kobiet zaczęło śpiewy. A młodzi chwycili się za ręce i rozpoczęli tańce. Najpierw korowód ruszył przez łąkę. Ogniska się wypaliły i został z nich tylko żar. Zawadiacko usposobieni chłopcy przeskakiwali nad tymi czerwono-czarnymi kopczykami, by dziewczęta dostrzegły ich odwagę. Z czasem muzyka i chór cichły, a część młodzieńców wraz z pannami chyłkiem zniknęła w mroku.

Miła nie spuszczała oczu z Dziebora. To jego dawno już wybrała. Gdy korowód młodych zaczął rwać się niczym zardzewiałego łańcucha ogniwa, dziewczyna rzuciła się w stronę ukochanego. On jednak zniknął w mroku!

Miła pobiegła w stronę pobliskich zarośli. Natknęła się tam na całującą się parę. Rozpoznała kto zaczął i po cichu odeszła. Wypatrując Dziebora, ruszyła w przeciwnym kierunku. Ku brzegowi jeziora.

Nad tonią wierzby zwieszały swe gałęzie. Pośród ciemności kępa drzew zdawała się złowrogą świątynią, czarniejszą od smoły. Między kolumnadą pni dziewczyna postrzegła jakiś ruch. Zbliżyła się ostrożnie. To, co ujrzała, zmroziło jej krew. Zaraz jednak gniew sprawił, że w żyłach rozgorzał ogień. Pośród wierzby Dziebor obejmował jakąś pannę!

Miła podeszła tak blisko, że słyszała przyspieszone oddechy obojga. W księżycowej poświacie błysnęła jej twarz i duże, obnażone piersi dziewczyny tulonej przez młodzieńca. Poznała, kim jest rywalka. To Wszebora! Ciemnowłosa, ciemnooka, zawsze roześmiana. Chłopcy do niej lgnęli, bo od nich nie stroniła i ciało miała wybujałe.

Rozwścieczona rudowłosa podeszła jeszcze bliżej. Kochankowie tak byli zajęci sobą, że nie zdawali sobie sprawy, iż ktoś ich podgląda. Miła obeszła pień wierzby. Tuż przed sobą widziała tył głowy Wszebory. Gniew odjął jej rozum. Ruchem szybkim, jak atak żmii, chwyciła rywalkę za włosy. Pociągnęła ją ku sobie. Emocje dodały jej sił. Idąc tyłem, wywlokła dziewczynę z wierzby. Dziebor zamarł zaskoczony nagłym zniknięciem kochanki. Dobiegały go oddalające się dźwięki, szelest roztrzączanych gałęzi i jakby pisk, a



może płacz. Z goryczą uznał, że Wszebora się rozmyśliła. Bez tłumaczenia uciekła, co chłopakowi nie pierwszy raz z jakąś dziewczyną się przydarzyło.

Choć Wszebora, pojękując, usiłowała wyrwać się prześladowczyni, ta podążyła z nią ku brzegowi jeziora. Miła zatrzymała się dopiero, gdy poczuła, że stoi w wodzie. Nie puściła jednak długich, gęstych włosów swej rywalki. Zanurzyła jej głowę w toni.

Wszebora poczuła pod pośladkami i stopami dno. Zdała sobie sprawę, że nie jest już bezradna i zaczęła walczyć o życie. Obróciła się w wodzie, opadła na kolana, po czym gwałtownie poderwała się w górę. Zaskoczyła tym napastniczkę, która poluzowała chwyt. Mokre czarne włosy wyszłygnęły się jej z ręki. Ofiara zamieniła się w agresorkę. Odkaszlnęła, nabrała powietrza w płuca. Nie bacząc na potarganą odzież, na to, że jest obnażona od pasa w górę, a suknia trzyma się na niej tylko dzięki czerwonemu lnianemu sznurowi zawiązanemu w tali, uderzyła Miłą w twarz. Co prawda otwartą dłonią, i cios był słaby, ale rudowłosą zaskoczyła reakcja rywalki.

Teren nie sprzyjał walce wręcz. Stały po kolana w wodzie. Miła cofnęła się o krok, obserwując bacznie przeciwniczkę. Przypomniała sobie o zawartości sakwy. Wyciągnęła stamtąd nożyk. Błysnęło ostrze. Dziewczyna zdała sobie jednak sprawę, że kołyszące się duże piersi Wszebory pokrzyżują jej plany, bo choć przebije lewą, to krótka klinga nie dotrze serca. Postanowiła więc czarnowłosą dźgnąć w szyję. Jeśli dobrze trafi, to zabije ją jednym ciosem.

Nagle pomiędzy przeciwniczkami zafalowała woda. Wynurzył się z niej jakiś kształt. Dziewczęta spojrzały w jego stronę. W słabym, księżycowym świetle ukazała się kobieca głowa, potem ramiona i tors. Włosy zwinięte w pukle wydawały się suche, choć wychynęły z toni. Skóra nieznanym też była nieludzka, bielsza od śniegu.

– Jakie gniewne panny – odezwała się postać głosem przypominającym śpiew ptaków. – Chodźcie tu do mnie, a was pogodzę. Wezmę tylko trochę waszej mocy. Przecież macie jej w nadmiarze.

Zaskoczone dziewczyny nie zdążyły zareagować, gdy silne lodowate ręce chwyciły je za karki. Istota z jeziora przygarnęła je do piersi. Próbowaly się wyrwać z uścisku, ale ten był zbyt potężny. Wszebora chciała uderzyć nowego wroga, ale nie mogła wziąć rozmachu. Miła zapomniała o nożyku, a ten wypadł jej z dłoni. Panny czuły, że tracą siły i zmysły. Stają się bezwolne. Biała skóra Miły i smągła Wszebory zmieniły barwy. Były sine jak księżycowa poświata. Z kolei podobny do kobiety stwór z jeziora nabrał kolorów. Dzięki temu, co wyssał z dziewcząt, skrzył się złoście, srebrnie, perłowo, kryształowo.

Wszystko trwało chwilę. Potem istota odpłynęła od brzegu wraz z bezwolnymi ciałami. Zanurkowała w toń. Na mgnienie oka nad lustrem wód ukazał się wielki ogon zakończony rybią płetwą. Później zaległ bezruch i zapadła cisza.

Następnego dnia, gdy słońce stało w zenicie, rozfalowane jezioro oddało dziewczęta kruszviczanom. Ludzie znaleźli zwłoki na wąskiej łasze piasku, tam gdzie nad wodą zwieszała się kępa wierzby. Zachodząco w głowę, co właściwie zaszło. Po pewnym czasie uznano, że Wszebora z Miłą o coś się pokłóciły, a że obie były rozjuszone, to wzajemnie się potopiły. Dziebor milczał na temat tego, co zaszło w Noc Kupały, bo był tym zdarzeniem

wstrząśnięty. Nigdy więcej, nawet w myślach, nie powracał do tej przykrej i tragicznej w skutkach historii.

### Rozdział 3

Działo się to, kiedy Polska nie była jeszcze krajem rozpostartym od Odry do Bugu, przeciętym Wisłą na pół. Wydarzyło się to setki lat, a może i tysiąc przed tym, jak wielki król Kazimierz nadał Kruszwicy prawa miejskie. Tak bardzo, bardzo dawno temu, że w tej miejscowości jeszcze nie zbudowano wieży nazwanej później Mysią, i dopiero narodził się pierwszy z przodków Popiela, tego który został niesławnym królem z tradycyjnej opowieści.

Wtedy, w czasach tak legendarnych, że poprzedzały legendę Mysiej Wieży, w kruszwickiej osadzie nad jeziorem mieszkał cieśla. W tamtej epoce był to zawód ważny. Cieśla bowiem był i stolarzem, i kołodziejem, i snycerzem. Dom potrafił zbudować, jak też skonstruować wóz z dyszlem i kołami. Stół zbił z desek oraz inne meble, po czym je pięknie ozdobił. Narzędzia gospodarskie z drewna wystrugał oraz wszelkie inne sprzęty.

Rzemieślnik wcześniej owdowiał, a życie ułożyło mu się bez ponownego ożenku. Miał jednego syna, o imieniu Dziebor, którego sam wychował od małości, po czym wyuczył zawodu.

Dziebor wyrósł na przystojnego młodzieńca i zdolnego, bo potrafił zrobić z drewna wszystko, co potrzebne w obejściu. Najlepiej jednak strugał grabie do siana. A że w Kruszwicy żyło wtedy kilku Dzieborów, na młodego cieślę, z powodu jego zdolności, wołano Dziebor Grabek.

Młody cieśla wysoki był, jasnowłosy, o miłej dla oka twarzy. Niejedna panna za nim się oglądała, nie tylko nieszczęsne Miła i Wszebora. On jednak w miłostkach był ostrożny. I choć czasem uległ wdziękowi jakiegoś dziewczęcia, to serce oddał pracy w drewnie. Jedno tylko oprócz ciesiołki go bawiło. Od dzieciństwa lubił chodzić z wędką nad jezioro, by łowić ryby.

Któregoś dnia, gdy lato było w pełni, Grabek zakończył naprawę wozu gospodarskiego. Było jeszcze wcześniej, ale chłopak uznał, że zarobek był tak znaczny, iż może wypocząć. Poszedł więc nad Gopło, jak miał w zwyczaju. Umocował przynętę na kościanym haczyku. Potem zarzucił wędkę. Wypatrywał ryb w toni. Zamiast nich jednak ujrzał piękną dziewczynę. A może kobietę? W pierwszej chwili trudno było mu ustalić wiek tej istoty. Później zwątpił, czy ma do czynienia z człowiekiem. Jednego był pewny, że to, co widzi, jest oszałamiająco piękne.

Pojawiło się nagle. Patrzyło na Dziebora spod wody. Chłopak nie wierzył własnym oczom. Pomyślał, że coś mu się przywidziało. Zaciśnął powieki, potrząsnął głową. Po krótkiej chwili ponownie spojrzął w miejsce, w którym pojawiło się dziwowisko. Nie miał omamów! Urodziwe stworzenie nie znikło. Zamiast tego uśmiechnęło się i wypłynęło na powierzchnię. Potem... Nagle ruszyło do brzegu! Tam gdzie stał młodzieniec. Wbiło przy tym spojrzenie w oczy Dziebora i siłą wzroku go unieruchomiło.

Istota zatrzymała się na granicy dwu żywiołów, gdzie woda stykała się z lądem. Stwór wydawał się większy od człowieka. Jego oczy znalazły się na tej samej wysokości co oczy chłopaka, mimo że niehumanoidalne ciało od pasa w dół zanurzone było w jeziorze.

Grabek był oszołomiony. Zauroczył go widok. Tak pięknego dziewczęcia, czy też młodej kobiety, w życiu nie widział. I tak niezwyklej. Oczy miała ogromne i przepastne. Skóra nieznanego koloru skrzyła się niczym szron w zimowym słońcu, a włosy złote, długie, o końcach zanurzonych w wodzie, okrywały nagie ciało jak królewski płaszcz.

I wtedy niezwykle panna przemówiła. Młody mężczyzna, sparaliżowany jej spojrzeniem, drgnął. A właściwie to jego serce zadrżało. Zniewolony czuł, jak wlewają się w niego emocje, niczym fala wód spiętrzonych przez wichurę.

– Wypatruję cię od dawna. Jesteś najładniejszym chłopcem, jakiego nad jeziorem widziałam, a żyję już tysiąc waszych lat albo i dłużej – szepnęła głosem delikatnym jak ptasi śpiew.

Dziebor potrząsnęła głową. Na chwilę wróciła mu jasność myśli. W Gople tylko jedna istota mogła tak wyglądać, mogła coś takiego powiedzieć. Goplana! W dzieciństwie słyszał o wodnicy rozmaite opowieści, niektóre ją chwaliły, inne przed nią ostrzegały. Dorosły Grabek nie miał jednak wątpliwości, że pani z jeziora jest mu przychylna. Że na pewno dobrze mu życzy, skoro jest taka piękna.

Goplana przesunęła się odrobinę w stronę chłopca, a ten zrobił krok ku niej. Wodnicę oddzielała linia brzegu. Jej ciało od pasa w dół pozostało w wodzie. Dziebor zatrzymał się na skraju darni. W tym miejscu biegła teraz granica między dwoma światami, krainą ludzi i sferą istot, o których opowiadane są legendy.

Młody cieśla nie miał pewności, czy nie śni teraz na jawie. Doznawał przecieży niezwyklej, przepojonej erotyzmem przygody. Spowity czarem miłosnym, spętany wzrokiem Goplany, nie w pełni rozumiał, co z nim się dzieje. Uniósł dłoń, by sięgnąć pięknej twarzy. Koniuszkami palców musnął policzek błyszczący jak szlachetny metal.

Pod dotykiem wybranka serce panny wodnej zapłonęło. Ale choć gorzało od miłości, to było niczym widziane w dali ognisko wśród ciemnego lasu. Nie wystarczyło tego ciepła, by ogrzać całe ciało wodnicy. By wypełnić ją żarem potężniejszym niż miłosne uniesienia doznawane przez człowieka.

Oczarowany Dziebor dotknął raz jeszcze białej jak lód skóry wodnej panny. Skrzyła się, przypominając szron w południe podczas siarczystych mrozów. I rzeczywiście była zimna! Chłopiec szybko cofnął dłoń. Syknął z bólu. Ręka piekła jak oparzona. Odmrożona?

Lodowaty czar stopniał. Dziebor gwałtownie cofnął się o krok. Potem o jeszcze jeden. Panna posmutniała. Nie mogła podążyć za ukochanym. Bo choć w jeziorze była królową, to jej władza miała granice. Goplana nie mogła opuścić Gopła. Poza wodą jej magiczny żywot natychmiast by się skończył.

– Nie opuszczaj mnie! – krzyknęła, widząc, że chłopiec się oddala. Jej głos zdawał się przepojony rozpaczą. – Kocham cię, człowieku!

Grabka przepelniał zachwyt, a jednocześnie lęk. Panna była tak piękna, że nie dało się o niej zapomnieć! Lecz jakże niehumanoidalna, budząca strach swą odmiennością. Nie mogąc poradzić sobie ze sprzecznymi uczuciami, młodzieniec uciekł. Pobiegł na północ. Do Kruszwicy, do domu.

## Rozdział 4

Nocy nie przespał spokojnie. Uroda i wyznanie panny wodnej budziły w nim niepokój, rodziły sny pełne emocji.

Skoro świt, nie bacząc na prace jakie miał wykonać, wrócił nad jezioro. Początkowo targaly nim obawy i dłuższą chwilę trzymał się z dala od brzegu. Zdawał sobie jednak sprawę, że przyszedł w to miejsce wyłącznie w jednym celu. By wypatrywać Goplany.

Tajemnicza istota na równi go pociągała, jak i budziła strach. Bo czy można zapomnieć jej piękną twarz? Usta jarzębinowe i oczy błękitne niczym niebo, które odbija się na powierzchni spokojnych wód? Jak nie być odurzonym spowijającą ją wonią kwiecica? Jak zatrzeć w pamięci jej widok, gdy płynie w toni, a jej długie złote włosy unoszą się za nią niczym królewski płaszcz? Wodnica miała idealnie kształtną postać. Lecz zapomnieć się nie dało, iż jest człowiekiem.

Dziebor miał pewność, że choć ciało pani jeziora było niby ludzkie, to przecież miało inną naturę. Czy zwyczajny młodzieniec, jak Grabek, może wiązać się z magiczną istotą? Jest przepiękna, ale w dotyku zimna niczym lód. Inna niż panny z Kruszwicy, które co prawda nie były tak piękne, ale przecież miłe w dotyku, ciepłe i miękkie. W czym jeszcze magiczna władczyni wód różniła się od człowieka?

Chwilę po tym jak chłopak przyszedł nad jezioro, z toni wypłynęła Goplana. Gdy Dziebor znów ją ujrzał, zapomniał o rozterkach, o strachu. Była nieskończenie piękna i w każdym calu różniła się od dziewcząt z Kruszwicy, czy innych spotkanych niegdyś panien, których widok przywołał w pamięci. Może więc nie tylko z powodu niezziemskiej urody, ale też przez swą odmienność stała się tak pociągająca?

Wodnica go zawołała, a on usłuchał. Podeszedł do brzegu, tyle że nadal obawiał się wejść do wody.

Pani jeziora przysunęła się do Dziebora, palcami dotknęła jego twarzy. Były delikatne jak ptasi puch, a jednocześnie chłodne niczym sople lodu zimą, które po przejściowych roztopach zwisają z dachu. Młodzieniec poczuł sięgający serca ziąb, jak przy ich pierwszym spotkaniu. Zadrżał.

– Nie bój się – szepnęła. – Nie lękaj się, kochany. Rozpalasz moje serce, a ono ogrzewa całe ciało. Im bardziej będziesz mnie kochał, tym szybciej stanę się taka jak ty, człowieku.

I Dziebor uwierzył wodnicy. Co dnia po pracy przychodził nad jezioro. Od popołudnia do późnej nocy obejmował Goplanę. I z każdym dniem odczuwał mniej bólu, bo ciało pani jeziora stawało się coraz cieplejsze.

Wodna panna szeptała czule młodzieńcowi do ucha. O ich miłości, o wspólnej przyszłości. Grabek był szczęśliwy, tylko jedno nie dawało mu spokoju. To, że z każdym dniem stawał się słabszy. Ledwie, ledwie starczało mu sił, by codzienną pracę wykonać. Goplana zaś rozkwitała. Jej ciało było nie tylko coraz mniej chłodne, ale też nabierało barw. Skóra z białej jak lód stawała się złota. Świetlista, jakby wewnątrz wodnicy zapalono setkę kaganków.

W tamtych dniach, gdy młodzieniec chadzał nad Gopło, jezioro często się burzyło, a rozkołysane fale niosły słowa:

– Żyję. Żyję. Żyję, bo kocham.

To Goplana radośnie wołała z toni o tym, co jej daje człowiek. A dawał wiele. Rozkosz, jakiej od stuleci nie zaznała, o której już prawie zapomniiała. Doznawała tego, co zakochana kobieta od mężczyzny odwzajemniającego jej żądzę. Ale nie była człowiekiem. Potrzebowała więcej, dużo więcej, od swego kochanka. Chciała tego, co niewidoczne, co sprawia, że trawa rośnie, ryba pływa, że człowiek pracuje i tworzy, sarna po lasach biega, a ptak wzlatuje pod niebiosą.

Unosili się w toni. Jeziorne wody były im łozem, a w istocie przepastną alkową kochanków. On, opleciony jej złotym ogonem, pieścił świetliste kształty. Szyję, ramiona, piersi – doskonale uformowane, lecz twarde, jakby rzeźbione w marmurze. Wnikał w wodnicę, w ukrytą między jej brzuchem a ogonem miękką jamę, niczym małż z rozwartą skorupą. Inaczej jednak działało się to niż wcześniej z poprzednimi dziewczętami. Wszak Goplana nie była zbudowana jak człowiek. Dostarczała jednak młodzieńcowi większej przyjemności. Były to egzotyczne akty miłosne, spowite odurzającą wonią.

Gdy wodnica odczuwała nasycenie, nie oznajmiała tego krzykiem czy jękami, ale świergotała niczym stado ptaków. Pieściła swego kochanka. Wchłaniała jego męskość ustami równie miękkimi jak jej sekretna oznaka płci. Goplana dbała, by dzięki fizycznym rozkoszom chłopak był wobec niej uległy.

## Rozdział 5

Grabek, oszołomiony doznaniem, ogrzewał ciało i serce wodnicy przez tydzień, dwa. Uwiązał w sieci magii. Nad jego wolą panował ktoś inny. Czy raczej coś. Bo gdy tylko pomyślał o Goplane, natychmiast czuł pożądanie, a z nią radość, że dozna spełnienia tak intensywnego, jakiego żadne dziewczę dotąd mu nie dało.

Umysł miał tak oczadziały, że przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy ze skutków igraszek z nieludzką pięknnością. Jednak słabł coraz bardziej. I nadszedł dzień, kiedy ręce, nogi, mięśnie, kości i stawy młodzieńca się poddały. Grabek wyczerpany cowieczornym zaspokajaniem wodnicy nie mógł rano zwlec się z łóżka. Czuł się tak źle, jakby zapadł na jakąś tajemniczą, ciężką chorobę.

Chłopcem zajął się troskliwie ojciec. Od kilku już dni z uwagą przypatrywał się synowi i dostrzegł, że źle z nim się dzieje. Najpierw napoił syna i nakarmił, potem kazał się wyspać, by ten nabrał sił. Dopiero następnego dnia nakłonił Dziebora do zwierzeń, a to, co usłyszał, utwierdziło go w podejrzeniach. Pobladł przerażony. Uznał, że musi ostrzec potomka przed zagrożeniem. Powstrzymać go wszelkimi sposobami, by uratować przed niechybną śmiercią.

– Kiedy byłem dzieckiem, opowiadano w Kruszewicy, że wieki temu miała miejsce sprawa taka jak twoja – powiedział zdenerwowany cieśla do syna. – Tylko że tamtego chłopaka

Goplana do śmierci przywiodła. Pamiętaj, Dzieborze! Nie wolno ci spotykać się z wodnicą, bo skończysz marnie. Nawet od jeziora trzymaj się z daleka.

Grabek był młody, zauroczony, ale bynajmniej nie głupi. Zrozumiał, dokąd czary Goplany go prowadzą. Na zatracenie ciała, a pewnie i ducha. Bogowie nie pomogą temu, kto sam o siebie nie dba. Skoro człowiek igra z pradawnymi stworami, to traci siły życiowe, bo nimi karmią się takie byty. Żadne bóstwo nie obroni człowieka przed konsekwencjami, skoro ten postępuje nieroztropnie.

Długo trwało, nim Dziebor wrócił do zdrowia. Ciało miał słabe, na szczęście duch szybciej w nim krzepł. Kolejne dni mijały w coraz większym uspokojeniu. Młodzieniec zajmując się pracą, na niej skupiał myśli i stopniowo zapominał o pięknej wodnicy. Zgodnie z radą ojca nad jezioro nie chadzał, choć było to dla niego przykre, bo od dziecka lubił wędkować. Bał się jednak spotkać tam Goplanę, bo a nuż znów jej ulegnie?!

Minał cały miesiąc. Dziebor znów był krzepki, w czym pomogły zioła i rosoły warzone przez miejscową znachorkę. Nad swym umysłem i sercem chłopak też już panował, lecz wtedy jego ułożony na nowo los po raz kolejny się odmienił.

## Rozdział 6

W sąsiedztwie cieśli stał dom wyplatacza koszy. Tam pewnego dnia przyjechała ze Strzelna młoda dziewczyna. Była to Dobrochna, siostrzenica koszykarza. Ojciec i matka jej pomarli, dlatego wuj ją przygarnął.

Dziewczyna nie była zamożna, ale wszyscy młodzi mężczyźni, szczególnie ci stanu wolnego, za nią się oglądali. Bo Dobrochna była piękna. Nie jak Goplana, ale po ludzku bardzo urodziwa. Nie dość, że twarz miała śliczną, ciało kształtne, oczy i włosy brązowe jak kasztany jesienią, to jeszcze była pracowita i dla ludzi miła. A że potrafiła z witek brzoźowych i wierzbiny robić doskonale miotły, to wkrótce zaczęto na nią wołać Dobrochna Mietlica.

Dziebor i nowa mieszkanka Kruszwy natychmiast wpadli sobie w oko. I co rusz, niby to przypadkowo, wpadali na siebie na ulicy. Sporo ze sobą rozmawiali, żartowali. Nie minęło kilka dni, a zaczęli wymieniać coraz czulsze uśmiechy.

Dobrochnie żyło się dobrze u wuja. Wesoło usposobiona, zaradna, więc nikt z krewnych braku majątku jej nie wypominał. Dziewczynę polubiono, a i jej ludzie oraz okolica przypadli do serca. Szczególnie spodobało się jej ogromne jezioro.

Było lato, więc Gopło Dobrochnę jak innych zachwycało wodami, to gładkimi niczym lustro, to wiatrem falowanymi. Skrzącymi w słońcu jak klejnoty – szmaragdy, szafiry.

Mietlica często przerywała pracę w południe, gdy dokuczał największy skwar. Szła wtedy nad jezioro, siadała na brzegu, mocząc stopy. O tej porze dnia łodzi rybackich nie było w pobliżu, ani w ogóle nikogo, więc zrzucała suknię i naga kąpała się w toni.

Skoro Grabek i Mietlica mieli się ku sobie, to dziewczyna chciała dzielić się radością z chłopakiem. Pragnęła znaleźć się z nim w spokojnym miejscu, poza ciekawskimi

spojrzeniami sąsiadów. Ale choć kilkakrotnie prosiła o to młodzieńca, ten nie dawał się namówić na spotkanie nad jeziorem.

Dziewczynę bardzo to smuciło. Wreszcie po wielu dniach Dobrochna wprost spytała Dziebora, dlaczego nie chce być z nią sam na sam.

– Czy jestem ci obojętna? – nalegała, by jasno określił, co do niej czuje.

Chłopak gorąco zaprzeczył. Zaczął się kajać i ochoczo przystał na spotkanie z dala od ludzi.

## Rozdział 7

Następnego dnia po południu spotkał się Dziebor z Dobrochną. On w odświętnej koszuli, ona w zwiewnej sukience z lnu, z koralami czerwonymi na szyi. Wystrojeni poszli na spacer. Dziewczyna wybrała, w którą iść stronę. Wiodła chłopca tam, gdzie znajdował się jej ulubiony zakątek nad Gopłem. Ruszyli więc wolnym krokiem, rozmawiając. Nieśli we dwoje kosz z prowiantem.

Młodzieniec w tym otoczeniu czuł się niepewnie. Widząc to, Dobrochna pomyślała o rozczuleniu, choć błędnie, że jest nieśmiały. Gdy dotarli nad brzeg jeziora, zaproponowała, by siedli na darni w odosobnionym zakątku. Wokół rosły wierzby i krzewy śnieguliczki. Tylko z jednej strony teren był otwarty, z widokiem na przestwór wód. Dziewczyna uśmiechała się coraz szerzej. Bo z Dzieborem byli jeszcze obok siebie, ale przecież już bardzo blisko z sobą.

Oddzieleni kępami wierzby od pobliskiego gościńca i osób, które mogły wybrać się ścieżką wiodącą z Kruszwy do Gopła, stali się niezauważalni. Nastrój zrobił się intymny. Znow przez chwilę rozmawiali. Potem zjedli i wypili to, co zabrali ze sobą w koszyku: świeżo pieczony chleb, gomółkę twarogu, zeszłoroczne jabłka i piwo w glinianej butli. Dziebor wciąż jednak był nieswój. Nerwowo rozglądał się po okolicy. Mietlicę upewniło to w podejrzeniu, że chłopak jest nieśmiały. Chcąc dodać mu odwagi, pocałowała go.

Czując jej gorące wargi na swoich, młody cieśla zapomniał o tym, czego się obawiał. Odwzajemnił całusa, wziął dziewczynę w ramiona. Po chwili oboje wyznali, co do siebie czują.

– Kocham cię, Dobrochno – szeptał chłopak.

– Kocham cię, Dzieborze – wtórowała mu panna.

Rozanieleni zaczęli od objęć i pocałunków. Potem oddawali się coraz gorętszym pieszczotom. Rozochoceni zdjęli odzienie i nadzy przywarli do siebie. Mało przytomni z namietności, Dziebor i Dobrochna, ulegli jakże ludzkim uniesieniom. Po wielokroć smakowali siebie wzajemnie, niczym nieznanne egzotyczne owoce. Przez ten czas słońce obniżyło się ponad horyzontem. Pożółtko, potem szczerwieniało.

Zakochanym zdawało się w tych rozciągniętych do godzin chwilach, że tylko oni są na świecie i cały świat ich miłuje. Byli w błędzie.

Para oczu śledziła cieślę i siostrzenicę wyplatacza koszy od chwili, w której zjawili się nad jeziorem. Para oczu pięknych, błękitnych jak letnie niebo. Para oczu nagle pociemniałych w gniewie.

Wody Gopła się wzburzyły.

– Zdrajca, zdrajca, zdrajca – zaszemrały fale.

Dziebor z Dobrochną poczuli chłód, który nagle uderzył od strony jeziora. Lodowate powiewy, niezwykle w środku lata, nawracały. Wiatr targał wierzbami tak potężnie, że aż spało się listowie. Na niebie ponad Gopłem ukazał się wał ciemnych chmur. Sunął ku brzegowi, w kierunku ustronia zajętego przez kochanków. Powietrze drżało, jakby zaraz miała rozszalać się nawałnica. Burza z piorunami i rzęśistym deszczem.

Zadrżeli, oderwali się od siebie, oprzytomnieli. Panna była zdezorientowana, ale młodzieniec od razu zrozumiał, z czym mają do czynienia.

– Wracajmy do domu – szepnął do dziewczyny. – Zimno tu.

Dziewczynę przebiegł dreszcz. Czowała się nieswojo, więc przytaknęła ukochanemu.

– Nie tylko zimno, ale i strasznie – powiedziała drżącym głosem.

Sięgnęli po odzież rozrzuconą na darni, pospiesznie się ubrali.

Dziebor domyślał się, jaka siła stoi za nagłą zmianą pogody. Chwycił koszyk, otoczył Dobrochnę ramieniem i szybkim krokiem poprowadził w stronę Kruszwicy. Szeptął ukochanej miłe słowa do ucha, ale myślał gorączkowo o tym, by znaleźć się jak najdalej od Gopła. Miał wrażenie, że czuje na karku gniewne spojrzenie wodnicy, jednak ani myślał się obejrzeć, by to potwierdzić. Kochankowie zdążyli dotrzeć pod dach na chwilę przed tym, jak lunął deszcz.

Chłopak trafnie założył, co stanowiło przyczynę chłodu, porywów wiatru i nawały chmur. Tuż przy brzegu, blisko miejsca, gdzie jeszcze niedawno Dziebor kochał się z Dobrochną, wypłynęła z wód Goplana. Odprowadzała wzrokiem parę zakochanych, stojąc w toni prawie jak człowiek, bo zamiast nóg miała przecież rybi ogon. Krople wody spływały po jej złotych włosach, po skórze białej i błyszczącej jak szron. Tajemnicza istota znów była lodowata. Przecież Dziebor już od miesiąca jej nie obejmował. Przez wiarołomstwo człowieka w jej ciele brakło ciepła!

Goplana wodziła wzrokiem za parą oddalającą się pospiesznie. Jej piękna twarz była ponura, czerwone usta zaciśnięte gniewnie.

– Zdrajca, zdrajca, zdrajca – szeptała, a za nią echem słowa te niosły wzburzone wody Gopła.

## Rozdział 8

Dziebor nie był w pełni szczerzy wobec Dobrochny. Nie wyznał jej, że zadawał się z wodnicą. Ojciec młodzieńca też zachował tę sprawę w sekrecie. Dla starego cieśli było oczywiste, że nie ma potrzeby wracać do spraw minionych. Przecież Grabek na szczęście odkochał się w Gopłanie, a teraz oddał serce Mietlicy, a ona mu tym samym się odwzajemniła. Do tego



krewni z obu stron parze błogosławili. Nic, tylko myśleć o weselu. A potem o wnukach, które ciesielstwa się wyuczy.

Nie wszyscy jednak radowali się szczęściem zakochanych. O uczuciach Goplany wiadomo. A że była władcza i nie uznawała odmowy, do tego chłopak niezwykle przypadł jej do gustu, trudno by przychylnie patrzyła na kogoś, kto ją porzucił, oraz na jego nową wybrankę. W świecie ludzi miłość Dziebora okazywana Dobrochnie też była komuś nie w smak. Otóż kilku pannom z sąsiedztwa.

Trzy dziewczyny z Kruszwicy od dawna polowały na Grabka. A że nie wiedziały, iż Miła i Wszebora, ich sąsiadki, przypląciły już życiem swą słabość okazywaną młodzieńcowi, bez strachu o Dziebora zabiegały. Co prawda chłopak przed żadną z tych trzech panien serca nie otworzył, ale one wciąż miały nadzieję, że zmieni zdanie. Kruszwiczanki, choć każda chciała Dziebora dla siebie, wspólnie uknuły spisek przeciw Mietlicy. Bo jak to? Pięknego cieślę sprzątnie im sprzed nosa jakaś przybłęda?! Wedle starego porzekadła, wróg mego wroga jest moim przyjacielem. Dlatego dziewczęta się sprzysięgły, by usunąć groźną konkurentkę. Uprzykrzały życie Dobrochnie, jak tylko mogły.

Gdy Mietlica wychodziła na chwilę z warsztatu, a nikt tam akurat roboty nie pilnował, to zaraz któraś z panien zakradała się i psuła Dobrochnie gotowe wyroby. Kiedy ukochana Dziebora szła ulicą, to nieraz, niby przez przypadek, oblano dziewczynę pomyjami, które w tamtych czasach zwyczajowo usuwano z domu przez okno, wprost na ulicę. Najczęściej kruszwiczanki dopiekały Mietlicy złośliwymi uśmieszkami i docinkami. Nie szczędziły ich jej, gdy tylko dopadły dziewczynę w jakimś miejscu publicznym.

Panny, które uknuły spisek, bardzo starały się osiągnąć cel, ale do tej pory efekty miały mierne. Postanowiły więc działać bardziej zdecydowanie i ostatecznie odbić Dziebora Dobrochnie. By to osiągnąć, urządziły w letnie popołudnie, po pracy, zabawę dla młodych kruszwiczan. Przyłożyły się do tego, współpracowały skutecznie, choć wzajemnie się nie znosiły. Dla każdej z nich jednak nader ważne było dopiąć celu, usidlić na całe życie przystojnego stolarza.

Zabawa powinna być huczna, więc taką była. Wielkiej izby do tańców i biesiadowania użył kuźnicz, ojciec jednej z panien spiskowych. Pozostałe dwie zadbały, by stoły zastawić misami z jadem i dzbanami piwa. Dziewczęta umówiły też oraz opłaciły najlepszych w mieście muzykantów. Jednego, co grał na gęślach, drugiego, co wtórował mu na fujarce i trzeciego z bębniem.

Zabawa rozpoczęła się, a panny, które przeciw Dobrochnie się zmówiły, całą uwagę poświęcały Grabkowi. Dokładały mu mięsa i kaszy, dolewały polewki, podsuwały najpiękniejsze owoce. Przede wszystkim jednak pilnowały, by kubek młodzieńca wciąż był wypełniony piwem. Z tej ostatniej przyczyny chłopakowi szybko zaszumiało w głowie. Wtedy kruszwiczanki ruszyły z nim w tany. Przekazywały go sobie z rąk do rąk, tak, by jak najdalej od niego trzymać Mietlicę. Jednocześnie te, co Dziebora akurat nie obtańcowywały, starały się wyrządzać rozmaite przykrości siostrzenicy wyplatacza koszy.

– Daj sobie z nim spokój. Przecież z przybłędą Dziebor się nie ożeni, tylko z posażną panną z Kruszwicy – dogadywała Dobrochnie jedna.

– Dziebor by chciał takiego kocmołucha jak ty? – niegrzecznie pytała druga.

– Dziebtor pewnie z kolegami się założył, że cię wianka pozbawi – mówiła trzecia, niby z troską, ale jej spojrzenie i uśmiech pełne były jadu.

I choć Mietlica była w Grabku zakochana, to wszystkie te przytyki wyrządziły szkody.

A może on mnie nie kocha? – zaczęła rozważać Dobrochna. Może tylko mną się bawi?. Czyny i słowa kruszwiczanek sprawiały ból. Jakby w piersi dziewczyny nagle wyrósł krzew malin, którego kolczaste gałązki oplotły serce.

Miała dosyć złośliwości rówieśniczek. Do tego Dziebtor, mocno już pijany i wciąż w objęciach innej panny, nie zwracał na nią uwagi. Chłopak ledwie trzymał się na nogach!

Dobrochnie zrobiło się tak smutno, że aż chciała płakać. Ale nie zamierzała okazać słabości przed wrogo do niej nastawionymi dziewczynami.

## Rozdział 9

Dobrochna wyszła chyłkiem z domu kuśnierza. Potem coraz szybszym krokiem ruszyła przez uliczki. Wreszcie wybiegła z osady. Chciała być sam na sam ze swymi rozterkami. Targały nią naraz gniew i rozpacz, a między nimi tkwiło czułe wspomnienie pięknych chwil.

Za plecami miała mur z kłód, głązów i ziemi, otaczający osadę. Spojrzała w dal. Noc zaczęła już zmagać się z dniem. Słońce purpurowe, jak twarz parobka, który usiłował dźwignąć zbyt wielki ciężar, opadało z niebios ku ziemi.

Dziewczyna postanowiła ruszyć nad jezioro, w miejsce, gdzie pierwszy raz pocałowali się z Grabkiem. Ale gdy tam dotarła, nie znalazła ukojenia. Jeszcze większy smutek ją ogarnął. Zaczęła płakać.

Szlochając, położyła się na darni przy brzegu. Zanurzyła dłoń w gęstej trawie. Wystawiła mokrą od łez twarz do słońca, które chyliło się ku zachodowi. Minęła chwila, dwie. Dobrochna zaczęła się uspokajać. Nagle...

Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest w tym miejscu sama. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Zaledwie kilka kroków od niej, w wodzie po kostki stała przy brzegu naga, młoda kobieta. Miała połyskliwą, białą skórę, błękitne oczy i gęste, długie włosy barwy złota. Dobrochna pomyślała, że pewnie zasnęła na darni, bo to, co widzi, nie może być jawą. Ale nieznajoma poruszyła się. Na jej pięknej twarzy pojawił się uśmiech.

– Biedne dziewczątko – powiedziała głosem jak śpiew ptaka. – Dlaczego płaczesz?

Dobrochna zerwała się z ziemi. Była wystraszona, ale też i ciekawa istoty, która do niej przemawia. Dziewczyna rozumiała, że ma przed sobą Goplanę. Że ona naprawdę istnieje! Słyszała w dzieciństwie opowieści o pięknej wodnicy, która od stuleci włada Gopłem, lecz myślała, że to bajki.

– Ktoś cię skrzywdził, dziewczuszko? – dopytywała pani jeziora. – Wyznaj mi wszystko, a ja przywrócę ci uśmiech.

Dziewczyna przestała się bać, pozostało jednak zaciekawienie. Wodnica była miła, troskliwa. Dlaczego Dobrochna nie ma jej zaufać? Mietlica opowiedziała więc o swej miłości do Grabka, o rozterkach, jakie w niej zasiały zazdrosne panny z Kruszwicy.

Goplana słuchała z uwagą. W rytm słów dziewczyny to uśmiechała się, to brwi marszczyła.

– Mówisz, że kochasz... Jak mu na imię? Aha, Dziebor! Mogę ci pomóc, dziewczuszko – powiedziała, gdy Dobrochna skończyła. – Znam czarodziejski sposób, by twa miłość była wieczna. Chcesz mej pomocy?

– Tak! Powiedz, co mam zrobić – odparła z przejęciem dziewczyna, nie zastanawiając się nad znaczeniem słów wodnicy.

– Na początek chodź do mnie – szepnęła Goplana. – Musisz wejść do wody, inaczej nie wyjdzie z czarów.

Dobrochna ucieszyła się, że tak potężna istota chce otoczyć opieką ją i jej miłość. Bo jaki człowiek oprze się czarom? Złośliwe panny z Kruszewicy obejdą się smakiem. Dzięki magii Dziebor na zawsze będzie tylko jej, Dobrochny! Bez wahania zanurzyła stopy w jeziorze.

Poślizgnęła się w mule, zachwiała, a wtedy panna wodna podała jej rękę. Dziewczyna uznała, że to przejaw troski. Kiedy jednak postąpiła kilka kroków w jeziorze, gdy już zanurzyła się po pas, odczuła ból w nadgarstku. To przeraźliwie zimne palce Goplany coraz silniej zaciskały się na jej ręce. Stały się jak kajdany z lodu.

– Głupia dziewczucho! – syknęła wodnica. – Myślałaś, że pozwolę, by takie „nic” zabrało mi Dziebora? Że mi przeszkodzisz w czerpaniu sił z tak pięknego młodzieńca? Że nie będę dzięki niemu żyła w pełni, żyła prawdziwie?!

Dobrochna drżała z zimna i strachu. Z przerażeniem patrzyła na Goplanę. Pięknej twarzy nie zdołał już przyjazny uśmiech. Wodna istota spoglądała na Mietlicę z gniewem.

– Twoja miłość będzie naprawdę wieczna – szepnęła złowrogo magiczna istota.

Objęła dziewczynę ramionami skrzącymi się jak szron. Dobrochna zmartwiała. Strach, chłód i potężny uścisk wodnicy odebrały jej siły. Chciała krzyknąć. Nie zdążyła. Goplana, nie wypuszczając jej z objęć, wyskoczyła ponad fale jak ryba. Białe ciało rozbłysło w zachodzącym słońcu, złote włosy pani jeziora zawisły na mgnienie oka w powietrzu. Wodnica z głośnym pluskiem runęła w toń. Pociągnęła Dobrochnę za sobą w głębinę. Tam uwięziła przerażoną dziewczynę w pałacu z muszli i błyszczących kamyków.

## Rozdział 10

Młody cieśla obudził się rankiem. Czuł się ociężały od wypitego piwa, przy tym mięśnie miał obolałe od tańców, które trwały do głębokiej nocy. Wstał, oblał się z cebra zimną wodą. Zmoczone włosy otrząsnął jak psiak. Przypomniał sobie o ukochanej. Nawet z nią nie zatańczył! Dlaczego? Bo się upił! Grabek poczuł wyrzuty sumienia. Muszę przeprosić Dobrochnę, i to zaraz – pomyślał, gdy w głowie już mu przejaśniało.

Ruszył do sąsiada, wyplatacza koszy, ale tam przywitano go wrogimi spojrzeniami. Mietlica nie wróciła na noc i wszyscy myśleli, że gdzieś z Dzieborem się zawieruszyła. A to porządnym ludziom się nie podobało. Przecież jeszcze ślubu nie mieli. Nawet nie byli po słowie!

Młody cieśla poczuł niepokój. Pospiesznie wyjaśnił, że ukochaną ostatnio widział wieczorem. Gdzie jednak dziewczyna od tamtej pory się podziewa? Gdy omówił to z wujem Mietlicy i resztą jego i swoich krewnych, wszyscy nie na żarty się zaniepokoiili. Janko postanowił działać. Ruszył przez osadę, od domu do domu, i wszędzie o Dobrochnę pytał. Nikt niczego nie wiedział. Dopiero synek garncarza przypomniał sobie, że dostrzegł Mietlicę, jak wychodziła z osady. Było to poprzedniego dnia, jeszcze przed zmrokiem. Dziewczyna kierowała się na południe. Ten kierunek oznaczał dla wszystkich w Kruszwicy tylko jeden cel.

Dziebor zadrżał. Przestraszył się, że ukochanej grozi niebezpieczeństwo. Śmiertelne zagrożenie.

– Nie! Tylko nie to! Ona poszła nad Gopło! – krzyknął i natychmiast pobiegł w stronę jeziora.

Gdy dotarł nad wodę, zaczął podążać wzdłuż brzegu. Nerwowo wypatrywał dziewczyny na łąkach i pośród wierzbiny.

– Dobrochna! – krzyknął. Odzewu nie było, więc nie ustawał w nawoływaniach. – Odezwij się! Gdzie jesteś?! Dobrochna!

– A weź ją sobie! – krzyknął nagle głos z toni.

Od tego, co cieśla ujrzał, serce zamarło mu w piersi. Spod wody wypłynęły zwłoki ukochanej.

Zadał wiatr. Topielica zakołysała się na falach. Goplana w tym jednym nie okłamała Dobrochny. Miłość dziewczyny stała się wieczna. Wieczna jak śmierć.

– Dlaczego ją zabiłaś?! – zawołał Grabek, wciąż stojąc na brzegu. – Mnie trzeba było zabrać! Dlaczego ona?!

– Bo jesteś mój – odezwała się wodnica z głębiny. – Bo ciebie kocham, więc masz żyć i karmić mnie swą młodością.

Głos Goplany, jak zawsze piękny, niczym ptasie trele, w tej chwili już nie uwodził Dziebora. Młodzieniec był w rozpacz. Pochylił się ku toni. Wiatr znów przebiegł nad lustrem jeziora, pofalował wody. Popychał bezwładne ciało Mietlicy w stronę Grabka.

– Teraz będziemy tylko ty i ja – przemawiała z głębin Goplana. – Znów rozpalił moje serce, a ono ogrzeje me ciało.

Młody cieśla nie słuchał. Podmuch wiatru znów poniosł topielicę. Zwłoki Dobrochny dopłynęły do brzegu, zatrzymały się u stóp kochanka. Młodzieńca ogarnęła taka rozpacz, że znieruchomiał pochylony nad martwą dziewczyną. Jasne włosy pociemniały mu od bryzgów wody niesionych przez wiatr. Po chwili dłonie mu zgrabiały. Potem całe ciało. Stawał się nieczuły, twardy. Schylony nad wodą przestał być człowiekiem. Nogi i tułów zamieniły się w pień, ręce w gałęzie. Jeszcze przez chwilę Dziebor miał oczy. Ale ponury widok nieżywej kochanki zamienił je w dwie dziuple wypełnione próchnem.

Goplana krzyknęła przeraźliwie.

– Nie! Tylko nie ty! Musisz żyć, bym żyła w pełni!

Jednak było za późno na cokolwiek, za późno na wszystko. Grabek stał się drzewem, grabem, smutnie zwieszającym gałęzie nad wodą. Podobno do dziś tam stoi.

Pani jeziora pogrążyła się w smutku. Na nic się zdało utopienie dziewczyny, która odebrała jej kochanka. Zło się dokonało, a nie przyniosło korzyści magicznej istocie. Jedyne go człowieka, który ogrzał, a nawet rozpałił na chwilę serce wodnicy, rozpacz przemieniła w drzewo.

Ludzie opowiadają legendy o tym, że Goplana zamknęła się w swym pałacu z muszli i kamyków. Że od wieków tęskni za utraconą miłością. Ukryta na dnie czasem cicho łka, czasem głośno płacze. Wiatr porywa jej łzy i unosi nad jezioro. A one osiadają rosą na gałęziach grabu pochylonego nad wodą.

Łzy błyszczą jak szlachetne kamienie, lecz to, co ukryte w odmętach spowija tajemnica. Olśniewająco piękny stwór śni w głębinie. Może o tobie, chłopcze? A może o tobie, dziewczyno? Czy chcesz, czy naprawdę chcesz, by śnił o tobie? By obudził się z tysiącletniego snu i dla ciebie z toni się wynurzył?



## TADEUSZ OSZUBSKI



*Autorka zdjęcia: Joanna Szmytkowska*

Urodzony w 1958 roku w Bydgoszczy, gdzie nadal mieszka. Prozaik, poeta, publicysta, animator kultury. Należy do Związku Literatów Polskich. Laureat wielu konkursów literackich. Stypendia artystyczne przyznali mu Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Prezydent Miasta Bydgoszczy. Debiutował w 1980 r. drukami poezji na łamach czasopism literackich, debiutancką książką był zbiór wierszy opublikowany w 1984 roku.

Autor prozy z pogranicza literatury fantasy, grozy, thrillera, a także publicystyki o tajemnicach historii oraz wierszy i miniatur literackich. Ukazało się ponad 20 książek Tadeusza Oszubskiego, powieści, tomów opowiadań, zbiorów poezji, prac popularyzatorskich, między innymi takie tytuły, jak „Sfora”, „Mesjasz”, „Drapieżnik”, „Twierdza nienawiści”, „Demony Światła”, „Biała Bestia”, „Miłość”, „Legenda Panien Wodnych”, „Tajemnicze istoty”, „Tajemnicze artefakty”, „Tajemnicze historie z pogranicza światów”. Ponad 150 opowiadań tego autora opublikowano w czasopiśmie literackich, w ponad 30 antologiach i almanachach, a także w autorskich zbiorach. Kilka książek ukazało się w przekładach na j. angielski i czeski.

# **Kalina Sucharska - Jak wywołać wilki z lasu**





KALINA SUCHARSKA

# JAK WYWOŁAĆ WILKI Z LASU

- XII -

Łucja Obojko wbiła ręce w kieszenie skórzanej kurtki i ponownie otaksowała Mieszka Pierwszego. Staruszek był wielki, owszem, ale jego kiepski stan bił po oczach nawet w świetle księżycy. Najstarsze drzewo Mazowska częściowo obumarło; zielenił się tylko jeden konar. Czyżby dzieciaki się pomyliły? I dlaczego Majka się spóźniła? Wzajemne... stosunki miały wyśmienite, ale znały się zbyt krótko, by mówić o lojalności, a pierwsze, czego uczyli ją o rusałkach, to że kochają wodzic na manowce.

Kobieta usłyszała kroki i odwróciła głowę. Nie było tu latarni, więc dłuższą chwilę bezskutecznie wpatrywała się w ciemną alejkę. Wreszcie, z nieprzyjemnym skurczem w żołądku, dojrzała najpierw postać stanowczo zbyt dużą jak na Majkę, a dopiero potem idącą obok drobną rusałkę. Dlaczego nie przyszła sama? – Łucja nie lubiła zmian w planie. Kiedy wreszcie do niej doszli, była zbyt napięta na serdeczne powitania. Barczysty chłopak chwiejący się obok jej kochanki miał zamglony wzrok i uśmiech od ucha do ucha.

– Kto to jest? Po co go tu przyprowadziłaś?

– Jak to po co, kochanieńka? A jak borowego chcesz bez ofiary budzić? Chłop na schwał mi się trafił, idealny będzie. – Rusałka wyglądała na bardzo dumną z siebie.

Łucja zaklęła pod nosem.

\* \* \*

Miesiąc wcześniej tropiła strzygę żerującą na bywalcach klubów nocnych. Po prawie godzinie sterczenia na ulicy zobaczyła podpitego chłopaka, który nagle zasłuchał się w coś, czego nikt inny nie słyszał, bez słowa oderwał się od kumpli i zniknął w pobliskiej bramie. Ruszyła w pościg, goniła go przez połączone podwórza, ale szedł szybko i została daleko z tyłu. Gdy wpadła w zaułek za wiatą śmietnikową, spodziewała się znaleźć go już wypatroszonego. Ku jej zaskoczeniu, chłopak siedział rozradowany na ziemi, podczas gdy zmysłowa piękność o zielonych włosach niespiesznie przegrzebywała mu kieszenie.

Majka była pierwszą istotą w karierze agentki, która cieszyła się z bycia aresztowaną. Zgodnie z procedurami zaklęli ją do prawdomówności, ale okazało się to zupełnie zbędne, bo rusałka uwielbiała chwalić się sprytem i przystosowaniem do miejskiego życia. Im bardziej Łucja była przekonana, że aresztantka nikogo nie zabija i nie okrada niewinnych, tym trudniej było jej ignorować zalotne spojrzenia i uśmiechy, nie wspominając o bujnych kształtach dziewczyny. Nadała rusałce status informatorki, kilka razy spotkały się pod pretekstem przekazania raportu i tak jakoś wyszło...

Wychodziło im co noc już od tygodnia, kiedy ciepłe ciało Majki przytulone pod kołdrą do reszty rozmiękczyło czujność Łucji. Zanim się zreflektowała, opowiedziała rusałce o kłopotach w pracy. Od dwóch lat w mieście bezprecedensowo rosła liczebność agresywnych stworów. Kiedyś cały warszawski oddział dostawał jedno zgłoszenie tygodniowo, a teraz samej Łucji zdarzało się interweniować co drugi dzień. Sytuacja wymagała zwiększenia kadry, więc desperacko szukali rekrutów. A predyspozycje mieli nieliczni...

– Trzy lata temu w mieście zamknęły się słabsze źródła mocy. Wy to zrobiliście, nie? – spytała sennie Majka.

– Tak. Okluzja Antonowa. Miała zmniejszyć liczbę interwencji. To ma coś wspólnego?

– Mhm. Wszystko. – Rusałka ziewnęła i wyprężyła grzbiet tak, że Łucja chwilowo straciła wątek. – Po zamknięciu źródeł ubożęta zaczęły słabnąć.

– I dobrze, przecież w mieście to pasożyty.

– Żadne pasożyty, tylko symbionty! Może tutaj nie pomogą przy gospodarstwie, ale dają odporność magiczną. Człowieka z taką ochroną nie sposób opętać, mamuny nie posłucha, ba, nawet dla wampira ma odstręczający zapach. Ale po roku bez mocy ubożęta osłabły i ich opieka na niewiele się zdaje. Inne istoty, które lubią żyć przy ludziach albo przynajmniej są neutralne, opuściły miasto, jeśli tylko mogły. No, to z okazji skorzystały drapieżniki, które wcześniej by głodowały. Zaburzyliście ekosystem.

Oczy Łucji otwierały się coraz szerzej. Miała kochankę za osobkę pełną czaru, lecz wolną od refleksji, a tu taka niespodzianka!

– Majeczko, skarbie, skąd ty to wszystko wiesz?

– To przez wieki było moje zadanie! Pomagałam borowemu pilnować, żeby w puszczy wszystko grało. – Rusałka uśmiechała się dumnie. – Ale już ze trzysta lat będzie, jak uznał, że ludzie za dużo pozmieniali, a on nic już nie rozumie i sobie nie radzi... Obrząził się, odszedł w sen i zwolnił mnie z obowiązku. A że wiedzy przez to nie straciłam, to widzę, coście w lesie nawywijali.

– W lesie?

– W mieście, w lesie, dla mnie jeden pies. Dużo stworzeń żyje razem, aktywność wysoko w górę i głęboko pod ziemią, wszyscy zależą od siebie nawzajem. Ekosystem jest? Jest. A ja się na tym znam. I powiem ci, że źródła się w końcu odbudują, ale ilu zginie do tego czasu, to lepiej nie myśleć. Nie mam tyle mocy, żeby równowagę przywrócić, tu borowego byłoby trzeba.

Pytanie wyrwało się Łucji, zanim rozsądek zdążył je zweryfikować:

– Czy skoro zasnął, to można go obudzić?

\* \* \*

Plan był prosty. Punkt pierwszy: znaleźć właściwe drzewo i upewnić się, że faktycznie siedzi w nim borowy, a nie jakaś brzydka niespodzianka. Co prawda ufała Majeczce, ale zawsze lepiej uważać. Z drzew, które trzysta lat temu były przyzwoicie wyrośnięte, w Warszawie zachowały się tylko dwa, do ogarnięcia w jedno popołudnie. Łucja zadzwoniła do Marcuszka, czy nie chciałby podskoczyć z dziećkami do Łazienek i na Ursynów.

Marcuszek miał kilka ogromnych zalet. Po pierwsze, był nieśmiały i w firmie stosunkowo świeży, więc poza nią jeszcze z nikim się bliżej nie zakolegował; ryzyko, że niechcący ją wyda, było niewielkie. Niby nie robili nic złego, ale pomysł obudzenia borowego na bank utknąłby na długie miesiące w procedurach bezpieczeństwa, bo prastara siła, bo źródłem informacji była rusałka, bo trzeba sprawdzić precedensy, bla, bla, bla. A i jej chwałę pewnie przywłaszczyliby sobie jakiś dupek z góry. Więc nie, dla dobra wszystkich postawi firmę przed faktem dokonanym.

Drugą, a właściwie drugą i trzecią zaletą Marcuszka byli Marysia, lat prawie sześć, i Gucio, lat prawie trzy – dzieci nie dość, że zaskakująco znośne, to jeszcze naturalnie zdolne wyczuwać magię na odległość. Wyprawa do Łazienek je zachwycała, momentalnie

wypatrzyły cztery drzewice i jednego opętanego karpia, ale żadnego borowego. Dzieciaki bardzo polubiły nowe towarzystwo i trzeba je było z parku wyciągać szantażem i przekupstwem. Do drugiego dębu udały się zniechęcone, ale na miejscu pierwszy raz, od kiedy Majka je znała, na dłuższą chwilę znieruchomiały i zamilkły z otwartymi buziami.

– Ten coś. Jest ogloomny! – Gucio rozrzucił przy tym dramatycznie rączki.

– A jak wygląda, tak oprócz tego? – spytała Łucja.

– Śpi sobie. Buzię ma jak starszy pan, tylko taką szarozieloną, i wielkie rogi wystają mu z głowy. Ledwie się mieści w tym drzewie, a te rogi to mu aż w gałęziach sterczą. – Marysia była wyraźnie zachwycona.

– Czekaj, jakie rogi? – zaniepokoił się Marek.

– No, jak u jelenia, czy coś. Ale takie wieceelkie. – Tym razem to Marysia wykonała gest rączkami.

– Poroże, żuczku. Kozy i krowy mają rogi, a jelenie... – Marek wszedł w tryb taty-edukatora, więc Łucja przestała słuchać.

– Bingo – szepnęła pod nosem.

\* \* \*

– Nikogo nie składamy w ofierze! To nieetyczne! Z firmy mnie wyrzuca. Wypuść go natychmiast!

Majka wzruszyła ramionami.

– Dobrze, już dobrze. Zaraz mu przejdzie, leciuchno go otumaniałam. Po drodze się napatoczył i sam chciał za mną iść. Nie umiem inaczej zbudzić papy. Ty masz jakiś pomysł?

Łucja wyjęła z kieszeni upstrzony runami szczyryk, nacięła dłoń i przycisnęła ją do kory.

– Sięgnę świadomością w głąb dębu. Podaj mi imię borowego, to go wybudzę – powiedziała spokojnie.

A w myślach dodała: A znając je, w razie czego będę mogła dziada odegnąć.

Majka uniosła jedną brew i zaszeleściła.

– Ahaaa. Nie powtórzę tego. – Do Łucji dotarło, że bez imienia będzie mogła borowemu co najwyżej nafiukać.

Zanim zdążyła oderwać rękę od drzewa, rusałka przykryła ją dłonią i znów zaszeleściła. Tym razem agentka usłyszała to w głowie, czując wyraźnie, że dziewczyna wdarła się do jej umysłu. Łucja wyrwała się kochance i odskoczyła od pnia, ale krew wsiąkała już w korę. Było za późno na zmianę zdania: drzewo zadrżało, a one, w identycznym odruchu, cofnęły się o kilka kroków. Z dębu wyłonił się ogromny starzec z rozłożystym porożem na głowie. Rozejrzał się powoli, dostrzegł rusałkę i głośno zaszumiał. Majka podskoczyła z radości i zaszeleściła.

Łucja tkwiła koło nich nieruchomo, kompletnie bez pomysłu, co dalej robić. Nic już nie cofnie, nic nie zmieni. Może tylko iść za ciosem. Trąciła lekko Majkę w dłoń. Rusałka zerknęła na nią i przeszła na polski.

– Tato, popatrz, to Łucja, moja kochanica! Piękna, prawda? Grzywa jak lisia kita, nogi silne jak u kłaczy, a zad...

Łucja przerwała najgłośniejszym chrząknięciem, na jakie było ją stać.

– W każdym razie niby taka trochę łowczyni, ale trochę też wiedźma. Pozmieniało się, co? Zdjęła pieczęć i pomogła cię obudzić, bo jej ludzie tak namieszała, że nie umieją tego sami naprawić. Jak zwykle, co nie?

Łucji zaszumiało w uszach, tym razem własnym sumptem. Jak to... zdjęła pieczęć? Jeśli tam była pieczęć, to wymagałaby inkantacji, chyba że była zrobiona krwią kogoś z rodziny... Borowy nie odszedł sam, tylko ludzie, JEJ ludzie, go tam z jakiegoś powodu zamknęli. Majka ją zmanipulowała, być może od samego początku... Agentka zacisnęła pięści i spróbowała uspokoić oddech. Nie teraz. Teraz trzeba dogadać się z tym gigantem.

Borowy zmarszczył brew i powoli zadudnił tak, że Łucja poczuła to w kościach:

– ODSZEDŁEM W SEN, BO PRZESTAŁEM ROZUMIEĆ ŚWIAT. PRZEGNALIŚCIE MOJE WILKI. POWIEDZ MI, ŁOWCZYNI-WIEDZMO, JAK MIAŁBYM POMÓC?

Łucja ukloniła się i spróbowała zmusić głos, by brzmiał pewnie.

– To zaszczyt cię spotkać, panie. Faktycznie, nie radzimy sobie. Majka pojmuje miasto... ehm... las inaczej niż my; lepiej rozumie nasze błędy. Mówiła, że będziesz w stanie je naprawić.

Starzec i rusałka przez chwilę szeleścili między sobą. Dryblas Majki, dotychczas zapatrzony w nocne niebo, zauważył wreszcie borowego i otworzył gębę z zachwyty.

– MASZ W SOBIE SZACUNEK, TO DOBRZE. MOJA CÓRKA MÓWI, ŻE NAUCZY MNIE WASZEGO ŚWIATA. SPRÓBUJĘ POMÓC. MOŻECIE DO MNIE MÓWIĆ... LESZSZSZEK.

Borowy wyciągnął w stronę agentki ogromną dłoń splecioną z gałęzi. Już mieli uściśnąć prawicę, gdy pomiędzy nimi przeleciała butelka z płonącą szmatą w szyjce i uderzyła w pień Mieszka Pierwszego. Łucja rozejrzała się w panice. Skupiona na borowym przestała kontrolować otoczenie. Tymczasem pod płotem od strony budynków pojawiła się grupka kilkudziesięciu młodych mężczyzn. Największy z nich ryknął:

– Kurwa, nie trafilem! Łysy, biegnij! Debilu, ratujemy cię!

Wciąż głupekowato uśmiechnięta niedoszła ofiara, w sumie adekwatnie nazwana „Łysym”, ani drgnęła. Za to borowy momentalnie dopadł do grupy osiłków i zamachnął się ramieniem, które przekształcił w ogromne szpony. W ostatniej chwili wstrzymał cios. Przymknął oczy, a jego przeciwnicy znieruchomieli, po czym wszyscy uklękli ze spuszczoneymi głowami. Borowy na powrót uformował z korzeni dłoń, uniósł za podbródek głowę najbliższego chłopaka i popatrzył mu w oczy. Puścił go i odwrócił się do kobiet, wciąż tkwiących pod drzewem.

– CI LUDZIE SĄ... UPROSZCZENI?

Majka uśmiechnęła się szeroko.

– Co rusz wymyślają sobie nowe używki. Ostatnie pomysły tak ich zmiękczają, że nawet ja mogę całą grupę omotać od ręki.

Borowy uśmiechnął się upiornie.

– PROBLEM BRAKU WILKÓW SIĘ ROZWIĄZAŁ. POPRAWIĘ ICH I BĘDĄ JAK NOWI. ALE TRZEBA PRZYJACIELA DĘBA RATOWAĆ, BO PŁONIE!

Machnął wielką dłońią i wszyscy mężczyźni zerwali się z kolan. Jeden wyciągnął telefon i wzywał straż pożarną, trzech zerwało bluzy i próbowało zdusić płomień pełgające po korze, a pozostali rozbiegli się w poszukiwaniu wody.

Łucja dopiero teraz otrząsnęła się ze zdumienia. Chwyliła Majkę za ramię i syknęła jej do ucha:

– Wiedziałaś, że to się stanie! Ten głupek nie miał być ofiarą; był po to, żeby zwabić koleżków.

– Oczywiście, przecież to drzewo nawet nie stoi w lesie! Ryzyko, że tatko się obrazi i pójdzie dalej spać, było za duże. Ale nowemu stadu, które potrzebuje opieki... temu nie potrafiły się oprzeć. Teraz jest szczęśliwy, ciebie też polubił, ogólnie pięknie nam to wyszło, co nie?

Łucja uświadomiła sobie, że zamordowanie Majki gołymi rękami mogłoby trwale zniechęcić do niej borowego.

– Porozmawiamy jutro.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do domu.

\* \* \*

Gdy wychodziła spod prysznic, zaczynało już świtać. Zasłoniła okno, zrzuciła ręcznik, znalazła przód wytartego T-shirta, który służył jej za piżamę, i przełożyła go przez głowę.

– Czemu sobie poszłaś? Nic jeszcze nie obgadaliśmy przecież.

Chwilowo oślepią czarną bawełną Łucja rąbnęła kolanem o ramę łóżka. Posykurając, wyplątała się i przez lzy zobaczyła Majkę, swobodnie rozciągniętą na łóżku. Rusałka beczelnie się uśmiechała, jeszcze z jakąś nutą, cholera jej mać, troski na twarzy.

– Założyłam, że nie jestem wam już potrzebna. Co ty tutaj robisz? – spytała chłodno Łucja.

– Dziwne pytanie. Przecież teraz to tutaj sypiam, co nie? – Rusałka przekrzywiła głowę jak zaskoczony szczeniak. – Czekał, jesteś na mnie zła? Dlaczego jesteś na mnie zła?

Łucję zatkało z oburzenia. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale musiała się chwilę zastanowić, żeby nie wyszło żałośnie sentymentalnie.

– Myślałam, że jesteśmy wobec siebie uczciwi i współpracujemy. Jestem wściekła, że dałam się oszukać. Co do ciebie, to zwyczajnie nie wiem, czego ode mnie jeszcze chcesz.

Wyraz niezrozumienia na twarzy Majki tylko się pogłębił.

– Oszukałam cię jakoś? Chciałaś borowego do pomocy, no i masz. Proszę bardzo, nie ma za co.

– Tylko zapomniałaś wspomnieć, że to ludzie go zamknęli w drzewie, zapewne z jakiegoś powodu. Ani że pozwolisz mu zniewolić umysły jakichś gości, co doskonale wiesz, że jest zabronione. A tak z czystej ciekawości, to celowo dałaś się złapać, bo wiedziałaś, że moja krew będzie ci potrzebna, czy zorientowałaś się później?

Majka pomyślała chwilę, podniosła się z łóżka, zarzuciła Łucji ramiona na szyję i pocałowała ją w nos.

- Gdybym chciała tylko użyć twojej krwi, to bym ci zwyczajnie podcięła gardło, a nie pozwoliła się arestować. Albo wrzuciłabym ci coś na zmiękczenie do piwa i omamiłabym, żebyś ze mną poszła. Ale, po pierwsze, ja nie z takich. Po drugie, po mojemu wszystkim będzie lepiej, jak będziemy sobie pomagać. A po trzecie, to naprawdę cię lubię, tak?

W sumie trafiła w najboleśniejszy punkt, ale jako agentka Łucja nadal czuła się w obowiązku zaprotestować. Majka jakby to wyczuła, bo położyła jej palec na ustach i kontynuowała:

- Trzysta lat temu wybili tatkowi wszystkie wilki, a magnacka swołocz wycinała mu lasy na handel i jakieś zakichane sosny wszędzie sadziła. W swoim żalu dał się omamić i zapieczętować wiedźmie na pańskich usługach. Nie była to kara za żadne zbrodnie ani nic, po prostu im zawadzał. To raz. Dwa, chłopczki na tatkowej opiece tylko skorzystają. Uwolni ich od tych paskudztw, co je ciągle brali, uspokoi trochę i potem będą mieli wolny wybór, obiecuję. Ale myślę, że przy nim zostaną. Wilki zawsze zostawały. A gdybym ci o wszystkim powiedziała, musiałabyś to przemyśleć, sprawdzać, pewnie odsyłać do przełożonych. Zanim byśmy zadziały, coś by cię pewnie zeżarło. Dla twojego dobra postawiłam cię przed faktem dokonanym. Brzmi znajomo?

Łucję zatkało. Dłuższą chwilę szukała w głowie sensownej odpowiedzi. W końcu ciężko westchnęła.

- Nienawidzę cię. - Wbrew sobie uśmiechnęła się półgębkiem.

Majka trąciła ją nosem i ruszyła w stronę łazienki, po drodze zrzucając sukienkę.

- Śmierdę dymem. Jak skończysz się fochać, chodź umyć mi plecy.

Łucja jeszcze chwilę stała bezradnie, wzruszyła ramionami i ściągnęła z powrotem koszulkę. Skoro i tak miała przechłapanę, równie dobrze mogła miło spędzić poranek.





## KALINA SUCHARSKA



Z wykształcenia psycholożka, z zawodu psychoterapeutka. Warszawianka z zamiłowaniem do wyganiania rodziny z miasta i włączenia się z nimi po Mazowszu. Fantastykę uwielbia jako drogę do światów barwniejszych i mniej pogmatwanych niż rzeczywistość. Po latach słuchania zawodowo historii innych postanowiła, dla równowagi, poopowiadać własne. Debiutowała w 2022 roku opowiadaniem „Wiedźma z lasu wyjdzie...” w antologii „Tu był las”.

**Zeter Zelke - Nic nowego pod słońcem**



ZETER ZELKE

# NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM

- XIII -

Promienie wschodzącego słońca przesuwają się wzdłuż ostrokołu odgradzającego warowny gród nad Wartką od podgrodzia. Kłęby mgły meandrowały między źdźbłami traw uginającymi się pod ciężarem porannej rosy. Cisza spływała po fundamentach lepiank. Drewniane chaty pokryte strzechą zaczynały wypełniać się dźwiękami w odpowiedzi na zwierzęce odgłosy dobiegające z zagród i obór.

Senny Warog niechętnie wstawał na przywitanie dnia. Wyjątek stanowili stróżujący w nim woje – ci nie zmrużyli oka. Ich niesione wiatrem słowa, pochrząkiwania oraz próby dodania sobie otuchy przyśpiewkami obiegały warownię przez całą noc. Uzbrojeni w kolcze tuniki i miecze przechadzali się po chodnikach przy palisadzie. Baczyli na trakt, pola, pastwiska, na żwawy nurt Wartkiej i na odległą linię lasu, od którego gród wziął nazwę. Patrzyli podejrzliwie, poruszali się nerwowo; w poszarzałych ze zmęczenia twarzach błyszczały czujne oczy przygasające momentami na wspomnienie o niezaspokojonej potrzebie snu.

Do grodu wiodła samotna brama, obecnie zawarta na głucho. Wisiała nad nią sosnowa budka z trójkątnym zadaszeniem. Przyczajony wewnątrz łucznik obserwował wstążkę drogi. Zaciskał co rusz palce na majdanie łuku. Okolica była jednak niezmiennie spokojna, trakt niezmiennie pusty.

Wtem przy wieżyczce rozbyczczała się przestrzeń. Łucznik drgnął, napiął mięśnie, wstrzymał oddech. Do budki wpadły trzy skrzydlate, ogoniaste kłębki ciemności. Trzy bobaki zawirowały wokół skurczonego mężczyzny. Otaczający je płaszcz nocy przerzedził się, ukazując karykaturalne, rachityczne ciała zwieńczone ogonem z jednej strony, z drugiej zaś nieproporcjonalnie dużymi głowami, które kiwały się na cienkich szyjach niczym dorodne makówki. Ruchom skrzydeł stworków towarzyszyło irytujące brzęczenie przywodzące na myśl oszałały rój os. Nie dość, że paskudne, przy bliższym poznaniu bobaki okazywały się nader złośliwe. Niewybrednym dowcipem podnosiły ciśnienie najświętszym mężom. Plotki pokonywały kraj z szybkością błyskawicy, niesione na rączym rumaku ich gadatliwości. Poza wątpliwej jakości zbiorem cnót własnych nie stanowiły większego zagrożenia, toteż łucznik się rozluźnił i strzepnął niewidzialny paproch dłonią, którą odruchowo wyciągnął do kołczanu.

– Gnębi cię coś, Pysko – pisnął jeden z bobaków. – Chcesz nam się w rękaw wypląkać? – Wyekspozował ramię nie większe od małego palca u ręki łuczniczki.

– Wynoście się stąd, szkodniki, albo czarownicę zawołam! – Pysko poruszył szczęką i splunął z wysokości na drogę.

Bobaki rozciągnęły w uśmiechu cienkie usteczka. Ten ukryty za głową łuczniczki zbliżył pękaty łupek do jego ucha, by szepnąć:

– Ejże, kogo okpić usiłujesz? Każdy, kto nie w ciemnię bity, z Warogu w las uciekł.

– Czego pilnujesz, jeśli nie pustych chałup i krowiego łajna? – kpił kolejny. – Nocą siłą ludzi zwiła przed głupotą kniazia. Książątka prędzej portki w szwach na dupsku puszcza, niż ich dogna. O ile w ogóle się spostrzeże.

Stwory zaniósł się szczekliwym rechotem.

– Poszły czorty; nic nie wiecie! – Pysko skoncentrował uwagę na trakcie, zamierzając potraktować natrętów jak powietrze.

– Ludzie z Warogu dezercerują, w twarz Sklawowi pluja, a ty udajesz, że się jeno chmura oberwała? – Bobak zawisł przed oczami Pryska, domagając się niepodzielnej uwagi; dźgnął go palcem w nos. – Liczysz, że sprawy same się uładzą? Nic już się nie wróci. Nie wróci Milo ani Rosan. Nawet Kociocza. Starszyzna rozpada się niby spróchniały pieniek. Kniaziowa drużyna w rozsypce. I ty, Prysko, winienes kopnąć się za nimi. Dobrze z łuku szyjesz, zbiegom się nadasz.

– Tyś nie taki kiep, na jakiego patrzysz – namawiał bobak za uchem. – Ale kniaź zdurniał wam do szczętu. Zachłanny, skąpy, okrutny, mściwy i gniewny, jakby mu sam Czarnobóg palec w tyłek wsadził.

Pryska machnął ramieniem, próbując odpędzić złośliwców, a w szczególności towarzyszące im, uporzycwe brzęczenie owadów. Ci rozpierzchli się zwinnie, by zawisnąć przed nim zwartą gromadą.

– Dajcież wy mnie pokój! – jęknął. – Niech was Pogwizd weźmie, zejdźcie mi z widoku!

– Pójdziem – bobak kiwnął dużą głową – bacz jeno, co ci rzekniem: Warog długo nie postoi. Struktorzy w ruch plan wprawili. Z zachodu Nowe Słońce ku nam ciągnie. Sklaw rad je przyjąć i pchnąć w głąb kraju, co by wszystkich nas spopieliło. Sprasza tu siły, których nie pojmuje; bierze udział w grze, której zasad nie zna, która nasz świat w pył rozbije, a z nim tych, co się przeciwstawić ośmiela. Nadciąga tu burza, co krainę na wschód Nowego Słońca przygotowuje. Komu życie miłe za Milo i Rosanem niby w dym wali. Zanim kniaź zauważy, że ludzi mu ubyło, zanim pogoń zorganizuje, zdążysz skryć się w lesie. – Bobak zatarł ręce, poruszając zachęcająco łysymi brwiami. – Nikt cię nie zoczy, dajemy słowo. Nie pozwolimy ci się zgubić.

– Plwam na was! – ryknął Pryska, lecz szybko się zmytygował. Rozejrzał się, a kiedy stwierdził, że nie przykuł niczyjej uwagi, dodał zduszonym głosem: – Milo z Rosanem zdradzili! Osadę podzielili i część wywiedli na zatracenie. A jak was tutaj słucham i oglądam, dostrzegam, że diabelskich sztuczek się imali, by stwory nieczyste na swą stronę przekabacić.

– Myśmy stwory jak i ty! – obruszył się jeden z bobaków. Pociągnął nosem. – I zdaje się, że czystsze od ciebie!

– Nie praw nam tu o ablucjach, kpiarzu – sarknął drugi. – Pomartw się o własną dołę, bo gdy pan na Warogu poselstwo przyjmie, moc zmian nadejdzie i świat na głowie stanie.

Bobaki zatańczyły wokół łuczніка, zachichotały, po czym wypadły z wieżyczki, kierując się ku odległym drzewom Warogu. Pryska zgrzytnął zębami, odprowadzając wzrokiem trzy burzowe chmurki. Zmeł w ustach przekleństwo.

\* \* \*

Na wschód od Warogu leżało Grochno. Nie podlegało ono władzy księżęcej. Kniaziowie przeważnie krzywo patrzyli na podobne wykwyty u swoich granic, ale w tym przypadku uczynili wyjątek. Grodek był neutralny, w zasadzie bezbronny, na domiar tego dość przydatny. Utrzymywał go zbór woichwów: nieprzyjaciół wojny, miłośników natury, kapłanów, magów i uzdrowicieli. Wzniesli tam świątynię Świętowita, prowadzili szkółkę zielarską oraz schronisko dla podróżnych.

Założyciele Grochna szmat życia spędzali na szlaku. Przemierzali kraj tam i sam, niejedno widzieli, niejedno słyszeli, toteż pierwsi zauważyli złowróźbne znaki. *Na południu i zachodzie coś nowego się rodzi – mówili. Ekspansywna siła pochłania wciąż więcej przestrzeni, gromadzi wciąż więcej sił i wiąże wciąż więcej umysłów. Upraszcza skomplikowane, ujednocila różnorodne, zmienia barwne w czarno-białe. Zwą ją Nowym Słońcem.* Z takim przesłaniem wołchwowie wędrowali od osady do osady, by zaskarbić sobie opinię dziwaków. Szanowano ich niemniej za umiejętności i serdeczne usposobienie; wzywano, gdy chorowała trzoda, gdy ziemia nie dawała plonów, gdy marniały zwierzęta, wreszcie – gdy marnieli ludzie. Przez dwadzieścia lat mieszkańcy kraju z pobłażaniem wspominali nawiedzoną gadaninę wołchwów. Dopiero od niedawna nawiedzona gadanina zaczęła przeobrażać się w coś dorzecznego. Niepokój wkrótce zapukał i do bram Warogu. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Przed kilkunastoma laty, za panowania Zmysława, waroska społeczność przeżywała rozkwit. Nic nie wskazywało na to, że niebawem jej wypielęgnowana struktura rozpadnie się niczym wotum ze źle wypalanej gliny. Przez ostatnie pięciolecie dojrzewała atmosfera, która pozwoliła bez mała pięćdziesięciu Warożanom różnej profesji i majątności uciec z grodu pod osłoną nocy. Wszystkiemu winne ziszczające się przepowiednie wołchwów. Każdego roku przybywało rozproszonych słowiańskich i germańskich gromad podążających z zachodu na wschód. Razem z nimi wędrowały mrozące krew w żyłach opowieści o tajemniczej chorobie ogarniającej zachodnie plemiona. Mówiono o powabnych demonach z nieba atakujących ludzkie umysły i serca. *Brat pod byle pozorem zwracał się przeciw bratu – głosili.* Ludy zapominały ojczystych języków, obyczajów i tradycji, popadając w uzależnienie od obcych rytuałów. Promienie Nowego Słońca, ostre niczym igły, odbierały wzrok najmędrszym. Niektórzy studzili rozgorączkowaną wyobraźnię: *Nie tyle o zaraźliwy obłęd chodzi – tłumaczyli – ile o rodzaj nowego ładu.* W jakikolwiek sposób nie interpretowano by wieści, żaden nie łagodził narastających lęków. Zbyt wielu nieszczęśników straciło dorobek życia po bezpośredniej konfrontacji z wysłannikami Nowego Słońca. Ilu zginęło, usiłując się przeciwstawić – nie wiadomo. Tak czy owak, wielka migracja sama w sobie dawała wyraz powadze sytuacji.

Tabuny wędrowców nie ominęły też Warogu. Grodzianie nasłuchali się na poły zmyślonych, na poły prawdziwych historii o naturze nadciągających przeobrażeń. Jedni machali na nie ręką. Drudzy tłumili bezradność, zamykając się w bańce bezpiecznej, codziennej rutyny. Inni słuchali z uwagą. Między nimi Rosan: wiking osierocony podczas potyczki lokalnych rozbójników z najemnikami z północy, uratowany oraz przygarnięty przez zamożną rodzinę drużynnika z warowni nad Wartką. Wyrósł na stratega i szybko stał się zaufanym doradcą Zmysława. Po śmierci Zmysława starszyzna grodowa nadała Rosanowi honorowe członkostwo w Radzie. Nawet pilniej nowin słuchał Milo: młody kowal osiadły na podgrodzium wraz z wybranką serca, garnarczką Krasią.

Zniecierpliwienie bezczynnością następcy Zmysława urosło najszybciej między tą trójką. Im wyraźniej rysował się kryzys, tym częściej Milo z Krasią naciskali na Rosana, by poprzez starszyznę wymógł na Sklawie postanowienia. Sęk w tym, że Sklaw w niczym nie przypominał ojca. Pazerny, nadużywał władzy i w błyskawicznym tempie zrażał do siebie

ludzi – tym gorzej, bo zupełnie nie radził sobie z zarządzaniem. Obronność grodu zrzucił na barki Rosana, w zasadzie nie pozostawiając staremu wikingowi wyboru. Miarka się przebrała, gdy – przyciśnięty do muru – Sklaw wszem wobec oświadczył, iż nie zamierza walczyć z nieuchronnym i nie poleca tego nikomu pod groźbą ciężkich kar. Dla osadników, którzy nie chcieli na własnych skórkach przekonywać się o jakości nowego porządku, jedyny ratunek leżał w ucieczce.

Sklaw nie grzeszył bystrością, zatem ci zdeterminowani szybko się odnaleźli. Na przeszkodzie do przekonania nieprzekonanych stała czarownica Mirwa: wyniosła, sprytna oraz bardzo źle usposobiona. Młoda i urodziwa, zaskarbiła sobie względy księcia. Była również obeznana w magicznej sztuce, czego kniaź nie potrafił docenić ani wykorzystać. Pomimo młodego wieku weszła w skład Rady Grodowej. Stamtąd miała szczególne baczenie na Rosana. Otwartość, z jaką zaglądała mu w oczy za każdym razem, gdy na naradach wpływał temat Nowego Słońca, świadczyła o tym, że domyślała się ich zamiarów, o ile już ich nie przejrzała. Niemniej, jak dotąd, nie zaalarmowała Sklawy, czym przydawała siwych włosów wszystkim wtajemniczonym w plan wielkiej ucieczki.

W sąsiedztwie żyła jeszcze jedna osoba parająca się magiczną sztuką: staruszka Kociocza. Mieszkała w odosobnionej chałupce nad rzeką Wartką. Poza dzikim ptactwem i leśnymi stworami raczej nikt się tam nie zapuszczał, o ile nie potrzebował mięty, której rześki, silny zapach wieczorami szczególnie intensywnie rozchodził się wzdłuż brzegu. Humorzysta znachorka ceniła prywatność, niemniej nie odmawiała prośbom prostych ludzi. Stąd widywano ją przy podgrodzium, gdzie służyła wróżbą, poradą i ziołami. Dała grodzianom wiele powodów, by myśleli o niej z sympatią. Z wdzięczności, a niekiedy i ze strachu, nauczyli się także tolerować jej nietypowych towarzyszy, bez których babuleńka nie ruszała się na krok. Skierka, śnieżnobiała kotka rysia o przenikliwych rubinowych oczach, zachowywała się między ludźmi właściwie, chociaż jej spojrzenie przyprawiało o dreszcze. Więcej obaw, wprawdzie innego rodzaju, rodził drugi kompan znachorki: złośliwy skrzat imieniem Cmyk.

Na krótko przed wielką ucieczką do waroskiego podgrodzia zajechali wędrowni kupcy. Kociocza wraz z nieodłączną świtą pojawiła się zatem na targu. Tego dnia snuł się po nim również Rosan, któremu niezrozumiałe zachowanie Mirwy spędzało sen z powiek. Sędziwy strateg, błędząc gdzieś myślami, nieomal rozdeptał Cmyka przy straganie z przyprawami. Skrzat zwykł wlec się za Kocioczą, przywiązany cienkim postronkiem do przegubu jej ręki. Był brązowy, ubrany w upaprane, płócienne szmatki, chudy jak tyczka i uszaty. Mierzył mniej niż pół metra; łatwo wgnieść takiego w ziemię i nawet tego nie zauważyć. Kiedy więc Cmyk spostrzegł zasnuwający go cień i opadającą nań obutą stopę, pisnął, odskoczył i wdrapał się po odzieniu znachorki na jej barki. Kociocza odwróciła się do Rosana, głaszcząc uspokajająco skrzata palcem po głowie.

– Aleście zafrasowani, starszy – oceniła. – Takoście zafrasowani, że nie widzicie, po czym stąpacie.

Rosan uśmiechnął się przepaszająco. Zanim zdołał otworzyć usta, Kociocza dodała dyskretnie:

– Niech nie przeprasza. Kociocza wie, co się święci i co wam trosk przyprawia.

- Wiesz przeto, że dłużej zwlekać nam nie sposób.

- Dziewka od garnków wszystko mi rzekła. - Znachorka wydobyła ze skórzanej torby kawałek suszonego mięsa i rzuciła go pod łapy Skierki. - I ja wam rzekę, że dopełnia się miara. Od wielu dni słucham żalów rusałek i lasowików. Trwoga na nich padła, zdjął strach blade. Żywiołaki milkną; wracają, skąd przybyły.

- Co to znaczy?

- Świat się odmienia, starszy. Pod słońkiem nowym brak miejsca dla rusałek. Brak go dla lasowików i chowańców. Nie będzie Cmyków; nie będzie Kociocy. - Staruszka wbiła wzrok w czubki swych łapci.

- Dzielimy zatem obawy. Jenó kniazź wyduje się nieustraszony. Szkoda, że ta odwaga z bezmyślności raczej niż z męstwa wynika!

- Z kniazia taki mędrék jak z koziej dupy krupy! - zakrzyknął Cmyk i zarechotał.

Znachorka splunęła trzykrotnie przez ramię i wycedziła przez zęby:

- A bodajby go Perun trzasnął!

Cmyk wykręcił chudą szyję, spojrział wiedźmie prosto w ucho i szepnął na tyle wyraźnie, by i Rosan dosłyszał:

- Bo czarownicę se skądś wytrzasnął!

Po twarzy Kociocy przemknął cień. Złapała wikinga za ramię i z siłą, o jaką nigdy by jej nie posadzał, przyciągnęła go do siebie.

- Baccie, co wam rzeknę, starszy. Czarodziejka, co ją sobie kniazź przygruchał, wie, jakie myśli wam po głowach chodzą. Z duchami odmiany rozmawia. Struktorów wieczorami słucha. Splątane czary nad kniazziowym czerepem wyprawia. Za jej sprawą Sklaw tu wędrowników przyjmie, którzy stary porządek zniweczą.

- Dawno mi się zdawało, że nas przejrzała. Jak dotąd kryje nas przed kniazciem, nie wiedzieć czemu.

Kociocza wzruszyła ramionami.

- Pewno ma w tym jakiś zatarg. Wam zaś czym prędzej w drogę. - Po zastanowieniu się dodała: - A mnie razem z wami. - Wzdrygnęła się. - Nadchodzi tu coś, od czego włos mój szary na głowie dęba staje.

Skierka mruknęła potwierdzająco, przełknąwszy ostatni kęs suszonego mięsa.

\* \* \*

Trzy dni później, gdy bezksiężycowa noc rozpięła się nad krajem, czterdziestu siedmiu osadników wymknęło się z grodu. Grupka po grupce, ciągnęli ku ścianie drzew waroskiego lasu. Opracowanie planu zajęło Milo dwa miesiące. Wraz z Rosanem omówili każdy szczegół; przewidzieli i przygotowali się na tuzin scenariuszy. Kowal kazał odpowiednio wcześniej ukryć w lesie oporządzone wierzchowce, trochę prowiantu oraz dwa wozy pociągowe na użytek rodzin. Teraz przecierał szlak do punktu zbiórki wraz z pierwszymi ochotnikami. Kluczylu po ciemku, nie odważając się zapalić choćby pochodni. Zachmurzone niebo skąpiło księżycowego blasku. Absolutny mrok nie ułatwiał zadania, z drugiej strony,



co osłepiało zbiegów, skrywało ich zarazem przed wzrokiem straży. Kiedy ostatnia gromada przybyła na miejsce, rozpoczęła się uciezka.

Milo narzucił i konsekwentnie utrzymywał szybkie tempo. Nie urządził długich postojów. Podczas gdy jedni odpoczywali, ci, którzy nie opadli z sił, parli naprzód, aby zażyć wytchnienia nieco dalej. Tym samym wytworzyło się pokrzepiające przekonanie, że – jako grupa – byli w nieustannym ruchu i nie mitrężyli. Od Grochna dzielił ich niespełna dzień konnej drogi. O ile utrzymaliby nadane tempo, dotarliby tam pod wieczór.

Największe zmartwienie przedstawiała książęca pogoń. Kiedy Sklaw zorientuje się, że opuściło go pół grodu, niechybnie zwoła, co mu zostało z drużyny, po czym wyśle ją tropem zbiegów. Rosan ze zbrojną świtą regularnie przeczesywał tyły, lecz jak dotąd nie natknął się na ślad pościgu. Milo w głębi serca ufał, że beztraska i nieporadność Sklawy przemogą i książę – jeśli w ogóle kogoś przeciw nim zmobilizuje – dokona tego zbyt chaotycznie, zbyt późno. Rosan z kolei nie polegał tak chętnie na książęcej bezmyślności. Stary strateg nie wątpił, że nikt inny tylko Mirwa od dawna kierowała poczynaniami pana na Warogu. Nie tyle więc należało bać się podstępu ze strony Sklawy, ile zdradzieckich knozań chytrej czarownicy.

Późnym popołudniem postęp grupy zmalał. Rozpląkały się dzieci na wozach, bardziej ze zmęczenia niż głodu. Także konie pociągowe domagały się zmiłowania. Milo z Krasią jechali na przedzie, przy czołowym powozie, na którym podrostki usiłowały zapomnieć o smutkach, mierzwiąc i głaszcząc sierść Skierki. Cmyk przyglądał się temu z bezpiecznego stanowiska na ramieniu znachorki, stroił głupie miny i przedrzeźniał dzieciaki. Sama Kociocza rozmawiała cicho z Krasią, wyplatając wianki z mleczy. Milo jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie kobiet, drugim łowił jęki, narzekania oraz szloch młodszych członków wyprawy. Grochno bliżej niż dalej, nikt ich nie ścigał, pomyślał więc, że nie zawadzi zatrzymać się na dłużej. Wtedy dobiegł go przyspieszony tętent kopyt. Moment później zrównał się z nim Rosan.

– Jak tam tyły? – zapytał Milo.

– Ktoś nas dognał.

– Kto? – Kowal przełknął ślinę. Zimny pot spłynął mu po plecach, przylepiając do skóry drapiącą koszulinę.

– Łucznik Prysco. Gdy się zdecydował, w grodzie panowało jeszcze zamieszanie. Skorzystał z okazji i dał drapaką. Mówi, że książę, owszem, pogoń wysłał, ale późno i bezładną.

– Prysco... – Milo odetchnął. – Skoro Sklaw wyruszył przed nim, jakim sposobem łucznik go wyprzedził?

– Twierdzi, że driady i bobaki pomagały mu w drodze. Jego klacz ledwo się włókła, gdyśmy go wypatrzili.

Milo spojrział na Kocioczę, ta jednak ich ignorowała: wyplatała w najlepszym swym wianek i rozmawiała z Krasią.

– Grochno tuż – powiedział, odwracając wzrok od kobiet. – Zmierzcza, a my coraz więcej hałasujemy. Myślę, by dać wypocząć grupie. Pozbieramy trochę badyli na łuczywa, co by nocą w zupełnych ciemnościach się nie błakać. Rozpalmy wreszcie porządny ogień.

- Drzewa kończą się niedługo; za nimi ściele się łąka - rzekł Rosan. - Przystaniemy na granicy między nią a lasem.

Osadnicy z ulgą przyjęli zapowiedź odpoczynku, nawet chętnie przyspieszyli. Kiedy wyszli z lasu na otwartą przestrzeń, czerwone pęczniejące słońce chowało się za horyzont. Wieczorny wiatr przeczesywał wysokie kępy traw, wydierał z nich woń ziół i roznosił po łące. Świerszcze donośnie żegnały odchodzący dzień. Kraj szykował się do snu, tymczasem ludzie rozprostowywali kości, zbierali chrust, rozpalali ogniska i dzielili się prowiantem.

Milo zwerbował ochotników do szukania materiału na głównie i wrócił z nimi w pobliże lasu. Rozeszli się, każdy w swą stronę, trzymając się w zasięgu swoich głosów. Kiedy Milo nazbierał tyle drągów, że zaczynało brakować mu rąk, wysokie drzewa spowił gęstniejący cień. Odwrócił twarz ku łące, gdzie jasno płonęły punkciki ognisk, gdy pobliska wierzba spojrzała na niego dużymi oczami przestraszonego dziecka. Driada wystawiła z dziupli jasną główkę, spozierając gdzieś nad jego ramieniem. Jej szara skóra pobladła, a małe koralowe usteczka otworzyły się do krzyku.

- A kysz!

Kowal usłyszał tuż za uchem głos, na którego dźwięk zmartwił.

Driada wyskoczyła z dziupli jak oparzona, zamiotła przestrzeń długimi warkoczami i pobiegła ku ludziom zbierającym chrust kilkadziesiąt kroków dalej. Milo spoglądał za nią, lecz myślał o tym, kogo miał za plecami. Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała. Upuszczone gałęzie z klekotem rozsypały się na mchu. Milo nie słyszał obecności, ale wyraźnie ją wyczuwał. Odwrócił się powoli. Co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Za nim, nieznacznie blisko, stała Mirwa. W bladej, pociągłej twarzy czarownicy gorąca para żółtych oczu.

- Miiloo! - szepnęła, przeciągając sylaby.

Zanim zdążył wydusić z siebie choć słowo, zdławiła go, zaciskając mu długie palce na szyi. Kowal ścisnął szczupły i - wydawać by się mogło - delikatny nadgarstek, jednak uchwyt Mirwy okazał się nieprawdopodobnie mocny.

- Bezpieczna podróż dobiegła końca - powiedziała, przysuwając do jego twarzy swoją: odmienioną, piękną choć straszną. - Przynajmniej dla ciebie. Jeśli sądziłeś, że ten plan był twoim, wielceś się pomylił.

Mirwa zerknęła badawczo przed siebie.

Chociaż krew pulsowała mu w skroniach, chociaż walczył o złapanie oddechu, Milo słyszał gdzieś daleko poruszone głosy kompanów. Słyszał trzask towarzyszący pochyłającym się drzewom oraz rozmowom driad. Lada moment ktoś przyjdzie go szukać. Czarownica jednak nie wyglądała na zmartwioną. Zwróciła żółte spojrzenie z powrotem na niego i uśmiechnęła się niemal przyjaźnie.

- Ty i twoi zbiegowie odegracie ważką rolę w dziele Struktorów. Nieszczęsne Nowe Słońce wschodziło przez setki lat. - Sięgnęła wolną dłonią do małego futerału przy pasie i błysnęła przed kowalem srebrnym ostrzem sztyletu. - Teraz nic go nie powstrzyma. Nic, oprócz mroku nocy oraz chłodu cmentarzyska.

Skóra rozeszła się na grzbiecie dłoni mężczyzny - tej dłoni, którą wciąż kurczowo zaciskał na nadgarstku Mirwy. Czarownica schowała sztylet, nakryła rozcięcie ręką. Żółte

tęczówki rozblęły niby dwa słońca. W ranę wnikał śliski, przeszywający ziąb; ostateczny chłód – ten rodzaj zimna, który towarzyszył śmierci. Kowal zadygotał, zebrało mu się na wymioty, tracił przytomność. Do omdlewającej świadomości dotarły słowa wyraźne niczym dwa słońca gorejące w źrenicach czarownicy:

– Pod nowym słonkiem musi znaleźć się miejsce na stare. Rozjarzysz je w sercach i umysłach ludzi. Kiedy Struktorzy przyjdą do ciebie, będziesz chętny i gotowy. Teraz śpij. Gdy się obudzisz, staniesz się kimś innym.

Milo zachwiał się na nogach. Zimny uścisk na szyi zniknął. Nikt i nic już go nie podtrzymywało. Osunął się w ciemność.

\* \* \*

Towarzysze znaleźli go leżącego bez przytomności na stercie gałęzi. Był okazem zdrowia, toteż założyli, że zaatakował go drapieżnik. Jednak nie dostrzegali na jego ciele obrażeń większych nad zaognione nacięcie wzdłuż ręki. Ono zaś, choć niewielkie, bezustannie krwawiło. Kociocza zajęła się nim natychmiast, gdy przenieśli go do obozowiska. Kazała położyć kowala na wozie, przepędziła zaafierowane zbiegowisko, po czym wzięła się za opatrywanie puchnącego ramienia. Rosan uspokajał tłum; próbował pocieszać Krasię. Dziewczyna nie lamentowała długo, wycofała się, zamilkła, patrząc ponuro to na płomień ognisk, to na wóz, po którym przesuwały się roztańczone półcienie.

Ludzie mimo próśb i gróźb nie przestawali szemrać. Co niektórzy zwątpili w sens ucieczki z Warogu. Część planowała powrót. Inni żądali, by na nic nie zważać i natychmiast ruszać dalej. Rosan z coraz większym zniecierpliwieniem zerkał na Kocioczę. Znachorka badała nieprzytomnego w drżącym świetle pochodni, wsłuchiwała się w jego oddech, uciskała skaleczenie, wcierała mu w skórę wonne maści. Wreszcie wyprostowała się, odnalazła wikinga wzrokiem i przywołała do siebie.

– Krew się w młodym psuje – stwierdziła pośepnie. – Bardzo źle. Sprawka kniaziowej czarownicy. Raz jeno takie coś widziałam. Przeklęty, kto podobne klątwy rzuca. Dla chłopca nic się zrobić nie da.

Wtem do wozu przypadła Krasia. Oddychała szybko i płytko, powstrzymując napierającą rozpacz.

– Co mówicie, wiedząca?! – zawołała. – Przecież niejednego ze szponów śmierci wyrwałyście! – Jęknęła, jej głos się załamał, po pobladłych policzkach popłynęły gorące łzy. – Uratujcie go, błagam!

Rosan ze współczuciem objął ją ramieniem. Garncarka wtuliła się w niego i zaszlochała. Kociocza zwiesiła głowę na piersi. Ludzie odwrócili się w ich stronę, przestali szeptać. Łąka na moment pogrążyła się w zupełnej ciszy.

– Starszy... – przerwała milczenie Kociocza.

Strateg spojrział znachorce w oczy, w których odbijały się języki ognia.

– Jest coś, co mogłabym uczynić.

– Na cóż tedy czekacie? Odprawcie wasze gusła. Nie pozwólcie mu umrzeć!

– Nie o zwykłe gusła będzie tu staranie. – Głos Kocioczy stwardniał, źrenice zabłyły, jakby księżycowa noc i blask pochodni wlewały w nie płynny metal. – Struktorzy dali

czarownicy siłę, by w chłopaku krew zabiła. Wyłącznie Struktorzy potrafią w tę krew na powrót życie wtłoczyć.

– Rzecz o tych samych duchach, przez które z Warogu uciekamy?

– Tako.

– Dlaczego więc miałyby nam pomagać? – Zirytowany Rosan wskazał palcem rozgorączkowanego Milo. – Takie coś uczynić władne tylko czorty!

– Struktorzy ani źli są, ani dobrzy. – Znachorka prychnęła. – Niszczą i tworzą, zmieniają i przed zmianą bronią. Są Wędrowcami, co podróżują przez czasy i przestrzenie. Tym są, co umarło i co ciągle żyje. Nie nam ich chaotyczną naturę pojmować. Dla tego chłopca – pogłaskała kowala po policzku – to się liczy, że umieją krew naprawić.

– Zróbcie, wiedząca, co w waszej mocy. – Krasia pociągnęła nosem. – Niechaj mi Weles zbyt wcześniej Milo nie zabiera!

– Tutaj nic uczynić żem niewładna. – Kociocza przykryła kowala skórami. – Do Grochna nam w te pędy trzeba. U wołchwów odpowiedni przyrząd znajdziemy. – Sięgnęła do mieszka i wyciągnęła z niego dwie metalowe kuleczki połączone cienkim srebrzystym drutem. Zakręciła. Sfery uderzyły o siebie z cichym pyk-pyk!. – Chłopca mus złożyć w przybytku Świątowita. Tam na wezwanie przybędą Struktorzy.

\* \* \*

Znachorka nie potrzebowała powtarzać dwa razy. Została wraz z Krasią na wozie przy Milo, podczas gdy Rosan wydawał dyspozycje. Kazał zbiegom szykować się do drogi, powierzając opiekę nad nimi zaufanemu człowiekowi, sam zaś wybrał pięciu zbrojnych, polecając każdemu wziąć po płonącej głowni. Otoczyli wóz z Milo pierścieniem i podążyli czym prędzej ku Grochnu. Wysłany samotrzeć przed czoło Prysko miał zbadać ścieżkę i uprzedzić wołchwów.

Okolony wiankiem targanych przez wiatr płomieni, wóz przecinał ciemności niczym zjawą. Hałas pobudził ukryte w legowiskach zwierzęta, zdarł z łąki miraż spokoju. Zaciekawione drapieżniki zdradzały obecność, połykując w mroku świeczkami oczu. Sowy zrywały się do lotu, pohukując, inne korzystały z zamieszania i nurkowały w kępy traw, łowiąc spłoszone gryzonie. Po łące niósł się tętent końskich kopyt i gromki łomot desek. Ludzie milczeli, wpatrzeni w czerni, wsłuchani w szybkie uderzenia własnych serc. Sporadycznie jęczał rozciągnięty na wozie Milo, lecz trzaski i zgrzyt obracających się na osiach kół zagłuszały jego skargi.

Kiedy dotarli do Grochna, wołchwowie już czekali; kilku zgromadziło się przed bramą grodu rozjaśnionego ogniskami, woskowymi lampkami oraz pochodniami. Sędziwy mąż z długą szarą brodą wysunął się przed pozostałych. Rosan spał wierzchowca, zeskoczył z siodła i skłonił głowę przed kapłanem.

– Wasz przedni wszystko mi powiedział – odezwał się starzec suchym, zachrypniętym głosem. – Gdzie zachorzały?

Mężczyźni rozstąpili się, otwierając przejście do wozu. Wołchw z energią zbliżył się do legowiska, na którym Milo dygotał i szczełał zębami, oddając rozgwieżdżonej nocy siódme poty. Znachor omiół przelotnym spojrzeniem spuchniętą od płaczu twarz Krasieński. Na

widok Kociocy rozciągnął popękane usta w uśmiechu. Staruszka pochyliła czoło w dyskretnym geście pozdrowienia.

– Grochno stoi przed wami otworem. – Wołchw odwrócił się do Rosana. – Proście, o co chcecie. Nie pożałujemy niczego.

Kociocza kazała zatrzymać wóz przed sanktuarium kryjącym się pod rozłożystym dębem. Z konarów drzewa zwisały różnobarwne świetliki oraz ciężkie, drewniane klekotki stukoczące głucho przy silniejszym podmuchu wiatru. Sama świątynia Świętowita była sporą, okrągłą budowlą zbitą z drewnianych klocków pokrytych pobiałką. Nierówna powierzchnia ścian przez lata zdążyła się przybrudzić, niemniej uzdrowiciele zadbali o to, by soczyste barwy pokrywających ją ornamentów roślinnych oraz zwierzęcych pozostawały widoczne także w półmroku, gdzie lekko fosforyzowały. Przybytek wieńczyła masywna, stożkowata strzecha z niewielkim otworem na samym szczycie. Wejścia z obu stron strzegły kwitnące bzy.

Woje wnieśli leżącego na skórach kowala do świątyni. Za nimi do środka wśliznęły się kapłanki w jasnych szatach, niosąc moździerz z medykamentami oraz malowane garnki z wodą.

– Pewniście, że te czary na cokolwiek się zdadzą? – pytał Rosan, przyglądając się przygotowaniom.

– Ze Strukturami nic pewnego – odparła Kociocza. – Raz pomogą, raz nie, raz, nim pomogą, czegoś sobie zażyczą. – Ułożyła na dłoni ostre odłamki żelaza, napłuła na nie i zacisnęła pięść. – Nie sposób ich przewidzieć. Nie sposób zrozumieć. Nie warto łepetyny o nich łamać.

– Czym właściwie są te duchy?

Kociocza wciągnęła nosem chłodne powietrze.

– Krąży po świecie kapryśna siła, co zasady łamie – podjęła, pocierając obie dłonie z uwięzionymi pomiędzy nimi kawałkami żelaza. Pojawiła się pierwsza strużka krwi; parę ciemnych kropeł spadło na trawę. – Nie pozwala umrzeć martwym, żywym narodzić się nie daje. Strukturzy ludźmi są, których moc kapryśna tknęła. Urodzili się martwymi, lecz w ich żyłach płynie krew żywa. Martwymi będąc, umrzeć nie potrafią, krew żywych mając, świadomość posiadają. – Kociocza westchnęła współczująco. – Ich istnienie wbrew istnieniu rozum im odbiera. Wiedzą więcej, niż są w stanie pojąć. Władają potęgą, jaką nikt nie powinien władać. Co było, co jest, co będzie, nie stanowi dla nich tajemnicy. Zmieniają, co niezmiennie. Konającą krew wyleczą.

Znachorka odrzuciła odłamki. Okrutnie poharatane dłonie obficie krwawiły. Ujęła w jedną grzechotkę, w drugą dwie kulki na srebrzystym drucie, po czym weszła do sanktuarium.

Powietrze wewnątrz niemal stało, duszne od aromatu kadzideł, ciepłe od ognia płonących w czarach porozstawianych pod ścianami. W centralnej części przybytku piętrzył się smukły posąg Świętowita: drewniany, ze szczegółowo wymodelowanymi czterema twarzami zwróconymi w cztery strony świata. Pod figurą leżały misy z wodą oraz zbożem, wianki z polnych kwiatów, idole pomniejszych bogów i boginek – wszystko przesiąknięte

wonnościami. Dymki z ognisk wyciągały się w kierunku posągu niczym długie, sine palce, by opleść się wokół niego i umknąć przez lukę w strzesze.

Przy jednym z ognisk leżał Milo. Krasia zraszała mu czoło, a kapłanki bezskutecznie próbowały poić wywarem. Oprócz nich w sanktuarium znajdowali się tylko: Rosan, Kociocza oraz jej nieodłączna świta. Znachorka odłożyła grzechotkę, odłożyła kulki, wbiła w ziemię patyk z drewnianym wiatraczkiem, wyjęła ze skórzanej torby sześcian o soczystym, zielonkawym połysku i ścisnęła go w zakrwawionych dłoniach. Zachrzęściło. Kostka rozłożyła się w figurę przypominającą krzyż z ośmiu mniejszych sześcianów. Kociocza położyła tesseract przy wiatraku i podniosła wcześniej odstawione przedmioty.

– Winnam wam przestroge, starszy – rzekła. – Struktorzy rzadko piękni bywają. Dziwnie się zachowują, mówią dziwnie. Nie dajcie im się przerazić.

Wiking prychnął.

– Cokolwiek się zdarzy, nie wyjdę stąd bez Milo.

Znachorka wzięła głęboki wdech, potrząsnęła grzechotką, zakręciła kulkami. Żelazne sfery na srebrzystym drucie stuknęły o siebie nierównomiernie: pyk-pyk, pyk-pyk-pyk; tymczasem grzechotka miękko szumiała, wyrównując rytm rozwijającej się muzyki. Kociocza przymknęła powieki, mruzczała pod nosem, kołysała się na boki. Drzwi do przybytku wprawdzie zamknięto, niemniej przez wnętrze przegalopował przeciąg; wiatraczek na patyku zatańczył, klekocząc ramionami. Po tesseractacie prześlizgnął się jasnozielony, metaliczny refleks. Kolejny podmuch targnął płomieniami ognisk. Światło przygasło. Grzechotka i zabawka z kulek pracowały szybciej. Sześcienny krzyżyk zadrżał, podskoczył i zawisł w powietrzu. Jego dolna i górna partia jęły się obracać w przeciwnych kierunkach – prędeż i prędeż. Ognie syknęły, pogasły. W ciemności rozlegał się raptem szelest grzechotki, stukanie kulek, klekot wiatraka oraz elektryczny jazgot wirujących sześcianów. Po posągu Świętowita przesuwwały się żyłki światła, rażąc oczy bielą. Z ubitej ziemi podniosły się kłęby mgły. Dym zasnuwał Świętowita, podczas gdy Świętowit ożywał. Cztery twarze boga płodności, wojny, dostatku i nieba skurczyły się w bolesnym grymasie. Drewno wyrzuszyło się, nabierało kolorów. Zanim Rosan zdążył zauważyć szczegóły, słup zupełnie zniknął za kotarą gęstego dymu.

Kociocza opuściła grzechotkę i kulki. Wnętrze świątyni migotało w ostrych rozbłyskach światła, tonęło w oparach olśniewającej mgły, jakby pod sklepieniem rozpętała się dziwna, bo bezdźwięczna, bezwietrzna, bezdeszczowa burza. Burza z piorunami. Po chwili jednak dym zaczął opadać, przerzedził się i zajął ogniem rubinowej poświaty. Rosan wreszcie mógł rozróżnić sylwetki, a to, co zobaczył, wprawilo go w osłupienie.

Struktorzy wyglądali ludzko i nieludzko zarazem. Nosili na sobie rzeczy, jakich nie potrafił nazwać, wykonane z materiałów, których nie rozpoznawał. Tkwiło w nich coś obcego i coś znajomego. Jakby byli stąd i nie stąd. Wzbudzali ciekawość i odrazę. Oczy starego wikinga widziały wiele, lecz nigdy wcześniej nie widziały czegoś podobnego. Rad byłby odwrócić od przybyszów wzrok... gdyby tylko umiał.

Pierwszy z karmazynowej mgły wyszedł mężczyzna w wysokich, rybackich kaloszach i sztywnym żółtym płaszczu do kolan. Szczerzył zęby w uśmiechu, który zdawał się nie opuszczać jego smukłej twarzy. Osłepiały go nadto dwa ostro zatemperowane ołówki

sterczące niczym groteskowe włócznie z oczodołów. Obok niego stanęła platynowowłosa kobieta w białej plastikowej sukni sięgającej samej ziemi. Suknia opinała ciało ciasno, trzeszcząc przy najmniejszym ruchu; zasłaniała każdy jego skrawek od szyi w dół. Wzdłuż oczu Struktorki ciągnęły się rurki, po których w tę i z powrotem przemykały różnokolorowe światełka, nadając tęczęwkom co rusz innej barwy. Kobieta trzymała w ręce smycz, której drugi koniec znajdował się przy kolczastej obroży, zamkniętej wokół szyi trzeciego Struktora. Ten był nagi od pasa w górę, wyjąwszy krzyżujące się na torsie szelki podtrzymujące skórzane spodnie, obciążone podzwaniającymi łańcuchami. Oczy ukrywał za goglami, w ustach przygryzał knebel z małą, świecącą kulką. W jej wnętrzu coś się poruszało, zapewne coś żywego – chochlik, duszek albo gryzoń. Ostatnia z mgły wyłoniła się blada, kruczowłosa kobieta w skromnym czarnym kombinezonie. Kiedy wiking spojrzął na jej lico, po plecach przeszły mu ciarki. Nieruchoma twarz, przyklejona twarz, twarz-maską zastężyła w makabrycznym wyrazie. Wywrócone do góry źrenicami oczy ani razu nie mrugnęły, choć nie pozbawiono ich powiek. Usta zostały szeroko otwarte żelaznym rozwieraczem, którego widelcowate fragmenty opinały blade policzki. O tym, że kobieta nie stanowiła zaledwie niezwykle rzeczywistej kukły, świadczyły nieznaczne obroty głowy.

– Kto wzywał?! – zakrzyknęła platynowowłosa.

Struktur z ołówkami zachichotał. Dłoń w plastikowej rękawiczce chlasnęła go w twarz, przywołując do porządku. Mężczyzna zachłysnął się i spowaźniał, choć nic nie potrafiło na dobre zetrzeć uśmiešku z tego oblicza. Kobieta w bieli szarpnęła smyczą, podeszła do Kociocy, pochyliła się nad staruszką i błysnąwszy perłowym uśmiechem, zajrzała jej w oczy. Niemal stykały się nosami. Przybysz z goglami tymczasem wymieniał spojrzenia ze Skierką. Kotka odsunęła się na bezpieczniejszą odległość, zjeżywszy sierść.

Struktorka wyciągnęła palec i wymachując nim przed znaczorką, zażądała:

– Mów, po co wezwałaś Strukturów: destruktorów, instruktorów, re-i-konstruktorów.

– Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, czyż wtedy nie wiadomo, o co chodzi? – zapiał radośnie ten z ołówkami, po czym skwapliwie palnął się otwartą dłonią w policzek.

Mężczyzna z kneblem odwrócił się do niego i warknął gardłowo. Struktur w płaszczu uśmiechnął się szerzej. Kobieta w bieli pociągnęła nosem.

– Ktoś tu kona – zauważyła.

Brunetka z rozwartymi ustami obróciła lekko głowę, co można było zinterpretować jako wyraz zainteresowania.

– Z młodego życie uchodzi – odezwała się Kociocza. Zmarszczyła groźnie brwi, a jej źrenice przez mgnienie zapłonęły jak dwa słońca. – Wiedźma z waszą pomocą krew w nim zniszczyła. Wyście to zrobili, wy to odkręcicie!

Kobieta z kolorowymi przewodami wzdłuż oczu uniosła platynową brew.

– Bez strachu. – Ślepy Struktur sięgnął do głębokiej kieszeni płaszcza i zakręcił wydobyłym z niej młynkiem. – Załatwimy rachuciachu!

– Nie tak prędko. – Platynowa pstryknęła palcami. – Dajcie go tu!

Jakaś siła szarpnęła skórą z Milo i przytaszczyła je w pobliże Strukturów. Wszyscy oprócz nieruchomej czarnowłosej pochylili się nad kowalem i obejrzeni go sobie z wielką

atencją. Pierwszy wyprostował się ten w płaszczu. Przygryzł zaciśniętą pięść, wycelował w Kocioczę ołówki, po czym zawołał z teatralnym uniesieniem:

– Straszne! – Odwrócił się do czarnowłosej towarzyszki: – Nie wolno tego tak zostawić. Prawda?

Koleżanka nie odpowiedziała.

– Umieemy go naprawić – stwierdziła platynowowłosa. – Krew da się zrekonstruować. Ale! – Podniosła palec. – Za tego chcemy tamtego.

Dla odmiany teraz Kociocza uniosła pytająco brew. Rosan poruszył się nerwowo. Struktor na smyczy odwrócił głowę w kierunku drzwi i pociągnął nosem niby węszący zwierz.

– Nic nie podejrzewają – pisnął wesolek z ołówkami, wyszczerzył zęby i trysnął zza nich śliną. Spieniona strużka pociekła mu po brodzie.

– Czai się w pobliżu – stwierdziła kobieta w bieli. – Nie jest lojalny. Nie, nie. Weźmiemy z niego krew i przelejemy w tego. – Dygnęła zgrabnie, prezentując dłońmi Milo. – Później.

Wypuściła smycz. Pólnagi Struktor rzucił się na czterech ku drzwiom, brzęcząc łańcuchami. Otworzył przejście, sięgnął w mrok, by wciągnąć do środka oniemiałego ze strachu Pryska. Łucznik szamotał się w silnym uścisku, podczas gdy mężczyzna bez wysiłku dowłókł go pod posąg Świętowita, postawił Prysce ciężki buciór na plecach i przycisnął ręką jego twarz do ziemi.

– Ludzie, ludzie, świat się zmienia! – zawołał wiecznie uśmiechnięty Struktor. – Chce się szukać wam schronienia?

Pytanie było skierowane do Rosana. Strateg ostrożnie przytaknął.

– Dobrze się składa. – Kobieta w bieli pochyliła się nad Milo i ścisnąwszy palcami jego żuchwę, otworzyła mu usta. – Damy wam coś, dzięki czemu zachowacie swoją magię i nie zapomnicie. Przyobleczemy ciało w mit, mitowi skonstruujemy ciało.

Odstąpiła, robiąc miejsce czarnowłosej.

– Oto wschodzi Nowy Księżyc – oznajmił mężczyzna w rybackim płaszczu, wyjął sobie ołówek z oka i bezceremonialnie wbił go kruczowłosej w potylicę.

Kobieta nawet nie mrugnęła. Pochyliła tylko głowę, a z jej rozwartych ust wypłynęła gęsta, ciemnozielista krew, przelewając się w usta nieprzytomnego Milo.

– Jesteśmy Struktorami – przypomniała platynowowłosa. – Co oznacza, że jesteśmy Instruktorami. A to zaś znaczy, że musimy instruować. A to znaczy...

– Wynocha!!! – rozdarł się ślepy Struktor uradowany niczym dziecko.

Ściany przybytku zadrżały, jakby zatrzęsała się ziemia. Ludzie zerwali się do ucieczki. Posąg Świętowita wibrował, zgrzytał, wyrzucał z siebie rozszczerzone nitki porażającego światła. Powietrze trzeszczało od elektryczności. Rosan wybiegł ze świątyni ostatni, ciągnąc za sobą opierającą się Krasie. Drzwi zatrzęsły się za nimi z łoskotem.

Przez dziurę w gonicie i szpary w ścianach przedzierało się migotliwe światło. Świątynia buczała i jęczała niby żywe stworzenie próbujące wydać na świat potomstwo. W pewnym momencie okolica wrzasnęła przerażonym, rozdzierającym głosem łuczniaka Pryska. Krzyki nie trwał długo. Gdy przebrzmiał, światło rozsadzające przybytek zgasło. Powróciła cisza.



Drzwi świątyni się otworzyły. W progu stał Milo – śmiertelnie błądy, słabowity, lecz żywy. Krasia postąpiła ku niemu, jednak w połowie drogi ugięły się pod nią kolana. Upadła na chłodną ziemię. Milo podszedł do niej, przyklęknął i objął porównywalnie chłodnym ramieniem.

– Bałam się, że śmierć cię wygrała – szepnęła, próbując powstrzymać napierające lzy wzruszenia.

– Bo wygrała – odparł Milo, głaszcząc ją po włosach.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał jak dawniej, z tym że niekiedy po jego żrenicach przemikały złocisto-zielone refleksy odbitego światła.

– Oczy świecą ci się niczym wilkom. – Krasia przyłożyła dłoń do drżących ust, zdusiła łkanie. – Cóż te demony z tobą uczyniły, Milo?

– Siłę mi dały, by kniaziewi pięknym za nadobne odplącić. Dzięki tej sile razem będziemy patrzeć, jak przemijają wieki, Krasienko. Tylko odsapnąć mi trzeba. – Kowal posłał jej zmęczony uśmiech, przy okazji obnażając ostre szpilki kłów.

Krasia przesunęła opuszkami palców po jego sinych wargach, uspokoiła się, otarła łzę.

– Nieważne – powiedziała i z westchnieniem oparła rozgorączkowane czoło o szeroką pierś umiłowanego męża. Nie słyszała bicia serca. Nie słyszała pracy płuc. – Nieważne, Milo. Ważne, że znów jesteś.

\* \* \*

Sklaw przesuwiał srebrny, importowany kielich z jednego rogu ławy w drugi. Siedział w książęcej izbie, otoczony skórami upolowanych zwierząt oraz bogatymi łupami zdartymi z nieprzyjaciół podczas wojen, potyczek i zwykłych zbrojeckich rejsz. Siedział, śmiertelnie się nudził i zgrzytał zębami. Cekał na zapowiedziane poselstwo, które miało przynieść do Warogu dobrą nowinę, którego wszyscy się obawiali i przez które dotknęło go największe upokorzenie, jakiego kiedykolwiek doznał. Stracił jedyne kompetentnego zarządcę grodu, jedyne kowala i podłą, niewdzięczną czarownicę, a właściwie dwie – jeśli liczyć znachorkę Kocioczę. Od tamtej pory minął tydzień, ale wyrządzona potwarz piekła nadal niczym świeżo wypalone znamię. Osadnicy mruzczeni, zezowali na niego z jawną niechęcią, a on nie potrafił odpowiedzieć im tym samym. Po śmiałej ucieczce siły ludu z Warogu oraz fiasku pogoni co mniej pokorni grodzianie powtarzali wyczyn Rosana i Milo. Na domiar złego zrobiło się ciemno, a przedstawiciele Nowego Słońca ani widu, ani słyhu. Zdawało się, że świat zwrócił się przeciwko niemu. Ośmieliła się nawet dzieciarnia. Wyrostki przestały się go bać, przedrzeźniały i układały o nim niewybredne rymowanki.

Ktoś zapukał do drzwi. Sklaw odsapnął, wstał od stołu, wygładził odzienie i zawołał:

– Wejść!

Przejście otworzyło się, skrzypiąc.

– Co tam mi rzekniecie? – zapytał kniaz, poprawiając ułożenie miecza przy pasie. – Przybyły już posły?

– Poselstwo w drodze – odparł ktoś niskim, brzmącym głosem. – Lecz nie tobie je przyjmować.

Sklaw zmarszczył brwi. Odwrócił się, jednak zdążył tylko usłyszeć świst i zobaczyć błysk stali. Był to ostatni widok w jego życiu. Padł na podłogę z podciętym gardłem i wybałuszonymi oczami.

Milo zbliżył się do ławy, by zduścić knot świecy. Płomień syknął i zgasł. W oknie izby pojawiła się skulona postać. Rosan przełożył nogę przez framugę i wszedł cicho do pomieszczenia. Jego źrenice błyszcząły w mroku jak u kota. Spojrzał ze wstrętem na rozciągnięte pod oknem ciało, ukucnął, zanurzył dwa palce w powiększającej się kałuży krwi i przysunął je do ust. Posmakował, po czym splunął.

– Podły człowiek, podła krew – stwierdził.

Do izby weszła kolejna osoba, błyszcząc spod kaptura parą drapieżnych oczu.

– Rzekłam Kocioczy, by poselstwo, gdy przybędzie, bezpośrednio do nas wiodła. Osadnicy niczego nie widzieli. Zbyt są przejęci Nowym Słońcem.

Krasia zsunęła kaptur z głowy, rozglądając się po nagromadzonym bogactwie. Srebrna i złota zastawa, monety, broń, oprawione szlachetne kamienie, biżuteria, skóry i tkaniny nie robiły na niej wrażenia. Uwagę przykuwał srebrny miecz, schowany pod stertą zaniedbanych pancerzy łuskowych, kolczug, toporków, puginałów oraz włócznie. Wydobyla spod nich klingę i przyjrzała się jej dokładnie.

Milo zdarł ze ściany kwiecisty arras, złapał Sklawę za włosy i przeciągnął ciało na środek komnaty. Przykrył zwłoki tkaniną i zasiadł na ławie naprzeciwko wejścia. Rosan zajął miejsce po jego lewej, Krasia zaś po prawej. Oczekiwali na poselstwo w milczeniu.

Kowal oglądał odkopany przez dziewczynę miecz, kiedy na zewnątrz zrobiło się gwarno. Rozbrzmiało parskanie koni, poruszone głosy osadników, ktoś krzyknął, ktoś otworzył ciężką bramę. Ludzie szeptali między sobą. Milo niemal widział, jak chłopci pokazują sobie przedstawicieli poselstwa. Uśmiechnął się pod nosem, wbił srebrny brzeszczot w klepisko, splótł dłonie na głowicy miecza i czekał.

Drzwi otworzyły się szeroko, wpuszczając chłodne powietrze. Nim pierwszy gość przestawił nogę przez próg, zawahał się, a po chwili wycofał. Milo ściągnął brwi. Obcy głos krzyknął coś w niezrozumiałym języku, inny odpowiedział cierpliwie. Przed wejściem pojaśniało. Postać w długim płaszczu wsunęła się do izby, unosząc płonąca pochodnię. Ktoś próbował wejść za nią, lecz przybysz powstrzymał towarzysza i zamknął za sobą drzwi.

– *Salvete amici!*! – przywitał się śpiewnie. – Nie wyglądacie mi na kniazia. – Zbliżył się o krok. Na jego piersi zamigotał złoty krzyż. – Przybywam w duchu odnowy. Gdzie się podziewa pan na Warogu?

– Pan na Warogu upadł na duchu. – Milo wskazał dłońmi przykryte arrasem zwłoki. – Przeto za wiele z niego nie wyducicie. Chyba że umiecie z trupami rozmawiać.

Przybysz uśmiechnął się niewinnie.

– Czy umiem? To chyba widać. Ale czy lubię, to się okaże, *amice*.

– Wiem, coście za jedni. – Milo wstał. – Nowe Słońce wkrótce zajdzie za naszym horyzontem, skrzydlaci.

– Po co ta agresja? My również wykonujemy wolę Struktorów. Przybyliśmy do Warogu za późno, co niewiele zmienia. Nowego Słońca nic nie przyćmi.

Gość zsunął kaptur z głowy, wystawiając na światło pochodni młodą, urodziwą twarz, tak samo męską, co kobiecą. W jasnym spojrzeniu dawało się rozróżnić jedynie czarne kropki źrenic. Przybysz przecesał dłońmi czuprynę śnieżnobiałych włosów i spojrzał ze smutkiem na leżące u jego stóp ciało. Odwiesił pochodnię, zdjął z ramion płaszcz i pochylił się nad martwym kniazem. Złożył dłonie do modlitwy, wyszeptał parę słów, przeżegnał się. Pod koszulą, na plecach gościa, odznaczały się dwa garbki, tuż nad łopatkami.

Milo chwycił miecz i podszedł szybkim krokiem do klęczącego anioła.

– Lepiej rozwiń skrzydła do lotu – syknął, celując w niego sztychem. – Nie próbuj tu nikogo nawracać. Spróbujesz, pożałujesz. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Jeśli zobaczymy tu ponownie odmieńców twego pokroju, nie będziemy już tak sympatyczni.

– Pojmuję sugestię. – Hermafrodyta podniósł się z klęczek. – Dziś pozwalasz mi odejść cało, doceniam gest. A co później? Jak długo zamierzasz podtrzymywać stary, zatęchły zabobon? Jak długo chcesz przeciwstawiać się porządkującej odmianie?

– Istnieją porządki oraz porządki. Rzeczono mi dość o waszych metodach, o waszym szaleństwie. Powiadam ci, że tego, co pierwotne z ludzkich serc nawet ogniem nie wypalisz.

– Ciekawa propozycja. – Gość wdział płaszcz, odzyskał pochodnię i wycofał się do wyjścia. – Wyczuwam w was energię Struktorów – rzekł. – Tych samych, którzy stworzyli mój rodzaj, dawno temu. Serce mi pęka z rozpacz, kiedy pomyślę, że jedyne, na co ich stać, to zaprząć do roboty zmarłe raz dusze.

– Zwij nas, jak chcesz. – Milo błysnął złym uśmiechem. – Ja wolę myśleć, żeśmy śmiercią, która przyniesie wam swą istotę, o ile od planów nie odstępicie.

– Przed nami wieki. Kiedyś się wyjaśni, kto tkwi w błędzie. – Poseł ukrył głowę pod kapturem i opuścił izbę.

\* \* \*

Gdy poselstwo opuściło Warog, Kociocza wróciła do spokojnej chatki nad Wartką. Zapach mięty zdominował okolicę. Poukrywane w szuwarach żaby rechotały donośnie. Ryby od czasu do czasu chlupotały w wodzie, a ostatnie ptaki przelatywały nisko nad jej nurtem, łowiąc owady kotłujące się przy wodorostach. W chatce ktoś się krzątał, czyjaś sylwetka przemykała z kąta w kąt w blasku świec. Kociocza weszła do przytulnego wnętrza. Wciągnęła w płuca aromat żywicy oraz ziół. Rzuciła przelotnie okiem na młodą kobietę ubijającą w moździerz wysuszone korzonki.

– Skrzydlaci precz poszli – powiedziała od progu.

– Szybko się uwinęli. – Mirwa załapała moździerz wrzątkiem, zamieszała i przelała napój w dwa kubeczki. Jeden podała Kocioczy. – Wiary nie dam, że Struktorzy znaleźli sposób, by Nowe Słońce pohamować.

– Bo nie znaleźli.

– Cóż zatem wymyślili?

– Obląkani są, a szaleńców znać po tym, że pokonując tę samą ścieżkę, łudzą się, iż następnym razem zawiedzie ich ona gdzie indziej. – Staruszka uniosła ramiona, pozwalając Skierce rozsiaść się wygodnie na swych kolanach. – Nowego potwora stworzyli, aby świat

przed obłędem ich starego potwora bronił, za pomocą którego wcześniejsze zwyrodnienia przepędzali.

Mirwa przegoniła Cmyka, który próbował zajrzeć jej w dekolt, i upiła łyżek z kubka.

– Prędzej piekło zamarźnie, niż stworzą coś, czego nie przyjdzie im naprawiać. – Kociocza przymknęła powieki, rozgrzewając zgrabiące dłonie o skorupę naczynia.

– Zatem nic nowego pod słońcem – skonstatowała Mirwa.

Znachorka skinęła głową. Rzekomo jedyną stałą jest zmiana. Co zaś, gdy siłę odmiany dzierżą w rękę szaleńcy? Ano wychodzi paradoks: zmiana, która w gruncie rzeczy niewiele zmienia. To, co pierwotne nie pozwoli się wykorzenić. Niekiedy drzemie, przysypia, ale zawsze wraca w takiej czy innej postaci.

Kociocza uśmiechnęła się do Skierki, mimowolnie puszczając do kotki oko. Właśnie przez wzgląd na ten paradoks, wbrew temu, co rzekła Rosanowi na rynku, upłyną wieki, a pod słońkiem – starym czy nowym – nie zabraknie miejsca dla rusałek. Nie zabraknie go dla lasowików i chowańców. Starczy go dla Cmyków; starczy dla Kociocy.



## ZETER ZELKE



Mieszka w Łodzi, studiowała archeologię, by dziś odkrywać tajemnice rejestrów, kodów, szkockich akcentów i nie działających aplikacji na helpdeskwoni. Uwikłana w promocję nurtu bizarro fiction. Opowiadania ukazały się w „Qfancie”, antologiach: „Bizarro Bazar” (2013), „Bizarro dla zaawansowanych” (2015), „Infections” (2015), „City 3” (2016), „City 4” (2018), „City 5” (2020), „Licho nie śpi» (2018)”, „Bizarretki” (2022), „Tarnowskie Góry fantastycznie” (2021) razem z Kazimierzem Kyrzczem Jr. Uczestniczyła w projekcie „Edmundopeja” (2020). Wraz z ekipą portalu Niedobre Literki koordynuje powstawanie kolejnych odsłon PaskudZina, nieregularnika tematycznego opowiadań bizarro.

**Aleksandra Dobies - Nim nadejdzie świt**



ALEKSANDRA DOBIES

**NIM NADEJDZIE ŚWIT**

- XIV -



# I

*Nie ziedziiała, gdzie jiść mniała.*

*Lusiała sia na łónczeczka,*

*Na zielóno muraweczka.*

*Tam siedziiała i płakata,*

*Nie ziedziiała, gdzie jiść mniała<sup>12</sup>.*

Słyszała w nocy, jak krople deszczu uderzały o korony drzew. Kołysała gałęziami w rytm szumu liści, pozwalając korze zachłannie przyjąć to, co zesłało pogrążone w ciemności niebo. Świt podpełził, oplatając korzenie wilgotną mgłą. Przechyliła nieznacznie głowę, aby uchwycić mruczenie odchodzącej burzy. Nadchodził kolejny upalny dzień.

Nim jednak światło rozproszyło mrok, rozpostarła zastygłe od snu ramiona. Drobne pędy zakończone pąkami zieleni skręciły się w długie i ostre szpony, a miejsce chropowatej kory zastąpiła porowata skóra. Pień naprężył się i z chrzęstem zwinął w chude ciało pokryte szczecina. Ziemia wokół zadrżała, mech zaczął nierównomiernie pękać, strzepując srebrne krople rosy i wypluwając z wnętrza ziemistą maź. Poruszała niepewnie stopami, wbijając zakrzywione pazury w wilgotne poszycie. Było miękkie, czuła, jak ciepła ciecz obmywa zgrubiałe podeszwy stóp. Nie miała pewności, czy to, czego doświadcza, dzieje się naprawdę. Wszystko wokół wydawało się obce, a jednocześnie tak dobrze znane. Nikły promień wdierał się w ciemność pamięci, jakby wcześniej już czuła, dotykała i słyszała.

Nagły, bolesny skurcz zgiął ją w pół. Była głodna i spragniona. Bez namysłu ruszyła przed siebie. Początkowo stawiała kroki chwiejnie, nogi ugiwały się po długim śnie. Podpierała się zatem przednimi kończynami, pozwalając, aby naprężone gałęzie chłostały ją po ciele. Wokół wciąż panował półmrok oddalającej się nocy i dnia, który jeszcze nie nastał. Bezkrzes wypełniony gęstymi drzewami jednak jej nie powstrzymał, pustka w trzewiach gnała ją naprzód. Przywarła twarzą do ziemi, pozwalając spletanym włosom brodzić między poruszającymi się niezgrabnie ramionami. Węszyła, co chwilę chwytając coś w szpony i lizała końcówką wysuszonego języka. Nie napotkała nic, co mogłoby ugasić ogień trawiący jej wnętrze.

Poderwała głowę, wychudłą twarz zasłaniały długie strąki przypominające jutowy sznur przybrudzony ziemią i zeschniętymi liśćmi. Powiodła wzrokiem wokół, dostrzegając jedynie wysokie pnie drzew odcinające się na tle szarej otchłani. Jaśniało, ale nie na tyle, aby odkryć pierzynę zaspanego lasu. Wciągnęła wilgotne powietrze pachnące żywicą i czymś, czego jeszcze nie знаła, ale przyprawiało ją o kolejne skurcze głodu. Zaskomlała, przesuwając się nieznacznie po spróchniałych gałęziach w kierunku porykiwania i pisków. Dopiero za chwilę miała się przekonać, że dźwięki tłumione przez ścianę poskręcanych zarośli to nic innego, jak oprawiane o świcie zwierzęta, a nęcący metaliczny zapach to krew, której tak bardzo teraz potrzebowała. Zasyczała przeciągle i puściła się biegiem niepompna na strach przed nieznanym, który tlił się nikłym płomieniem.

Gdy z gęstych chaszczy zaczęły się wylańać blade cienie zabudowań, przycupnęła w niewielkim wąwozie. Miała tu doskonały widok na podwórze. Przecinała je wydeptana ścieżka, która zawijała się wokół domu niczym żmija, a jej ogon chował się gdzieś z tyłu, wpęczając w ciemny las. Przed drewnianymi okiennicami kłaniał się spróchniały płot, który z każdą sztachetą coraz ciaśniej przylutulał się do ziemi porosłej nierówną zielenią. Na wprost przed sobą miała coś okrągłego wyrastającego spod ziemi, zakończonego drewnianym spiczastym dachem. Z boku sterczało metalowe pokrętko. Nie wiedziała skąd, ale była pewna, że gdyby zamachała tym z zapalem, usłyszałaby przeciągły zgrzyt, by po chwili zanurzyć wychudzoną dłoń w mokrej cieczy.

Węsząc i potykając się o wystające z trawy kamienie, ruszyła przez podwórze ku zbitemu z poczerńiałych desek kurnikowi. Bezszelестnie uchyliła drzwi i zobaczyła stworzenie, które zwinnie oprawiało niewielkie pierzaste truchło. Rude futro większego zwierzęcia lśniło od lepkiej mazi, do której przyklejały się pojedyncze pióra. Nim zdążyło dostrzec, że jest obserwowane, dopadła je jednym susem i przygniotła kościstym ciałem. Wbiła kły, rozszarpując szyję, nie pozwalając nawet pisnąć zaskoczonemu zwierzęciu. To bezwiednie opadło na jej ramiona, pozwalając wessać się w otwartą ranę. Poczula na wargach ciepło jeszcze niedawno żyjącej istoty, jej krew trysnęła na spierzchnięty język, wypełniając pustkę w środku. Gdy słodka ciecz spłynęła do gardła, rozszarpała wilgotną sierść i wyciągnęła ze środka miękkie serce, a potem pozostałe wnętrzości. Rozciągnęła jelita między chudymi palcami i przypatrywała się, jak brzask przenika przez delikatną pajęczynę. Poczula ulgę, rzuciła padło tuż obok rozszarpanej kury i ruszyła w kierunku okien domu.

W małych szybkach odbijały się nierówne kształty, w środku zaś panował mrok. Zastukała delikatnie zakrzywionym pazurem. Nic. Przycisnęła mocniej i przeciągnęła po gładkiej tafli. Ciszę przeciął szmer. Rozciągnęła zakrwawione usta w szkaradnym uśmiechu i zasyczała. Przytknęła dłoń, zostawiając czerwone smugi, pojedyncze krople krwi wtopiły się w wyschnięte ramy.

Powiodła wzrokiem po okolicy. Gdzieś daleko, bardzo, bardzo daleko, w urwanych skrawkach myśli pojawił się obraz miejsca. Ciepło kaflowej kuchni, miękki ogon oplatający napiętą od wielu godzin pracy łydkę, a potem to wszystko rozpiechło się pod ciężarem piekącego bólu i bezbrzeżnego lęku.

Kiedy przez szczeliny kurnika zaczęła przenikać ognista smuga światła, schowała głowę w ramionach i ruszyła ścieżką prowadzącą do lasu. Tam mogła przeczekać, nim głód znów obudzi w niej nienasyconą tęsknotę.

## II

Przez nieszczelne ramy okien przedzierały się pierwsze smugi nowego dnia, kiedy to stara Witucha zamlaskała spierzchniętymi od snu ustami. W pogniczionych długimi latami policzkach zastygła lepka ślina, a do wciąż zamkniętych powiek przykleiły się grudki ropy. Otarła twarz wykręconą od reumatyzmu dłonią, przekręcając się na wznak z bolesnym

gruchnięciem kości. Przez chwilę wpatrywała się w belki na suficie i w białą przestrzeń między deskami, które upstrzyły czarnymi kropkami muchy.

– Znowuż trza... – mruknęła pod nosem. Jeszcze szarość przykrywała wnętrze chaty i spod łóżka dochodziło chrobotanie myszy, a jużci wokół wisiało ciężkie powietrze kolejnych skwarnych godzin. I zaraz miała Witucha podźwignąć tłuste cielsko, wygrzebać się z betów, gdy usłyszała miarowe dudnienie w puste dno wiadra. Dźwięk dobiegał z obory. Toż to Ładziu Krasulę doi? – przeraziła się Witucha i poderwała migiem z umoszczonego legowiska. Odrzuciła kapę z wyhaftowanymi czerwonymi różami i pognała przez izbę, potykając się o wysoki próg oddzielający sypialnię od kuchni, a potem wpadła do sieni i wybiegła na zewnątrz. Jednak podwórze otulała cisza. Drzwi do obory były zaparte grubym drągiem, jak co dzień. Rozejrzała się, wzrok mimo starości miała nadzwyczaj dobry. Ładziu mawiał, że sięga tam, gdzie nie powinien. Może i lepiej by było, gdyby stara nie patrzyła, by potem nie czuć ciężkiej łapy syna na przygarbionym karku. Ale nawet i to nie powstrzymało Wituchy przed węszeniem.

Ruszyła zatem przez nierówny trawnik, odrzuciła drąg i otworzyła drzwi obory. W mrok budynku wdarło się światło wschodzącego dnia. Stara zaciągnęła się parnym śwędem gnoju, na słomie leżała krowa, jedyna jaka im się ostała. Weszła w ciepłą przestrzeń obórki i poklepała Krasulę, ta poderwała się na nogi. Witucha podstawiała sobie drewniany pieńek i chwyciła za dwa strzyki.

– A cóże to znowu? – Zmarszczyła brwi, bo wymię było puste. Ani kropelka nie skapnęła na dłonie Wituchy. Tylko krowi ogon chłostał ją po przerzedzonych włosach, opędzając się od natrętnych much.

– A kysz! – Splunęła tuż obok obklejonych łajnem kopyt i ruszyła ciężko w kierunku chaty.

\* \* \*

– Ładek, a tyś wydoił dziś Krasulę, he? – zagadnęła później syna. Wrócił chwiejnie ze wsi, prowadząc zdezelowany składak. Choć może to rower jego prowadził. Opierał swe krępe, niskie cielsko o siodełko, a w reklamówce obok pobrzękiwały objane butelki.

– A co, za dużo masz roboty, wyręczać trza?! – wybełkotał chrapliwie. – Stare ścierwo! – wydarł się przeraźliwie, a jego głos poniósł się po podwórzu wciśniętym w środek lasu.

– No już, już, synuś, po co te nerwy. Toż godam, ot tak, nie ma co. Siądź w cieniu, zara ci kartofli utłukę, zsiadłe do kwarty naleję... – Machnęła ręką.

Na nic było dociekanie, poprawiła chustę i podreptała w stronę chaty, co chwilę oglądając się za siebie, czy aby nie lezie za nią. Oj znała jego gniew aż za dobrze, jak pijany w sztok przyłaził krętymi ścieżkami. Obdrapany, ubłocony, wyłaził z niego wówczas diabeł i tłukł na oślep, co pod łapę się napatoczyło. Witucha schodziła mu z oczu, by potem opatrywać ciężkie cielsko, a gdy bimbrowa pomrocność go wciągała, objiała mu tę ukochaną, zapijaczoną mordę. Zalewała się przy tym matczynymi łzami.

– Darują mi, synuś, darują. Ja cię chronić będę. – I waliła Ładka po gębie, po plecach zgrabiętymi pięściami do momentu, aż usłyszała pochrapywanie i pojedyncze czkanie. Teraz jednak sił miała mniej, to i częściej chowała się po kątach przed jego złością.

Jeszcze jak tamta była, to się na niej mścił. Witucha nie broniła, bo toż przecie młoda była, więcej znieść mogła. Nie to, co jej stare kości, ale odkąd tamtej brakło, to i niekiedy Witucha grzbiet musiała nadstawić. A teraz dziwaczne rzeczy dziać się zaczęły i płątały myśli, nie dając zaznać spokoju. Najsampierw kura ukatrupiona i nie byłoby to nic, nad czym Witucha by dumiała, bo to nie raz lis wlaźł przez dziurę w kurniku. Z tym że tuż obok kury leżało rude truchło. Rozprute, że aż człowieka strach obleciał, bebechy wywrócone i wyżarte. Jakiś antykryst – pomyślała i uczyniła znak odpędzający uroki, po czym kręcić się wokół jęła, mamrotać pod nosem, by na koniec splunąć siarczyście na boki. Za Krasulę się wzięło dyjabelskie nasienie, bo to nie pierwszy raz jak puste wymię Witucha zastała. Tylko Ładek ni krzty wiary nie ma, jak mu o tym napomknęła.

– Durna babo, demony to ty we łbie nosisz! – rechotał i po opasłym brzuchu się drapał, co mu spod koszuliny zwisał.

– A pomnisz ty moje słowa – szepnęła tylko i poszła przed próg chaty sół sypać.

\* \* \*

Zmierzchało, gdy Ładek spocony i pijany jak prosię szedł ze wsi w stronę lasu. Słońce wisiało już nisko nad polami, rzucając długie cienie pni, do których zmierzał z mozołem. Z wielkim wysiłkiem dopadł pierwszych drzew, by schronić się w znanym mroku. We łbie mu kolebało, nogi się płątały i sam już nie wiedział, czy to Dziejo od Borcuchów taki mocny bimber uwarzył, czy to on chorzał.

Żle spiał ostatnimi czasy. Nic jednak matuli nie gadał, że po nocach na strych mu coś wlaży, po schodach się wspina. A potem skrobie w drzwi. Zapierał je komódką, ale przeciskało się to przez szpary, pierzynę gniotło i dusiło, ale to tak, że Ładek ledwie tchu mógł nabrać. Syczało przy tym przeciągle, by potem zniknąć jak mara. Ni śladu nie ostawało, a ten leżał jak trup. Ni palcem u giry ruszyć, ni językiem memlać. Tak go kurczowo ten strach trzymał aż do świtu, a gdy dzień nadchodził, to znów animuszu nabierał i sam się po spalonym słońcem czole stukał. Tylko sił coraz mniej w gnatach miał. Do roboty to on nigdy pierwszy nie był. Tyle że nawet do Bałdożyc mu coraz ciężiej było leżeć. A przecie tam sklep i gorzałka, a z biadoleniem matki wytrzymać za długo w lesie się nie da.

Zatrzymał się na chwilę, składak chwiał się i skrzypiał przy tym niemiłosiernie. Wiedział jednak, że za długo tak stać nie może, bo zaraz go noc w lesie zastanie. Nad głową gałęzie szeleściły, ocierając się o siebie i wpuszczając ostatnie tego dnia promienie. Znał teren jak własną kieszeń, dlatego nie namyślając się długo, skrzył w ledwie widoczną ścieżkę po prawej stronie. Z trudem łapiąc oddech, przedzierał się przez gęste krzewy. Zaraz powinien wyłonić się stary dąb z wyżłobionym pniem, a tuż za nim pewnikiem będzie szemrała struga.

Nim się Ładek zorientował, coś mu na łeb skoczyło. Małe to było, ale silne jak diabli. Wczepiło się we włosy i zaczęło kąsać zajadle. Machał biedaczyna ramionami na oślep, ale już drugie mu nogi się czepiło, kolejne na plecach przysiadło. Kręciło to chłopiną, raz w jedną, raz w drugą stronę, aż padł jak długi. Kierownica roweru wbiła mu się boleśnie pod żebra, przez co jęknął przeciągle, ale kościste i zimne rączki nie puszczały. To coś piszczało przy tym tak, że Ładek zapadł w ciszę piekielną i tylko dudnienie własnego serca słyszał.

Gdy się ocknął, las ożył, liście znów szemrały, ale noc jak smoła rozlała się pośród drzew. Nie wiedział, w której części boru się znalazł. Zadarł ciężką głowę i spojrział wprost w okrągły księżyc. Starał się podnieść poobijane ciało, lecz przy każdej próbie słyszał głuche mlaśnięcie. Dopiero po chwili spostrzegł, że szmaty na nim były przemoczone, a on leżał wśród mokradeł. Gąbczasta breja oplatała nie tylko rower, ale i jego stopy, które tajemna siła od spodu chwyciła niczym metalowa obręcz i wciągała coraz głębiej.

Ciemne chmury zakryły księżyc, by zaraz odsłonić srebrny okrąg tkwiący złowieszczo nad Ładkiem. Nagle zza jednego z drzew okalających bagna wyłoniła się dziewczyna. Jej szczupłe ciało owijała lekka jak mgła biała sukienka. Patrzyła wprost na niego, wielkie oczy sarny świdrowały zakleszczonego w mokradłach mężczyznę. Chciał ją zawołać, poprosić o pomoc, ale nie mógł wydusić z siebie nawet jednego słowa.

– Śliczniusi, milusi, chodźże ze mną – zaśpiewała melodyjnym głosem, który rozszedł się ciepłem po zziębniętym od bagnistej wody ciele Ładka. – Pomocy ty chcesz? Chatka daleko, ja wyciągnę pana pięknego, ino daj rączulkę.

Mężczyzna zamroczony świergotem nieznanym z wysiłkiem podźwignął się, by podać obleczone błotem palce. Już, już prawie chwycił białą jak śnieg smukłą dłoń, gdy z drugiej strony wyłoniła się kolejna postać. Włosy spływały na drobne ramiona, mieniąc się w świetle nocy.

– Oj słabawys, Ładziuńku, słabawys. Po co żeś drogę skracał, po co żeś w odmęty grzechu gnał? Chciało ci się dziewczeczki pięknej i młodej? Zaduśił ty malusią, zaduśił...

Wychodziły jedna po drugiej, wszystkie takie same z ciałem rozkwitłym niczym sierpniowy owoc z sadu matuli, ale spod sukienek końskie kopyta stukały o ziemię. Chwyciły się za ramiona, zamykając Ładka w kręgu. Mężczyzna obracał głowę z coraz większym przerażeniem, tracąc nadzieję na rychły ratunek. Łzy palące zaczęły toczyć się po jego twarzy, a strach ścisnął gardło.

– Ślicznusienka dziewczyneczka, śliczniunia była. Trzymali wy ją zamkniętą, trzymali i dusili, dusili, aż dusza uleciała. Tęskniła ona, tęskniła, a wy żeście nie słuchali, nie słuchali...

Śpiew wdierał się przez gałęzie drzew, kołysał liśćmi, ptaszyska poderwały się do lotu, krzycząc coraz głośniej i głośniej.

– Ślicznusienka dziewczyneczka, śliczniunia była.

– Ja nie chciał, nie chciał – skomlał jak uwięziony pies. – To matula, to łona, weźta i idźta do niej, to łona.

– Ślicznusienka dziewczyneczka, śliczniunia była. Ślicznusienka dziewczyneczka, śliczniunia była. Ślicznusienka dziewczyneczka, śliczniunia była...

– Toż godom, żem nie chciał. Ja ją za swoją chciał, a matula nie dawała, że to przybłęda, że do roboty tło<sup>43</sup> trza. Dusła stara, ja za widły tylko wziął... – Ładek zaniósł się rzewnym płaczem, czkając przy tym żałośnie, sam już nie wiedząc, czy zapada się miękko w gąbczasty dywan mokradeł, czy w bezdenną otchłań rozpaczy.

\* \* \*

Pierwsza kropla deszczu spadła tuż pod zamkniętym prawym okiem. Rozlała się miękko po opuchniętej skórze i wcisnęła się w bruzdy na twarzy. Potem kolejna i kolejna, aż rozpadało

się na dobre, a woda zmywała z Ładka wspomnienie ostatniej nocy. Potrząsnął z bólem głową i zobaczył, że leży przy studni. Gałęzie starej jabłonki uginały się od porannego deszczu i kołysały nad zwiniętym w długiej trawie ciałem. Z chałupy dobiegały go odgłosy krzątającej się matki, stuk garnków, szuranie powykęcanych, obrzmiałych nóg. Najchętniej zapadłby w długi sen, ino tylko nie myśleć o tych pieruńskich obrazach, które nachodziły mu na łeb niczym rozgrzana smoła.

Z trudem doczłogał się pod próg i podźwignął na drżących goleniach. Gdy tylko stara Witucha dostrzegła poobijane i zakrwawione ciało syna, rozdarła się w lamentach.

– Batajoj, Ładziu, synuś kochany, a gdzieżeś ty polazł znowuż?! – skamlała.

– Las... – wychrypiał jednym tchem.

– Po co tobie do lasu! Dobrze, żeś wrócił. Jeszcze byś zachlał się i zdechł gdzie pod drzewem.

– To przez ciebia. Omotali mnie, drogę żem zgubił, uczepiło się to i puścić za cholere nie chciało.

– A to bełty tło. – Machnęła stara i klapnęła na stołek pod kuchnią. – Łone tak człowieka zbladzo, otumanio, złośliwe to antykrysty.

I już Witucha roześmiała się na dobre, już jej sadło na kolanach zafalowało, kiedy to Ładek jak rażony piorunem z podłogi się poderwał i wrzasnął:

– Bełty, bełty?! Dusi mnie co noc, dusi i jęczy! – Oczy mu mgłą zaszyły, aż Witucha dostrzegła przerażenie malujące się na gębie syna. – Ja ci godo! nie słuchała. Tera biada do chałupy ciungnie. Krasulę męczy, truchła porozciugane znosi, a ty, durna babo, dalej, żem brewerie wyczyniam, he?! Toć mówił: zostaw dziewuchę, zostaw.

Witucha wzruszyła ramionami i zamilkła. Skuliła się jak mysz pod piecem, coby nie rozjuszyć diabła w Ładziowej duszy.

– Ja dobrze, synuś, kciała.

– To było nie ciugnąć obcego dziciuka do chałupy. – Spojrzał spod gęstej grzywy na starą i dodał łamiącym się głosem: – A tera trza żyć z krwią na ryncach.

– Głupi! Było wpierw nie majstrować tam z nią za obórka, toć żeś laził jak pies za suką. A ja ci godoła, że to ścierwo. – Po tych słowach splunęła mu pod nogi.

– Trza cuś z tym zrobić. Taka mundra, to tera idźże po rozum do łba i wymyśl – burknał.

– Toż trza tera grób odszukać i wykopać. Kołki wbić i gębą do ziemi zakopać. A najlepiej z nocą i potem spalić truchło, coby nie wracało, bo jak się obudzi, to litości dla nas mnieć<sup>14</sup> nie będzie.

– Na co mnie znowuż przyszło bez<sup>15</sup> las po nocach łązić – jęknął Ładek i wytarł spocone dłonie o ubłocone spodnie. Ruszył ku krętym schodom na strych i choć zmęczenie mu mgłą na ślepia nachodziło, nie zasnął, dumając jeno o zadaniu, jakie na niego czekało.

\* \* \*

Ocknął się wraz z pierwszym powiewem chłodu zapadającej nocy i zwlekł po spróchniałych stopniach. Obejście zalało srebrne światło księżycza, ukazując pod płotem skurczoną postać starej Wituchy. U jej nóg leżała siekiera i zaostrome drewniane kołki, a obok stała oparta

łopata. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Myśli wciąż się plątały, jakoby rozum nie mógł pojąć tego, co miał uczynić. Spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu, a potem ruszyli ścieżką w ciemny las.

Oboje doskonale wiedzieli, gdzie mają iść. Weszli między pierwsze omszałe pnie drzew, Ładek poczuł wilgotny, zatechły zapach uroczyska. To był ich teren. Ci z okolicznych wsi tu się nie zapuszczali. Obszar był podmokły i podstępny, powiadali, że wciągnął już wiele dusz. Przez co nikt o zdrowych zmysłach nie laźł przez moczary.

– Po kiego wlecze ten wiecheć? – Wskazał na pęk wrotyczu, który ścisnęła matka.

– Bo to nie zaszkodzi wepchnąć dziadostwu pod pachę.

– Matka, jużci bez reszty na łeb padło!

– Ciiii! – zasyczała stara. – Ino słuchaj, bo jek<sup>16</sup> się ocknie i wpierw nas dopadnie, to tylko gnaty z nas ostaną.

Ładek kroczył za Wituchą, która dziarsko pokonywała zarośla. Niepomna na minione lata ni na starcze bóle, które ciągnęły ją ku ziemi. Noc była parna. Pot spływał po skroniach, okalając zarumienione lica i wsiąkał w materiał, który przyklejał się do napiętych ciał. W pewnej chwili kobieta skręciła z ledwo widocznej ścieżki i z sapnięciem przecisnęła się pod nisko wiszącym konarem.

Syn trzymał się nieco za matką, wzrok wlepił w gumiaki. Nie chciał się rozglądać ni nasłuchiwać. Doskonale znał to miejsce. Wracalo do niego co noc. Dlatego, gdy gębę oblepiły mu lepkie jak welon pajęczce nici, wzdrygnął się z obrzydzeniem. Lęk podpełził pod język i dławił niestrawioną jeszcze miódówką. Bez słowa począł rozgarniać butwiejące listowie, pod paznokciami poczuł podmokłe runo i ciepłą, lepką maź. Był przekonany, że za moment poczuje pod szpadlem miękkość dziewczęcego ciała, obleczonego ziemią. Poczerniałe od zaschniętej krwi długie włosy, jeszcze niedawno mieniące się niczym pszeniczne kłosy. Najbardziej bał się jednak pustych dziur po oczach, wielkich jak wiszący nad nimi księżyc.

Tchu mu brakło, a szpadel nadal przebijał jedynie poplątane korzenie pulsujące sercem lasu. W powietrzu trwała cisza, która rozpychała się we łbie Ładka dudniącym echem. Mgła wisiała nad otaczającymi uroczysko bagnami, lizała leniwie poskręcane konary drzew i wsiąkała w przydługie kudły mężczyzny.

– Nie ustępujcie – ponagliła Witucha.

Już chciał odburknąć starej, zwyczajowo posłać siarczystą wiązanekę, a najlepiej zdzielić szpadlem przez grzbiet i zakopać razem z marą, która nie dawała mu żyć. Zdawał sobie jednak sprawę, że trza było dokończyć, co zaczęli.

– Chiba tu nic nie ma, matka – odparł ponuro i poskrobał się po głowie czarnym od wilgotnej ziemi pazurem.

– Toż musi być! Przecie tu zakopalim. Musiało się wygrzebać – stwierdziła Witucha, a jej głos stracił nagle na mocy i opadł w mleczną pierzynę mgły.

– Co tera?

– Ano nic tu po nas, trza czuć i nazad przyleźć.

– Nazad?! – Dopadł do matki jednym susem. Kropelki śliny osiadły na srebrnym meszku, który pokrywał pogniecioną głębę Wituchy.

– Weźta szpadel i kołki. Trza nam stąd iść – wycharczała jedynie stara.

Ładek w milczeniu uczynił to, o co prosiła, i z ociąganiem ruszył jej śladem. Odprowadziło ich ciężkie spojrzenie stalowych oczu, osłoniętych płaszczem lasu.

### III

Zazwyczaj las milczał. Ludzie przywykli, że szare kontury drzew kryły mrok wypełzający spod ich powiek. Zacieraly ślady omszałych występków, pozwalając wsiąknąć im w poskręcaną korę i zapaść się w ciszy.

Byli też tacy, co znali mowę lasu. Wiódł ich latem rozgrzaną ziemią przez pola, by mogli schować się w cieniu. Zimą zaś osłaniał suchymi konarami od dojmującego chłodu. Żłudna to była droga, bo wystarczyło stąpnąć na teren Leszego, by życie zatracić. Targowali się co niektórzy o każdą kropelkę łaski, ale źródło wyschło od człowieczej chciwości. Toteż, gdy las spostrzegł, co uczynili z dziewczyną, nie miał litości. Nim jednak odebrał co swoje, przyjął niewinne ciało i pozwolił nasycić się spragnionej duszy.

\* \* \*

Kroczyła ich śladem, przeczesując las bezszelestnie. Obserwowała masywne ramiona starej Wituchy, wsparte na drewnianej palicy. Jego ruchy zaś były niepewne, nerwowo rozglądał się po lesie ukrytym w ciemności. Gdy chrzęst nocy przerwało nagłe pohukiwanie puszczyka, potknął się i wpadł wprost na ostre gałęzie, rozcinając boleśnie skórę. Zaciągnęła się zapachem świeżej krwi.

– Ja niczyja, a tyś mój... – zasyczała przez podwójny rząd ostrych kłów i nim z jego ust wyrwał się krzyk przerażenia, wczepiła się w pulsującą miękkość szyi Ładka.

Gdy mgła poderwała się do porannego lotu, odsłaniając podpełzający pod pnie drzew świat, można było usłyszeć trzask łamanych kości, zgrzyt zębów przebijających twardą skórę i zachłanne pochłępywanie. Metaliczny zapach krwi rozpląnął się pośród zroszonego rosą listowia, ściągając wygłodniałą zwierzynę. To, co zostało z Wituchy i jej syna wchłonał las, oplótł ostrymi pędami bluszczu, przysypał ziemią i dał nasycić się wyschniętym korzeniom.

Słońce wspięło się po nieruchomym niebie i pozwoliło upałowi bezlitośnie wychłostać wysuszone pola i łąki. Pośród gęstych drzew wyłonił się nikły ślad dróżki, niewidoczny dla ludzkiego oka. Ścieżka wiła się po miękkim dywanie z mchu, owijała wokół chropowatej kory, mijała wgłębienie studni, aby liznąć piaszczystym językiem drzwi starej chaty. Prowadziły do nich dwa kamienne stopnie, na które cień rzucała rozłożysta antonówka. Niekiedy w środku nocy, gdy chatę oświetlało srebrzyste światło gwiazd, na progu majaczyła postać dziewczyny. Wówczas w powietrzu unosił się ostry aromat ziół, a po ziemi toczyły się koraliki słów wypadające wprost z rozchylnych, spierzchniętych warg. Tuż za nimi skrzył się podwójny rząd ostrych kłów.





## ALEKSANDRA DOBIES



Autorka baśni „Uroczysko”, za którą otrzymała nominację do Literackiej Nagrody Warmii i Mazur „Wawrzyn” oraz Nagrodę „Wawrzyn Czytelników”; laureatka Nagrody Prezydenta Miasta Olsztyna „Talent Roku Olsztyna 2021”; ukończyła Studium Reportażu w Teatrze im. S. Jaracza w Olsztynie pod opieką Włodzimierza Nowaka – owocem pracy był reportaż „Do wsi przyszła śmierć”, opublikowany w OKOpress i nagrodzony w Międzynarodowym Konkursie Literackim im. S. Lenza organizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Ełku.

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Autorka licznych artykułów oraz recenzji literackich. Od 2013 roku ściśle związana z rynkiem książki oraz Miejską Biblioteką Publiczną w Olsztynie.

# **Olaf Pajęczkowski - Spotkali się zimą**



OLAF PAJĄCZKOWSKI

SPOTKALI SIĘ ZIMĄ

- XV -

Stuk, stuk.

Nie...

Stuk, stuk.

Jerzy, trzęsąc się jak w gorączce, zwinął się w kłębek, naciągnął pościel na głowę, schował jak mały chłopiec.

Stukanie nie ustawało.

\* \* \*

– Raany, kiedy w końcu się przeprowadzisz?

Drogie kozaczki Agnieszki pasowały do trzeszczących od ciężaru lat stopni jak róża do gnojowiska; jej lśniąca nowością niebieska kurtka kontrastowała z pokrytą paprochami podłogą, ze zgniłą zielenią luszczącej się na ścianach farby, a jasne włosy zdawały się rozświetlać półmrok klatki schodowej lepiej niż słaba żarówka zwieszająca się na kablu z poprzecinanego pajęczyną pęknięć sufitu.

Jerzy, odwróciwszy oczy, westchnął.

– No to nie takie proste – mruknął.

– A nie. – Zachichotała; w ciemnym pomieszczeniu jej śmiech sprawiał wrażenie przytłumionej. – Nie, nie, najważniejsze, żebyś chciał, co nie, Marek?

Idący z tyłu Marek, który sztywną od żeluzupryną niemal wycierał sufit, skinął tylko głową.

– No ja chciałbym – odparł Jerzy. – Ale z chcenia kasy nie ma.

Chichot Agnieszki przeplatał się z brzękiem kluczy, ze szczękiem zamka, z przenikliwym jękiem otwieranych drzwi. Jerzy, usunąwszy się na bok, gestem zaprosił znajomych do środka. Marek odpowiedział mu przesadnym ukłonem, by następnie zniknąć z rozradowaną dziewczyną za progiem domu gospodarza. Jerzy jeszcze przez moment stał na tonącej w brudzie, cieniach i ciszy klatce schodowej, patrząc na drzwi sąsiadującego lokum.

Nic. A jednak dreszcz przebiegł mu po plecach.

Prędko wkroczył do swojego mieszkania.

\* \* \*

Agnieszka i Marek siedzieli przy stole w salonie, a komórki oświetlały ich skupione twarze. Kciuki mężczyzny uderzały szybko w ekran smartfona, jakby chciał przebić urządzenie na wylot, kobieta natomiast przesuwiała palec wskazujący po telefonie powoli, delikatnie, jak gdyby głąskała malutkie zwierzątko. Milczeli.

Jerzy stał w kuchni, wlewając wrzątek z czajnika do trzech kubków, i zerkał na opięte szkarłatnym sweterkiem piersi Agnieszki. Pomyślał o kolekcji zdjęć, którą miał na komórce, o pościąganych z mediów społecznościowych fotografiach dziewczyny – uwiecznionych wyprawach w góry, spotkaniach z koleżankami, ważnych momentach, takich jak obrona magisterki czy pierwszy dzień w nowej pracy. Na każdej Agnieszka była uśmiechnięta, biła z niej taka radość życia, że zdawało się, że zaraz pokona ograniczenia czasu i przestrzeni i ta pozytywna energia zaleje obserwatora. Oglądał zdjęcia przed snem, wpatrywał się, starając

się znaleźć szczegóły, których wcześniej nie zauważył, jakby chciał je na zawsze wypalić w pamięci. Chciałby...

- Dżordži, co ty, rodzisz tam tę herbatę?

Jej głos przywołał Jerzego do rzeczywistości. Trochę się czerwieniąc, zły na siebie złapał ucha dwóch kubków i ruszył do pokoju.

- No już idę - rzucił. - Zresztą jak widać - dodał, stawiając herbaty przed gośćmi. Wrócił do kuchni, chwycił niebieski kubek z wyszczerzonym Shrekiem i po chwili dołączył do znajomych. Usiadł w fotelu naprzeciw Agnieszki i także sięgnął po telefon. Szybko odblokował ekran, by nie zobaczyła tapety ze swoją fotografią, po czym zaczął przeglądać wiadomości, ale nie koncentrował się na treści.

Trwali tak przez jakiś czas, każde zatopione we własnym małym świetle świateł, obrazów i robaczków tekstu, a za oknami gwizdał wiatr, prawie jak człowiek, pukając w szyby gęstwą płatków śniegu. Puk, puk. Tak jak...

Jerzy zadrżał. Niemał wypuścił smartfon z rąk.

- Pierwsza taka zima, co nie? - zadudnił basem Marek. Nie podniósł wzroku znad komórki. - Nie pamiętam już, kiedy ostatnio.

- No ja też nie - mruknął Jerzy, z westchnieniem chowając telefon do kieszeni. - Ale się cieszę. Dość już tej chlapy. Jak śnieg jest, no to zupełnie inaczej. Nawet słońce inaczej świeci.

- A co ty wiesz o słońcu, Dżordži? - Agnieszka, zachichotawszy, pokręciła głową i wsunęła komórkę do czarnej torebki. - Nigdzie nie wychodzisz, siedzisz sobie tutaj całymi dniami.

- No, urok pracy zdalnej.

- Urok albo i nie. Ktoś by powiedział, że to więzienie. Wskoczyłbyś czasem gdzieś z kimś, poznał kogoś, a nie tylko z nami chodzisz. Wiesz, my z tobą lubimy, ale trzeba nam jakiejś świeżej krwi. Jak wampirom!

- No może zacznę - powiedział bez większego przekonania. Przelknąwszy ślinę, spojrzał w roześmiane niebieskie oczy Agnieszki, te same, którym przypatrywał się każdego wieczora i o których snił. - No w trochę innym towarzystwie. Innej konfiguracji - uściślił szybko. Dziewczyna pokiwała głową.

- Tak trzymaj! Już nie będziesz miał dwóch przyjaciół, a całą ekipę! Za noworoczne postanowienia!

Uniosła kubek z parującą herbatą. Ręka Marka dołączyła do toastu, jednak oczy nie oderwały się od ekranu, usta nie powtórzyły słów Agnieszki. Za to Jerzy wznosił swoją tak energicznie, że kilka gorących kropeł rozbryznęło mu się na palcach. Prawie tego nie zauważył.

- Za zmiany w nowym roku! - powiedział.

\* \* \*

Tej nocy znowu się zaczęło.

Stuk, stuk.

Jerzy zwinął się w kłębek, drząc.

Natarczywe stukanie w ścianę oddzielającą jego mieszkanie od sąsiedniego rozbrzmiewało już po raz czwarty w tym tygodniu; głuchy odgłos dudnił w ciszy, zaciskając lodowatą obręcz na sercu mężczyzny. Zazwyczaj trwało to kilka godzin, kilka godzin łomotało tak, jakby chciało się przebić do jego sypialni, a on nie mógł zmrużyć oka, dławił się strachem.

A przecież Jerzy zawsze spał jak kamień. Zahartował się; Kamil, przyjaciel ze studiów, żartował, że można by mu nad uchem strzelać z armaty, nie obudziłby się. W akademiku wieczorami bywało różnie, a jego współlokator z poprzedniego mieszkania często po zmroku lubił sobie puścić na cały regulator Karla Gotta. W porównaniu do tamtych hałasów ten stuk był niczym. A jednak...

Stuk, stuk.

Jerzy nie wiedział dlaczego, ale ten kojarzący mu się z pękającym szkłem, z kryształami lodu, z jękiem starych zawiasów dźwięk przeszywał jego ciało milionami mroźnych szpileczek.

Przytknął pięść do ust, zacisnął powieki.

Stuk, stuk.

\* \* \*

Sobota płynęła leniwie, sekundy przelatywały niespiesznie, ociężałe jak sypiące przez cały czas za oknem płatki śniegu. Jerzy zjadł chińskie zupki, obejrzał śmieszne filmy z kotami na YouTube, przeglądnął Facebooka, posłuchał muzyki, wreszcie zabrał się za wymianę uszczelki w kuchennym kranie. Bolała go głowa, szczypały zażawione oczy, lecz mimo to rozkoszował się spokojem tego dnia. Cisza była tak dojmująca, tak nienaturalna w kamienicy zbudowanej przy ruchliwej zazwyczaj drodze niemałego miasta, że aż dzwoniła w uszach. Gdy niekiedy coś zatrzeszczało, zachrzęściło, zabulgotało, Jerzy podskakiwał jak użądłony, rzucał szybkie spojrzenia w kierunku sypialni. Nic. Cisza momentalnie powracała do mieszkania, rozlewała się po małżowinach jak balsam. Na szczęście nic nie...

Przełknął ślinę, przeniósł wzrok z powrotem na ekran komputera i skoncentrował się na pasjansie.

Wieczorem sięgnął po komórkę i wybrał numer Agnieszki. Odezwała się niemal natychmiast, jak zwykle.

– Dźordzi! No co tam, stary?

– No w porządku – wymamrotał, a serce zaczęło mu walić jak młotem. – No bo wiesz, Agnieszka... No bo sobie pomyślałem... No bo wiesz...

– Tak?

– No może byśmy się spotkali? Chciałabyś się spotkać?

Miał zamiar jeszcze dodać „ty i ja”, ale dziewczyna już mówiła, grzebiąc jego niewyraźne, wypowiedane cicho słowa pod wesołym potokiem zdań.

– Jasne! Już za nami tęsknisz? Zadzwońię do Marka i się zgadamy! Może jutro? On jutro też ma wolne, dziś w Maku siedzi! Ja mogę się urwać wcześniej! Będzie wporzo!

- No jasne - odparł bez emocji. Czuł się jak przekłuty balon, z którego uszło całe powietrze. - No to do zobaczenia.

- No hej, hej!

Odłożył komórkę na stolik i schował twarz w dłoniach. Oczy piekły go, jakby ktoś rzucił w nie piaskiem, wszystkie mięśnie miał sztywne, a ból głowy, pomimo proszków, wcale nie ustąpił. Trzeba będzie iść spać...

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Położył ręce na kolanach, popatrzył na drzwi sypialni. Trzeba będzie iść spać i znowu...

Nie.

Zerwał się z krzesła, szybko ruszył do przedpokoju, aby nie dać umysłowi czasu na przeanalizowanie sytuacji. Zawiązał buty, wyszedł na pograżoną w mroku, zaniedbaną klatkę schodową, gdzie ciężkie powietrze dziś śmierdziało moczem. Ten budynek zawsze kojarzył mu się z trupem. Niemal czuł, jak kruszą się ściany, jak gnije podłoga i sufit, jak szyby pękają ze starości, powoli, mikromilimetr po mikromilimetrze...

Jerzy, skąpany w blasku padającym z jego przedpokoju przez otwarte drzwi, zbliżył się do wejścia do przyległego lokum, nie włączając światła na klatce. Zawahał się. Mieszkał tu już ponad miesiąc i nigdy nie widział sąsiada. Nigdy nie słyszał nawet dźwięku kluczy obracających się w zamku, nigdy nie dotarły doń odgłosy codziennej aktywności - szum mytych naczyń, woda lejąca się do wanny lub spuszczana w toalecie, dudnienie muzyki, dialogi sączące się z telewizora. Nic.

Nic poza tym stukaniem.

Unióśł dłoń, znowu się zawahał. Trwał tak przez moment, aż wreszcie, szybciej niż zdążył pomyśleć, zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Dotknął ściany po prawej, szukając dzwonnka. Gdy zlokalizował przycisk, wduślił go kilkakrotnie. Usłyszał, jak za drzwiami rozlega się pisk. Czekał.

Ciągle cisza.

Poczuł ulgę.

Mimo to nie wrócił do siebie. Każdego innego dnia tak by zrobił, lecz tego wieczora, być może z powodu zmęczenia, może z powodu bólu głowy, nacisnął klamkę drzwi sąsiedniego mieszkania. Otworzyły się z jękiem. Włoski na karku Jerzego stanęły dęba.

Nagle znalazł się w odmiennym świecie - świecie wyglądających z półmroku drewnianych paneli, nowoczesnych szafek i równo ułożonych damskich butów. Drugi kraniec przedpokoju niknął w ciemności. A z ciemności płynął przytłumiony dźwięk.

Zamarł na progu, nie mogąc ani się wycofać, ani iść do przodu. Wytężył słuch...

Nie, to nie był ten przekłuty stuk. To było łkanie.

Zmarszczył brwi, ruszył przed siebie, a ciekawość walczyła w nim z niepokojem. Krok, drugi, trzeci i ujrzał zarysy trójga drzwi. Płacz nie ustawał, dobiegał zza środkowych.

- Przepraszam! - zawołał; głos mu się załamał i fałszywie zabrzmiał w czerni nocy. Nikt nie odpowiedział. - Przepraszam, że wszedłem bez pytania, ale... Wszystko w porządku?

Słowa utonęły w przeszywającym łkaniu.



Nacisnął kławkę.

Na podłodze prawie pozbawionego mebli salonu, w którego centrum znajdował się plazmowy telewizor i szafka z laptopem, leżała oblana światłem księżycy naga kobieta, opierając się o ścianę. Czarne włosy opadały kaskadami na ramiona, ocierały o jędrne piersi, o długie nogi. Delikatne dłonie dotykały zielonej tapety, twarz, która mogłaby należeć do popularnej influencerki, lśniła od łez. Była piękna. Jerzy cofnął się o krok, przełykając ślinę, zażenowany.

– Zimno, strasznie zimno...

Starł się skupić na obliczu dziewczyny. Przesłyszał się? Nie, łzy nie przestawały ściekać jej po policzkach, ale szeptała, coraz głośniejsze, coraz wyraźniej. Miała sine usta.

– Zimno, strasznie zimno, chcę wyjść!

Nie wiedząc, co czynić, podszedł do kobiety, wyciągnął dłoń. Nie zareagowała. Spoglądała gdzieś w przestrzeń.

– Proszę pani? Jak mogę pani pomóc? Proszę wstać.

– Zimno...

Wahał się przez chwilę, nim palcami musnął jej ramię. Dopiero wtedy drgnęła i spojrzała na niego iskrzącymi się od łez i księżycowego blasku zielonymi oczami.

– Proszę pani, nie może pani tu tak leżeć – mówił, nie mogąc znieść milczenia, wpatrzonych w niego źrenic. – Proszę się czymś przykryć, no, ubrać się, przepraszam, to nie będzie tak zimno...

– Tak pan uważa? – Jej głos był wyprany z emocji. Znow wyciągnął dłoń do dziewczyny. Zastanawiała się przez moment, nim ją przyjął.

– Tak... To pani do mnie pukała? – spytał, pomagając kobiecie się podnieść.

– Ja. Było mi zimno. Chciałam wyjść.

Jerzemu zabrakło słów. Czuł się jak człowiek, który nagle orientuje się, że śni, że wszystko, co go otacza, to tylko pozbawione sensu wytwory umysłu, chaotyczna mieszanka myśli i obrazów, do której nie pasuje. Nierealnie. Naga piękność stała przy jego boku, ciszy nocy nie zaburzał nawet dźwięk pędzącego w oddali samochodu. Jakby znalazł się w innym świecie.

– Pomogę pani – wypalił w końcu, pragnąc jak najszybciej doprowadzić to dziwaczne spotkanie do finału, jakikolwiek by on nie był. – Proszę się ubrać, proszę się położyć.

– Naprawdę mi pan pomoże? – zapytała; po raz pierwszy w głosie dziewczyny pojawiła się emocja: radość albo nadzieja.

– No tak. Proszę się położyć – powtórzył. – Jutro rano tu przyjdę i coś razem... no, zdecydujemy...

– Dziękuję panu. Tak zrobię. – Rozpromieniła się. Nogi mu zmiękły. – Dobrze, to do jutra.

– Do jutra – odparł, ale jeszcze przez chwilę nie mógł ruszyć się z miejsca, jak gdyby przybity do podłogi czujnym wzrokiem kobiety. Może nawet jakaś część Jerzego nie chciała stąd wyjść.

Wreszcie skierował się ku drzwiom. Gdy dotarł do progu, obejrzał się. Śledziła go spojrzeniem. Naga, skąpana w świetle księżycy uśmiechała się, a jej oczy błyszczały.

\* \* \*

Placz. Rozwarł powieki, budząc się z pełnego smolistych kształtów snu. Ktoś płakał głośno. Nie, nie głośno – po prostu blisko. Popatrzył w lewo.

Na łóżku Jerzego siedziała zwrócona doń plecami kobieta. Czarne włosy jak płaszcz okrywały obnażone ciało, splatały się z białą pościeli, kleiły z mrokiem nocy. Zamarł. To tylko sen...

– Agnieszka? – wychrypiał.

Drgnęła. Powoli, bardzo powoli, obróciła głowę ku mężczyźnie. To była jego sąsiadka. Błysnąwszy białymi jak perły zębami, nachyliła się nad nim.

– Boję się, że mnie okłamałeś – wyszeptwała sinymi wargami. – Że wcale nie przyjdiesz.

– Nie kłamałem – odparł, trzęsąc się.

W oczach kobiety dostrzegł iskierki, jej uśmiech poszerzył się.

Opuścił wzrok, przemknął spojrzeniem po szyi ciemnowłosej, zatrzymał się na piersiach. To przecież sen, to musiał być sen...

Przyciągnął dziewczynę. Pисnęła. Pieścił miękkie ciało, całował kark. Smakowała truskawkami i popiołem. Skrzywił się, odsunął, a na ustach został mu kawałek skóry kobiety. Krzycząc, popatrzył na jej twarz. Szczerzyła się nienaturalnie szeroko, szerzej niż jakikolwiek człowiek, źrenice świeciły na czerwono, a pomiędzy czarnych kłów wychynał jęzor, dotknął pościeli i niczym wąż zaczął pełznąć ku Jerzemu.

\* \* \*

– Muszę przestać obżerać się przed snem – gadał do siebie, wyciskając pastę na szczoteczkę. – Zresztą pan Freud mógłby się powyżywać na mnie, miałby ubaw...

Choć starał się zapomnieć o tym, co mu się śniło, przywołując wspomnienia Agnieszki, Tofika – ukochanego psa z dzieciństwa – a nawet dumając nad fabułą serialu kryminalnego, na którego punkcie oszalało pół Polski, nie potrafił. Pazury, zębiska, długi, cienki jęzor pozostawiający mokry ślad na koidrze, wpychający mu się do gardła... Lodowaty dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Koszmarne sceny powtarzały się bez końca, jakby ktoś przejął kontrolę nad mózgiem i je zapętlił. Dopiero gdy wrócił myślami do spotkania z nagą kobietą mieszkającą za ścianą, umysł się uspokoił; wizję pękającego ciała zastąpił obraz delikatnej, gładkiej skóry, stworzonej tylko po to, by ją pieścić, całować...

Pokręcił głową. Dziewczyna najwyraźniej była chora psychicznie; wczoraj nie miał pojęcia, jak jej pomóc, ale wiedział, że nie może tej sprawy zignorować. W wyobraźni widział, jak zostawiona samej sobie wykaszuje płuca, jak dygoce z zimna, a jej piersi...

– Dość – mruknął. – Zadzwońię dzisiaj do odpowiednich służb, ktoś się musi nią zająć.

Gdy wkładał koszulę, na przegubie zauważył cztery zaczerwienione pręgi.

– Ki diabeł? – zapytał niewysokiego mężczyznę w lustrze, mężczyznę z kilkuniedniowym zarostem, o rozczochranych czarnych włosach, który tego ranka miał podkrążone oczy. Sam to sobie zrobił przez sen? Czy to dziewczyna, gdy pomagał jej wstać, przypadkiem go podrapała?

Zakrył rękawami nadgarstki, schwycił spodnie. Wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Piosenka z *Generata Daimosa*, którego Jerzy uwielbiał w dzieciństwie, napływała przytłumiona z kieszeni dżinsów. Zanim do śpiewu dorosłego wokalisty dołączyły dzieci, Jerzy spojrział na wyświetlacz. Agnieszka.

– No co tam? – zagał, odebrawszy połączenie.

– Cześć, Dżordži. Słuchaj, sprawa jest. – Głos dziewczyny wydawał się przygaszony. Chyba pierwszy raz w życiu nie słyszał w nim entuzjazmu.

– Agnieszka, no co ty? Dzieje się coś? – zaniepokoił się.

– Nie no, nic, tylko że Marek jest niedysponowany. Rozchorował się, biedak. – Westchnęła ciężko. – No i dlatego chciałam zapytać, czy nie miałbyś nic przeciwnie, żebyśmy się dzisiaj w dwójkę spotkali? Wiem, że bez Marka to nie to samo, ale...

– No nie, skądże – odparł, z trudem panując nad rozedrganymi od emocji słowami. – No biedny Marek, no ale co zrobić, co zrobić...

Umówili się na dwudziestą w ich ulubionej knajpcie, a gdy rozmowa się skończyła, rozanielony Jerzy stał się nagle lekki jak piórko; wręcz wyleciał z łazienki, zatańczył na środku pokoju i, szczerząc się niczym krokodyl, popędził do szafy, by poszukać białej koszuli... Ale nie, co Agnieszka mogła sobie pomyśleć? Może nie należało sięgać po takie ubranie? Zawahał się. Ostatecznie zrezygnował ze zmiany odzieży.

Dopiero gdy, nie mogąc usiedzieć w miejscu, wbiegł do sypialni, przypomniał sobie o sąsiadce. Nie zastanawiając się długo, przemknął przez przedpokój i zatrzymał na klatce. Na pukanie nikt nie zareagował, wszedł więc do znanych mu pomieszczeń. W dziennym świetle dostrzegł, że choć kobieta nie wypełniła mieszkania meblami, pozostawiając wiele wolnej przestrzeni, to każdy sprzęt wyglądał na drogi; że na szafce, na której spoczywał laptop, znajdowała się kolekcja ułożonych w równym rzędzie, jak miniaturowa armia Hannibala, słoników o wzniesionych trąbach.

Przytulnie, przytulniej niż u niego.

– Proszę pani! – zawołał. – Jestem, jak obiecałem!

Jedna sekunda, dwie, trzy, pięć, dziesięć, trzydzieści.

– Proszę pani! Proszę przyjść! To ja, sąsiad, byłem wczoraj u pani! Poczekam, jeśli nie może pani... – Urwał. Odpowiadała mu cisza tak ciężka, że miał wrażenie, iż jego słowa gubią się w tej martwocie. Wytężając słuch, zbliżył się do słoników. Niektóre przypominały prawdziwe zwierzęta, inne postaci z kreskówek – wybałuszały karykaturalnie wielkie oczy albo chodziły na dwóch nogach. Wszystkie pokrywała cienka warstwa kurzu. Jerzy zauważył też kurz na stoliku, telewizorze, laptopie.

Pokręciwszy głową, wyszedł do przedpokoju i zapukał do pozostałych drzwi znajdujących się w mieszkaniu. Nic. Przez moment się wahał, ale wreszcie nacisnął klamki. Kuchnia, sypialnia, łazienka. Nigdzie ani śladu ciemnowłosej.

Marszcząc brwi, opuścił lokal i zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe. Gdzie kobieta mogła się podziewać? Może po prostu była w sklepie albo w pracy? Ale dlaczego nie zamknęła mieszkania? Zapomniała? A jeśli wybiegła gdzieś na ten mróz naga, co, biorąc pod uwagę jej kondycję psychiczną, wcale nie było takie nieprawdopodobne?

Poszedł na drugi koniec korytarza, stanął przed znajdującymi się przy schodach drzwiami i wduśli przycisk dzwonka. Po chwili otworzył mu zgarbiony, lisy staruszek.

– Dzień dobry, proszę pana – zaczął Jerzy, z każdym słowem czując się coraz głupiej. – No... wie pan...

– No dzień dobry, dzień dobry, sąsiedzie. O co sąsiadowi chodzi?

– No wie pan... Mam takie pytanie...

– Sąsiedzie, to proszę je zadać. Przepraszam, ale chciałbym wrócić do oglądania programów informacyjnych.

– No... nie widział pan naszej sąsiadki? – wykrztusił Jerzy, kciukiem wskazując za siebie, w kierunku mieszkania nieznajomej. – Nie wyszła gdzieś dzisiaj?

– A proszę pana, jej to często nie ma, pojawia się i znika, jak w tej piosence. Ale nie, ja już chyba z miesiąc jej nie widziałem. Czasami w nocy wracała, może teraz też taki tryb życia ma. A czemu sąsiad pyta?

– A bo wie pan... – Urwał, nie wiedząc, jak dużo powinien powiedzieć staruszkowi. Ten najwyraźniej milczenie zrozumiał opacznie, bo uśmiechnął się i mrugnął doń.

– A, niech się sąsiad nie kryguje, wszystko wiem! Ja tam sąsiada pojmuję. Młoda krew, a dziewczę ładne, ja, gdy byłem w sąsiada wieku, to też takie blondyneczki lubiłem...

Jeszcze przez moment Jerzy słuchał, potem grzecznie podziękował za pomoc i pożegnawszy się, wrócił do siebie. Co więcej mógł zrobić? Zajadając chipsy, zastanawiał się nad losem dziewczyny, ale nim opróżnił paczkę, jego myśli zaprzętało już tylko spotkanie z Agnieszką.

\* \* \*

Rozmowy klientów, głównie studentów i licealistów, zlewały się w zatłoczonej knajpce w szum, w którym co jakiś czas rozbrzmiewał brzęk szklanek i tupot butów kelnerek. Jerzy siedział zwrócony plecami do ciżby, patrząc przez szybę na ciemne niebo, pokryte śniegiem ulice i żółtawe światła latarni. Ilekroć zza rogu wychodziła kobieta, unosił się delikatnie na krześle, wyteżał wzrok, ale za każdym razem rozczarowany wracał na miejsce. Radość, którą czuł, wkraczając do lokalu, szybko zmieniała się w pełne napięcia oczekiwanie, a po półgodzinie w niepokój. Agnieszka się nie zjawiła. Jeszcze przez parę minut siedział jak na szpilkach, by w końcu zapłacić za wypitą szklankę coli i wyjść z ciepłego „Luzu” na przeszywający mróz. Trzęsącymi się rękami kolejny raz wybrał numer Agnieszki, ale znów, po kilkunastu sygnałach, kobiecy głos oznajmił: „Abonent jest chwilowo niedostępny”.

Naciągnawszy na dłonie rękawiczki, przyspieszył. To było do niej niepodobne. Nigdy nigdzie się nie spóźniała, nigdy też nie zdarzyło się, by nie odebrała telefonu. Serce biło mu coraz mocniej, jakby chciało rozerwać klatkę piersiową.

– Nie no – mruknął zziębniętymi ustami. – Musi być kiedyś ten pierwszy raz... To nic takiego...

Mimo tłumaczenia samemu sobie, że nic takiego się nie stało, nie zwolnił. Zszedł wąską uliczką nad rzekę, a następnie w akompaniamencie chrzęstu deptanego śniegu ruszył brzegiem skutego lodem zbiornika wodnego ku blokowi dziewczyny. Lubiała tę trasę. Zawsze szła tędy do „Luzu”, codziennie chodziła tą drogą do i z pracy. Mówiła, że widok i szum fal ją

uspokajają. Jeśli coś jej wypadło i nie mogła go powiadomić – przecież komórki rozładowują się w najmniej spodziewanych momentach – to tu mógł ją spotkać.

– Dlaczego nie zaproponowałem, że po nią pójde? – wyrzucił sobie, już prawie biegnąc. – Można było tego wszystkiego uniknąć...

Odpowiedział mu tylko obojętny, nigdy niecichnący ryk miasta, mieszanina ludzkiej mowy, jazgotu samochodów, pisku sygnalizacji świetlnej, szczekania psów. Było coraz zimniej. Czuł, jak spływający mu po plecach pot zamienia się w kryształki lodu.

Wtedy zobaczył w dali biały kształt. Zgubił krok, potknął się. Obiekt w ciemnościach przerzedzanych jedynie światłem księżyca i jasnych okien bloków przypominał małą górkę. Z trudem łapiąc oddech, pospieszył do niego. Wówczas zrozumiał, że to leżący na boku człowiek.

Przewracając przysypane śniegiem ciało na plecy, wiedział. Wiedział, nim jeszcze dotknął kurtki, nim schwycił za ramię, nim sina twarz i niewidzące źrenice skierowały się ku niebu. Agnieszka.

\* \* \*

Jak przez mgłę pamiętał rozmowę z lekarzami, policjantami. Zadawano mu jakieś pytania, ale zapomniał, co odpowiadał. Wreszcie zabrali Agnieszkę; patrzył za nią, żywiąc głupią nadzieję, że wszyscy się pomylili, że to tylko stan podobny do śmierci, że za chwilę się poruszy. Nie poruszyła się.

Nie pamiętał, jak wrócił do domu. Gdy wspinał się po schodach, ocierając policzki mokre od łez, czuł we wnętrzu pustkę, która kojarzyła mu się z tą zapuszczoną kamienicą.

– Marek, ty śmieciu – rzucił w przestrzeń. – Czemu musiałeś teraz zachorować? Gdybyś...

Zamarł, usłyszawszy chichot dobiegający zza drzwi sąsiadki. Nie miał zamiaru, ale...

Nie pukając, wkroczył do mieszkania. Kobieta kręciła się pośrodku salonu, unosząc ręce i ciesząc jak dziewczynka tańcząca w deszczu. Tym razem nie była naga, biała suknia owijała się wokół długich nóg. Gdy zobaczyła Jerzego, uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jednak momentalnie mina jej zrzędła.

– Co ci się stało? – zaniepokoiła się, a troska w jej głosie była tak dojmująca, że Jerzy mimowolnie poczuł do niej sympatię. Wtem przypomniał sobie słowa staruszka.

– Nie powinnaś być blondynką? – wypalił. Nie zdziwiła się. Ujęła kosmyk czarnych włosów w dwa palce.

– Istnieje coś takiego jak farby – wyjaśniła. – Co się stało?

Urzął martwą twarz Agnieszki. Czuł, że zaraz znowu się rozplacze.

– Straciłem najlepszego przyjaciela – odrzekł przez ściśnięte gardło. – Zamarzła... Przepraszam, ja...

– Oj, to bardzo smutne – odparła, ale nie zarejestrował już szczerości w jej głosie; na dodatek po chwili milczenia rozpromieniła się. – Ale nie martw się, masz mnie. Ja będę twoim najlepszym przyjacielem. Innych nie potrzebujesz. Przyszedłeś do mnie! Zostań!

Dłoń Jerzego sama zacisnęła się w pięść. Gniew, jakiego nigdy w życiu nie czuł, zalał go niczym fala wrzącej wody, w wyobraźni widział, jak uderza, a dziewczyna...

– Nie, to nie twoja wina – wymamrotał, a wściekłość ustąpiła, pozostawiając tylko tę przeszywającą jak mróz pustkę. – Nie jesteś... Potrzebujesz pomocy. Jutro zadzwonię, gdzie trzeba. Teraz muszę odpocząć...

Obrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu, ignorując jej coraz głośniejsze, histeryczne wrzaski:

– Zostańmy przyjaciółmi! Zostańmy przyjaciółmi!

\* \* \*

Noc wypełniały koszmary i pukanie w ścianę. Jerzy rzucał się w łóżku, pocąc się mimo chłodu panującego w mieszkaniu, raz po raz zapadał w płytki sen, z którego budził się z krzykiem.

– Zamarzła!

Jawa przeplatała się ze snem, a stukanie z zawrotem wiatru; martwa twarz Agnieszki zmieniała się w twarz sąsiadki, z której płatami odchodziła skóra, a oczy błyszczały czerwienią.

Gdy wreszcie słabe promienie słoneczne poczęły sączyć się przez brudną szybę, był tak zmęczony, jakby przez kilka godzin prznosił głazy. Bolało go wszystko – głowa, gardło, a najbardziej plecy. Uniósł powieki, przez moment wmawiał sobie, że wydarzenia ostatniej doby też były jedynie snem, że niedziela wcale nie minęła, a właśnie się rozpoczynała, ale nie mógł długo się oszukiwać. Gdy rozległ się alarm komórki, ze złością go wyłączył. Zakrył się kołdrą. Nie miał zamiaru dzisiaj pracować.

Znowu telefon. Marek.

– Stary, Aga, Boże...

Mówił i mówił, jego wywód pękał od przecinków i nie zawierał żadnej kropki, zdawało się, że nigdy się nie skończy.

– Dzięki, stary – przerwał Markowi beznamiętnym głosem. – Ty też się trzymaj. Zadzwonię... może jutro...

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

\* \* \*

– Przestań do mnie pukać! – krzyczał jakieś dwadzieścia minut później, stojąc ponownie w salonie sąsiadki. – Nie rozumiesz? Straciłem ważną osobę! Jeśli jeszcze raz tak zrobisz, to zadzwonię na policję!

Nim wypowiedział ostatnie słowo, pojął, że znów nie było jej w mieszkaniu, że woła do ścian. Westchnął ciężko i ruszył ku drzwiom.

Zatrzymał się. Dopiero teraz zauważył mały stolik w rogu pomieszczenia i leżące na nim dwa kawałki papieru. Zasepił się. Nie powinien, lecz zdjęcie wydrukowane na jednym ze świstków przykuwało wzrok. Podszedł do mebla. Pierwsza karteczka, z fotografią zmiażdżonego samochodu stojącego na poboczu leśnej drogi, okazała się wycinkiem z gazety. Jerzy przejrzał krótki artykuł, koncentrując się na najważniejszych faktach, a pomijając rozważania na temat możliwych powodów wypadku. „Młoda kobieta, lat 25... 21 czerwca... straciła panowanie nad kierownicą... zginęła na miejscu”. Druga, mniejsza,

zajmował nekrolog. „W wieku 25 lat odeszła do Pana ukochana Córka, Wnuczka, Siostra, Siostrzenica, Przyjaciółka Sylwia Karnicka, o czym zawiadamia pogrążona w głębokim żalu rodzina”.

Jerzy wycofał się do przedpokoju, a następnie na klatkę schodową, brzydząc się sobą, jakby uczynił coś niewybaczalnego, jakby popełnił świętokradztwo. To wszystko tłumaczyło... Przypomniawszy sobie sąsiadkę, najpierw naga, zapłakana, a potem roześmiana, jakby tańczyła nie pośród czterech ścian, ale na słonecznej łące, i cieszyła się z tego, że wstał dzień, że śpiewają ptaki i że świat czasami może być piękny. Taka tragedia... Taka jak jego... Przecież nietrudno w takiej sytuacji...

– Przepraszam – wyszeptał, wchodząc do swojego mieszkania. Myśląc o Agnieszce, o tym, czego nie zdążył jej powiedzieć, ściągnął sweter – grzbiet zaprotestował szarpającym bólem – i cisnął go na fotel. Zamarł. Ubranie plamił szkarłatem.

Ze ściśniętym gardłem wrócił do sypialni i odkrył kołdrę. Prześcieradło było zakrwawione. Drżącą dłonią dotknął pleców. Uniósł ją do oczu. Palce lepiły się od czerwieni.

\* \* \*

Na pogotowiu – o dziwo – nikt o nic nie pytał. Jerzy raz przyłapał pielęgniarkę, jak uśmiechała się, zerkając na jego lewą łopatkę, oszpeconą czterema długimi cięciami. Spojrzenie kobiety co jakiś czas prześlizgiwało się także po zadrapaniach na przegubie. Lekarz też przyglądał się pacjentowi wzrokiem, który zdawał się mówić, że doskonale rozumie sytuację i że zachowa dyskrecję.

Na wypowiedziane osobliwym tonem słowa doktora, by uważał na siebie i przystopował, zareagował niepewnym „dziękuję”. W domu przywitała go trwająca aż do wieczora cisza.

Wtedy rozerwało ją stukanie.

Brzmiało tak, jakby ktoś grzmocił w ścianę pięścią, wściekłe, bez ustanku. Jerzy wbiegł do salonu i trzęsącymi się rękami sięgnął po pilota, włączył telewizor, nawet nie patrząc, na jaki program natrafił, nastawił głośność na maksimum. Jakiś polityk coś krzyczał, jakby próbował zagłuszyć dźwięki rozlegające się w mieszkaniu Jerzego, lecz wówczas ciosy stały się jeszcze mocniejsze. Jakby już nie uderzano dłonią, a młotem.

– Przestań! Przestań! – wrzeszczał, bojąc się, że zaraz runie ściana, ale łoskot nie ustawał. Jerzy pospieszył do przedpokoju, sam nie wiedział po co. Zapadła cisza. Zatrzymał się, nasłuchiwał.

Podskoczył, gdy znów zaczęło łomotać. Tym razem w drzwi wejściowe.

– Odejdź, bo zadzwonię na policję! – zawołał, sprawdzając, czy drzwi były zamknięte na klucz. Były, ale tak drżały, że lękał się, iż wylecą z zawiasów. Z sercem w przetyku, z rozszerzonymi oczami rzucił się na drewno, przycisnął je plecami. Siła uderzeń wywracała mu żołądek do góry nogami.

– Odejdź!

Łomot nie słabł.

Zmieniwszy pozycję, naparł ramieniem na drzwi, jakby chciał wypchnąć je na zewnątrz, na napastnika. Wiedziony impulsem wyrzwał przez judasza.

Czerwone oko.

Wrzasnął. Potknął się, przewrócił.

– Na pomoc! Na pomoc! – wył, aż niemal zdarł gardło, lecz słowa tonęły w huku.

Wyszarpnął komórkę z kieszeni, wybrał numer Marka.

– Pomóż mi! – zaskomlał, gdy tylko przyjaciel odebrał.

– Co się dzieje, stary?

– Zabiją mnie!

– Co tam się dzieje?

– Wejdzie do środka!

– Jadę!

Cisza. Nastąpiła tak nagle, że na początku Jerzy nawet nie zauważył. Dopiero po chwili zorientował się, że dudni jedynie krew w jego uszach, a drzwi nie podskakują w zawiasach.

– Marek... – wyszeptał.

– Stary, już jadę, już jadę!

– Nie, Marek... uspokoiło się...

– Co?

– Odeszło...

– Czekał, będę za...

Cisza.

– Marek? – rzucił do telefonu, lecz przyjaciel nie odpowiedział. Odsunął komórkę od małżowiny, spojrzął na ekran. Połączenie zostało przerwane. Jeszcze raz zadzwonił do Marka. Ten nie odbierał.

Jerzy popatrzył na drzwi.

– Nie...

Trzęsąc się jak w gorączce, zerwał się z podłogi.

\* \* \*

Pół godziny później znalazł się na najwyższym piętrze gierkowskiego bloku. Wyszedł z windy i zamarł. Po drugiej stronie ciemnego korytarza smuga światła padała na podłogę, ciągnęła się od jednej ściany do drugiej niczym ślad żółtej farby na czarnym płótnie. Nie...

Szedł niepewnie ku smudze na nogach ciężkich jak ołów, odgłos kroków odbijał się echem od murów budynku, wracał zwielokrotniony, mieszał się z urywanym oddechem Jerzego. Potem w męczyznę uderzyło ciepłe powietrze, a im bardziej zbliżał się do jasnej pręgi, tym robiło się parniej. Jak w szklarni.

Zatrzymał się przed linią. Krople potu ściekały mu po czole, policzkach, nosie. Drżącą ręką dotknął drzwi. Blask rozlał się po podłodze, spłynął na jego buty. Jerzy zajrzał do mieszkania.

W dusznym jak sauna przedpokoju, w kałuży wymiocin, spoczywał nieruchomo Marek. Mokra koszulka lepiła się do piersi, a twarz, oczy i dłonie czerwieńły w żółtawym świetle żarówki. Rozwarte jak do krzyku usta były suche, popękane. Obok ciała leżała komórka.

– Nie – jęknął Jerzy. – Ty też... nie...



Nie czekał. Rzucił ostatnie spojrzenie na telefon, na wyciągniętą ku niemu rękę przyjaciela, na rozczapierzone płomieniste palce, obrócił się na pięcie i pobiegł do windy. Nie myślał o niczym.

\* \* \*

Gdy wkraczał do mieszkania sąsiadki, promienie wschodzącego słońca powoli sączyły się do budynku, jak gdyby nieśmiało, odbijając się od ostrza kuchennego noża dzierzzonego przez mężczyznę. Im Jerzy był bliżej salonu, tym bardziej drżał. Schwycił klamkę. Jedno uderzenie serca. Dwa. Trzy. Nacisnął klamkę, wślizgnął się do pomieszczenia. Pusto. Za oknami ognista kula wspinała się po niebie, kładąc jasne plamy na przedmiotach, odpędzając cienie. Mimowolnie zerknął w prawo, na ścianę dzielącą to mieszkanie od jego mieszkania. Nie było jej.

Wrócił do przedpokoju, zakradł się do łazienki; chwilę się wahał, nim pochylił się nad wanną. Nic. Na palcach przeszedł do sypialni, nóż niemal wypadł mu ze spoczonej dłoni. Łóżko, szafa, biurko. Zajrzał pod łóżko, ale zobaczył tylko kurz. Stał przed starodawną, niepasującą do reszty sprzętów szafą i, uniósłszy swą broń, zaczął liczyć w myślach do pięciu. Nasłuchiwał. Cisza.

Szarpnął drzwi mebla, ciął. Ostrze rozdarło kilka ubrań, zaplątało się w kolejnych. Z warknięciem wyrwał nóż i cofnął się o krok. Płaszcz, kurtki, sukienki. Nic więcej.

Obróciwszy się na pięcie, skierował się ku wyjściu z pokoju, gdy wtem dostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył – zdjęcia wiszące na ścianie. Na pierwszym młoda blondynka o ostrych rysach twarzy i wysoki brunet o zmierzwionych włosach, obejmując się, patrzyli w obiektyw, uśmiechali się szeroko. Za nimi zielenił się las. Drugie zrobiono w tym samym miejscu i najpewniej tego samego dnia, ale pojawiła się na nim trzecia osoba – pomiędzy blondynką i brunetem stała czarnowłosa sąsiadka Jerzego. Spoglądali na nią, ona – na chłopaka.

Zerknąwszy na drzwi, wyciągnął z kieszeni telefon i sfotografował zdjęcia. Potem schował komórkę i odetchnął głęboko, nim ruszył do kuchni.

Tam też jej nie znalazł. Już miał opuścić mieszkanie, lecz coś go tknęło i otworzył lodówkę.

– Boże!

Odór, straszliwy smród, jakiego Jerzy nigdy w życiu nie czuł, wyrócił mu żołądek do góry nogami. W lodówce znajdowało się zwięzłe ciało. Zwłoki ułożono w pozycji siedzącej, resztki kości nóg zgięto tak, że kolana dotykały podbródka. Z poczerńiałej czaszki, nad której pustymi oczodołami czerwieniły się wielkie litery układające się w napis „KURWA”, wyrastały osmolone kosmyki długich jasnych włosów. A w zębach trupa, wyglądających zza spalonych warg, tkwiło serce. Biło.

Walcząc z mdłościami, Jerzy uciekł z mieszkania.

\* \* \*

Kiedy dziesiątej nocy w podrzędnym hoteliku usłyszał krzyki, nie był zdziwiony. Podniósł się z łóżka, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Dopiero wtedy znieruchomiał.

Za szybą płatki śniegu sfruwały powoli z ciemnego nieba, podrygując na wietrze w niemrawym tańcu, by ostatecznie opaść na pokrywą złożoną z miliardów ich braci, wypełniającą podwórko z trzech stron otoczone budynkami. W niektórych miejscach była grubsza, rosła w niewielkie zasy; w innych widać było wydeptane lub wykopane szpadlem ścieżki. Jednakże na środku, tam, gdzie kończyły się odciski ciężkich zimowych butów, zaczynała się pochylona nisko mokra trawa i wilgotna ziemia, na którą nie spadały jasne drobiny; unikały jej, skręcając na boki, jak gdyby się jej bały. W centrum pozbawionego śniegu okręgu płasała ona, w białej sukience, z wiankiem na czarnych włosach, boso, przeskakując nad ciałami dwóch dziewczyn. Nawet z trzeciego piętra Jerzy zauważył, że ich wizerające spomiędzy czapek i szalików twarze były czerwone i pokryte bąblami.

Wycofał się w głąb pokoju, z trudem łapiąc oddech. Poczul się jak więzień, po którego, po tygodniach pobytu w kazamatach o chlebie i wodzie, przybywa kat. Nie, raczej jak samobójca stojący na moście, kiedy jeden krok dzieli życie od śmierci. Pierwotny instykt przetrwania, strach przed nicością walczyły w Jerzym z uczuciami – miał nadzieję – wyższymi, które wyrastały z uduchowionej części ludzkiej natury. Przywołał obrazy Agnieszki, której radość na zawsze zgasił przeraźliwy mróz, Marka, który zginął, spiesząc mu na pomoc, zwęglonych zwłok, w których szczękach znajdowało się ciągle bijące serce... A potem pomyślał o tym, co wydarzyło się przez te dziesięć dni, które upłynęły od ucieczki z jej mieszkania, wreszcie o dwóch martwych dziewczynach. To nie koniec. Nie poprzestanie na tym.

Ruszył ku drzwiom, nie zatrzymując się ani na moment – od ponad tygodnia spał w ubraniu i butach, choć zazwyczaj, nie mogąc zasnąć, czuwał – wyszedł na klatkę i powoli zaczął schodzić po schodach. Nie czuł nic, nad niczym się nie zastanawiał. Jakby nie miał już kontroli nad ciałem. Jak we śnie.

Mieszana ciepłego i lodowatego powietrza uderzyła Jerzego w twarz, gdy opuścił budynek. Zauważyła go od razu.

– Ukochany! – krzyknęła, kiedy na miękkich nogach zbliżył się do niej. – Nareszcie przyszedłeś! Będziemy razem!

– Dlaczego one też musiały umrzeć? – spytał, najspokojniej jak potrafił, wskazując na martwe kobiety. Prychnęła.

– Zapijaczce dupodajki wracały o zlej porze. Wiem dobrze, że mieszkają tutaj i oglądają się za tobą, chciałyby być z tobą. Ale ty jesteś tylko mój! Zarznię każdą na tej ulicy, w tym zasranym mieście!

– Tak jak Tomek miał być tylko twój?

Cofnąwszy się o krok, otworzyła usta, a oczy na moment się jej zaszkliły; wyglądała, jakby ją spoliczkował. Szybko jednak doszła do siebie i wyraz niedowierzania, może nawet szoku, został zmyty złośliwym uśmiechem.

– Tomek chciał prawdziwej kobiety. Trudno mi się oprzeć. Dobrze o tym wiesz. A był prawdziwym ciachem, pasowaliśmy do siebie. Seks był niezmierny. Ty też chcesz, co?

Przed oczami pojawiła mu się Agnieszka.

– Tamtego dnia mówiłaś mi o przyjaźni – kontynuował. – O tym, że będziesz moim najlepszym przyjacielem. Ale oboje wiemy, że to ci za bardzo nie wychodzi, prawda, Sylwio?

Paulina była podobno twoją najlepszą przyjaciółką, a bardzo ją zraniłaś.

Zmiana na obliczu brunetki była tak gwałtowna, że Jerzy ledwo powstrzymał się przed odskoczeniem.

– Zasłużyła, głupia dziwka! – wrzasnęła; krzyk odbił się echem od ścian kamienic. – Nie miała prawa być z Tomkiem, była taka brzydka! A jak umarłam, to nie żałowała! Cieszyła się, że zginęłam! Cieszyła się, że ja gniję w ziemi, a ona może żyć pełnią życia! Znowu zaczęła zbliżać się do Tomka... Niedługo po mnie płakali!

– Minął ponad rok, a ty ją zraniłaś – tłumaczył cierpliwie, jak dziecku. – Rozmawiałem z waszymi znajomymi. Mówili mi, jak było.

– Kłamcy! Wszyscy kłamcy! Zarżnę ich wszystkich!

– Nie, Sylwio, to koniec. Spójrz prawdzie w oczy i odejdz. Byłaś hipokrytką. Zwałałaś winę za swoje czyny na innych. To może jakoś tam przystoi żywym, ale wydawałoby się, że po śmierci człowiek będzie miał jaśniejszy ogląd sytuacji. Pora, żeby to się skończyło. Żebyś odpoczęła.

– Nie, nie, nie – mamrotała, kręcąc głową tak mocno, że wianek prawie zsunął się jej z włosów. – A więc to tak... I ty przeciwko mnie... A miałeś być moim przyjacielem, kochankiem... Miało mi już nie być zimno, strasznie zimno...

– Sylwio, odejdz.

Długo przypatrywała mu się lśnącymi od łez oczami; długo trwała grobowa cisza, jak gdyby świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Wszystko zamarło, tylko płatki śniegu niestrudzenie kontynuowały podróż z nieba na ziemię.

Wreszcie jednak wyszczerzyła się złośliwie, a jej źrenice rozbłysły czerwienią.

– Ty mnie chcesz pouczać, takie zero? Ty mówisz o hipokryzji? Przecież sam wyciągałeś do mnie spocone łapy, gdy siedziałam goła na twoim łóżku, pomimo że niby kochałeś tamtą!

– To był tylko sen – odparł Jerzy, przełknąwszy grudę, która nagle pojawiła mu się w gardle.

Odpowiedziała śmiechem.

– Odejdz! – warknęła, powoli tracąc nad sobą panowanie.

– Nie mam zamiaru!

Zachichotała. Skóra zaczęła odpadać z jej twarzy, odsłaniając czaszkę, a białe zęby poczerniały. Chichot zmienił się w skrzek.

Wydobył nóż zza paska, uderzył. Ostrze weszło w klatkę piersiową Sylwii jak w masło, lecz ta nie przestawała się śmiać, głośniejsz i głośniejsz.

– Nie pamiętasz, że nie mam serca? – zakpiła. – Chodź, kochany!

Schwyciła Jerzego pazurzystymi łapami, przyciągnęła. Wrzeszczał, próbował się wyrwać, ale bez skutku.

– Pocałuj! – zamruczała, imitując ton namiętnej kochanki. – Z jęczyzkiem!

Czerwone, spalone usta dotknęły jego ust. Jerzy szarpał się coraz mocniej, lecz trzymała go jak w imadle; nie mógł już krzyzczeć, dławił się, gdy jej język, suchy, twardy, wepchnął mu się między zęby, by następnie pomknąć do przełyku. Charczał, z trudem łapał powietrze, a jęzor, niczym wąż, pełznął niżej i niżej.

W gasnącym umyśle Jerzego znikąd pojawiło się wspomnienie tamtej nocy, nagiej Sylwii skąpanej w świetle księżycy, dużych piersi, długich nóg, a potem znieruchomiał.

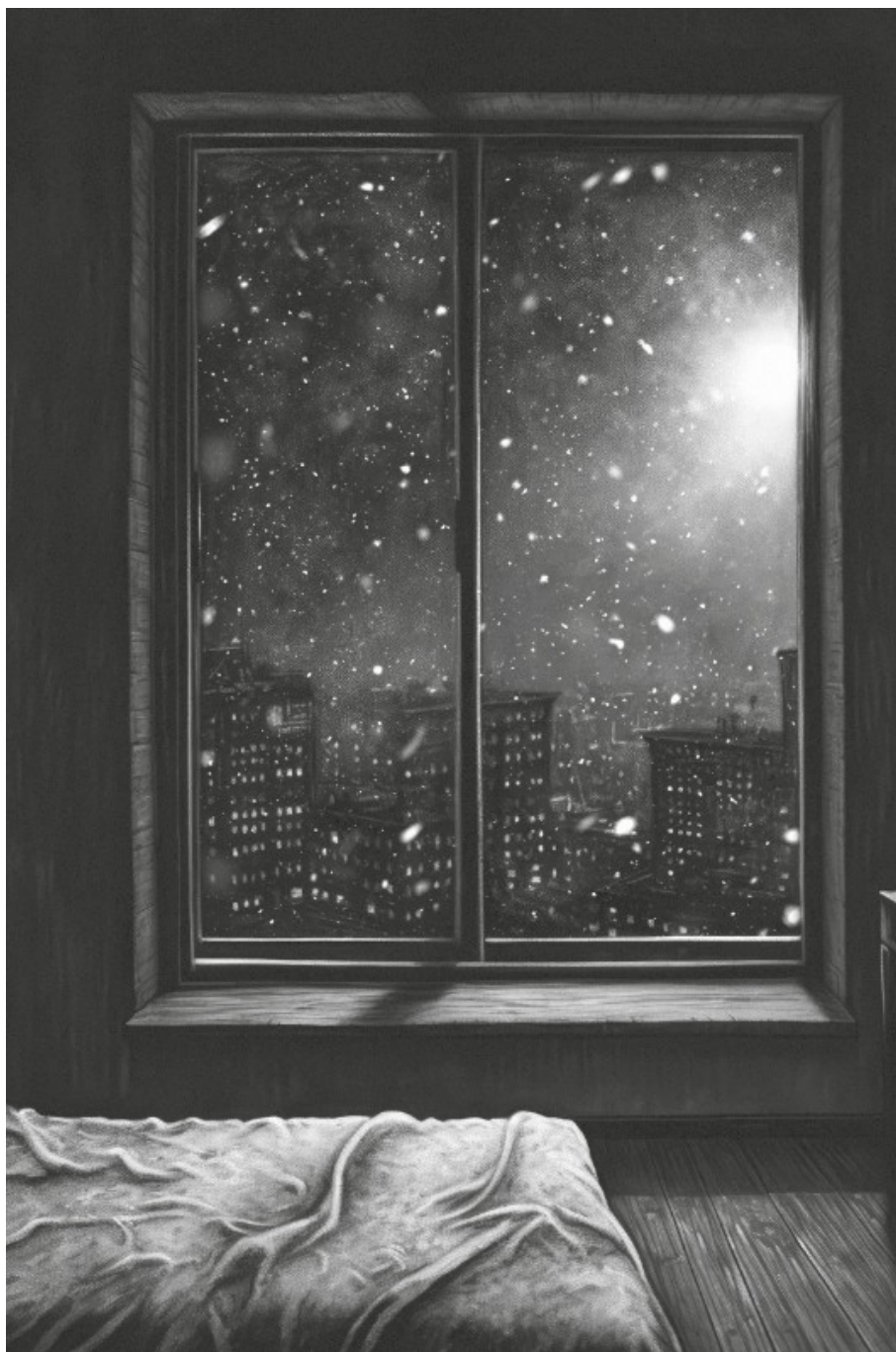
\* \* \*

– ...jak pan profesor wyjaśni to zjawisko? Nie możemy chyba mówić o jakiejś zbiorowej halucynacji, skoro kilka osób o tej sytuacji nie tylko mówiło, ale nagrało na komórki topniejący śnieg, a przede wszystkim zostaje kwestia ofiar...

– Ależ możemy o takiej halucynacji mówić, droga pani! A raczej powiązać ze zjawiskiem zbiorowej hysterii. Musicie zdawać sobie sprawę z takiej kwestii, drodzy państwo, że umysł ludzki jest bardzo skomplikowanym, niesamowitym narzędziem, wręcz cudownym; że jego wpływ rozciąga się poza sam mózg i dotykać może reszty ciała. I może też wpływa na umysły innych ludzi? O tym świadczą mogą właśnie zjawiska zbiorowego widzenia świętych w wiekach średnich czy UFO w historii najnowszej. Francuski kronikarz Rigord opisywał mnichów obserwujących spadający z nieba, a potem wracający na nieboskłon księżyc, ludzie, wielu ludzi, widziało wtedy płaczące krwią obrazy świętych... W tym kontekście można wyjaśnić również tamte wypadki, nawet ten stopniały śnieg i nawet te ofiary...

Adrian wyłączył telewizor. Ziewnął. Było już późno, a rano musiał wstać do roboty. Kiedy kierował się do sypialni, przypomniało mu się, jak Ewa mówiła, że w nowym miejscu trzeba zapamiętać pierwszy sen, bo podświadomość chce powiedzieć człowiekowi coś ważnego i dać rady na dalszy pobyt. Ech, brednie. Zresztą był przekonany, że nie będzie długo mieszkał w tym starym budynku. Zaniedbana, ponura klatka schodowa wyglądająca jak wilgotna piwnica przyprawiała go o dreszcze. Kładąc się, fantazjował o Ewie, o tej szalonej fance ezoteryki i głupawych programów telewizyjnych. Ale cycki miała niezłe. Gdyby nie upierała się, że ich horoskopy do siebie nie pasują i dlatego mogą być tylko przyjaciółmi... Uśmiechnął się, a sen spływał na niego leniwie, jak wzbierająca niespiesznie woda pochłaniał ostatnie myśli, plątał słowa wewnętrznego dialogu.

Wtedy rozległo się stukanie.



## OLAF PAJĄCZKOWSKI



Urodzony w 1988 roku w Opolu. Publikował w antologiach (w tomie z 2018 roku i w drugim tomie z 2020 roku „Snów umarłych: Polskiego rocznika weird fiction”, ósmym tomie „Fantazji Zielonogórskich”, w „Almanachu młodych”, w „Tryźnie. Antologii słowiańskiej”) oraz w czasopismach i na portalach (m.in. „Magazyn Biały Kruk”, „Okolica Strachu”, „Silmaris”, „Szortal Na Wynos”, „Imaginarium Opolskie”). Od 2019 roku jego powieść w odcinkach, „Pajęczyna”, publikuje na swych łamach „Magazyn Biały Kruk”. Autor książki „Sekrety Opola” (wydana w 2020 roku).

# **Katarzyna Wierzbicka - Rezerwat**



KATARZYNA WIERZBICKA

# REZERWAT

- XVI -



Słońce wędrowało ku linii horyzontu. Chłód zbliżającej się nocy oraz zbierające się u podnóża drzew cienie sprawiły, że otworzyłem oczy. Z żalem wynurzałem się z pustki głębokiego snu. Miałem wrażenie, że za każdym razem odzyskiwanie świadomości stanowiło dla mnie coraz większe wyzwanie. Co wieczór budziłem się, rozciągałem zdrewniałe ciało i przesuwalem dłonią po skórze, z trudem rozpoznając własną twarz. Zawsze kończyłem te oględziny z niechęcią i oszołomieniem.

Bez najmniejszego szelestu wysunąłem się z mojej kryjówki. Kiedy zapadał zmrok, czułem się pewniej, lecz i tak musiałem pozostać czujny. Samo istnienie już dawno przestało mieć dla mnie specjalną wartość, nie znaczyło to jednak, że chciałem zwrócić na siebie uwagę Złych.

– Bądź ostrożny – powiedziała kiedyś sucho babcia, mierząc mnie okrągłymi, wylupiastymi oczyma. – Oni mogą nadejść w każdej chwili. I nie będą mieli litości dla nikogo z nas. A zwłaszcza dla ciebie.

Babcia była stara, chyba starsza niż ktokolwiek, kogo znałem, i zawsze śmierdziała czosnkiem oraz zaskorupiałym brudem. Nigdy nie widziałem, aby się kąpała w rzece czy chociaż przemywała w blaszanej balii stojącej na koślawym stołku w rogu izby. Ale była mądra i silna, i ja w jej obecności też czułem się silniejszy. Ruszyłem w stronę domu.

Byłem na tyle blisko, że widziałem już blask lampy przebijający przez zasłony, kiedy czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Drgnąłem, wyrwałem się, syknąłem groźnie. Niewielu potrafiło mnie zaskoczyć.

– Teraz nie. – Wysoki, postawny mężczyzna o skołtunionych włosach uniósł ręce w uspokajającym geście. Ruchem brody wskazał rower porzucony niedbale obok krzaka róży, niedaleko drzwi frontowych. – Ma gościa.

– Z wioski? – Coś w mojej piersi drgnęło, zatrzepotało jak ptak schwytyany w klatkę. Nie potrafiłem określić, czy był to strach, czy nadzieja. W ustach zrobiło mi się nagle sucho. Z trudem przełknąłem ślinę.

Patrzył na mnie oczami zielonymi jak mech. Wreszcie wykrzywił usta w uśmiechu.

– Czy to ważne? – powiedział zaskakująco łagodnie. – Chodź ze mną.

Poszedłem z ociąganiem. Ciepło i światło wydostające się szparami przez zasłonięte okna kusiło mnie bardziej niż zimny, pełen ostrych gałązek i cierni las. Chciałem wślizgnąć się do środka, usiąść przy stopach babci i poczekać, aż jej wykrzywiona artretyzmem ręka przesunie się pieszczotliwie po moim czole. Zdarzało się to rzadko; rzadziej niż bym chciał. Ostatnimi czasy była zbyt pogrążona w ponurych rozmyśleniach, by zwrócić uwagę na mnie i moją potrzebę bliskości. Czasem sprawiała wrażenie, jakby w ogóle mnie nie dostrzegała.

To ona znalazła mnie w lesie, kiedy byłem mały, i przyniosła do chaty. Ogrzała mnie, nakarmiła. Zawsze będę jej wdzięczny. Bardzo.

Prawie tak bardzo, jak zawsze będę tęsknić za moją mamą.

Coś szeleściło, szemrało i pomrukiwało w koronach drzew, kiedy zśliśmy wąską ścieżką w stronę jeziora. Gałęzie, szarpane podmuchami chłodnego wiatru, poruszały się i wiły w powietrzu jak żywe istoty. Dróżka była porośnięta chaszczami, a ziemia wilgotna i śliska po niedawnym deszczu. Do moich nozdrzy docierał zapach igliwia, trawy, gnijących resztek cyklu życia i śmierci mieszkańców lasu. Czułem dobiegający spod krzaków słodkawy smród

rozkładającego się truchła zająca. Przyprawiał mnie o mdłości. Przystanąłem. Mężczyzna, którego czasami, kiedy przychodziły mi do głowy dawno usłyszane słowa, nazywałem wujkiem, również się zatrzymał i odwrócił w moją stronę. Cienie prześlizgiwały się po szarozielonym płaszczu, sprawiając, że zdawał się zmieniać kolor i rozplýwać w otaczającej go gęstwinie.

– Już blisko. Nie bój się.

Słowa uwięzły mi w gardle. Nie miałem serca mu powiedzieć, że to nie lęk odczuwam, lecz nienawiść. On naprawdę uwielbiał to miejsce tak bardzo, jakby jego serce było rozdarte na tysiące kawałków i uwiązane do każdego drzewa, kwiatu, kamienia. Aż dziw, że tej miłości starczało mu jeszcze dla Nawojki. Jej jednak trudno było nie kochać.

– Witaj, malenki – powiedziała, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Ona jako jedyna nie bała się podać mi swojego imienia. Uśmiechała się, patrząc na mnie z góry swymi wielkimi, błyszczącymi oczyma. Można w nich było zatonać na zawsze. Uwolnić się od wszelkich zmartwień i trosk. Zasnąć. I już się nie obudzić.

Nigdy nie wyczuwałem w niej żadnego lęku czy wahania. Może myślała, że jej urok – wdzięk smukłego, dziewczęcego ciała, srebrzystozielony błysk oczu i opadająca na ramiona fala ciemnych włosów – ochroni ją od Złych? Że nikt nie odważy się podnieść ręki na coś tak kruchego i doskonale pięknego? Głupiutka. Uroda i niewinność nigdy nie były dostateczną ochroną.

Od dawna zdawałem sobie z tego sprawę.

Trawy gięły się w ukłonach pod stopami wysokiego mężczyzny, kiedy maszerował znanymi sobie dobrze ścieżkami. Ciągnął mnie za sobą, trzymając moją rękę w mocnym uścisku. Nie protestowałem. Przy nim czułem się bezpieczniej. Minęliśmy brzozy zagajnik oraz ogromny dąb powalony na ziemię i wyciągający ku niebu spróchniałe gałęzie. Kiedy pierwsze blade światła gwiazd pojawiły się na niebie, poczułem pod stopami chłodne ziarenka piasku. Przed nami rozpościerała się ciemna, pomarszczona drobnymi falami tafla jeziora.

Tym razem nie kazała nam długo czekać. Wynurzyła się spod wody wśród fontanny srebrzystych kropeł. Księżyc odbijał się w jej oczach migotliwym, złudnym blaskiem. Usłyszałem, jak mężczyzna stojący obok mnie wciąga głośno powietrze, a jego palce zaciskają się z całej siły na mojej dłoni. Zabolało. Wyszarpnąłem rękę z uścisku, odsunąłem się, ale on, wpatrzony w nagą kobietą postać, nawet tego nie zauważył.

Sięgnęła po porzuconą na piasku sukienkę. Cienki, miękki materiał spłynął po jej mokrym ciele niczym woda. Otrząsnęła się, przycupnęła na brzegu plaży, przeczesała palcami sploty ciemnych włosów.

– Wziąłeś ze sobą dzieciaka? – zapytała trochę słodkim, a trochę kpiącym głosem.

Patrzyłem na nią dłuższą chwilę, zanim zorientowałem się, że mówi o mnie. Już dawno przestałem czuć się dzieckiem. Wydawało mi się dziwne, że wciąż tak jestem przez nich odbierany.

Nawet pomimo szybko zapadającej ciemności zauważyłem, jak policzki mężczyzny pokryły się czerwienią.

– Babcia ma gościa – wyjaśnił. – Nie chciałem, żeby... wiesz... – Słowa cichły stopniowo, aż w końcu mężczyzna zamilkł, jakby sam nie był pewny, co chciał powiedzieć.

Podszedłem bliżej Nawojki. Usiadłem na piasku. Poczułem jej drobne, chłodne jak woda z leśnego strumienia palce we włosach. Poczochnęła moje łoki szybko, machinalnie, tak jak babcia głaskała czasem swojego kota.

– Dorastasz – stwierdziła ze śmiechem.

Nie patrząc na nią, wzruszyłem ramionami. Byłem tak blisko, że mogłem dotknąć jej szczupłej kostki wystającej spod sukienki, oprzeć głowę o jej kolana. Nie odważyłem się. Zresztą była zbyt zimna po swojej wieczornej kąpieli.

– Mogę wrócić – powiedziałem po namyśle. – Nie chcę wam przeszkadzać.

Pokręciła szybko głową. Kropelki wody oderwały się od mokrych kosmyków i spadły na moją twarz.

– Nie. Porozmawiajmy.

Zapadła cisza, jak zwykle bywa po takich słowach.

– Słyszałem, że oni wrócili w naszą okolicę – odezwał się w końcu mężczyzna za moimi plecami.

Wyczułem falę złości płynącą od jej skulonej postaci.

– Po co? Przecież wszyscy dotrzymujemy zasad przymierza!

– Kto wie? Może postanowili je zmienić.

– To nie w porządku! – Nawet w szybko zapadającej ciemności mogłem dostrzec gniewne ściągnięcie warg i oczy błyszczące złością z powodu tej jawnej niesprawiedliwości. Czasem sprawiała wrażenie, jakby była ode mnie młodsza. Bardziej naiwna. Ja już dawno przestałem wierzyć w sens zasady przyczyny i skutku. Złe rzeczy czasem działy się, bo tak miało być. Nie dlatego, że na nie zasługiwaliśmy.

– Nasz świat umiera – zauważył spokojnie mężczyzna. Nie dosłyszałem specjalnego żalu w jego głosie. Oparłem brodę na złączonych rękach. Tafla jeziora wygładziła się, przypominała teraz ciemne lustro. Odbijało się w nim niewiele gwiazd. Większość schowała się za gęste, kłębiące się na niebie chmury.

– Nieprawda. Ja... nie pozwolę... – szepnęła dziewczyna. Jej głos załamał się znienacka, zakończył urwanym szlochem. Któryś z nas powinien ją pocieszyć. Nie potrafiłem jednak znaleźć odpowiednich słów.

Jej ukochany nawet nie próbował ich szukać. Przykleknął obok, otulił dłońmi drobną, zalaną łzami twarz. Odszedłem. Nie byłem im potrzebny. Zresztą babcia zaczynała mnie przywoływać. Czułem słabe, lecz uporczywe mrowienie z tyłu głowy – lekkie pobolewanie, jakby ktoś drapał z wolna długim, zakrzywionym paznokciem wewnątrz mojej czaszki. Zbyt dobrze wiedziałem, jak szybko te odczucia potrafią zwiększyć swoją intensywność i przemienić się w pulsujący, palący ból, gdy próbowałem zignorować jej głos.

Czekała sama w izbie. Jej gość, kimkolwiek był, odjechał. Bezgłośnie stanąłem za jej plecami. Siedziała pochylona, z łokciami opartymi na stole przykrytym podartą ceratą. Kot, który wylegiwał się w bujanym fotelu, łypnął na mnie zielonymi ślepiami i poderwał się z miejsca. Z poirytowanym prychnięciem wypadł za próg.

– Dobrze, że jesteś. Napijesz się mleka? – rzuciła przez ramię.

Już dawno odkryłem, że preferuję innego typu napoje. Z grzeczności jednak potwierdziłem skinieniem głowy.

Wstała od stołu, odsłaniając leżące na nim pieniądze. Spojrzałem na nie bez większego zainteresowania. Rzeczy, których chciałem i potrzebowałem, nie można było kupić.

Postawiła przede mną obtłuczony niebieski kubek i odsunęła się w drugi kąt pokoju. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, mierząc mnie zaskiwająco jak na jej wiek młodym i bystrym spojrzeniem.

– Rośniesz – stwierdziła i nie potrafiłem rozpoznać, czy to zadowolenie, czy może rozczarowanie usłyszałem w jej głosie. Upiłem łyk pienistego białego płynu. W chacie pachniało suszonymi ziołami i grzybami. Ten aromat zazwyczaj maskował unoszący się w powietrzu metaliczny odór zaschniętej krwi. Ja jednak byłem w stanie go wyczuć. Zaciśnąłem zęby.

– Malinowska twierdzi, że sołtysowa urokiem kury jej dusi. Jajka podbiera, chowańca ani chybi nasłała. – Babcia prychnęła krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. – Pewnie lis się jej do kurnika dobiera, ale co tam. Zapłaciła tyle, że pójdziesz do jej gospodarstwa i przez kilka nocy go popilnujesz. Wiesz, co robić.

Ponownie kiwnąłem głową. Wiedziałem. Co nie znaczy, że miałem na to ochotę.

– Możesz zacząć już teraz. – Babcia patrzyła na mnie bez jednego mrugnienia zza grubych szkielek okularów.

Nie chciało mi się. Wolałem zostać razem z nią, w ciepłe i blasku lampy. Mógłbym nawet wypić jeszcze jeden kubek spienionego mleka, choć od jego gorzkawego posmaku robiło mi się niedobrze.

– Idź już! – syknęła.

Nie miałem wyboru. Musiałem jej posłuchać.

\* \* \*

Noce były wyjątkowo chłodne jak na końcówkę maja. Włączyłem się dookoła gospodarstwa Malinowskich, z nudów licząc gwiazdy. Mrugały do mnie zawieszono tak nisko na niebie, że pewnie mógłbym złapać je w dłonie, gdybym tylko odważył się po nie sięgnąć. Kiedy wychudzona lisica z sutkami pełnymi mleka podkradła się pod kurnik, zabiłem ją szybko i w miarę bezboleśnie. Następnie poszedłem po śladach i usmierciłem czwórkę szczeniąt w norze. Nie sprawiło mi to przyjemności. Młode popiskiwały żałośnie, gdy po nie sięgałem, i drżały pod moimi palcami, kiedy po kolei odbierałem im życie. Nie miałem jednak wyboru. Nie przetrwałyby bez matki w lesie. Wolałem im zaoszczędzić długiego i pełnego głodu oczekiwania na koniec.

Moja misja była właściwie wypełniona, ale skoro otrzymałem polecenie, żeby stróżować kilka nocy, musiałem się dostosować co do joty. Następnego wieczoru, kiedy na niebie pojawił się błąd księżyc w lisiej czapie, ponownie stawiłem się na posterunku.

Błąkałem się w ciemności wokół budynków, samotnie i bez celu. Gdzieś blisko pobekiwały owce, pachniało siano, pies niespokojnie przebierał nogami przez sen. Może śniło mu się, że przegryza krótki, metalowy łańcuch łączący go z budą i zrywa się do

wielkiego, ostatecznego biegu, z dala od pustej miski i twardej pięści gospodarza. Rejestrowałem to wszystko jakby mimowolnie, bez zainteresowania czy zaciekawienia. Czulem tylko obojętność wobec tego uśpionego, odpoczywającego po kolejnym ciężkim dniu gospodarstwa i jego mieszkańców. Wiedziałem, że nie potrafiłbym z nimi dzielić ani ich dziennego życia, ani nocnych marzeń. Należałem do innego świata.

Coś stuknęło. Wielki kot, biały jak zjawa w świetle księżycy, zerwał się z parapetu na mój widok. Zjeżył futro i fuknął. Wyszczrzyłem do niego zęby w złośliwym uśmiechu. Koty nigdy mnie nie lubiły. Były zazwyczaj jednak na tyle mądre, by trzymać się z daleka. Również ten na widok mojego grymasu położył płasko uszy i skoczył, by zniknąć między rosnącymi pod ścianą domu krzewami dzikiej róży.

Przechyliłem głowę, nasłuchując. Ktoś oprócz kota jeszcze nie spał w tym domu. Wyczuwałem czyjaś obecność, strumień świadomych myśli pełnych gładkich kształtów i miękkiej jak kłębki wełny szarości. Łagodny blask przesączał się przez zasunięte zasłony.

Może to ciekawość skłoniła mnie, abym spróbował zajrzeć do środka, a może ciepło i światło emanujące zza szyby były zbyt kuszące, abym umiał odwrócić się i odejść. Coś przyciągało mnie nieodparcie. Zbliżyłem się cichutko jak duch i z drżeniem przytuliłem czoło do lodowatej szyby. Wbiłem spojrzenie w wąski prześwit między zasłonkami.

Zobaczyłem moją matkę.

Siedziała w bujanym fotelu. Jej jasne włosy wymykały się z koka i przepoconymi pasemkami przyklejały do czoła. Nawet zza okna mogłem zauważyć tłuste plamy na bluzce i fioletowe cienie pod półprzymkniętymi oczami. Wyglądała na śmiertelnie zmęczoną. Kiwała się w przód i w tył, jednostajnie, monotonicznie.

Coś w moim wnętrzu zawył jak małe, udręczone zwierzątko. Nawet nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak bardzo za nią tęsknię. Jak brakowało mi jej zapachu, tonu głosu, ciepła ciała.

Zabębniłem w szybę. Przyzywałem ją ku sobie z niecierpliwością i złością. Nie mogła zignorować mojego błagania. W końcu byłem jej dzieckiem.

Usłyszała. Przekrzywiła głowę, zmarszczyła z niepokojem brwi. Wstała z wysiłkiem i wtedy dopiero zauważyłem, że w ramionach trzyma uśpione niemowlę. Zawahała się przez moment, a potem ostrożnie odłożyła je do stojącego obok łóżeczka. Tyle czułości i delikatności kryło się w tym geście, że zagryzłem wargi z zazdrości.

Niepewnie zbliżyła się do okna. Chłonałem każdy szczegół jej twarzy, wciągałem w nozdrza jej zapach: mleka, rumianku i potu.

– Otwórz! – szepnąłem błagalnie, a może tylko pomyślałem. Pragnienie, aby wtulić się w objęcia matki, zdominowało wszystkie moje myśli i emocje. Zanurzyć twarz w jej włosach, owinać ramiona wokół szyi. Ciasno, jak najściślej, tak aby poczuć się niemalże jej częścią. Aby raz na zawsze zrzucić z siebie ciężar samotności.

Odsunęła na bok zasłonę. Zmrużyła oczy, usiłując coś dojrzeć w ciemności. Uniostem dłoń i przyłożyłem ją do zimnej szyby. Ostre paznokcie stuknęły o szkło. Jak przez mgłę dotarło do mnie, że się zmieniam. I nie potrafię tego kontrolować.

– Otwórz! – poprosiłem, wkładając w to słowo całą swą rozpacz.

Tuż po tym, jak przekręciła klamkę i uchyliła okno, zrozumiałem, że znów się pomyliłem.

To nie była moja matka. Nie ta, która przez tyle miesięcy ukrywała mnie w sobie przed całym złem tego świata. Chowiała przed wszystkimi, owijając rosnący brzuch szorstkim, prostokątnym kawałkiem materiału. Nikt nie wyczekiwał dnia moich narodzin, nikt nie kładł nade mną ciepłej ręki z szeroko rozłożonymi palcami, by wyczuć moje pierwsze nieśmiałe ruchy. Nikt nie śpiewał mi do snu ani nie szeptał słów pełnych czułości. Byłem nieproszonym gościem w jej ciele.

Dała mi życie pewnej zimnej wiosennej nocy. I jeszcze przed nastaniem świtu zdecydowała się je odebrać.

Nawet nie miałem o to do niej żalu. Wyczuwałem w niej tyle bólu i rozpaczy, kiedy niosła mnie wąską, błotnistą ścieżką prowadzącą ze stodoły do lasu. Zawinęła mnie ściśle w ten sam kawałek materiału, którym od kilku miesięcy krępowała swoje ciało. To dziwne, ale nie pamiętam, czy ucałowała mnie na pożegnanie, zanim wsunęła zawiniątko do pospiesznie wykopanej dziury pod krzakami tarniny. Pamiętam tylko jej zdyszany oddech, zmieniający się niekiedy w szloch, kiedy przysypywała mnie cienką warstwą ziemi.

Oddech tej kobiety był bardziej chrapliwy. Pachniała inaczej niż moja mama. Miała węższe usta i bledszą, okrągłą twarz, teraz wykrzywioną w grymasie przestachu. Pojąłem, że przywołałem ku sobie zwykłą wioskową kobiecinę, wycieńczoną niedawnym porodem. Znowu nie tą, za którą beznadziejnie tęskniłem. Zawylem z dzikiej rozpaczy i rozczarowania. A potem zacisnąłem dłonie na szyi wychylającej się z okna oszustki.

To nie trwało długo. Była słaba, choć zdeterminowana. Ze wszystkich sił starała się nie dopuścić mnie w pobliże łóżeczka dziecka. Walczyła ze mną jak oszalała, próbując kopać i drapać, lecz równie skutecznie mogłaby mocować się z mgłą. Wypiłem z niej całe życie, kropla po kropli, dopóki nie poczułem się syty.

Kiedy już było po wszystkim, przysiadłem obok rozciągniętego na podłodze ciała. Jej żal i ból pozostawiły słono-gorzki posmak w moich ustach. Delikatnie, jakbym się bał obudzić kogoś śpiącego, pogłaskałem ją po policzku. Oczy miała puste, szeroko otwarte, wpatrzone w nicość. Z nosa i kącika ust spływały cienkie strużki krwi. Nawet martwa odwracała ode mnie twarz. Znieruchomiałą ręką sięgała w stronę łóżeczka, w którym wciąż spało spokojnie niemowlę.

Lekko uniosłem się w powietrze. Z góry wpatrzyłem się w różaną buzię z półotwartymi usteczkami, dłonie zwinięte w pięstki przy skroniach, cień długich rzęs na policzkach. Osamotnione, niezające sobie jeszcze sprawy ze swego sieroctwa maleństwo. Dwu- lub trzytygodniowy chłopczyk. Taki niewinny. Zupełnie bezbronny.

Nie mogłem przecież zostawić go samego.

\* \* \*

Kiedy obudziłem się następnego wieczoru, czułem się jeszcze bardziej obolały, oszołomiony i dezorientowany niż zwykle. Rozejrzałem się wokół siebie. To nie było normalne miejsce mojego dziennego spoczynku – jama wygrzebana w lesie pod krzakami tarniny. Leżałem na nierównym, twardym klepisku, między stertami ziemniaków a usypanym wysoko kopcem

jabłek. Usiadłem powoli. W ustach nadal czułem smak krwi. Znajdowałem się w zewnętrznej piwnicy babci, niskim i wąskim pomieszczeniu wykopanym w pagórku za domem.

Przez moment rozważałem, czy nie zwinąć się w kłębek na ziemi i nie zostać na zawsze w ciemności, wśród gnijących powoli warzyw i owoców. Kusiła mnie ta myśl, jednak silne, przeszywające ukłucie bólu z tyłu głowy szybko kazało mi ją porzucić. Babcia chciała mnie widzieć. I nie była w nastroju, który pozwoliłby jej cierpliwie czekać.

Nie miałem oczywiście klucza. Prześlizgnąłem się jak cień między krawędzią drzwi a futryną. Musiałem się spieszyć, zanim kolejne eksplozje bólu nie sparaliżują mnie do reszty i odbiorą pozory władzy nad ciałem.

Czekała w izbie, siedząc na ławie. Deski podłogi w kącie obok szafy zostały odrzucone na bok, odsłaniając ciemny czworokątny otwór. Poczułem, jak moje ramiona pokrywa gęsia skórka. Koło jej nóg stało wiadro pełne czegoś obrzydliwego. To coś cuchnęło śmiercią, rozkładem, starą zepsutą krwią. Odwróciłem ze wstrętem wzrok i skuliłem ramiona, a potem pochyliłem poddańczo głowę. Za nic w świecie nie chciałem zostać zmuszony, by spojrzeć na resztki tego czegoś, co znajdowało się w środku.

– Ty debilu! – krzyknęła babcia. Oczy miała zmrużone ze złości, wyglądały jak dwie kreski ognia wypalone w jej pomarszczonej twarzy. – Jak śmiałeś!

Milczałem, wbijając wzrok w dłonie. Palce były brudne i szare od pyłu, a pod paznokciami miałem ciemne obwódki. Wyglądały, jakbym rył nimi w ziemi. Zmarszczyłem brwi. Kiedy? Po co?

– Gdzie niemowlę? – warknęła siwa kobieta o oczach płonących wściekłością. Uniosła nogę i nacisnęła podeszwą buta na coś znajdującego się w wiadrze. Rozległ się dziwny, przyprowadzający o mdłości chrzęst. Zawylem. Ostry, piekący ból przeszył moje ramię. Osunąłem się na kolana. Nie wyobrażałem sobie przedtem, że można aż tak cierpieć fizycznie. – Co zrobiłeś z dzieckiem? Cała okolica go szuka!

Tortura zasnuwała mój umysł czerwoną mgłą. Tonąłem w niej. Nie potrafiłem zebrać myśli, nie potrafiłem udzielić satysfakcjonującej ją odpowiedzi. Dziecko? O czym ona mówi?

I nagle w jednym przeblýsku wszystko wróciło. Kobieta ludzako podobna do mojej matki. Tęsknota. Krew. Tak dużo krwi sączącej się z jej ust i rozszarpanego brzucha. Czerwone lepkie krople na moich rękach. Niemowlę śpiące w łóżecku. Co się stało potem? Co ja zrobiłem?

Przycisnęła mocniej stopę. Nie miałem siły krzyżeć. Chciałem umrzeć, byleby tylko skończyć z tą męczarnią. Ale nie jest łatwo umrzeć po raz drugi.

Drzwi otworzyły się na oścież, uderzyły z hukiem o framugę. Ból zelżał. Babcia przeniosła rozgniewane spojrzenie na zgarbioną postać, która wsunęła się do środka.

– A ty czego tutaj szukasz? – syknęła. Skuliłem się w kłębek, przycisnąłem policzek do desek podłogi. Gdyby obchodziło mnie w tamtym momencie cokolwiek innego niż własne cierpienie, również bym się zdziwił. Co skłoniło leszego do opuszczenia ukochanego lasu? Nigdy, odkąd go znałem, nie wszedł do ludzkiego domu. Nawet do chaty babci.

– Co mu robisz? – mruknął. Włożył ręce do kieszeni szarozielonego płaszcza. W otoczeniu ścian sprawiał wrażenie drobniejszego. Gdzieś zniknęła jego spokojna pewność

siebie.

– Będziesz go bronił? Po tym, co zrobił?! – krzyknęła stara kobieta. Jej głos spowodował kolejny atak bólu w moim ciele. Odsunęła się od wiadra, podszła zamaszystym krokiem do stołu i usiadła z impetem na krześle, aż zaskrzypiało. Kontynuowała spokojniejszym tonem: – Czy ty wiesz, jakie to może mieć dla nas konsekwencje? Cała okolica szuka tego niemowlaka. Zdajesz sobie sprawę, kto się tu niedługo pojawi?

– Wiem. I nie bronię chłopca. – Pan lasu potarł w zamyśleniu policzki. – Ale... mogłaś się tego spodziewać. To, co zrobiłaś kilka lat temu, było złe.

– Śmiesz mnie krytykować?

Leszy westchnął.

– Popatrz na niego. Jest niespełna rozumu. Kiedy go znalazłaś, było już za późno. Niepotrzebnie przywołałaś go z powrotem. Powiedziałem to wtedy i powtarzam to teraz.

– Nie będzie mi jakiś cholerny leśny demon mówił, co mam robić! – Głos babci był niski, chrapliwy. Przypominał warknięcie dzikiego zwierzęcia zapędzonego w pułapkę. Nie odważyłem się spojrzeć na jej twarz. – Ale może z jednym masz rację. On już się nie nadaje.

Usłyszałem kroki. Przeszła obok mnie obojętnie. Nawet nie drgnąłem. Aby spojrzeć w oczy leszemu, musiałaby stanąć na palcach, ale to on pokornie się do niej nachylił.

– Znajdź dziecko – powiedziała cicho. – Wszystko jedno, żywe czy martwe. Zastąpi ten... nieudany eksperyment. Jeśli zrobisz to szybko, będę was nadal chronić. Pozwolę wam tu zostać, a nawet zatrzymać chłopca. Wiem, że jesteście do niego przywiązani.

Nie słyszałem, co odpowiedział. Zamknąłem oczy i pochłonęła mnie ciemność.

\* \* \*

Kiedy znów odzyskałem świadomość, leżałem na piasku. Czulem na twarzy chłód płynący od jeziora. Gdzieś obok ktoś rozpaczliwie płakał. Poznałem ten głos.

Niezgrabnie, sztywno podniosłem się z ziemi. Miałem wrażenie, że przy każdym ruchu kawałki zmiażdżonej kości ramieniowej ocierają się o siebie. Bolało. Bardzo. Jednak dźwięk szloch Nawojki byłby w stanie skłonić mnie do czołgania się jej na pomoc, choćbym miał połamane wszystkie kości.

Stała na samym końcu pomostu, obejmując się ramionami. Jej twarz zakrywały spływające miękkimi falami włosy, drobne kropelki lśniły wśród nich jak perły. Wyglądała, jakby zawisała nad taflą wody. W każdej chwili mogła się w niej zanurzyć i rozpuścić na zawsze.

– Co mamy zrobić? – zapytała drżącym głosem.

Leszy potrząsnął głową. Nie wszedł na pomost. Stał na ziemi przy samym brzegu, ciemna sylwetka odcinała się od tła jaśniejszego na horyzoncie nieba.

– Wszystko jedno. Ona nie powstrzyma Złych. Chyba sama nie wierzy w to, że mogłoby jej się udać. Po prostu próbuje, póki zostało jej choć trochę sił.

Gwałtownie uniosła głowę, odrzucając do tyłu burzę ciemnych włosów. W półmroku zabłysły jej pełne łez oczy.

– I co wtedy z nami będzie?



Patrzył na nią tak, jakby była jedyną istotą na świecie wartą jego spojrzenia. Poczulem ukłucie zazdrości. Gdzieś w środku czułem, że nigdy nie będę miał szansy tak kogoś pokochać. Ani zaznać szczęścia płynącego z odwzajemnionego uczucia.

– Znikniemy, Nawojko.

Zapadła cisza. Widziałem, jak dziewczyna na pomoście prostuje szczupłe ramiona, zaciska usta, ociera policzki. Podeszła do niego miękko, prawie nieśmiało, zostawiając ślady mokrych stóp na drewnianych deskach. Wtuliła się w jego ramiona, stanęła na palcach, by wyszeptać mu prosto do ucha:

– Tu i teraz jesteśmy. Jeszcze. Wykorzystajmy każdą chwilę.

Nie patrzyłem, jak pochyla ku niej głowę i przesuwa dłońmi po jej ciele. Oddaliłem się. Wślizgnąłem się z powrotem do swojej kryjówki, do wąskiej, wilgotnej nory pod krzewami. Długo nie mogłem zapaść w sen.

\* \* \*

Wrzask. Potworny, pełen bólu krzyk. Otworzyłem oczy. Coś szarpnęło mną jak kukiełką i nagle znów znalazłem się na wąskiej piaszczystej plaży nad brzegiem jeziora.

Kobieta, którą nazywałem babcią, leżała naga na skraju pomostu. Poznałem, że to ona jedynie po cienkich siwych włosach przyklejonych krwią do głowy i po fali wściekłości, jaką od niej wyczuwałem. Jej magia zniknęła. Podobnie jak twarz. Przypominała teraz kawałek zakrwawionego, zmasakrowanego mięsa. Dłonie miała skrępowane za plecami srebrzystym zacisniętym na nadgarstkach kawałkiem drutu.

Zmrużyłem oczy. Choć słońce kryło się za gęstą pokrywą chmur, dla mnie wciąż było za jasno. Obok zwiniętej w kłębek, jęczącej z bólu postaci stało nieruchomo dwóch mężczyzn. Jeden z nich uniósł rękę i cisnął w moim kierunku garścią opalizującego proszku. Kiedy błyszczące drobiniki dotknęły mojej skóry, zabolalo, jakbym włożył rękę do ogniska. Zawylem.

Następne, co pamiętam, to że kłęczałem na ziemi, w kręgu wysypanym tym dziwnym, mieniącym się pyłem. Czułem się senny i oziębiały. Z trudem uniosłem rękę. Gdy wyciągnąłem ją przed siebie, moje palce napotkały niewidzialną barierę. Byłem w pułapce.

– Zatem to jest twoje najnowsze dzieło? – zapytał niższy z mężczyzn, w długim płaszczu, cienkich skórzanych rękawiczkach i kapeluszu z szerokim rondem. – Doprawdy, wydawało mi się, że masz więcej rozumu, Anno. Już poprzednim razem obiecałaś, że z tym skończysz.

Babcia nie odpowiedziała. Kaszlnęła tylko, wypluwając na ziemię gęstą, podbarwioną krwią ślinę.

– Nie cierpię upiórów – syknął ten wysoki, w dżinsowej kurtce, z jasnymi włosami sterzczącymi sztywno dookoła głowy. Trącił kobietę stopą. – Jak można babrać się w tego rodzaju magii? Ohyda.

Niski zacisnął usta w grymasie irytacji.

– Gdzie inni? – zapytał. – Wiem, że stworzyłaś tu sobie bez zezwolenia cały rezerwat. Przywołaj wszystkich – polecił babci.

Roześmiała się chrapliwie. Śmiech przeszedł w jęk, kiedy wysoki kopnął ją pod żebra.

Uderzyłem pięścią w barierę. Powietrze wokół mnie zadrżało, zafalowało i wróciło na swoje miejsce. Byłem bezradny. Jedyne, co udało mi się osiągnąć swoim wybuchem, to zwrócić na siebie uwagę Złych.

– A może wykorzystasz tego? – Jasnowłosa wskazał mnie ruchem brody. – Czy te istoty żyjące w jednym miejscu nie są ze sobą jakoś powiązane? Jest szansa, że się pojawiają, jeśli trochę nad nim... popracujemy?

Skuliłem się. Pod zimnym, oceniającym spojrzeniem jego szarych oczu czułem się znów malutki i bezbronny. Jak kiedyś.

Niski wzruszył ramionami.

– Nie jestem specjalistą od demonów, za jakiego mnie uważasz. Przynajmniej nie od takich jak ten tutaj. Decyduj, co robimy. Ty tu teraz jesteś szefem.

Zamarłem. Czekałem na decyzję. Na ból. Na kolejne tortury.

– Zostaw dzieciaka. Porozmawiaj ze mną. – Za moimi plecami rozległ się znajomy głos.

Obejrzałem się. Leszy wynurzył się z cienia drzew okalających wąską skrawek piasku. Jego szczupła, pociągła twarz o ostrych rysach przybrała zdeterminowany wyraz. W rękę trzymał siekiereę poznaczoną rudymi zaciekami.

Nie miałem pojęcia, po co ją przyniósł i co zamierzał zrobić. Rzucić wyzwanie Złym? Zagrozić im? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że nie miał żadnych szans. Może po prostu chciał umrzeć, walcząc w obronie swoich bliskich.

Wtedy po raz pierwszy uwierzyłem, że zaliczał mnie do tego grona.

Wszystko potoczyło się szybko. Jasnowłosa uniósł rękę i wykrzyknął coś w nieznanym mi języku. Nie rozumiałem słów, ale sam ich dźwięk sprawił, że zamarłem, osłaniając głowę dłonią, ogarnięty paraliżującym bólem. Dopiero po dłuższej chwili udało mi się pokonać bezwład i zerknąć przez szeroko rozstawione palce.

Pan lasu znieruchomiał z głową uniesioną wysoko do góry i twarzą zastygłą w wyrazie lęku i cierpienia. Szarzielony płaszcz, który jeszcze niedawno, w blasku księżyca w środku lasu wydawał mi się okryciem godnym samego króla, teraz zwisał z jego ramion smętnie jak łachmany ze stracha na wróble. Siekiera wysunęła się ze sztywnych jak patyki palców.

– Nie negocjujemy z takimi jak ty. Ksawery, przynieś benzynę. Zakończymy to w tradycyjny sposób – powiedział cicho mężczyzna o zimnych szarych oczach. Jego towarzysz zmarszczył brwi.

– Może lepiej najpierw go wypytać o tego porwanego niemowlaka? – zasugerował niepewnie i cofnął się, gdy jasnowłosa przyskoczył do niego i chwycił go za poły płaszcza pod szyją.

– Sam powiedziałeś, że ja tu rządę! Więc, do cholery, zrób, co powiedziałem! – wrzasnął. Z ust trysnęły drobne kropelki śliny.

– Dobrze, dobrze. – Ksawery skrzywił się i łatwo wywinął z uchwytu. Odskoczył. Zerknął na coraz bardziej przypominającego drewniany posążek leszego, a potem spojrzął na mnie swoimi pozbawionymi tęczywek oczami. Wyczuwałem od niego coś obcego i groźnego. Nie był ani jednym z nas, ani zwykłym człowiekiem, ani obdarzonym talentem magicznym, jak

babcia. Mimo strachu poczułem odrobinę zaciekawienia. Nigdy przedtem w naszej okolicy nie spotkałem kogoś takiego.

– Idę – powiedział niechętnie. I rozpląnął się w powietrzu.

– Pieprzony wampir. Przyjaciel demonów się znalazł – wymamrotał mężczyzna w dzinsowej kurtce i z całych sił kopnął leżącą kobietę w bok. Nie zareagowała. Chyba już jakiś czas temu straciła przytomność. Sapnął, zirytowany brakiem reakcji, i przykląkł przy skulonym ciele. Obiema rękami złapał ją za głowę i gwałtownie przekręcił. Rozległo się obrzydliwe, przyprawiające o mdłości chrupnięcie. Babcia zadygotała, jakby przeszył ją prąd. Jej powieki otworzyły się w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia, a potem opadły. Znieruchomiła.

Coś zniknęło. Przemknęło przez powietrze, rozpląnęło się w szuwarach, rozwiało nad nieruchomą taflą jeziora. Magia chroniąca nasz dom umarła wraz z jej twórcielką.

– Myślałem, że jeszcze ją przesłuchamy. – Niski mężczyzna w kapeluszu powrócił na plażę. Trzymał w ręku kanister. Z uniesionymi brwiami przyglądał się trupowi na pomoście.

– Nie było takiej potrzeby. – Morderca mojej babci otrzepał pyłek z rękawa kurtki. Uniósł górną wargę we wściekłym grymasie. – No dalej! Zabieraj się do roboty! Oblej go!

Nie chciałem umierać. Ale jeszcze bardziej nie chciałem, aby Nawojka próbowała nas uratować. Gdyby tylko potrafiła się ukryć. Przeczekać. Przeżyć, by pochować potem resztki naszych ciał i oplakać nasze odejście. Miałem w sobie jednak okrutną, bolesną pewność, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby przyjść nam z pomocą. Moja Nawojka. Śliczna, naiwna, zakochana rusałka.

Myślałem, że wynurzy się z pluskiem spod powierzchni wody, ona jednak wysunęła się z zarośli z nieruchomym dzieckiem w ramionach. Niemowlę miało buzię wtuloną w jej szyję. Nie płakało. Nie wydawało właściwie żadnego dźwięku.

– Przestańcie! – krzyknęła wysokim, cienkim głosem. Bez obecnej do tej pory w powietrzu magii nie była już tak zjawiskowo piękna. Błyszczące gorączkowo oczy wydawały się za duże w drobnej, zakończonej spiczastą bródką twarzy. Konwulsyjnym ruchem przytulała do siebie dziwnie nieruchome zawiniątko. – On... nie zakopał dziecka głęboko. Znalazłam je i uratowałam. Wypuść ich, a oddam wam je żywe i zdrowe. Obiecuję, że przypilnujemy, aby nie skrzywdził już nikogo.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz. – Jasnowłosy parsknął urywanym, nieprzyjemnym śmiechem. – Mamy wam uwierzyć?

– Jakaś owca od czasu do czasu, nawet żrebną klacz z rozszarpanym brzuchem... Bylibyśmy w stanie przymknąć na to oko. Ale nie kobieta. Zamordowana w samym środku wsi. Tego się nie da zatuszować. – Wampir zacisnął usta i potrząsnął głową.

– Wypuście ich. Inaczej skrzywdzę dziecko – powtórzyła rusałka monotonnym, pozbawionym nadziei tonem. Wyglądała, jakby ledwo trzymała się na nogach.

– A ono na pewno jeszcze żyje? – zainteresował się jasnowłosy, wkładając ręce do kieszeni kurtki.

– Żyje, ale ledwo. Czuję jego płomyk – odparł Ksawery. Rzucił pytające spojrzenie na swojego towarzysza. Westchnął, nie doczekawszy się reakcji, i wzruszył ramionami. –

Dobrze. Wymieńmy niemowlę za demona lasu.

– Tylko jego – dodał ostro jasnowłosy. – Chłopca nie puścimy wolno. To nie podlega negocjacjom. Nie po tym, co zrobił.

Stała nieruchomo, kurczowo przytulając do siebie zawiniątko. *Spójrz na mnie – pomyślałem błagalnie. Pożegnaj się ze mną chociaż spojrzeniem.*

Nawet na moment nie oderwała wzroku od twarzy Złych.

– Zgadzam się – szepnęła. – Zdejmijcie czar. Puśćcie go wolno.

– Ależ oczywiście. Jak tylko oddasz dziecko. – Jasnowłosy skłonił głowę w kpiącym geście przytaknięcia.

*Nie rób tego! Babcia mówiła, że nie wolno im ufać!* – chciałem zawołać, ale żadne słowo nie było w stanie wydostać się z moich ust.

Nawojka odsunęła od siebie niemowlę tak, aby popatrzeć na jego niewydającą żadnego dźwięku buzię i nagłym, niezgrabnym ruchem pocałowała je w czubek głowy. Przyklekła i ułożyła je na piasku.

– Cofnij się – warknął jasnowłosy, gwałtownie wyciągając ręce z kieszeni. Uniósł dłonie, otworzył zaciśniętą pięść, wyszczał coś w tym dziwnym, okropnym języku, od którego przechodziły mnie dreszcze.

Zobaczyłem, jak oczy jego towarzysza rozszerzają się w wyrazie zdziwienia i gniewu, a potem strumień ognia przepłynął przez powietrze. Nawet zamknięty w kręgu odczułem jego żar. Objąłem się ramionami, przypadłem do ziemi, skuliłem. Nie umiałem jednak odwrócić wzroku.

Drewno nie krzyczy, gdy płonie. Nie wyje, nie prosi o zmiłowanie. W drewnianym posążku, w który zamienił się leszy, żywe były tylko oczy. Byszczące prerażeniem i bólem, otoczone wznoszącymi się coraz wyżej i wyżej płomieniami. Trwało to krótką chwilę, zanim tęczątki nie roztopiły się od gorąca i nie wypłynęły galaretowatą strugą z oczodołów.

Rusałka nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie wahała się ani przez moment. Lekko, jakby nie dotykając stopami ziemi, podbiegła do jasnowłosego, który z wyrazem zadowolenia na twarzy kontemlował stworzoną przez siebie żywą pochodnię. Skoczyła, zatopiła zakrzywione paznokcie w jego policzkach, wbiła drobne ząbki w szyję. Zatoczył się, zaklął. Przez sekundę odważyłem się mieć nadzieję, szybko jednak odzyskał równowagę. Dłonie mężczyzny wystrzeliły w powietrze, zaciśnęły się na nadgarstkach Nawojki i pociągnęły. Dziewczyna runęła do przodu, przerzucona przez jego ramię, po czym potoczyła się po ziemi. Rzuciłem się w jej stronę, lecz uderzyłem w barierę kręgu. W mgnieniu oka był przy niej. Postawił stopę na jej szyi, nacisnął całym ciężarem ciała. Coś trzasnęło. Głowa rusałki zwisała bezwładnie.

– Bez ochrony leśne stwory nie są takie silne. Ale podrapała mnie, mała kurwa. – W głosie jasnowłosego brzmiało zdziwienie. Rękawem kurtki otarł krew z twarzy.

– A czego się spodziewałeś? – Mężczyzna w kapeluszu potrząsnął głową, jakby z niedowierzaniem. – To zwykle tutejsze demony. Karmiły się składanymi ofiarami i odrobiną wiary, jaka jeszcze pozostała w tych rejonach. Po co ta rzeź? Wystarczyło zabrać chłopca.

– Nie cierpię cholernych upiórów. Niezależnie od rodzaju i nawet jeśli wykonują wydane im rozkazy. Myślałem, że już dawno to sobie wyjaśniliśmy.

– Tak. Bardzo jasno. Co nie zmienia faktu, że...

Ich podniesione, pełne irytacji głosy brzęczały jak natrętne muchy. Przestałem zwracać na nie uwagę. Nawojka jeszcze żyła. Jej oczy, wpatrzone w puste niebo, otwierały się i zamykały. Przesuwała rękę po piasku. Wolno, zbyt wolno. Długie palce musnęły gwiaździsty pył rozsypany po więzającym mnie okręgu. Rozmazały odrobinę jego kształt.

*Dziecko...* – usłyszałem jej cichy głos w mojej głowie. Słaby, jakby dobiegający z bardzo daleka.

Pochyliłem głowę. Czego ode mnie oczekiwała? Nie mogłem jej pomóc.

Jej dłoń zwinęła się w pięść, a potem rozprostowała. Kolejne ziarenka przetoczyły się na bok.

*Uciekaj, chłopcze...*

Powieki opadły po raz ostatni i znieruchomiały. Rozciągnięta na ziemi wyglądała dziwnie płasko, jak zasuszony kwiat pomiędzy stronicami książki.

Zakołysałem się. Nagle, pomimo wzbijających się w niebo płomieni trawiących drewnianą figurę, zrobiło mi się strasznie zimno. Ciągłe jeszcze wyczuwałem ból i przerażenie leszego. Szalejący ogień nadal nie wypalił jego życia do końca. Jednak świadomość Nawojki, jej jestestwo, esencja wszystkiego, czym była – radości, czułości, piękna – zniknęły bez śladu. Pozostała pustka. Samotność większa, niż byłem sobie w stanie przedtem wyobrazić.

– ...i nie obchodzi mnie, do jakiego stylu działania się przyzwyczaiłeś przy poprzednim szefie! Teraz pracujesz ze mną. I będziesz robił to, co ci każę! – Podniesiony, piskliwy ze złości głos jasnowłosego wdarł się w moje myśli.

Niski mężczyzna zgarbił się i jeszcze bardziej zmałał. Wyglądał, jakby przegrywał w tej dyskusji. W końcu odwrócił się i ukląkł przy leżącym na ziemi niemowlaku. Poklepał dziecko po policzku. Zakwiliło cichutko.

– Trzeba je zabrać do szpitala. Chyba że możesz je sam uleczyć, szefie?

– Nie dam rady. Cholera, zużyłem więcej energii, niż powinienem. A jeszcze został ten jeden. Poroniec.

– Zniknie, kiedy zniszczymy jego doczesne szczątki, które są schowane w chacie wiedzy. Wystarczy je spalić.

– Jak i całą rudere. Dobrze, bierz dziecko i benzynę. Idziemy.

Dotarło do mnie, że teraz kolej na mnie. I szczerze mówiąc, przyjąłem tę myśl z odrobiną ulgi. Niech wreszcie to wszystko się skończy. Nie miałem siły walczyć.

*Uciekaj, chłopcze...* – ostatnie słowa Nawojki niczym westchnienie przemknęły mi przez głowę.

Ale dokąd miałem uciekać? I jak? Byłem uwięziony.

I nagle wyczułem, że to nieprawda. Rusałka naruszyła magiczną barierę. Jej białe wąskie palce spoczywały bezwładnie na samym skraju utworzonego z pyłu kręgu. Powstała

szczelina, przez którą mógłbym się przecisnąć, jeśli zdecydowałbym się zostawić za sobą to związane z doczesnymi szczątkami utworzone przez babcię ciało.

Zawahałem się przez moment. A potem to, czym naprawdę byłem, delikatnie jak oddech prześlizgnęło się przez barierę. Wzbiłem się do góry. W tej jednej sekundzie byłem wszędzie i chłonałem wszystko – cichą plażę, krew plamiącą piasek, biel skóry Nawojki i złotozielonkawe płomienie ogniska. Oraz skulonego w pozycji embrionalnej potworka o zbyt długich rękach, wystających z ust zakrzywionych kłach i potarganych kłakach opadających na zdeformowane ramiona. Odwróciłem się z niesmakiem od tego widoku. Wolalbym inaczej zapamiętać swoją pierwszą postać.

Niemowlę było pogrążone we śnie tak głębokim, że przypominającym śmierć. Iskierka, która odróżnia żywego człowieka od kawałka mięsa, ledwo się w nim tliła. Posapywało ciężko przez nos, jego klatka piersiowa unosiła się wolno i nieregularnie. Główka, podtrzymywana dłonią w czarnej rękawiczce, kołysała się w rytm kroków niosącego je mężczyzny.

Poczułem wyrzuty sumienia. To nie było w porządku. Jednak – z drugiej strony – to, co mnie spotkało, także nie było sprawiedliwe.

Wsunąłem się do środka. Nie miał siły walczyć. Zgasiłem jego świadomość tak łatwo, jakbym zdmuchiwał świecę.

I złapałem swój pierwszy oddech.

\* \* \*

Rozkasałem się. Minęło tak wiele czasu, odkąd miałem zwykle, czujące, powleczone skórą ciało, serce pompujące płynącą wartko krew, płuca, które potrzebowały powietrza. Swędział mnie nos. Policzek ocierał się nieprzyjemnie o szorstki materiał płaszcza. Byłem głodny i przemarznięty.

Żyłem.

Musiałem przypomnieć sobie, jak siłą mięśni, nie magii, unieść powieki. Z bliska zobaczyłem wpatrzony we mnie ciemne oczy mężczyzny w kapeluszu. Moje serce zabiło szybciej. To było spojrzenie drapieżnika – czujne i groźne. W nowej postaci odczuwałem to jeszcze silniej.

Nagle przystanął. Zmarszczył brwi. Z nagłym ukłuciem lęku zorientowałem się, że domyślił się, co się stało, i moje drugie życie zakończy się jeszcze szybciej niż to pierwsze.

– Co się znowu dzieje, do cholery? – Obaj drgnęliśmy na dźwięk zirytowanego głosu jasnowłosego.

Skóra trzymającego mnie mężczyzny miała wyjątkowo błądy odcień. Uśmiechnął się krzywo, odsłaniając jeden długi zażółcony kieł. Grymas był nieprzyjemny, ale za to pełen zrozumienia. Akceptacji okazanej jednemu potworowi przez drugiego.

– Wszystko w porządku. Chodźmy – odpowiedział cicho swojemu ludzkiemu towarzyszowi.

Ułga. Zdziwienie. Spokój. Ułożyłem się wygodnie na ramieniu wampira i przymknąłem oczy. Powoli odpływałem w sen. Potrzebowałem dużo odpoczynku, aby zregenerować siły małego, kruchego ciała, które odtąd miało być moim mieszkaniem.

Wreszcie miałem czas. A przed sobą całe życie.





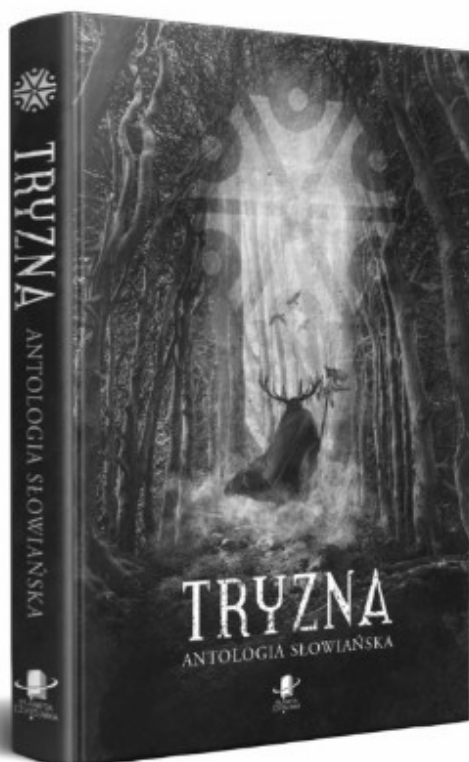
## KATARZYNA WIERZBICKA



Ukończyła bibliotekoznawstwo i informację naukową na Uniwersytecie Warszawskim. Na rynku wydawniczym zadebiutowała w 2019 roku bajką „O królewiczu, który się odważył!”, która wygrała konkurs Piórko organizowany przez Biedronkę. Jest autorką serii urban fantasy „Między światami”. Pierwszy tom „Tajne przez magiczne” został wydany w 2021 roku przez Wydawnictwo Spisek Pisarzy. Drugi tom – „To nie jest kraj dla słabych magów” pojawił się w październiku 2022 r. i został uznany Książką Roku w plebiscyście [Granice.pl](https://www.granice.pl) w kategorii Fantastyka oraz nominowany do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla.

Katarzyna Wierzbicka obecnie pracuje jako nauczycielka przedszkolna, a prywatnie jest mamą trójki dzieci (które uważa za wspaniałą inspirację do pisania o demonach). Uwielbia książki fantasy, podróżowanie oraz musicale.





## Tryzna. Antologia słowiańska

Zapraszamy na tryznę, gdzie serwujemy szesnaście historii.

Autorzy w swoje opowiesci wplekli słowiańskie upiory, dawne legendy, dodatkowo okrasili je grozą i niekiedy szczyptą humoru. Zanurzcie się w czasach minionych oraz współczesnych i odkryjcie to, co skrywa się za kurtyną nierealności!

### Autorzy:

Piotr Barej - Silke Brandt - Jarosław Dobrowolski - Krzysztof Dzieniszewski  
Paweł Famus - Camille Gale - Artur Grzelak - Małgorzata Lewandowska  
Tadeusz Oszubski - Olaf Pajączkowski - Jacek Pelczar - Franciszek M.  
Piątkowski - E. Raj - Maciej Szymczak - Flora Woźnica - Magdalena  
Zawadzka-Sołtysek



## **GRUZY. ANTOLOGIA POSTAPO**

**NADSZEDŁ CZAS ZAGŁĄDY...**

**JAK WYGLĄDA EGZYSTENCJA NA GRUZACH TEGO, CO ZDAWAŁO SIĘ NIEZNISZCZALNE?**

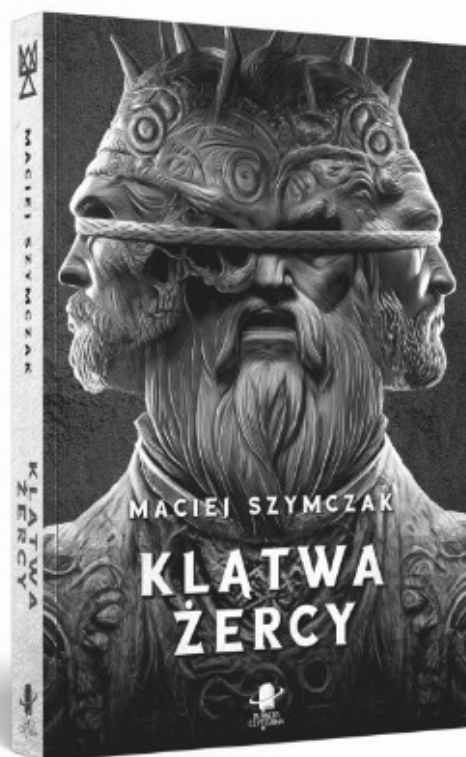
OPOWIADANIA UKAZUJĄ ZŁOWIĘSZCZE WIZJE ŻYCIA PO APOKALIPSIE: OD PUSTKOWI I POSZUKIWANIA ZASOBÓW, POPRZEC WOJNĘ LUDZI Z MASZYNAMI, AŻ PO KOSMICZNE WYPRAWY KU NOWYM ŚWIATOM. OBRAZOWE HISTORIE ZASIEJĄ W CZYTELNIKU ZIARNO NIEPOKOJU I POZOSTAWIĄ GO Z PYTANIAMI, NA KTÓRE NIKT NIE CHCE ZNAĆ ODPOWIEDZI.

**PRZYGOTUJ SIĘ NA EMOCJONALNĄ PODRÓŻ PRZEZ GRUZY ZNANEGO CI ŚWIATA, W KTÓRYM NADZIEJA JEST MATKĄ SŁOPICH, A JEDYNY CEL TO PRZETRWANIE KOLEJNEGO DNIA.**

### **AUTORZY:**

ALEKSANDRA BEDNARSKA - JAROSŁAW DOBROWOLSKI - FERANOS - AGATA FRANCIK - LIDIA GRĘDA  
ROLAND HENSOLDT - NATALIA KLIMASZEWSKA - PAULINA KLIMENTOWSKA - JAROSŁAW KLIMENTOWSKI  
MICHAŁ KORZUN - MARCIN BARTOSZ ŁUKASIEWICZ - WIKTOR MATYSZKIEWICZ - KORNEL MIKOŁAJCZYK  
ARTUR OLCHOWY - RADEK PUCHAŁA - ŁUKASZ RZADKOWSKI - MAGDALENA ANNA SAKOWSKA - EDWARD  
STRUN - AGATA SUCHOCKA - MAGDALENA ŚWIERCZEK - GRYBOSZ - DOMINIKA VICENTE





## Kłątwa żercy - Maciej Szymczak

Historyczne dark fantasy, którego akcja rozgrywa się na Pomorzu podczas misji chrystianizacyjnej Ottona. Apostoł Pomorza wspomagany przez oddziały Bolesława i Warcisława zdobywa Szczecin i przystępuje do niszczenia słynnej świątyni Tryglawa.

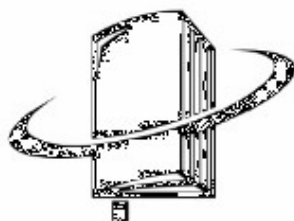
Czy kapłani Tryglawa zdołają ocalić idola?

Czy da się powstrzymać bezgłowego upióra,  
mścącego się za obrazę majestatu Bogów?

Czy Otton zdoła utrzymać w swoich rękach Szczecin,  
a misja chrystianizacyjna Pomorza się powiedzie?

Odpowiedzi na te pytania znajdziecie w „Kłątwie żercy” – książce pełnej zwrotów akcji i dramatycznej walki starej wiary z nową.





# PLANETA CZYTELNIKA

Poznaj nasze książki!



[www.planeta-czytelnika.pl](http://www.planeta-czytelnika.pl)





1 Marek Monescius do swego ojca Juliusza (łac.).

2 Gospodach (łac.).

3 Miejscowi (łac.).

4 Dosł. las rzeczy (łac.).

5 Dbaj o siebie (łac.).

6 Po prostu wypić herbatę z taką piękną damą (ros.).

7 Może zostawisz tę małą dziewczynkę i spróbujesz swoich sił z prawdziwą kobietą? (ros.).

8 Jeśli jesteś taka mądra, zobaczmy, czy możesz zrobić to dla nas wszystkich (ros.).

9 Nie patrz na mnie, polska dziwko (ros.).

10 A diabeł w czarnej sukni przygląda się (...) Życie jest krótkie a miłość zawsze kończy się nad ranem (...) I świątynia miłości upada. (Sisters of Mercy, Temple of love, Merciful Release, 1983).

11 Pozdrawiam przyjaciół (łac.).

12 A. Steffen., *Zbiór pieśni ludowych z Warmji*, t. 1, Wstęp: J. S. Bystroń, K. Nitsch, Towarzystwo Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech, Poznań 1931.

13 Tło – oznacza „tylko” w gwarze warmińskiej.

14 Mnieć – oznacza „mieć” w gwarze warmińskiej.

15 Bez – oznacza „przez” w gwarze warmińskiej.

16 Jek – oznacza „jak” w gwarze warmińskiej.